

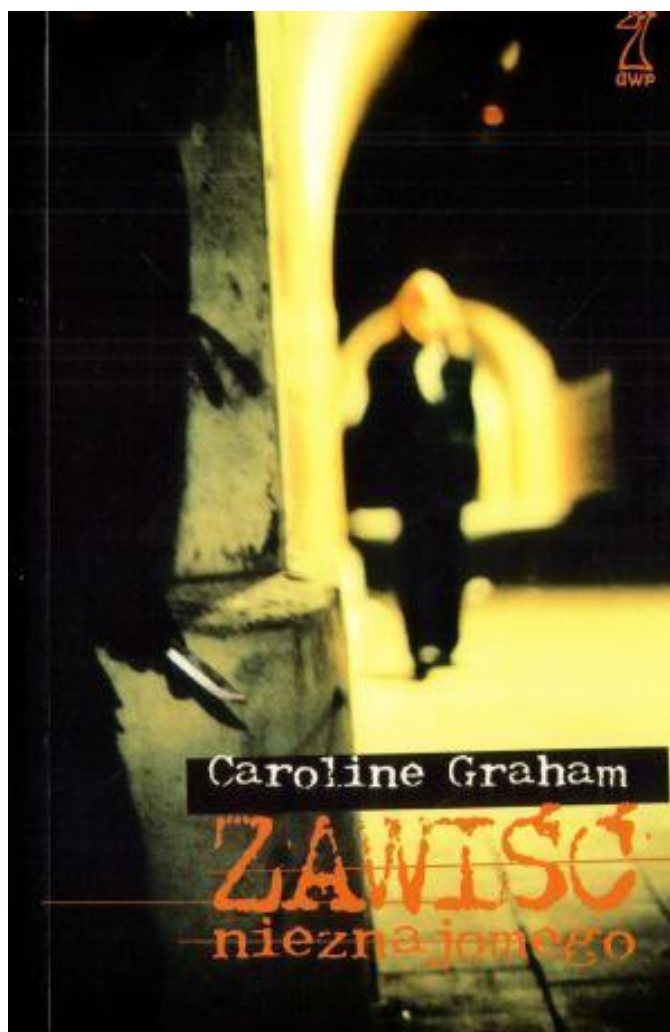


**Caroline Graham**

**Zawiść**

**~~nieznajomego~~**

Tytuł oryginału: *The Envy of the Stranger*



TLR

Mojej przyjaciółce  
Shirley Gee

## Prolog

Inaczej to sobie wyobrażał. Oczywiście, myślał o morderstwie (od kiedy wtargnęła do jego życia, nie myślał niemal o niczym innym), lecz w jego wyobraźni i w ponurych snach wydarzenia rozegrały się w inny sposób.

Nóż się nie zmienił — ten, który teraz trzymał w dłoni, wykonując kolejne cięcia i klucia, był tym samym, którym posługiwał się podczas długich prób, kiedy wymyślał, planował i ćwiczył zadawanie śmiertelnych ciosów. Ruchy były wówczas łatwe, a ostrze szybkie i ruchliwe.

Także emocje powinny być te same - jednak udając wykonywanie gwałtownych pchnięć, doświadczał ich zaledwie w załączku; podobnie jak aktor ćwiczący daną scenę, gdy jego serce i talent nie są w nią jeszcze w pełni zaangażowane.

Podczas tych prób zawsze całkowicie panował nad wszystkim. Oczywiście, przeżywał uniesienie, był podekscytowany i przepełniony żądzą, nigdy jednak nie miał najmniejszej wątpliwości, że jest stworzony do roli egzekutora.

Wszystko jednak rozegrało się inaczej niż się tego spodziewał. Przede wszystkim mylił się co do scenerii. Przeprowadzając próby we własnym pokoju, zawsze wyobrażał sobie, że samo zabójstwo będzie miało miejsce gdzie indziej, w otoczeniu nieokreślonym, może nieco tajemniczym.

Emocje też różniły się od zaplanowanych. Początkowo można je było wprawdzie określić jako pożądanie, podniecenie i uniesienie, lecz nic nie mogło go przygotować na olśniewające zmiany w duszy i ciele, które poczuł, wykonawszy pierwsze cięcie. Odniósł wrażenie, że czynność ta uruchomiła gdzieś w głębi jego psychiki przełącznik, co spowodowało gwałtowny wzrost napięcia. Wywołana tym energia była nieporównywalna z tą, którą odczuwał codziennie podczas wykonywania ćwiczeń. Była to czarna, kipiąca fala przypływu, unosząca go ze sobą i potęgująca szaleństwo. Kiedy opadła, pozostawiając go wyrzuconego na szkarłatne od krwi łóżko, rozejrzał się wokół, nie wierząc własnym oczom.

Zasadnicza różnica dotyczyła jednak jej osoby. Sposobu, w jaki nagle się pojawiła. Niemal zaoferowała się mu, zmuszając jego rękę do działania. Również jej ciało było inne. Utrzymał swój nóż naostrzony jak brzytwa i wyobrażał sobie, że będzie wślizgiwał się w nie jak w masło. Jednak udawanie gwałtownych pchnięć w powietrzu to było jedno, a wbijanie go w prawdziwe ciało — zupełnie coś innego. Pojawiły się przeskody: chrząstki, ścięgna i twarde białe kości. Nie miał pojęcia, który cios okazał się śmiertelny. Zadał ich tak wiele.

Przykucnął bez ruchu, wciąż pochylony nad jej ciałem. Jakimś cudem wokół panowała cisza. Nikt nie stukał na znak protestu w sufit, nikt nie wspinał się po schodach i nie walił w drzwi. Drżąc teraz na całym ciele, wstał, umył ręce, wsunął kilka rzeczy do torby i włożył marynarkę. Stopniowo powrócił doń realny świat, a wraz z nim poczucie słuszności. Uczynił tylko to, co należało. Los mu sprzyja, z pewnością jest to więc kolejny dowód, że robi to, co trzeba. Nie oglądając się za siebie, podszedł do drzwi. Wszystko jest już poza nim.

Aż do następnego razu.

TLR

## Rozdział pierwszy

Zdobycie fotografii zajęło mu sporo czasu. Na początku nie był wybredny. Nadawała się każda dobrze znana twarz. Przypiął nawet zdjęcia osób znanych tylko z tego, że są znane. Osób w rodzaju Jerry Hall. Jednak dość szybko okazało się to absolutnie niesatysfakcjonujące. Po pierwsze, ludzie ci byli nieuchwytni. Taką Jerry Hall trudno było nawet gdziekolwiek zobaczyć. Nie występowała w telewizji ani w filmach. Nigdy nie pojawiała się w radiu. Okazjonalnie zamieszczano gdzieś jej zdjęcie wykonane w tym czy innym klubie nocnym lub dyskotecie, w grupie zupełnie nieznanymi osób. Tak więc z Jerry musiał zrezygnować.

Zdejmowanie ich ze ściany sprawiało mu pewną przyjemność. Zabieranie tych, którzy w ostatniej chwili okazali się nieodpowiedni. Z namaszczaniem przedzierał raz lub dwa razy zdjęcie takiej twarzy i czasem podpalał kawałki papieru na spodeczku, obserwując, jak ćwiartka uśmiechu, sprężysty lok czy błyszcząca źrenica zmienia kolor niczym grzanka na brązowy, a potem czarny, by w końcu przemienić się w szare płatki.

Niekiedy upływało trochę czasu, zanim puste miejsce zostało wypełnione. Nie musiał się spieszyć. Stopniowo wszystkie trzy ściany zaczęły wyglądać dokładnie tak, jak zamierzał. Czwartą ścianę niemal w całości wypełniały drzwi, z wyjątkiem kilku półek zawierających zgromadzoną przez niego kolekcję nader wyjątkowych książek. Ściana naprzeciw okna była pod pewnym względem najbardziej satysfakcjonująca. Z pewnością najbardziej olśniewała. Odeon gwiazd. Dumny był z nazwy „odeon”. Wyraz ten, znaleziony w amerykańskim magazynie, wydał mu się znakomitym zbiorowym określeniem dla jego znanych osobistości. Teraz używał go często, dawno zapomniawszy o źródle pochodzenia. Nieznane słowa miały dla niego wielki urok, dlatego zawsze nosił przy sobie mały notes „do robienia notatek”.

Wiele fotografii opatrzonych było autografem, niektóre zawierały dedykację. „Najlepsze życzenia, Burt Reynolds”. „Z najlepszymi życzeniami, Faye Dunaway”. Wymieniane też było jego imię. Jego prawdziwe imię, nie to, którym został ochrzczony, bowiem uważał je za absurdalnie nieodpowiednie. Ostatnim razem, gdy wpuścił do swojego pokoju pewną dziewczynę, ta spojrzała na zdjęcie Roberta Redforda („Dla Fenna — z najlep-

szymi życzeniami") i stwierdziła, że podpis został po prostu przystemplowany. Nie było sensu z tym dyskutować. Wiedział, że komuś w rodzaju Roberta Redforda, który znany był z uwagi poświęcanej ginącym gatunkom zwierząt, nie przyszlaby do głowy podobna nieuczciwość. Wspomniana dziewczyna nigdy się nie dowiedziała, dlaczego po fakcie doprowadził ją do płaczu.

Drugą ścianę cechowało zdecydowanie mniejsze napięcie. Aktorzy teatralni i filmowi, głównie z tej strony Atlantyku. To nie ich wina, że błyszczeli słabszym blaskiem. Hollywood jest tylko jeden. Był wśród nich Ian McKellen, w którego kościstej twarzy i ognistych, ciemnych oczach płonęła gorączkowa, ledwo powstrzymywana energia. Fenn podziwiał takie osoby; wiedział, co odczuwają. Byli tam aktorzy z seriali *EastEnders* i *Sąsiedzi* oraz Ian McShane z *Lovejoy*. Żadnego przedstawiciela lżejszej muzy. Fenn nigdy nie oglądał komedii. Gdy skusił się na to parę razy, musiał wyłączyć telewizor w stanie najwyższej irytacji. Wydawało się, że filmy te zawsze dotyczą niepowodzeń życiowych. Zaniedbani, starzy mężczyźni partaczący wszystko, czego tknęli, snujący plany bez pokrycia. Głupie kobiety ze świata mody, ubrane jak strachy na wróble, zawsze pijane.

Trzecia ściana pokryta była osobistościami. Mówiąc innymi słowy, były to osoby pozbawione specjalnych zdolności lub talentów, którym jednak, w odróżnieniu od niego, poszczęściło się w życiu. Osoby takie, jak Esther Rantzen, Chris Tarrant bądź Anne Diamond. W samym środku ściany znajdowała się pusta przestrzeń wielkości około stopy kwadratowej.

Jedną z korzyści życia w Londynie było to, że widywało się sławnych ludzi na żywo. Pewnego razu, idąc St James's Street, Fenn zauważył, że do drogerii wchodzi Kenny Everett. Natychmiast wszedł za nim do środka, po czym znaleźli się tuż obok siebie przy ladzie. Podeszła ekspedientka i chociaż nie spojrzała w jego stronę, rzucił natychmiast: „Wydaje mi się, że ten pan był pierwszy”, udając, że nie ma pojęcia, kim jest stojący obok niego mężczyzna. Kenny spojrzał na niego, marszcząc nieco czoło, jakby zastanawiał się, czy kiedyś już się spotkali, po czym powiedział: „Dziękuję”. Innym razem Fenn jechał windą u Harrodsa razem z Janet Street Porter.

Ale oczywiście gwiazdy filmowe to zupełnie co innego. Mieszkają za wysokimi murami, których pilnują kamery oraz umundurowani mężczyźni z dobermanami. I spędzają całe dni, zanurzając swe mie-



dziane ciała w akwamarynowej wodzie lub wylegając się obok basenu, z eleganckim drinkiem i stosem nieprzeczytanych scenariuszy w zasięgu ręki. W nocy gwiazdy gromadzą się razem, jak barwnie upierzone ptaki, popijając szampana i wpatrując się przez szerokie, panoramiczne okna w krajobraz Beverly Hills, uwięzione przez swoją sławę i urodę, jak bogowie w Walhalli. I tak właśnie powinno być. Robiło mu się niedobrze, gdy któryś z jego ulubionych magazynów zamieszczał artykuł, w którym można było przeczytać, jak zwyczajna jest w rzeczywistości ta czy inna gwiazda. Ukazywano je wówczas, jak ozdabiają kremem ciasto lub kopią w ogródku. Ujrzawszy coś takiego, nie był w stanie trzymać dalej na ścianie zdjęcia tej osoby. W jego oczach degradowała się sama.

Przestrzeń na trzeciej ścianie przeznaczona była dla niego samego. Posiadał wprawdzie swoje zdjęcie, lecz nie miał zamiaru go tam umieścić, a nawet przymierzać do pustego miejsca, dopóki nie uda mu się osiągnąć sukcesu. Byłoby to czymś niewłaściwym, a ponadto był przesądny. Miał stuprocentowe przekonanie, że w tym „gwiazdozborze” istnieje również miejsce dla niego, nie miało jednak sensu takie kuszenie losu. Jego zdjęcia zostały wykonane przez faceta z Great Portland Street, specjalizującego się w fotografiach teatralnych.

Zdobył ten adres dość okreźną drogą.

Początkowo chciał zdobyć sławę jako pisarz. Usłyszał w radiu, że wielu sławnych pisarzy zawsze nosi przy sobie notatniki, a ponieważ on sam miał ten zwyczaj, wydało mu się, że to niemal omen: drogowskaz wskazujący, gdzie leży jego przyszłość. Jednakże jego własne notatki, niezależnie od tego, jak poważnie je studiował, nie dostarczyły mu pomysłu ani na fabułę powieści, ani na scenariusz filmowy, więc niechętnie doszedł do wniosku, że znani pisarze spędzają swe życie w o wiele bardziej interesujących częściach świata.

Również aktorstwo zaprowadziło go w ślepią uliczkę. Postarał się o broszury z różnych szkół teatralnych i doszedł do wniosku, że jedynymi godnymi uwagi są Central School of Speech and Drama oraz Royal Academy of Dramatic Art, po czym odkrył, że jego rodzice nie mają zamiaru płacić czesnego. Ojciec zawsze był do niego ustosunkowany negatywnie (nazywał to zdecydowanym zachowywaniem swojego zdania), lecz matce zazwyczaj udawało się znaleźć sposoby, aby zrobić swoje bez wiedzy staro nieudacznika. Tym razem nie była w stanie niczego uczynić i następnego dnia, mimo że szlochała i rozpaczliwie czepiała się go w pasie jak ba-

last, opuścił dom i nigdy nie wrócił. Odkrył, że obie szkoły oferują stypendia, lecz znalezienie fragmentów nadających się na przesłuchanie oraz pieniędzy potrzebnych na opłacenie kogoś, kto by go poprowadził, okazało się zbyt wielkim problemem. Ponadto spotkał w Salisbury aktora o imieniu Brett, który uzyskał złoty medal na uczelni RADA, a teraz odgrywał w domu towarowym Selfridges św. Mikołaja, co określał jako „okres odpoczynku”. W dodatku pięć lat po uzyskaniu dyplomu facet wciąż wykonywał co rano ćwiczenia głosowe, a każdego wolnego pensa wydawał na lekcje pantomimy i tańca. Fenn dowiedział się od niego, że ponad połowa zawodowych aktorów pozostaje niezatrudniona i że nie można liczyć na jakąkolwiek pracę bez specjalnego zezwolenia związków, a jego zdobycie jest czymś niezmiernie trudnym. Na koniec Brett poradził mu, by spróbował zostać modelem, i wręczył adres zakładu na Great Portland Street.

Początkowo fotograf wykazywał wielki entuzjazm. Starannie usadowił swojego klienta na tle czarnej, aksamitnej kotary i krzątał się wokół z kilkoma lampami, wykrzykując: „Te kości jarzmowe to prawdziwa radość dla światła, mój drogi!”.

Jednak w miarę postępów sesji zaczął sprawiać wrażenie mniej zadowolonego. Usiłował wyperswadować Fennowi patrzenie prosto w obiektyw i obracał jego twarz na wszystkie strony, gadając przy tym nieustannie.

— Ależ jesteśmy dzisiaj poważni. W czym problem? Dziewczyna chce się zadawać tylko ze sławami? Nie mogę w to uwierzyć. Wyglądamy niemal jak Adonis. Może to warstwa ozonowa, wiem, że niektórzy z was, młodych, zawracają sobie tym głowę... Nie? A więc to musi być sprawa pogody. Czy też wstaliśmy ze swego łóżeczka lewą nogą? Musimy się trochę uśmiechnąć, przynajmniej do jednego zdjęcia. Agenci i ludzie ze świata teatru chcą zobaczyć wszystkie wyrazy twarzy, jakie potrafi wydobyć dany artysta, a im większy ich zakres, mój drogi, tym bardziej prawdopodobne, że jeden z nich przyciągnie ich wzrok. Do tej pory był pan nieco monotony, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi? Wszystkim swoim klientom powtarzam, aby pomyśleli o czymś bardzo przyjemnym. O wiele większe znaczenie niż wszystkie światła, których ja używam ma światło, które bije z oczu. Niech pan pomyśli o kimś, na kim panu bardzo zależy... och, niech pan nie udaje, musi pan być w stanie pomyśleć sobie o jakiejś osobie. Może o kimś z rodziny...? Och, cóż to za zmarszczenie brwi, przepraszam, że w ogóle o tym wspomniałem. A więc może któryś z przyjaciół: czyżby nie pojawiła się jeszcze ta wyjątkowa osoba?



Przykucnął za swoim pentaksem i westchnął. Tępy jak kołek w płocie, a elastyczny jak guma w starych kalesonach.

Chłopak odezwał się nagle:

— Ktoś mi pana gorąco polecił. Pewien znany aktor.

— Wierzę panu, mój drogi — skłamał fotograf, zamyślając się głęboko i pociągając swoje tyrolskie szelki. — Przez mój zakład przewinęło się wiele znanych twarzy. Wciąż nie udało nam się wydobyć tego uśmiechu. No proszę, niech pan się zmusi dla Lawrence'a. Hmm... ten wyraz twarzy przypomina nieco wilka. Nie stara się pan o rolę w horrorze, a jednak to panu wyszło. — O Boże, kolejne zmarszczenie brwi i nadęta mina. No cóż, zrobił, co mógł. Nie da się wydobyć tego, czego nie ma. P stanowił powiedzieć coś, co zawsze mówił pod koniec sesji. Przyszło mu to do głowy przed wielu laty i chociaż od dawna miał wrażenie, że uwaga ta nie ma absolutnie żadnego znaczenia, to jednak za każdym razem ją powtarzał: — Oczywiście, na dobrym, profesjonalnie zrobionym zdjęciu portretowana osoba wygląda tak, jakby już osiągnęła sukces. — Spojrzał w górę i zamarł. Chłopak uległ transformacji. Tak mógł wyglądać uchodźca, któremu wręczono wizę obiecane go kraju. Do zrobienia pozostały tylko dwa ujęcia. Wykonał je szybko, bez trudu. Tak jak przedtem wydawało się, że nie ma sposobu, by do twarzy chłopaka wnieść nieco światła i życia, tak teraz miał wrażenie, że promieniują z niego niepowstrzymanie. Jego oczy błyszczały tak olśniewająco, że wydawały się wypełnione łzami, krew krążyła pod skórą, zabarwiając ją ciepłym, różowym kolorem, a nawet jego zdumiewające brązowe włosy miały w sobie więcej życia. Błyszczały, unosząc się wokół jego głowy w migoczącej aureoli światła. Jego uśmiech był pewny siebie, bez najmniejszego śladu bezbronności. Lawrence fotografował uśmiechy setek pełnych nadziei młodych osób i obserwował, jak potem z przejęciem przyglądają się dwunastu odbitkom, zdając sobie sprawę, że jedna z nich, znalazłszy się w magazynie „Spotlight”, może zapewnić im sukces lub odebrać wszelkie złudzenia. I zawsze, niezależnie od tego, jak pewna siebie lub przystojna była twarz danej osoby, w jej uśmiechu kryła się pewna doza bezbronności. Ale nie tym razem. Lawrence spojrzął do góry i powtórnie ujrzał szeroki uśmiech. Doszedł do wniosku, że wołał jednak zmarszczenie brwi. — Jesteśmy gotowi — oznajmił.

Teraz Fenn klęczał w swoim pokoju, mając przed sobą stos fotografii. Ten alfonsowaty fotograf próbował wyperswadować mu jego ostateczny wybór — zdjęcie, na którym patrzył prosto w obiektyw. Lawrence stwier-

dził, że ogranicza to nieco jego wizerunek. Na szczęście Fenn domyślił się, o co mu chodzi. Intuicyjnie rozpoznawał tych, którzy są nikim. Zazdrosne gnojki, które za wszelką cenę powstrzymują człowieka przed robieniem kariery. Tak jak ten facet w Salisbury. Musiał sobie zdawać sprawę, że Lawrence jakiś tam jest kiepskim artystą. Prawdopodobnie współpracowali ze sobą i aktor dostawał swoją dolę. No cóż, za rok o tej porze sprawy będą wyglądały inaczej. Za rok o tej porze w grę będzie wchodził David Bailey albo lord Patrick Lichfield, fotografujący dwór królewski.

Fenn rozłożył przed sobą zdjęcia. Wprawdzie nie mógł się pożyć lekkiego uczucia rozczarowania, lecz różnorodność wizerunków dodała mu śmiałości, nadając wiarygodności jego marzeniom. Podniósł po kolei fotografie i zrobił z nich wachlarz, następnie znowu je złożył, wygiął nieznacznie i nacisnął brzeg kciukiem, jakby miał w ręku talię kart. Tak było o wiele lepiej. Jego twarz tańczyła przed nim, biała, srebrna i czarna, żywa jak w kinie. Pomysł zrobienia kolorowych fotografii odrzucił, czując, że niezależnie od tego, jak profesjonalnie zostałyby wykonane, wydawałyby się banalne, jakby poszukiwał taniego efektu. I miał rację.

Usłyszał, że pan Christoforou — jego gospodarz i właściciel baru z frytkami i rybami o nazwie Oasis — woła: „Poczta!”. Odczekał chwilę, następnie otworzył drzwi i zszedł po schodach. Doleciał go zapach zjełczalego tłuszczu do smażenia frytek, więc ściągnął nozdrza. Na czwartym stopniu leżał list — w lewym górnym rogu koperty rzucało się w oczy szkarłatne logo BBC. Z pewnością chodziło o rozmowę w sprawie pracy w telewizji.

Nabył wcześniej egzemplarz magazynu „Contacts” i natychmiast przejrzał oferty pracy w mediach. Nie miał zamiaru opuszczać Londynu ani pozwolić się wykorzystywać w reklamach, wkładając na przykład jakiś strój kowbojski tylko po to, by jego twarz stała się znana. Postanowił zrobić herbatę i nie otwierać listu do czasu, gdy się zaparzy. Zlew, Kuchenka i czajnik elektryczny były schowane za parawanem w rogu pokoju. Stała tam również szafa zawierająca skromną ilość wyposażenia gospodarstwa domowego. Jedna filiżanka ze spodkiem, dwie szklanki, talerz, garnek, patelnia. Szklanki były dwie, ponieważ uznał, że zawsze najpierw trzeba zaoferować dziewczynie szklaneczkę wina lub jakiegoś drinka. Był to element gry wstępnej, jak głosiły jego książki. Jednakże w rzeczywistości odbywało się to inaczej. Dziewczyny albo nie były w stanie czekać, albo też, niezależnie od tego, ile im serwował, potrafiły jedynie lamentować i

znajdować powody, dla których nie mogą tego zrobić. „W takim razie — jak powiedział jednej z nich — po co w ogóle tu przyszłaś?”

Oprócz parawanu znajdowało się tam wąskie łóżko ze staromodnym dębowym wezglowiem, stół, krzesło z twardym oparciem, komoda o dwóch brakujących uchwytych oraz czarno-biały telewizor. W szufladach spoczywało obecnie kilka zegarków i skórzanych portfeli oraz trochę biżuterii — gwizdnął to ostatnio na Bond Street i nie zdążył jeszcze upłynnić. Zaczynało brakować mu gotówki, więc wkrótce powinien coś z tym zrobić. Oświetlenie zapewniała goła żarówka. Próbował osłonić ją papierowym abażurem, ale ten zbierał tylko kurz. Pokój całkiem go zadowalał. Było to rozwiązanie tymczasowe. Poczekalnia. Miejsce znajdujące się o krok od początku dramatu, który miał nadać jego życiu znaczenie. Lokum to przypominało garderobę, w której aktor powtarza swoją rolę, nakłada makijaż i wkłada kostium, przez cały czas słuchając przez głośnik, jak rozwija się sztuka.

Tak więc Fenn czekał, przygotowując się do okresu, gdy stanie się sławny. Wiedział, jakie to ważne. Prasa pełna była historii młodych ludzi — czasem nawet młodszych od niego — którzy zostali rzućni w światła reflektorów i nie potrafili poradzić sobie z bogactwem oraz pochlebstwami. Sławni ludzie oddychali rzadszym powietrzem, którego czystość mogła przyprawić człowieka o chorobę, jeśli nie był zaaklimatyzowany. Było to podobne do osiągnięcia szczytu bez konieczności wspinania się. Wskutek tego krew leciała z nosa, a czasem nawet z żył. Jemu to nie groziło. Nie ulegał łatwo wpływom. Nie obchodziło go, czy ludzie go lubią, czy nie. Strach to co innego. W szkole niektórzy z jego rówieśników bali się go, co mu się podobało. Kto się ciebie boi, zrobi dla ciebie wszystko.

Wlał wrzątek do małego, brązowego czajniczka, przykrył go pokrywką, po czym usiadł, przyglądając się leżącemu na stole listowi i zastanawiając się, jak wiele osób potrafiłoby zachować tak zimną krew jak on. Większość ruszyłaby biegiem po schodach, chwyciła kopertę i natychmiast ją rozdarła. Postanowił nie starać się o jakieś konkretne stanowisko, bowiem był przekonany, że jeśli już zacznie pracować w telewizji, to będzie tylko kwestią czasu, zanim ktoś zwróci na niego uwagę. Z pewnością istnieje jakieś podstawowe szkolenie; bez wątplenia trzeba się nauczyć trików technicznych, lecz koniec końców wszystko sprowadzało się do osobowości. Do wyglądu i osobowości. Wybrał w myśli ubranie, które nadawało się na rozmowę w sprawie pracy. Torlenowe, jasnobrązowe spodnie, ładne i obci-

słe. Beżowa wełniana marynarka z najmodniejszymi klapami, urocza i delikatna. Kremowy jedwabny krawat, w którego deseni powtarzał się kolor marynarki, oraz koszu-la cielistej barwy w prążki o innej fakturze (nieprzezroczysty nylon). (Jeden ze starszych ekspedientów w Cecil Gee's powiedział mu, że nie ma nic bardziej eleganckiego niż różne odcienie tego samego koloru.)

Wlał herbatę, dodał skondensowanego mleka i pół łyżeczki cukru, po czym usiadł przy stole. Otworzył kopertę, rozcinając ją ostrożnie nożem. Najpierw wyjął z niej swoją fotografię, a następnie list, który okazał się niezbyt długi. Była w nim mowa o doświadczeniu i wykształceniu, o środowisku, z którego człowiek pochodzi, oraz o skończeniu studiów. Odma- wiano mu rozmowy w sprawie pracy. Zmarszczył brwi i przeczytał list powtórnie, bardzo powoli i starannie, jakby przy pierwszym, pobież- nym czytaniu umknęła mu jakaś istotna wskazówka. Sprawdził nazwisko i adres, myśląc, że wysłano doń przez pomyłkę list przeznaczony dla kogoś innego. Jednak wszystko się zgadzało. I była to niewątpliwie jego fotogra- fia. Wziął ją do ręki, czując się tak, jakby ktoś zadał mu cios w żołądek. Na twarz wystąpił mu zimny pot. Wypuścił z płuc powietrze, co przypominało długie, rozdygotane westchnienie. Powinien wiedzieć, że mu się to nie uda. Trzeba obracać się wśród właściwych osób, wówczas wszystko otrzymuje się na tacy. Prze- czytał list od nowa. Ukończenie studiów? Rany Boskie! Studia, aby siedzieć przed kamerą i recytować niezliczone brednie lub za- powiadać listę przebojów. Ukończenie czego? Geografii? Filologii angiel- skiej? Matematyki? Historii? Przerzucił w myślach wszystkie dziedziny, które przyszły mu do głowy, i kiedy się z tym uporał, zauważył ze zdziwie- niem, że list został zredukowany do stosiku papierowych strzępów, a w je- go rękę drży nóż. Zgarnął porządnie kawałki papieru i wrzucił je jak trze- począce płatki śniegu do znajdującego się pod zlewem plastikowego po- jemnika na śmieci.

Uczyniwszy to, poczuł się lepiej. Był już w stanie spojrzeć na sprawę nieco rozsądniej. Przypomniwał sobie, że czytał gdzieś, iż telewizja to religia dla mas, muszą więc otrzymywać tysiące listów. Ten od niego po prostu zawieruszył się w tym ogromie. Prawdopodobnie nie widział go nikt mają- cy cokolwiek do powiedzenia. Odpowiedział nań ktoś z samego dołu drabiny, jakiś asystent asystenta. Zaraz po szkole z trudem dostał się do te- lewizji i teraz robi wszystko, by przeszkodzić w tym innym zainteresowa- nym. Prawdopodobnie osoba z nadwagą i o kiepskiej aparycji. Fenn pomy-



ślał, że popełnił błąd, załączając fotografię. Uświadomił sobie, że wciąż jeszcze trzyma nóż — nacisnął zapadkę. Gdy ostrze się schowało, wsadził nóż z powrotem do kieszeni. Herbata zrobiła się zupełnie zimna. Wylał ją do zlewu, umył filiżankę i powrócił na krzesło przy stole, zastanawiając się nad następnym posunięciem.

Nie miało sensu pisać do wszystkich pozostałych firm. Szefowie działów, ludzie wpływowi, nigdy nie będą mieli szansy zobaczenia jego listu. Widział to teraz wyraźnie. Zawsze pojawi się ktoś niższej rangi, kto zablokuje drogę. Będzie musiał zastosować inne metody. Powinien zachować ostrożność. Ważne, aby nie zrażać ludzi (to znaczy tych, którzy się liczą). Jednak skoro nie można sprawić, by usłyszeli o nim poprzez normalne kanały, musi znaleźć inny sposób przyciągnięcia ich uwagi. Nie po raz pierwszy przeklął swoich rodziców. Inni ludzie, nieposiadający nawet ułamka jego urody i stylu, znajdowali się na samym szczycie po prostu dlatego, że urodzili siwe właściwej rodzinie. Gdy byli dziećmi, pojawiali się w ich otoczeniu ludzie o znanych nazwiskach, którzy zostawali rodzicami chrzestnymi, czytali bajki na dobranoc i byli gotowi wprowadzić je w świat w odpowiedni sposób, w odpowiednim czasie. A on nie znał nikogo. Powoli jednak zaczęło formować się w jego umyśle pytanie, czy kiedykolwiek próbował. To, że człowiek nie urodził się we właściwych kręgach, nie oznaczało, że nie może się przebić w inny sposób. Trzeba mądrze boksować. Podchodzić do sprawy ze znajomością psychologii. Sławni ludzie mają potrzeby, czyż nie? Pragną być podziwiani, chcą słyszeć, że są nadzwyczajni, że wyglądają młodo, że są kochani przez tysiące wielbicieli. W przeciwnym razie po co w ogóle usiłowałiby stać się sławni?

A on był w stanie zająć się tym wszystkim. Tak długo, jak to okaże się potrzebne, aby utorować sobie drogę. Kiedy tylko postawi nogę w studiu, wszelkie problemy znikną.

Wstał z krzesła i podszedł do ściany osobistości. Mężczyzna czy kobieta? Pociągał przedstawicieli obu płci. Mężczyźni próbowali go podrywać równie często jak dziewczyny. Warto by było postawić na starszego gościa, który jednak nie mógłby mieć własnego syna — ale jak, do diabła, Fenn miał się o tym przekonać? W dodatku nigdy nie wiadomo, które osoby z telewizji są gejami. Nie zwierzały się z tego, jak artyści czy pisarze. Prawdziwe szczyty mogły okazać się zbyt nieosiągalne, a mniejsze płotki nie tylko miały mniejsze wpływy, ale same wciąż wspinały się po drabinie. Było istotne, niezmiernie istotne, by uczynić to we właściwy sposób.

Przeszedł na drugą stronę pokoju. Z tego miejsca problem selekcji nie był już tak trudny. Każdy prostokąt z osobna oglądany w zbliżeniu przypominał mu o braku szczęścia, stanowiąc niemal upomnienie. Teraz jednak miał wrażenie, że zdjęcia zlewają się ze sobą, co sprawiało, iż każda twarz stawała się równie nieistotna jak sąsiednie. Uświadomił sobie, że nie ma właściwej metody wyboru. Nie znał żadnej z tych osób. W jaki sposób mógł je ze sobą porównać? Równie dobrze mógł zamknąć oczy i wbić gdzieś pinezkę. Pamiętał, że jego matka co tydzień wypełniała jeden kupon na loterię i że zawsze zaciskała oczy, po czym wskazywała wybrane miejsce drutem do robótek ręcznych. Myślał wówczas, że jest głupia, teraz jednak dostrzegł urok kryjący się w takim działaniu: oddanie się w ręce Losu. Dlaczego nie miałby mu sprzyjać? Czyż nie nadeszła jego kolej? Czyż nie czekał wystarczająco długo? A piękno takiego postępu polegało na tym, że to nie on byłby zań odpowiedzialny. Niezależnie od tego, co się stanie, nikt nie będzie mógł wskazać go palcem, pytając: „Dlaczego wybrałaś właśnie mnie?”.

Wyciągnął nóż z kieszeni i nacisnął zapadkę. Nagle jego ręka wydała mu się dużo dłuższa. Dodatkowy pazur, pobłyskując srebrnie, wyskoczył, chwytając światło. Uwielbiał dotyk uchwyty noża. Był taki przyjazny, zawsze ciepły i gładki. Dokładnie znał wagę noża — potrafiłby utrzymać go w równowadze na jednym włosie ze swojej głowy. Cofnął rękę, przeniósł ciężar ciała na stopę z tyłu i zatrzymał się przez sekundę w tej pozie. Następnie zamknął oczy. I rzucił.

— Czy możemy dzisiaj pooglądać mrożone misie? U Marksa i Spencera?

—Nie. Dziś musisz pójść do dentysty.

—A jutro?

—W sobotę. Wybierzemy się tam w sobotę.

Kathy zaczęła gryźć zapamiętałe dolną wargę. Roz sięgnęła przez śniadaniowy bałagan na stole i dotknęła jej dłoni.

— To tylko trzy dni, kochanie.

Próbowała sobie przypomnieć, jak długie wydają się trzy dni, gdy ma się siedem lat.

Brat Kathy, Guy, przestał na chwilę jeść. Pochłonął do tej pory kielbaski, pomidory, jajko, mnóstwo grzanek, marmoladę, dwie mandarynki, musli oraz niemal pół litra soku owocowego.

— Mogę wziąć trochę kawy, mamó?



—Czemu nie. Spalaszowałeś wszystko.

Guy podszedł do ekspresu z kawą.

—Czy ty też jeszcze się napijesz?

—Chętnie.

Chłopiec rozlał bardzo starannie kawę do dużych, włoskich fajansowych kubków. Zimne światło słoneczne sączyło się przez okno w suterenie, padając na jego gęste, proste, jasne włosy. Jak na niemal trzynaście lat był wysoki i chudy, najwidoczniej kolosalne ilości jedzenia, które konsumował, poświęcał jakiemuś niezaspokojonemu bogowi wnętrzości. Roz zauważyła delikatne wgłębienie u podstawy szyi chłopca, równie urocze i delikatne, jak wtedy, gdy był malutki, i zaczęła się zastanawiać, kiedy to uległo zmianie. I czy była to oznaka wyjścia z wieku dzieciństwa i wkroczenia w dorosłość.

— Chcesz trochę kawy, tato?

„The Times”, śniadaniowy parawan ochronny Leo, nieco zaszeleścił. Dobiegł zza niego jakiś niezidentyfikowany odgłos, na wpół chrząknięcie, na wpół mruknięcie.

— Co tata powiedział?

— Myślę, że powiedział... — Roz z absolutną perfekcją powtórzyła ten sam dźwięk. Razem z Guyem wybuchli śmiechem. Na twarzy Kathy zarysował się dość niepewny uśmiech. Obserwując innych, nauczyła się, że wolno śmiać się z taty, lecz brakowało jej jeszcze pewności siebie, aby samej tak się zachowywać. „Times” zawibrował, gotowy do zabrania głosu. Guy wyszeptał:

— Posłuchajmy wyroczni.

Roz potrząsnęła głową w jego stronę. Obydwoje zajęli się pić kawę.

—Chciałbym, żeby wynaleźli muesli, które nie pryska na boki za każdym razem, gdy zalewa się je mlekiem — odezwał się Leo.

—Szukaliśmy go wszędzie, o wszechmocny! — Pauza, żadnej odpowiedzi. — U Bootsa i Sainsbury'ego. W Safeway i Tesco. Nawet w sklepi-ku greckim przy...

—W porządku, Guy, w porządku. Jedz swoje śniadanie.

—Już zjadłem.

—Doprawdy? Zazwyczaj nie poddajesz się tak łatwo. Siedzisz tu dopiero pół godziny. Mam nadzieję, że nie zaczniesz chorować. — Leo opuścił gazetę i Roz po raz setny zaczęła się zastanawiać, dlaczego ktoś tak ła-

godny został obdarzony tak groźnymi rysami. Kiedy spotkała go po raz pierwszy, przyszedł jej na myśl król demonów z teatrzyku dla dzieci. Czarne brwi, niemal zrosnięte nad nosem, bardzo ciemne oczy. Pięknie wykrojone usta o lekko opuszczonych kącikach, co w chwilach odpoczynku nadawało jego twarzy smutny, niemal zgorzkniały wyraz. Teraz jednak uśmiechnął się, sprawiając wrażenie, że ma o parę lat mniej niż swoich trzydzieści osiem.

— Mamusiu, czy muszę iść do dentysty?

Głos zabrał Guy:

—Matka Mervyna obiecała mu, że na piętnaste urodziny dostanie pełen komplet sztucznych zębów.

—Nonsens. — Leo złożył gazetę. — Idź już się ubierać. A ty skończ jeść to jajko, Kathy.

— Czy mogę je dać Madgewickowi?

— On go nie zje, kochanie. Wiesz, jaki jest. Dostał jajko wczoraj. — Roz wmawiała sobie, że brak apetytu jej młodszego dziecka jest fazą przejściową i że nie warto martwić się faktem, iż faza ta trwa już niemal dwa lata.

—Prawdę mówiąc, Madgewick powiedział, że dzisiaj chciałby dostać kurczaka.

—Nieprawda, wcale tak nie powiedział — rzucił zjadliwym głosem Guy. — Koty nie mają tak bogatego słownictwa. Przestań fantazjować.

—Dlaczego koty nie mają sztucznej szczęki? Przecież nigdy nie myją zębów. Czemu nie muszą chodzić do dentysty? — Kathy wpatrywała się oskarżycielskim wzrokiem w kosz Madgewicka stojący koło pieca. Kot otworzył jedno oko i obdarzył ją zaspąnym, obojętnym spojrzeniem.

Guy znalazł go w kontenerze na śmieci na zewnątrz sklepu z odzieżą (Madgewick Modes). Kot był bliższy śmierci niż życia, brudny, miał złamaną nogę i ogon. Został ocalony, wyczyszczony, a za otrzymywaną troskę i opiekę odpłacał im nie wdzięcznością, lecz okazywaniem zadziwiającej łaskawości i poczucia wielkości. Nad jednym okiem miał łatę przypominającą szylkret, jedno jego ucho było białe, tors czarno-biały, kończyny rude, a ogon prążkowany. Chociaż Natura stworzyła go niezwykle odpowiednio do grania roli Głupca, on z absolutnym przekonaniem odgrywał Króla, i nie przeszkadzało mu, że wzbudza raczej szacunek i podziw niż miłość.

Leo się podniósł.

— Zabiorę ze sobą Guya, skoro ty wybierasz się do dentysty.

— Och, kochanie, naprawdę? — Roz i Leo cmoknęli się przelotnie w policzek. Pocałunki dla publiczności, pomyślała, przypominając sobie jego intymne, nocne pocałunki. Chociaż minęło już piętnaście lat takich nocnych pieszczot, wciąż jeszcze odczuwała ślady płomiennego podniecenia, które ogarniało ją w czasach, gdy czekała na niego pod bramą Middlesex Hospital.

Podczas stażu w szpitalu zawsze sprawiał wrażenie zmęczonego. Chodzili wówczas do pobliskiego Spaghetti House i wybierali z karty najtańsze danie, delektując się nim jak najdłużej, póki nie wystygło. Leo często był przygnębiony i podczas posiłku opowiadał o tym, co go zaprzętało. Czasem była to postawa jakiegoś kolegi-stażysty, równie młodego jak on, który wydawał się nieczuły i już zobojętniały. Częściej dotyczyło to umierającego pacjenta: „Patrz na mnie, Roz, w taki sposób, jakbym był w stanie coś zrobić. Jakbym mógł położyć temu kres. Odwrócić bieg spraw. Jakbym był Bogiem. W takiej sytuacji nie wiem, co mam powiedzieć”. Kochała go i intensywnie mu współczuła, lecz zawsze sprawiało jej trudność słuchanie z uwagą jego opowieści. Gdy spoglądała na beznadziejny przedziałek w jego ciemnych włosach lub obserwowała, jak gestykułuje wąskimi, silnymi palcami, chwytając widelec lub szukając jej dłoni, słabła z pożądania i miała wrażenie, że nie wystarczy jej energii na nic innego. Kiedy Leo przez sześć tygodni pracował na oddziale dziecięcym, gdzie niektóre dzieci były śmiertelnie chore, myślała, że będzie musiał zrezygnować z pracy. Za każdym razem, gdy się spotykali, wydawał jej się bladejszy, starszy i bardziej wyczerpany. Wiedziała jednak już wtedy, że się pobiorą i że będą mieli własne dzieci, dlatego trudno jej było zrozumieć, czemu i dla niego nie jest to pewnym pocieszeniem.

Spojrzała teraz na niego i ujrzała wysokiego mężczyznę w eleganckim garniturze w paski, pachnącego dyskretnie jakąś kosztowną wodą toaletową. Nosił na sobie z dziesięć dodatkowych kilogramów, lecz robił to z wdziękiem. Jedyne jego ramiona wydawały się nieco potężniejsze, a talia trochę grubsza.

Guy zszedł z holu do sutereny, w skafandrze i z torbą sportową w ręku. Gdy Leo chwycił swoją teczkę, Roz zwróciła się do niego impulsywnie:

—Leo...

—Hm? — Myślami był już gdzie indziej, w szpitalu, zatrzymał się jednak i spojrzał na nią wyczekująco. Roz poczuła się niezręcznie. Żadne z nich nie zagłębiało się w rozmowy typu: „czy pamiętasz”, prawdopodobnie dlatego, że byli obecnie tak szczęśliwi. Dzieci czekały.

—Wrócisz późno?

—Raczej nie. Zadzwonię do ciebie. Chodź, Gargantuo. — Ruszył z Guyem po schodach do góry. Zazwyczaj o wpół do czwartej Guy udawał się do szkoły Kathy, po czym Roz odbierała stamtąd ich obydwójce. Teraz usłyszała jeszcze, jak chłopiec rozmawia z ojcem.

—Tato, dlaczego nie możemy mieć porsche?

—Biorąc pod uwagę, ile jesz, ciesz się, że nie jesteśmy skazani na rowery.

—Tata Mervyna ma porsche.

—Tata Mervyna to oszust.

— To nieprawda, to nieprawda! Jest przedsiębiorcą. Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły, po czym na dywanie w holu znów pojawiły się romby kolorowego światła.

— Skończ swoją grzanekę, kochanie. Wrócę za chwilę.

Roz wbiegła po schodach i weszła do podłużnego salonu na parterze. Ujrzała citroena zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy w miejscu przeznaczonym dla stałych mieszkańców. Przyglądała się, jak Leo rozgląda się wokół i przechodzi przez jezdnię, obejmując ramieniem szczupłe ramiona syna. Widziała, jak otwiera drzwi po stronie chodnika, a Guy, wrzuciwszy do środka torbę, wskakuje do samochodu. Leo zajął miejsce przy kierownicy. Żaden z nich się nie obejrzał. Dlaczego mieliby to zrobić? Zazwyczaj nie machała im na pożegnanie i nie potrafiła powiedzieć, dlaczego uczyniła to tego ranka. Przez pewien czas usiłowała odkryć przyczynę swojego zachowania. Dlaczego właśnie teraz, po wielu latach cichego zadowolenia, odczuwa nagle tak dojmująco swoje szczęście? Nie była introwertyczką z natury, a zresztą jej życie codzienne, wypełnione pracą i obowiązkami domowymi, pozostawiało niewiele czasu na snucie refleksji. Tyle spraw uważała za coś oczywistego. Wierność męża, zdrowie i dobre samopoczucie dzieci, własne zdrowie i wytrzymałość, poczucie zabezpieczenia finansowego. Co by się stało, gdyby któryś z tych elementów przestał istnieć? Przecież codziennie ulegała rozdarciom tkanka życia innych ludzi, więc dlaczego ona sama miałaby być na to odporna? Uprzednie ukontentowanie wydało jej się teraz niczym więcej niż głupim samozadowoleniem.

Wyciągnęła rękę i dotknęła błyszczącej, pomalowanej na biało ramy okiennej.

— Mamusiu! — Spojrzała na stojący zegar. Miała piętnaście minut, by dotrzeć do dentysty. Dzień zaczął się toczyć swoim trybem, pochłaniając na szczęście całą jej uwagę. — *Mamusiuuuu...*

— Już idę, kochanie. — Szybko wyszła z pokoju.

Fenn podszedł do czwartej ściany. Najpierw poczuł dotkliwe rozczarowanie. Nóż wciąż wibrował, a jego czubek wbił się między dwie błyszczące wargi. Nie było wątpliwości co do celu, w jaki trafił — udawanie, że jest inaczej, byłoby oszustwem. Uchwycił rękojeść noża i wyciągnął go, a następnie przykucnął, aż jego twarz znalazła się na tym samym poziomie co fotografia.

Miała bardzo ładne oczy o długich rzęsach, niewątpliwie sztucznych. A jej usta, nawet z nieznacznym rozdarciem przecinającym teraz przednie zęby, wydawały się gotowe do uśmiechu. Oczywiście, ze swoim szczęściem i pieniędzmi miała wiele powodów, by się uśmiechać. Zabawne, że nie pomyślał wcześniej o radiu, lecz teraz, gdy wybór został dokonany za niego, im dłużej o tym myślał, tym bardziej wydawało się to rozsądnym wyjściem. Kiedy zaczął zastanawiać się nad kolejnymi pozytywnymi aspektami tej wymuszonej zmiany planów, poczucie rozczarowania znikło. O pracę w radiu starało się mniej osób, to było oczywiste, a jeśli uda mu się już ją zdobyć, to przeniesienie się na mały ekran będzie całkiem łatwe. Wystarczy wspomnieć Terry'ego Wogana lub Jimmy'ego Savile'a. Mógłby zacząć jako DJ — każdy głupiec jest w stanie zmieniać płyty i gadać jak najęty — albo przeprowadzać wywiady z ludźmi, co pewnie wymagało pewnego szkolenia, lecz prawdopodobnie organizowano kursy, na które mogłaby go wysłać rozgłośnia radiowa.

Przybliżył twarz do uroczej kobiety na zdjęciu i uśmiechnął się na myśl o kontraście między jej nieświadomością a posiadaną przez niego wiedzą. Delektował się tym, że on doskonale wie o zmianie, jaka nastąpi w jej życiu, a ona nie zdaje sobie z tego sprawy — świadomość tego faktu odczuwał jak nowy, oryginalny smak na języku. Pragnął wybiec z domu, wsiąść do metra i pojechać do City Radio. Wejść do jej gabinetu, usiąść i opowiedzieć jej o sobie oraz o tym, w jaki sposób została wybrana, aby mu pomóc. Oczywiście, nie mógł tego uczynić. Ludzie tego typu lubili, aby wszystko załatwiać przez odpowiednie kanały, nawet jeśli sami często wślizgiwali się tylnym wejściem. W końcu, jakie znaczenie miało parę dni zwłoki?



Zdjął zdjęcie ze ściany (nie wydawało się teraz właściwe, aby nadal pozostawała wśród innych) i położył je na stole. Następnie wyszedł z domu i kupił nowy długopis dobrej marki, elegancki niebieski papier oraz pasujące do niego koperty.

Dysponował wprawdzie notesem i długopisami, lecz czuł, że były w jakiś sposób zbrukane, pechowe, jako że posługiwał się nimi, pisząc listy, które nie przyniosły pożądanej odpowiedzi.

Usiadł przy stole, położył przed sobą fotografię, po czym otworzył nowy blok papieru. Uznał, że najlepiej będzie zachować prostotę. O jego przyszłych planach będą mogli porozmawiać, gdy się spotkają. Niezwykle starannie zapisał swój adres, upewniając się, że kolejne linijki znajdują się pod sobą w idealnie równych odstępach, a następnie umieścił z boku aktualną datę. Nagle wydało mu się bardzo istotne, aby nie sfuszerować tej pierwszej próby. Dziewicza kartka była świeża i gładka. Uświadomił sobie, że trzyma długopis zbyt kurczowo i rozluźnił uchwyt. Drugą ręką uchwycił jej fotografię.

Naprawdę podobały mu się te usta. W linii rozchylonych warg było coś niemal bezbronnego. Tym lepiej. Twarda kobieta robiąca karierę po trupach mogłaby się okazać trudnym orzechem do zgryzienia. Przysunął jej wizerunek do oczu tak blisko, że kontury jej twarzy niemal się zatarły, i poczuł znajomy, podniecający niepokój. Wcale go nie zdziwi, jeśli ona również poczuje to samo, kiedy się spotkają. Tak. Skinął głową i roześmiał się, spoglądając z boku na półkę z książkami. Jeśli chemia między nimi jest odpowiednia, to będzie w stanie pokazać jej to czy owo. Naprawdę stworzy jej oczy. Marnował jednak niepotrzebnie czas. Zacisnął znów dłoń na długopisie i zaczął pisać.

„Droga Roz...”

Gdy Roz weszła do gabinetu, Sonia Marshall wyłączyła dyktafon, okręciła się na krześle i spokojnym ruchem złożyła ręce na kolanach. Zdawała sobie sprawę, że szefowa bardzo ceni atmosferę spokoju w miejscu pracy.

— Dzień dobry, pani Gilmour. Pięknie dziś, prawda? — Roz przestała już prosić Sonię, by zwracała się do niej po imieniu. — Cudowne dzinsy. Nowe?

Roz miała na sobie (poza dzinsami) kremową jedwabną bluzkę, jasnoszary kaszmirowy sweter wiązany wokół talii, czerwone koraliki oraz kasztanowobrazowe kozaczki. Jej długie, ciemne włosy, upięte w



pośpiechu na czubku głowy i umocowane grzebieniem z kości słoniowej, zaczęły już się rozsypywać.

—Nie. Kupiłam je na wyprzedazy u Armaniego w zeszłym roku. — Chwyciła gilotynę do papieru i z impetem zabrała się do stosu poczty na biurku. Próbowiła zachęcić Sonię do pracy w pokoju reporterów, zdając sobie sprawę, że z kolei reporterzy zachęcali Sonię do tego, by pracowała w jej gabinecie. W tym momencie górą byli reporterzy.

—Uwielbiam tę porę roku, a pani? Późnojesienne dni są takie... apetyczne, prawda? Nie mogę się doczekać, aby w nie wbić zęby. Wskakuję rano z łóżka...

Już to widzę, pomyślała Roz, po czym upomniała się za swoją złośliwość. Jeśli się postara, może sprawić gilotyną sporo hałasu, zdecydowanie opuszczając jej ostrze. Po chwili zobaczyła, że Sonia wraca do maszyny do pisania, wyciąga kościste nadgarstki otoczone szpecącymi bransoletkami dokuczliwej egzemy i zaczyna stukać w klawiaturę. Wciąż jednak nie przedstawiała mówić. Pomieszczenie wypełniły zdania o niewysłowionej słodyczy, kontrapunktowane uderzeniami gilotyny. Nie byłoby to takie złe, pomyślała Roz, gdyby nie wiedziała doskonale, że jej sekretarka darzy ją niechęcią.

Sonia była ambitna, ale nie afiszowała się ze swoimi planami. Obecną pozycję uważała za odskocznię do dalszej kariery, lecz póki ją zajmowała, była zdecydowana wykonywać swoje obowiązki bardzo solidnie. Brakowało jej spostrzegawczości i poczucia humoru, nie była zbyt inteligentna, a gdyby zdawała sobie sprawę, jak wyraźnie widać po niej nadzieje związane z przyszłością, zdziwiłaby się bardzo i popadła w przygnębienie. Mając na celu osiągnięcie przyprawiających o zawrót głowy wyżyn administracyjnych, Sonia przybrała żalostną zbroję. Widząc to, Roz spoglądała na nią z mieszaniną litości i irytacji. Tego ranka górę wzięła irytacja. Przerwała Soni malowniczy opis zachodu słońca poprzedniego wieczoru.

— Większość tych listów może mieć standardową odpowiedź, Soniu. Odpowiedni numer przypięłam spinaczem do każdego z nich. Resztę przejrzę w domu i w piątek przyniosę taśmę.

—Czy mam je podpisać jak zwykle, pani Gilmour?

—Tak. Podpisz.

Zapadła niezręczna cisza. Sprawa listów była delikatnym zagadnieniem. Parę tygodni temu Roz, przyzwyczajona do podpisywania jednocześnie całego stosu odpowiedzi bez czytania ich, zauważyła fragment, którego nie rozpoznała. Sprawdziła ten list, po czym przejrzała resztę. Niemal wszystkie odpowiedzi były zmodyfikowane i zawierały krótkie kazania skierowane do autorów z sugestiami, że prawdopodobnie to oni sami w wielkim stopniu stwarzają swoje problemy, oraz radami, aby wzięli się w garść i w większym stopniu radzili sobie bez pomocy z zewnątrz. Podobnie jak w wypadku wielu sentymentalnych osób, Soni wyraźnie brakowało ludzkiej uprzejmości. Nastąpiła potem niezbyt miła konfrontacja: Sonia ze łzami w oczach upierała się, że podczas rozmowy w sprawie pracy powiedziano jej, iż sekretarki powinny wykazywać się własną inicjatywą, a Roz twierdziła, że chociaż zawsze chętnie słucha pomysłów Soni (nieprawda), to spodziewa się, iż podyktowany list zostanie przez nią zapisany w miarę dokładnie.

Wsunęła teraz do torby około dziesięciu listów, zostawiając na biurku trzy stosy spięte dużymi spinaczami. W pierwszym stosie znajdowały się listy od osób, które uważały, że Roz jest Bramą prowadzącą do kariery w radiu; w drugim — od tych, którzy wierzyli, że kiedy wszelkie inne próby zawiodły, ona może zapewnić im jakakolwiek pracę w dowolnym miejscu; trzeci stos zawierał typowe problemy konsumenckie, wymagające interwencji którejś z organizacji strzegącej przestrzegania prawa.

—Tuż przed pani przyjściem dzwonił z biblioteki. Mają książkę, której pani szukała.

—Och, wspaniale! — Roz pracowała nad biografią tenora Michaela Kelly'ego i utknęła mniej więcej tydzień temu, czekając na książkę *Librecista Libertyn* autorstwa April Fitzlyon.

—Co słyhać u pana Kelly'ego? — zagruchała Sonia. Jej głos ociekał troską. Brzmiał tak, jakby pochylała się nad wózkiem z niemowlęciem. Roz z trudem powstrzymała pokusę, by odpowiedzieć: „Wyszedł mu kolejny ząbek i waży niemal kilo więcej”.

—W porządku. Hm... może popracujesz tutaj po moim wyjściu? Jest tu ciszej niż w pokoju reporterów. Będzie ci się

o wiele lepiej pracować. — Duffy i jego ferajna na pewno to docenią. Może odwdzięczą się tym samym, gdy ich pomieszczenie będzie wolne, co zdarzało się często.

—Och, nie. Dziękuję pani. Uwielbiam trochę towarzystwa. Nie mogę zrozumieć ludzi, którzy odcinają się od swoich bliźnich. No bo... po co tu jesteśmy, jeśli nie po to, by pomagać sobie wzajemnie?

—No cóż, zrobisz, jak będziesz uważała.

Gdy Roz wyszła, Sonia podeszła do okna i stanęła schowana za żaluzjami. Obserwowała, jak czarny golf wycofał się z linii parkujących samochodów, odsłaniając wyraźnie widoczne na asfalcie białe litery RG. Wciąż czekała. Roz znana była z tego, że dojeżdża do bramy, po czym skręca w bok, wciska hamulec i pędzi z powrotem do biura po coś, czego zapomniała. Naprawdę potrzebowała osobistej asystentki. Sonia usiłowała pełnić tę funkcję, lecz bez sukcesu. Robione przez nią notatki z przypomnieniami były odsuwane na bok. Bieganie za Roz z rzeczami, których zapomniała, jedynie prowokowało jej irytację. Znalazła nawet w „Evening Standard” ogłoszenie o sprzedaży zrobionego na zamówienie numeru tablicy rejestracyjnej RG 100, zadzwoniła do redakcji, uzyskała wszystkie szczegóły i umieściła odpowiednią notatkę na tacy z papierami na biurku Roz. Kiedy ta przeczytała tę informację, wybuchła śmiechem i stwierdziła, że sama wiedziałaby, dokąd się udać, gdyby wpadło jej kiedyś do głowy coś podobnego.

Golf zniknął. Sonia podeszła do biurka Roz i usiadła w jej obrotowym fotelu. Otworzyła kalendarz. W tym roku Roz zostawiła sobie kalendarz firmy EMI, pozbywając się pozostałych dwudziestu. Z okazji Bożego Narodzenia wszystkie firmy nagraniowe oraz niektórzy agenci przysyłali drobne upominki, co trudno było zrozumieć, jako że Roz nie była nawet DJką. I co typowe dla niej, cały obecny tydzień miała niezapisany. Roz miała w torebce niechlujny notatnik, w którym zapisywała terminy spotkań, a poza tym zawsze walały się wokół jakieś koperty, na których bazgrała, jeśli miała coś do zrobienia. Sonia zacisnęła wargi i westchnęła. Zrobiła, co mogła. Któż był w stanie uczynić więcej?

Wyprostowała 119 za baterią telefonów i wzięta do ręki solidno pióro wiecznie należące do Roz. Przysunęła do siebie stos listów od osób starających się o pracę oraz odpowiadający im stos standardowych odpowiedzi. Po słowach „Szanowna Pani/Szanowny Panie” widniało w nich wolne miejsce na wpisanie nazwiska petenta. Niektóre z podpisów były nie do rozszyfrowania, lecz autor pierwszego listu, który wzięła do ręki, wystukał swoje imię i nazwisko na maszynie, a następnie pod spodem podpisał się w bardzo wyszukany sposób. Sonia uśmiechnęła się z pewnym poczuciem wyższości i zaczęła wypełniać odpowiedź.

— Kretynka! — Policz do dziesięciu, pomyślała Roz, wciągając głęboko powietrze. Krępy mężczyzna wtargnął na ulicę tuż przed nią, zatrzymując taksówkę po jej prawej stronie. Roz zahamowała gwałtownie, a on obszedł samochód, waląc w maskę swoją teczką. — Nie jesteś sama na drodze!

Lepiej policzyć do stu. Mężczyzna zaczął gramolić się do taksówki. Nie odpowiadaj, powiedziała sobie Roz, podczas gdy na wargach drżały jej dziecinne powiedzonka w rodzaju: „Spływaj, grubasie”. Otworzyła okno i wychyliła głowę. Mogła dostrzec jedynie dwie olbrzymie, przypominające dynię formy opięte ciasno błyszczącą, niebieską serżą. Roz zaczęła chichotać. Dynie zniknęły i w oknie odjeżdżającej taksówki pojawiła się znowu gapiąca się na nią twarz. Roz wcisnęła sprzęgło i ruszyła za taksówką. Nienawidziła prowadzenia samochodu w mieście i robiła to dzisiaj tylko z powodu wizyty Kathy u dentysty. Odwiedzenie biblioteki skomplikowało jedynie dodatkowo drogę do domu. Ruszyła wzdłuż High Holborn, następnie w górę St Giles High Street i w końcu znalazła się na Tottenham Court Road.

Postanowiła pojechać do domu przez park. Na drzewach wciąż pozostało trochę liści, lecz wczesnolistopadowe niebo było szare i zimne. Minęła metalowy szkielet ptaszarni o gęstej, finezyjnej stalowej sieci, i rzuciła okiem na żyrafy. Poruszały się mozolnie wewnątrz swojego ogrodzenia, uśmiechając się szyderczo i głupawo do ludzi przyglądających się im przez bramę. Nadeszła pora, by wybrać się znów razem z Leo

i dziećmi do zoo, dopóki wciąż się tu znajdowało. Mogliby przyjść w niedzielę.

Roz przejechała wzdłuż Prince Albert Road i przez Primrose Hill. Gdy znalazła się w znanej okolicy, rozluźniła się. Zawsze mieszkali z Leo w północnej części Londynu. Zaczęli swoje życie małżeńskie w kilku pokojach na ostatnim piętrze szeregowego domu przy Mansfield Road. Miejsce to znajdowało się o dziesięć minut spacerem od szpitala Royal Free, gdzie Leo wówczas pracował. Czasami, kiedy miał dyżur telefoniczny, zamiast spać w szpitalu, przychodził do domu. Na korytarzu był automat telefoniczny, z którego korzystali również mieszkańcy z niższego piętra. Dostali kilka mebli od matki Roz, a resztę wybrali w sklepie ze starzyzną przy Gospel Oak. Rodzice Leo, którzy nie pochwalali ich małżeństwa z nigdy niewyjaśnionych powodów, podarowali im absurdalnie wystawny komplet sztućców od Harrodsa: zestaw na dwanaście osób z wymyślnym deseniem oplatającym uchwyty. Roz używała go codziennie, odczuwając pełną ironii radość, kiedy układała sztućce obok powyszczerbianych, niedopasowanych talerzy, a potem wrzucała je do starego, emaliowanego zlewu. Czyściła je zwykłym środkiem do czyszczenia i tanim drucikiem, one jednak pozostawały absolutnie gładkie i w pełni godne szacunku. W swoim gospodarstwie domowym mieli powyginany przyrząd do gotowania z rączką, przypominający patelnię do przyrządzania paelli, który Leo nazywał po prostu „naczyniem”. Robili w nim grzanki z serem i smażyli szprotki, piekli ciastka i podgrzewali kielbaski z fasolą. Używali go do tłuczenia ziemniaków i duszenia owoców, a w lecie przyrządzali w nim sałatę. Pewnego wieczoru, gdy Roz rzuciła w Leo czajniczką, zaparzyli w nim nawet herbatę. Roz zastanawiała się, gdzie ten garnek znajdował się obecnie; dumiała, czy znalazła go w second-handzie para zakochanych i zabrała go do odrapanego pokoju, w którym piecyk znajduje się tuż obok blatu kuchennego, a w komodzie zacina się szuflada. Boże, Roz, co się z tobą dzieje? — zamruczała. Na pewno rozleciał się na kawałki wiele lat temu. Przypomniała sobie, jak Leo powtarzał: „Postaw naczynie, bo głód mi minie”.



Jedli wtedy, kiedy to było możliwe. Między dyżurami w szpitalu, przed jego poranną zmianą. Roz pamiętała, jak raz obudziła się za piętnaście trzecia w nocy i zobaczyła, że Leo siedzi po swojej stronie łóżka z dwoma kubkami gęstej, pikantnej zupy i stosem sandwiczów z peklowaną wołowiną. Ich szczęście cechowała intensywność kojarzona zazwyczaj z nadciągającym nieszczęściem. Kłócili się rzadko i krótko, chociaż głośno. Potem, kiedy się kochali, powody kłótni wydawały im się niewiarygodnie głupie. Niekiedy Roz zupełnie nie potrafiła sobie przypomnieć, dlaczego się ze sobą starli. Teraz nie kłócili się nigdy. Czemu mieliby to robić? Obydwoje mieli to, czego chcieli. Wystarczająco wiele sukcesów, by wynagrodzić chude lata, lecz nie tyle, aby mogły zakłócić ich życie rodzinne. Wystarczająco dużo pieniędzy, by żyć wygodnie, lecz nie tyle, by mieć poczucie winy. I wystarczająco wiele snu. Nareszcie. Pamiętała, jak wybrali się do kina za rogiem przy South End Green. Było to rzadkie święto. Grano **Rydwany ognia**. Roz widziała, że wokół nich dziewczyny kładą głowy na ramionach ukochanych, jak wówczas nakazywały obyczaje. W ciągu kilku sekund głowa Leo znalazła się na jej ramieniu, a chwilę później zasnął głęboko. Poprawiła swój płaszcz, aby miał jak najwygodniej, wzięła go za rękę i obejrzała film sama.

Była wtedy na ostatnim roku studiów — zajmowała się historią Francji. Gdyby nie małżeństwo i dość chaotyczny tryb życia, mogłaby poświęcić się dalszej nauce, ale uznała, że byłby to zły wybór.

Camden High Street — niemal w domu. Prawie natychmiast po studiach zdobyła pracę polegającą na prowadzeniu badań dla pewnego historyka zajmującego się rezydencją The Albany. Idealne zajęcie dla osoby siedzącej w domu z małym dzieckiem. Historyk był pełen uznania dla jej pracy i polecił ją swojemu bratankowi, który pracował nad telewizyjnym filmem dokumentalnym dotyczącym wojny burskiej i potrzebował kogoś, kto przejrzałby ilustracje i zdjęcia z tego okresu, zgromadzone w wielu różnych miejscach. Roz była szybka, bystra i dokładna; bratanek polecił ją kolejnej osobie i następane dwa lata minęły jej w przyjemny, choć może niezbyt stymu-



lujący sposób. Potem Leo uzyskał specjalizację i niemal jednocześnie otrzymał spadek.

Jego ciotka, stara panna, której nie widział od dzieciństwa, zostawiła mu połowę swojego majątku. Drugą połowę podarowała schronisku dla osłów. Zabawność tego czynu nie umknęła uwadze Leo i Roz — zaczęli się zastanawiać, na co przeznaczyliby pieniądze, gdyby byli właścicielami wspomnianego schroniska, co zapewniło im świetną zabawę przez pół godziny. Ich lista była rozbudowana, choć nieortodoksyjna, i obejmowała między innymi buty dla osłów (a także kalosze na wypadek deszczu), nieprzemakalne kapelusze, owsiankę ze śmietaną, sztuczne zęby dla starszych osobników oraz kojącą muzykę dla osłów pochodzących z rozbitych domów. Takie słowa, jak „siennik”, „ośli żakiet” lub „Ośla serenada” doprowadziły ich niemal do hysterii, a Guy rechotał razem z nimi w swoim łóżeczku, nie rozumiejąc nawet, o co chodzi. Oczywiście, wciąż jeszcze zdarza im się śmiać, pomyślała Roz w obronnym odruchu, parkując parę metrów od domu, lecz nie tak często i z pewnością nie z powodu równie głupich spraw. Każdy musi kiedyś dorosnąć.

Zamknęła samochód i zatrzymała się na chwilę na chodniku, spoglądając wzdłuż ulicy. Nawet dwanaście lat temu ich dom wydawał się drogi. Wydali wszystkie pieniądze, które w spadku otrzymał Leo, lecz mimo to musieli zaciągnąć pokaźną pożyczkę na hipotekę. Obecnie, mimo że Leo był specjalistą-konsultantem, a ona pracowała w City Radio, kupienie domu przy Gloucester Crescent byłoby nie do pomyślenia. Kilka tygodni wcześniej sprzedano dom znajdujący się nieopodal za dwieście tysięcy funtów.

Roz skręciła za róg i w greckiej knajpce kupiła kebab na wynos. Kawałki pysznej marynowanej baraniny doprawionej oregano, w sakiewce z pittą, pokryte cebulą, sałatą i pomidorami, polane cudowną grecką oliwą z oliwek, zieloną i aromatyczną, przywodzącą na myśl rozpaloną ziemię i bezwstydną, nielitościwą słońce.

Gdy weszła do domu, natychmiast zorientowała się, że jest pusty, i poczuła ulgę. Czasem pani Jollit i jej codzienne opo-

wieści o mieszkańcach Finsbury nie denerwowały jej, lecz dzisiejszy dzień nie należał do tych wyjątków. Doczekała się wreszcie poszukiwanej książki, chciała więc zabrać się do pracy. Zeszła do kuchni. Wszelkie pozostałości wspólnego śniadania Gilmourów zniknęły w cudowny sposób. Podłoga lśniła, wszystko było nieskazitelne, porządne i posprzątane. Roz wyjęła z drewnianego kredensu obok okna dużą szklankę, a z lodówki butelkę perriera, ukroiła duży kawałek cytryny i po wyciśnięciu kilku kropli na swoją sałatkę, wrzuciła go do szklanki razem z paroma kawałkami lodu. Wlała wodę mineralną, urwała kawałek papierowego ręcznika i umieściła wszystko na tacy. Następnie napełniła wodą czajnik i włączyła go. Spojrzała na stary zegar szkolny. Piętnaście minut — i do pracy. Wystarczająco dużo czasu, by przejrzeć „Guardiana”. Wbiła zęby w soczyste mięso. Madgewick wskoczył ciężko na jej kolana, mrużąc i wężąc wokół jej lunchu.

— Świntuch z ciebie, Madgewick. Wcale by ci to nie smakowało, tu jest cebula. — Obdarzył ją wyniosłym spojrzeniem, przestał mrużyć i zeskoczył na podłogę.

Woda mineralna była czysta i orzeźwiająca. Roz jadła w ciągu dnia bardzo mało i nigdy nie ruszała alkoholu aż do wieczora. Częściowo dlatego, aby utrzymywać wagę poniżej poziomu 57 kilogramów, powyżej którego musiała dociskać suwak, a częściowo dlatego, że po prostu funkcjonowała lepiej, gdy była nieco głodna. Jej umysł był zaśmiecony w mniejszym stopniu, a ciało lekkie i puste. Skończyła jeść i wstała, aby zaparzyć kawę. Była sama, więc wzięła pojedynczy filtr, a następnie otworzyła swoją dużą, płócienną torbę.

Była to torba wędkarska, wodoszczelna i obszerna, posiadająca mnóstwo przegródek. Wyciągnęła z niej stos taśm. Podobnie jak każdy, kto prowadził audycje radiowe — chociaż jej nie zawierały niemal muzyki — Roz była bombardowana płytami demo pochodzącymi od różnych grup i solistów. Dziewięćdziesiąt dziewięć na sto nagrań było nie do słuchania: niemuzyczne imitacje tego, co znajdowało się aktualnie na pierwszych miejscach list przebojów. Wydawało się, że to set-

ne nagranie nigdy nie pojawia się na jej biurku. Płyty demo były odsyłane z powrotem, opatrzone krótką notatką oraz listą najlepszych sześciu firm nagraniowych. Guy wysłuchiwał wszystkich.

— Tak na wszelki wypadek, mamó. Nigdy nie wiadomo, może się trafić kolejna Nirvana.

Jeśli chodzi o Roz, już Nirvana była zespołem, béd którego można się było obejść. Dolała do kawy mleka, wcisnęła książkę pod ramię i opuściła kuchnię.

Wspinając się po schodach, zaczęła doświadczać początków metamorfozy, która nigdy nie przestała jej zachwycać. Zmiana ta osiągała apogeum, gdy zasiadała przy biurku w swoim gabinecie. Zaczynała się od niemal fizycznego uczucia zrzucania z siebie osobowości publicznej. Z każdym krokiem stawianym na grubym igłowym dywanie pozbywała się na podobieństwo bezużytecznej skóry węża kolejnej części Roz Gilmour jako gospodyni programu radiowego, żony, matki dwojga dzieci, niani, szefowej, kierowcy, osoby pocieszającej innych na antenie. W chwili gdy doszła do błyszczących białych drzwi, poczuła, że cała buzuje oczekiwaniem. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Ten pokój należał do niej. Leo przychodził tu rzadko, dzie- ci nigdy. Przy oknie stało duże, orzechowe biurko z ośmioma szufladami, pokryte zieloną skórą o złotych krawędziach z me- androwym wzorem. Stał na nim duży, opalizujący wazon w kształcie niemal doskonałej kuli, cechujący się orientálną prostotą. Wypełniony był suszonymi liśćmi miesięcznicy rocznej i buku oraz postrzępionymi jedwabnymi kwiatami maku. Roz usiadła plecami do okna i pociągnęła duży łyk kawy. Przez parę chwil odsuwała od siebie moment otwarcia książki, a w tym czasie pokój układał się wokół niej jak magiczna zasłona z bajki, sprawiając, że pozostała część jej osoby stała się niewidzialna.

Gabinet był wprawdzie urządźany stopniowo w ciągu siedmiu bądź ośmiu lat za pomocą sprzętów i przedmiotów kupionych lub odziedziczonych, pochodzących z różnych okresów, lecz panowała tu pogodna i jednolita atmosfera. Niektóre przedmioty (pokryte ornamentami lustro wiktoriańskie, srebrna edwardiańska ramka do fotografii) znaleźli w Camden Passage, zanim miejsce to stało się bardzo eleganckie. Razem z Leo — i Guyem w nosidełku na jej piersi — chodzili wokół, trzymając się za ręce i wykrzy-

kując z radości za każdym razem, gdy udało im się coś znaleźć. Od matki Roz dostała wysoką i wąską mahoniową szafę z szybkami w kształcie rombów, w której trzymała teraz wszystkie swoje książki, oraz miękki fotel.

Pokój był ciemny — Roz pomalowała ściany na brązowo — lecz rozjaśniały go urocze gzymsy w kolorze kości słoniowej oraz mały perski dywan, który kupiła w Liberty's w dniu podpisania swojego pierwszego kontraktu radiowego. Płonął przed pustym kominkiem jak żarzący się ogień, migając barwami kasztanów, moreli, cytryny i śmietany. W rogu kryła się wieża stereo marki Sony — jej głośniki umieszczone były naprzeciw siebie po obu stronach pokoju. Kiedy Roz kupiła zasłony na targu Portobello i przyniosła je z triumfem do domu, Leo spojrzął na zeszywniałe fałdy staro aksamitu z lat czterdziestych i stwierdził, że wyglądają jak łajno słonia. Kiedy jednak zostały kilkakrotnie wyprane i wypłukane, odsłoniły się najdelikatniejsze, najbardziej subtelne wzory w kolorze rudym, różowym i jabłkowozielonym. Następnie Roz zapłaciła mniej więcej dziesięć razy tyle, ile kosztowały, aby je podszyć.

Skończyła kawę i odstawiła filiżankę tuż obok oprawionej fotografii rodziców. Ojciec, którego nigdy nie знаła, wyglądał dumnie i nieco niepewnie w swoim oficerskim mundurze pilota, matka spoglądała nań w górę z uwielbieniem poprzez masę białego welonu. Pięć miesięcy później została wdową, gdy mąż zginął w katastrofie lotniczej nad Holandią.

Roz położyła książkę na samym środku biurka. Była w niej mowa o życiu Lorenza da Ponte, librecisty Mozarta i przyjaciela Michaela Kelly'ego. Biografia, nad którą pracowała Roz, była dla niej ważna z wielu powodów. Gdy wkraczała w otwarty, poukładany świat Oświecenia, do którego tak nadzwyczajny porządek wnieśli Wolter, Newton i Mozart, czuła się odświeżona, zapewniało to również satysfakcję jej naturalnemu talentowi badawczemu. Potrafiła nieustępliwie wynajdywać fakty i miała smykałkę do doszukiwania się związków, dostrzegając w liście bądź pamiętniku aluzje, które mogły umknąć mniej bystremu czytelnikowi. Bawiło ją obdarzanie życiem dawno zmarłych postaci, odtwarzanie w wyobraźni ich życia, ubiorów i artefaktów tak długo, aż w końcu była niemal w stanie poczuć zapach osiemnastowiecznych ulic Wiednia i Londynu.

Niezgodność między tym, co ludzie mówili o sobie w różnych pamiętnikach i listach, a tym, co mówili o nich ich przyjaciele (oraz wrogowie), stwarzała problemy, których rozwiązywanie sprawiało Roz przyjemność, a ponieważ spora część materiału została napisana po francusku, jej znajo-

mość tego języka utrzymywała się na odpowiednim poziomie. Nie mogła na to poświęcić zbyt wiele czasu, lecz było to bez znaczenia. Zajmowała się czymś, do czego podchodziła bardzo poważnie, i dzięki temu utrzymywała w dobrej formie akademickie umiejętności, rozwinięte w ciągu lat studiowania.

Miała przyjaciół w świecie mediów i reklamy, którzy pytali o jej pracę, spoglądając przy tym w sposób, który nauczyła się rozpoznawać — trochę marzycielski, trochę odpychający. (Nie musiała pytać, którą pracę mieli na myśli.) Mówili o powieściach, które mieli zamiar napisać, o projektowanych sztukach teatralnych, o planowanych seriach rycin, które czekały tylko na opróżnienie zapasowego pokoju albo na pójście do szkoły najmłodszego dziecka. Jednakże, w miarę upływu czasu oraz postępów w pracy Roz, coraz rzadziej wspominali o swoich planach, tak jakby byli rodzicami pogrążonymi w żałobie, którzy nie są w stanie podziwiać jej zdrowego potomstwa.

Roz wyjęła z górnej lewej szuflady biurka mały budzik podróżny i nastawiwszy go na trzecią piętnaście, włożyła go z powrotem. Zanim przystąpiła do czytania, pomyślała przez chwilę o cudownej, harmonijnej perfekcji swojego życia. Czuła się jak żongler, który z wprawą biorącą się z długiej praktyki przerzuca jaskrawe pomarańcze z ręki do ręki. Gdy w jej zaokrągloną dłoń wpadał Michael Kelly lub praca w studiu, wówczas Leo i dzieci natychmiast wyfruwali w świat składający się z pracy i szkoły, lecz gdy nadszedł właściwy czas, znowu wpadali w jej oczekującą dłoń.

Pochyliła głowę. Pomyślała, że największe szczęście polega na tym, by wykonywać pracę, która angażuje człowieka bez reszty, pozwalając mu zapomnieć o sobie. Bardzo zadowolona, umieściła tuż obok książki blok czystego papieru, wzięła do ręki ołówek i zaczęła czytać.



## Rozdział drugi

A jak sobie poradzisz na tej bezludnej wyspie, Fenn? Czy jesteś mężczyzną praktycznym? Umiałbyś zbudować szałas? Fenn nigdy nie był pewny, co powiedzieć w takiej sytuacji. Z jednej strony wydawało mu się, że przyznanie się do smykałki do majsterkowania może stworzyć wrażenie, iż jest nieco prostacki. Z drugiej strony, nie chciał, żeby słuchacze myśleli, że jest jednym z tych słabowitych typów, które nie potrafią sobie radzić w wypadku niebezpieczeństwa. W końcu była to sposobność, aby dowiedzieli się trochę o tym, kim jest prawdziwy Fenn. Sławny człowiek, którego nagle postawiono w zaskakującej sytuacji. Zazwyczaj przystawał na kompromis, mówiąc:

— No cóż, Sue, na pewno spróbuję. Nie mogę jednak ręczyć za wynik.

Następnie wybuchął śmiechem, aby pokazać, że w rzeczywistości nie sprawiłoby mu to problemu.

— I wolno ci zabrać ze sobą jeden przedmiot, ale nic praktycznego.

To zdanie również powodowało w nim gonitwę myśli. Wahał się, czy wybrać coś bezużytecznego, lecz bardzo wyszukanego, na przykład parę nart, czy też coś, co podrażniłoby słuchaczy. Chciał w ten sposób zasygnalizować styl życia, jaki prowadzi.

— Trudny wybór. Niechętnie myślę o wczesnych rankach bez moherowego szlafroka.

A może bez kawy od Fortnuma? Nie, to by nie przeszło. W BBC nie wolno niczego reklamować. Kilka butelek ulubionego czerwonego wina? Tak, to brzmiało nieźle. Bardzo wykwintnie. Z szampana zrezygnował już wcześniej, uznawszy go za coś zbyt pospolitego.

—A książka? Na wyspie znajduje się już Biblia i Shakespeare.

—W takim razie, Sue, naprawdę nie ma potrzeby zabierania czegokolwiek innego, prawda? To wielki, wielki twórca. Uważam, że jeśli Shakespeare czegoś nie powiedział, to nie jest to warte powiedzenia. — Wobec Biblii trzeba zachować większą ostrożność. Żeby kogoś nie urazić. —Jeśli chodzi o Biblię... jest ona częścią naszego angielskiego dziedzictwa w równym stopniu jak nasze wspaniałe domy i ogrody. Podobnie jak wszystkie wielkie dzieła sztuki, dla każdego z nas oznacza jednak co innego.



Z tej odpowiedzi na pytanie o książkę naprawdę był zadowolony. O ile się orientował, nikt jeszcze nie wymyślił czegoś podobnego. Wyróżniłoby go to jako osobę prawdziwie oryginalną. Oczywiście potem Sue przyciskałaby go, aby wymienił inną książkę, postanowił więc wybrać tę, która aktualnie znajdowała się na pierwszym miejscu listy bestsellerów. Czytał niewiele poza książkami ze swojej kolekcji specjalnej, a trudno by mu było — parsknął ze śmiechem na tę myśl — wymienić jedną z nich.

Muzyką również się nie interesował. Zacerpnąłby połowę tytułów z najnowszej listy przebojów, a drugą połowę ze zbioru muzyki klasycznej w bibliotece. Zanotował niedawno cztery tytuły i postanowił zmieniać je raz w miesiącu. Podejrzewał, że podobnie jak w muzyce lekkiej, w muzyce klasycznej również istnieją pewne trendy, i pragnął być na bieżąco.

Przez cały czas przygotowywał się na różne sytuacje, w których się znajdzie, gdy tylko stanie się sławny, lecz ulubionym przedmiotem marzeń był dlań program *Bezludna wyspa*. Wzięcie w nim udziału naprawdę udowodniało, że człowiek osiągnął sukces. Nigdy nie męczyło go zastanawianie się w kółko nad swoimi odpowiedziami na pytania Sue Lawley. Na potrzeby programu „stworzył” swoich rodziców, szkoły, przyjaciół, nauczyciela, który dostrzegł u niego w okresie dojrzewania wyjątkowe talenty i pragnął go zaadoptować, a także cudowną kolekcję przyjaciół ze „starej paczki”, którzy nie zazdrościli mu żadnego z sukcesów i z którymi spotykał się od czasu do czasu wieczorom nu mieście.

Zbliżała się pora nadejścia poczty. Zmodyfikowawszy połowę pozycji na liście z muzyką pop, włożył ją do grubej koperty zawierającej wszelkie inne szczegóły jego nowego życia. To właśnie jest realne, myślał, przyciskając kurczowo kopertę do piersi. To, co sam stwarzasz. Miał przedziwne wrażenie, że w kopercie znajduje się esencja jego osobowości. Jakby wymieniając jedynie swoje doświadczenia i przytaczając nazwiska, stał się alchemikiem i przemienił metal stanowiący jego osobowość w najczystsze złoto. Wydawało mu się, że tak jak w filmach animowanych ludzie kurczą się i wtapiają w strony książki, tak on, oczyszczony z nieczystości spowodowanych błędami życiowymi i poczuciem beznadziei, zniknął w pliku papierów aż do czasu, gdy ciepły blask sukcesu przywróci go do życia. Wynurzy się wówczas z nicości, oblecze w luksusowe ciało i piękne ubranie, przemówi anielskim głosem i w końcu naprawdę ujawni światu swoją osobowość.

Otworzył drzwi. Zapach tłuszczu z frytkownicy już mu nie przeszkadzał. Nie zostanie tu długo. Jednak poczty nie było. Od czasu, kiedy napisał list, minęły cztery dni. Niecierpliwość nic mu nie da. Kobieta o jej pozycji na pewno otrzymuje sterty listów. Pewnie jej sekretarka jest na zwolnieniu chorobowym i nadchodząca poczta gromadzi się w jakimś miejscu. Pragnął zachować rozsądek. Spojrzał na kalendarz. Poniedziałek, siedemnasty listopada. Da jej czas do czwartku.

Tematem wtorkowej audycji były problemy mieszkaniowe. Jak zwykle Roz wzruszał fakt, że tak wiele osób wierzy, iż potrafi ona zdziałać cuda i załatwić mieszkanie (lub łóżko. w szpitalu bądź jeszcze coś innego), gdy miejscowym władzom się to nie udało. Nietrudno było przewidzieć, jakie sprawy ludzie dzwoniący do studia będą poruszać. Mówiono o długich listach oczekujących: najpierw załatwiano innych, którzy mniej na to zasługiwali. Ludzi znanych. Albo tych, którzy mieli krewnych w radzie miejskiej. Zawsze do głosu dochodziła też zrozumiała niechęć okazywana imigrantom rozpaczliwie poszukującym lepszego życia. Jakże szybko znika tolerancja wobec wygnańców, rzekomo nieodłączna cecha charakteru Brytyjczyka, gdy braknie pracy i mieszkań. Czasem Roz zastanawiała się, jak długo przetrwałoby jej współczucie — nigdy do tej pory nie poddane poważnemu testowi — gdyby ona sama nie miała domu lub pracy.

Program zbliżał się do końca. Na antenie Ptasznik wygłaszał właśnie swoje krótkie kazanie:

— ...studiować ich zwyczajne zakładania gniazd. Powinno się udostępnić duże obszary, coś w rodzaju rezerwatów, i zapewnić tym biednym niefortunnikom materiał do budowania tymczasowych „gniazd”. Kiedy zwolnią się gdzieś normalne mieszkania, można by je zlikwidować. Albo wzmocnić i utrzymywać dla potrzeb innych biednych rodzin.

Kiedy Ptasznik zaczął regularnie wtrącać swoje trzy grosze do jej programu, Roz nie wiedziała, czy śmiać się, czy też niepokoić. Jednak jego niezłomne przekonanie, że wszystkie choroby społeczne można rozwiązać, studiując, a nawet kopiując zachowanie ptaków, spodobało się słuchaczom i gdy z rzadka zdarzał się program bez jego udziału, Roz otrzymywała listy z pytaniem, czy nic mu nie jest. Ptasznik był uprzejmy, dość zwięzły i nigdy nie została zmuszona do usunięcia go z anteny dlatego, że wpadł w złość bądź zaczął przeklinać.

—Myśli pan o prefabrykacjach?

—Dokładnie tak! Pani zawsze wie, co mam na myśli, panno Gilmour. Nie widzę powodu, dla którego nie można by używać błota. Mamy go mnóstwo, a nasze przyjaciółki jaskółki radzą sobie z nim bez problemu.

—A jeśli zaczniesz padać? — Roz z wysiłkiem zachowywała powagę. Zauważyła właśnie przez szybę, że w reżyserce Louise zaczęła świergotać jak ptak.

—No cóż, oczywiście, trzeba by je wymieszać z trawą.

—Oczywiście. Przepraszam, nie pomyślałam o tym. — Wiedziona impulsem, dodała: — Tak często brał pan udział w naszym programie, a wciąż nie znamy pańskiego nazwiska.

Marzyła o tym, aby odpowiedział „Łabędź” albo „Szpak”, zdając sobie sprawę, że w rzeczywistości podobne uroczę połączenie byłoby zbyt wielkim szczęściem.

— Nie zależy mi na podawaniu swojego nazwiska, panno Gilmour, jeśli pani może to zaakceptować. W tym stanie rzeczy nie jestem w stanie przyjąć odpowiedzialności za stopy korespondencji.

Och, jakie to niezwykle, pomyślała Roz i popełniła błąd, spoglądając znowu na konsolę dźwięku. Louise stała teraz, unosząc swoje eleganckie ramiona i łokcie. Machała nimi w górę i w dół, poruszając ustami w niemym kwakaniu.

Ptasznik zniknął z anteny. Jakaś kobieta zaczęła mówić o swojej córce, znajdującej się od sześciu lat na liście komunalnej. Twierdziła, że dziewczyna jest dyskryminowana, „ponieważ ma pewien niewielki problem osobisty”. Roz poczuła się zaintrygowana, podobnie jak kilka tysięcy słuchaczy, lecz wskazówka minutowa zegara w studiu przeskoczyła do przodu, pozostawiając wszystkich w nieświadomości co do natury niedostatków Anne Marie. Może to i dobrze. Roz często miała wrażenie, że „tam na zewnątrz” znajduje się kipiący kocioł frustracji i rozpacz, i odczuwała wdzięczność za to, że przebywa w odizolowanej, dźwiękoszczelnej kabinie.

Pożegnała słuchaczy, dała znak Louise, by włączyła muzykę i komunikaty, po czym opuściła studio i przeszła do reżyserki. Następny program miał być nadawany z taśmy. Louise sprawdziła poziom dźwięku, włączyła magnetofon i zdjęła słuchawki. Uśmiechnęła się do Roz, na co ta również odpowiedziała uśmiechem.

—Jak myślisz, jak on się naprawdę nazywa? — spytała Louise. — Wyciągnęła z torby batonik Mars i zdjęła zeń opakowanie.

—Nie mam pojęcia. Prawdę mówiąc, nie interesuje mnie to. Biedny, stary nieszczęśnik.

—Może wcale nie jest stary.

—Och, jestem pewna, że tak. Myślę, że ma mieszkanie komunalne z małym balkonem we wschodniej części miasta. Jest bardzo zadbany i schludny, i codziennie wkłada świeży kołnierzyk.

—I zawsze w łazience suszą się jakieś jego ciuchy.

—Albo wiesz je na sznurku na balkonie, jeśli jest ciepło.

I może hoduje królika.

—Ale na pewno nie ma klatki z ptakami.

Roz pomyślała, że Louise sama trochę przypomina ptaka. Wokół jej głowy sterczały delikatnymi, małymi kosmykami kanarkowożółte włosy, a jej kości były delikatne jak u wróbla. Jak zwykle miała na sobie zestaw najróżniejszych ciuchów czarną spódnicę z dziurami, trzy postrzępione swetry, nabijaną ćwiekami obrozę psa oraz plakietkę z napisem „Co się gapisz?!”. Delikatnie wbiła zęby w batonik.

—Który to dzisiaj?

—Piąty. Przepraszam, skłamałam, szósty.

—Jest dopiero dwunasta.

—Dwa zjadłam na śniadanie.

—Myślałam, że starasz się jeść mniej.

—No i rzeczywiście jem mniej. Wczoraj zjadłam na śniadanie trzy.

—Buueee...

—I odkryłam — na tę myśl oczy Louise zalśniły — że jeśli rozpuści się Marsa w garnku do gotowania na parze, to otrzymuje się rewelacyjny sos czekoladowy. Można nim polać wszystko. Tak jak sosem do pieczenia.

—Pożałujesz tego, gdy stuknie ci czterdziestka.

Problem polegał na tym, że skóra Louise była tak przezroczysta i pełna połysku jak wnętrze muszli, a w talii miała dziewiętnaście cali. Na każdy rok życia przypadał jeden cal. Dlaczego miałyby wierzyć, że kolejnych dwadzieścia lat przemieni ją w matronę? Roz pamiętała, jak to jest, gdy ma się dziewiętnaście lat. Człowiek nie tylko jest przekonany, że nigdy nie będzie miał czterdziestu, ale też wierzy, że jest istotą nieśmiertelną.

—Wybierasz się do baru na lunch, Roz?

—Nie. Muszę zrobić zakupy. Poza tym, gdy patrzyłam, jak wcinasz, odeszła mnie ochota na jedzenie.

—Aach... biedny Duffy.

Mike Duffield, spiker i reporter sportowy, miał słabość do Roz, o czym od pewnego czasu wiedzieli wszyscy pracownicy rozgłośni radiowej. Mówiąc ściśle, wszyscy oprócz Roz, która jego romantyczne starania oraz gorące, intensywne spojrzenia rzucane znad polistyrenowych kubków z kawą uważała za swoistego rodzaju żart. Czasem miała tego dosyć, czasem niemal tego nie zauważała, lecz nigdy nie brała go poważnie.

— Będzie musiał usychać dzisiaj z nieodwzajemnionej tęsknoty. Nie wydaje mi się, aby bardzo na tym ucierpiał. Nawiasem mówiąc, jak wygląda twoje życie uczuciowe?

— Och... sama wiesz. Nieco monotonne...

Nigdy nie było monotonne. Pewnego razu Roz skomentowała nadzwyczaj szybkie następstwo kolejnych chłopaków Louise, na co usłyszała w odpowiedzi:

— No cóż, to tak jak z książkami, co nie? Gdy jakąś przeczytasz, nie masz ochoty zaczynać jej od początku. Idziesz i znajdujesz jakąś inną.

W wieku lat dziewiętnastu Roz była od sześciu miesięcy mężatką. Obserwowała teraz, jak Louise sprawdza zręcznymi, wrażliwymi palcami wskaźniki kontrolne, i pomyślała, jak miło by było, gdyby dziewczyna miała nieco więcej ambicji. Była promienna, towarzyska i inteligentna, dysponowała niespożytą energią, lecz sprawiała wrażenie, że żyje szczęśliwie z dnia na dzień i nie ma pojęcia, jak ułożyć swoją przyszłość. Roz nie mogła się powstrzymać przed porównywaniem jej z Sonią, która miała mnóstwo ambicji, lecz brakowało jej czegokolwiek, czym można by ją zasilić. Jakby czytając w jej myślach, Louise zwróciła się do niej:

— Widziałas dziś Rebekeę ze Słonecznego Potoku?

—Nie. I mam zamiar wynieść się stąd, zanim ją zobaczę. Ma dzisiaj mnóstwo roboty.

—A więc nie radzę ci wracać do swojego gabinetu. Słyszałam, jak Duffy tłumaczył jej, że tam będzie mogła pracować o wiele spokojniej niż w pokoju reporterów.

—A to świnia! — Roz nie mogła powstrzymać wybuchu śmiechu. — W takim razie wynoszę się na dobre.

— Do zobaczenia.

Roz pchnęła dźwiękoszczelne drzwi, słysząc, że Louise rozdziera opakowanie siódmego tego dnia batonika. Tuż za rogiem korytarza otarła się o Sonię i przygotowała się na eksplozję sacharynowej słodyczy, lecz dziew-



czyna odwróciła się, jakby zupełnie jej nie zauważyła. Niosła przed sobą na tacy filiżankę kawy i wydawała się zaczerwieniona.

List w końcu nadszedł. Tym razem nie czekał spokojnie, lecz rozerwał go niemal na połowę, pragnąc jak najszybciej

TLR

otworzyć kopertę. Siedział teraz, ściskając w palcach przedartą kartkę papieru. Spojrzał jeszcze raz na list. Nie zadała sobie nawet trudu, aby odpowiedzieć mu osobiście. Jego imię wpisane było atramentem na wydrukowanej wcześniej stronie. List wyrażał nadzieję, że „wybaczy tak nieosobistą odpowiedź”, i opatrzony był uwagą dotyczącą „przytłaczającej góry listów”, co mimo najlepszych chęci uniemożliwia odpowiadać nie każdej osobie indywidualnie.

Mimo najlepszych chęci! Co za cholerne brednie! Zgniół kartkę w dłoni, aż kości palców zaczęły niemal przebijać się przez skórę. Jakie to sprytnie. W bardzo przebiegły sposób dawała do zrozumienia, jaka jest ważna. Usiłowała nabrać człowieka, twierdząc, że nie ma czasu na pocztę od wielbicieli. Że każda sekunda jej życia pełna jest ważnych, interesujących spraw. Cholernie sprytnie.

Podszedł do stołu i zaczął przyglądać się jej zdjęciu. Oczy wypełniły mu się łzami wściekłości i żalu. Nie mógł w tej chwili nic na to poradzić. Kości zostały rzucone, gdy nóż opuścił jego dłoń. Od tamtej pory nie miał już wyboru. Jak człowiek zwracający się w świątyni do Wyroczni, uklęknął i czekał na słowa przepowiedni co do czekającego go losu, na ukazanie mu dalszej drogi. I to ona była jego drogą.

Usiadł na krześle z twardym oparciem. Zaczął świadomie oddychać wolniej, aby rozluźnić mięśnie. Palce prawej ręki miał zakrzywione jak szpony ptaka. Wyprostował je po kolei. List spadł na podłogę. Podniósł go i wygładził. I wówczas coś zwróciło jego uwagę.

Tak był przytłoczony faktem odrzucenia, że nie zawracał sobie głowy przeczytaniem listu do samego końca. Teraz przebiegł oczyma ostatni akapit i zauważył, że list wcale nie pochodził od Roz Gilmour. Z jej działu, to prawda, lecz podpisany był przez kogo innego. Znów ta sama historia! Identycznie jak w BBC. Jakaś sekretarka postanowiła przejąć jego list i wysłać doń odpowiedź. Roz w ogóle go nie widziała. Ogarnęło go przemożne uczucie ulgi. Przyjrzał się dokładniej podpisowi. „Sonia Marshall”.

Sonia Marshall powinna mieć się na baczności. Kiedy on dostanie się już do City Radio, będzie musiała poszukać sobie innej pracy. Wygładził papier i przepisał do swojego notatnika nazwisko Roz wraz z numerem jej służbowego telefonu oraz adresem, po czym wrzucił list do szarego, metalowego kosza na śmieci. Przysunął krzesło do stołu, wziął czystą kartkę papieru i zmarszczył brwi, usiłując się skoncentrować. Jaki powinien być jego następny krok? Zasadniczą sprawą było skontaktowanie się z Roz. Naj-

pierw spróbuje w studiu. Jeśli tam jej nie będzie, zadzwoni do niej do domu. A może powinien napisać na jej domowy adres? Tak, tak właśnie powinien zrobić. Z pewnością list dojdzie wówczas bez przeszkód do jej rąk. W liście będzie mógł wyrazić wszystko o wiele jaśniej. W automacie telefonicznym rozlega się co jakiś czas sygnał, gdy trzeba wrzucić kolejną dziesięciopensówkę. W dodatku fakt, że Fenn mieszka w budynku z płatnym telefonem, mógł ją źle do niego usposobić. Jeszcze sobie pomyśli, że nie jest człowiekiem odpowiedniego kalibru. Sprawdził, ile ma drobnych. Trzy dziesięciopensówki i jedna dwudziestka. Powinno wystarczyć. Miał w planie jedynie rozmowę miejscową.

Chwycił swój notes i pobiegł na korytarz. Nad automatem telefonicznym wisiała wielka reklama karaibskich napojów bezalkoholowych. Potężna czarnoskóra kobieta w turbanie stojąca na tle atramentowego morza wymachiwała ananasami, jakby to były granaty. Jej duże, przypominające nagrobki zęby były białe jak piasek na plaży. Niektóre z nich pomazane były atramentem, na innych ktoś zapisał numery telefoniczne. Postrzępione linoleum pod nogami lepiło się niemal od brudu. Fenn położył notes na telefonie, umieścił w szczelinie dziesięciopensówkę i wybrał numer. Usłyszał sygnał i wepchnął monetę.

—City Radio.

—Czy mogę rozmawiać z Roz?

—Przepraszam, nie rozumiem?

—Roz — postanowił okazać cierpliwość. — Roz Gilmour.

— Och. Wydaje mi się, że pani Gilmour opuściła budynek, ale spróbuję połączyć pana z jej gabinetem.

Pani Gilmour. Nie przyszło mu do głowy, że jest mężatką. Z jakiegoś powodu napełniło go to niezadowolaniem. Sygnał w słuchawce powtórzył się kilkakrotnie.

— Nie. Przykro mi. Może spróbuje pan w piątek po programie? Kończy się o...

— Wiem, o której kończy się program. Proszę posłuchać, może powinienem był to wyjaśnić nieco precyzyjniej. To sprawa osobista. Roz jest moją bliską znajomą.

—Wydaje mi się, że pan mnie nie zrozumiał, jeśli wolno mi się tak wyrazić — teraz to ona usiłowała zachować cierpliwość. — Pani Gilmour jest nieobecna. Nie mogę jej wyczarować z powietrza.

Cholerna baba! Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nigdy nie wiadomo, kiedy takie kobiety kłamią. A nierozsądnie byłoby zrazić kogoś bez potrzeby już na samym początku.

—W porządku. A więc... hm... zadzwonię do niej do domu.

—Proszę bardzo. Dziękuję, że pan zadzwonił. Do...

—Proszę chwilkę poczekać...

—Słucham.

—Czy może mi pani podać jej numer?

—Jej numer prywatny?

—Tak.

—No... a pan go nie zna? Przecież jest pan jej bliskim znajomym.

Głupia dziwka!

—Jak pani się nazywa? — To ją ubodło. Zapadła cisza. Usłyszał przytłumiony odgłos przypominający nieco szloch. Następnie ktoś powiedział coś, czego nie mógł zrozumieć. Muszą tam być we dwójkę. Miał rację. W słuchawce usłyszał inną kobietę.

—W czym mogę panu pomóc?

—Prawdopodobnie koleżanka wyjaśniła pani prawidłowo całą sytuację. Uprzejmie proszę o numer domowy pani Gilmour.

—Przykro mi. Nie wolno nam podawać słuchaczom numerów prywatnych.

—Ach! — Nie mógł zaprzeczyć, że to nieco pomieszało mu szyki. Lepiej trzymać się pomysłu z listem. —A więc jej adres. Wrzucę wiadomość do skrzynki.

—Tego również nam nie wolno. Jeśli napisze pan do programu *Pogawędki z Roz*, wówczas na pewno otrzyma pański list.

—Proszę zrozumieć, zawieruszyłem gdzieś swój notes. Obiecałem Roz, że dzisiaj zadzwonię. Będzie wściekła, jeśli tego nie zrobię.

— Pani Gilmour będzie w studiu jutro. Jeśli zostawi pan swoje nazwisko i numer, to osobiście dopilnuję, aby to do niej dotarło. — Do diabła, wiadomo, że na pewno tego nie zrobi. Wszystko wylądaje tam, gdzie jego list, u jakiejś głupiej jak krowa sekretarki. — Gdybym udzieliła podobnej informacji, straciłabym pracę.

Usiłował szybko zebrać myśli.

—Mówiąc prawdę, spodziewa się mnie dzisiaj na kolacji, a nie uda mi się przyjść. — To było dobre. Pełne inwencji. Umiejętność myślenia na poczekaniu. Tym właśnie różnią się mężczyźni od niedojrzałych chłopców. — Tak więc to oczywiste, że muszę ją o tym zawiadomić.

—Rozumiem. — Pauza. To ją zdezorientowało. — W takim razie z przyjemnością zadzwonię do niej do domu i przekażę jej tę wiadomość. Czy może mi pan podać swoje nazwisko?

W słuchawce pojawiły się znane sygnały. W ciągu kilku sekund, które upłynęły przed przerwaniem połączenia, usłyszał, że obie kobiety wydają kretyńskie, gulgoczące odgłosy. Miał ochotę wyrzucić słuchawkę w ścianę, lecz odłożył ją delikatnie, niemal czule, na widełki. Ważne, żeby nie tracić panowania nad sobą. W końcu Roz wcale tu nie zawiniła. Fakt, że blokowano go na każdym kroku, nie miał z nią nic wspólnego. Przecież za jakiś czas te baby będą robić to samo dla niego. Będą ochraniać go przed zapamiętałymi wielbicielami. A on będzie im wówczas za to wdzięczny. Może nawet przypomni im dzisiejsze zajście. Poczują się zakłopotane, dopóki nie zobaczą, że się z tego śmieje.

Wspinając się na schody, pomyślał, że nie ruszył się ani o krok do przodu. Usiadłszy przy stole, szybko zanotował: „Skontaktować się z Roz (biuro). Skontaktować się z Roz (dom)”. Następnie zaczął przyglądać się bez końca zapisanej kartce.

Miał wrażenie, że zetknął się z solidną ścianą. Zawsze uważał, że jest kimś, kto działa najskuteczniej, gdy znajdzie się w trudnej sytuacji. „Przeciwności wydobywają ze mnie to co najlepsze”, zwykł mawiać. Nad umywalką umieścił nawet motto, które ujmowało to błyskotliwie, lepiej niż on sam potrafiłby to uczynić: „Sprawy niemożliwe załatwiamy od ręki. Cuda wymagają nieco więcej czasu”.



Wyjął list z kosza na śmieci. Musi spróbować przeczytać go w sposób bardziej bezstronny. Biorąc wszystko do siebie, zapewniał sobie jedynie ból głowy. Może jeśli przeczyta list powtórnie, zaświta mu jakiś pomysł. Wyglądził papier. W miejscu poniżej podpisu było coś napisane. „Osobista sekretarka”. Pomiędzy „Sonia Marshall” a „w imieniu Roz Gilmour” osoba ta napisała: „Osobista sekretarka”. Oto był związek wart rozpatrzenia. Dotarcie do sekretarki oznacza możliwość dotarcia do szefa. A to wymaga o wiele mniej trudu. To drobnostka. Nie mówiąc już o tym, że mógłby mieć niezłą zabawę. Przeczytał powtórnie wyglądzone fragmenty listu, który wysłała do niego, wykazując taką obojętność. Zakpiła z niego. Ale zapłaci za to.

Roz doskonale zdawała sobie sprawę ze sztywnie wyprostowanych pleców Soni w rogu pokoju. Tego ranka nie usłyszała ani słowa o wbijaniu zębów w chrupiące, podobne do jabłka chłodne dni. Żadnych przymilnych pytań o Michaela Kelly'ego bądź o życie domowe Roz. Po prostu chłodne: „Dzień dobry, pani Gilmour” w odpowiedzi na pozdrowienie Roz, a potem nieustanne, bezosobowe stukanie w klawisze maszyny do pisania. Było to niezwykle, lecz Roz nie miała nic przeciw temu.

Była już spóźniona, ponieważ nie udało jej się uciec z domu przed przyjściem pani Jollit w celu, jak to określała, codziennego rozprawienia się z brudem. Roz tylko dwukrotnie była świadkiem tego huraganu, podczas którego została przyszpilona do ściany do czasu, gdy burza minęła. Przypominało jej to kreskówkę Disneya *Uczeń czarnoksiężnika*, w której miotły i ścierki same ruszały do boju. Wydawało się, że pani Jollit nie tyle posługuje się sprzętem do czyszczenia, co przyciąga go w sposób magnetyczny. Podczas pracy wydymała policzki pokryte siecią popękanych żyłek i wstrzymywała oddech, posapując z koncentracji.

Tego ranka pani Jollit miała raka w lewym kolanie. Trzy lata temu, kiedy pojawiła się u Roz po raz pierwszy, wyznała jej, iż odczuwa straszny ból w ramieniu i jest przekonana, że to rak. Roz natychmiast okazała jej współczucie. Podobnie jak wiele kobiet, była skłonna obawiać się najgorszego przy pojawieniu się jakiegokolwiek bólu lub niewyjaśnionego doznania. Wysiała panią Jollit do swojego domowego lekarza i zapłaciła za prześwietlenie rentgenowskie, pragnąc uspokoić i ją, i siebie. Rentgen wykazał, że z ramieniem wszystko jest w porządku. Od tego czasu pani Jollit miała raka płuc, serca, nerek i śledziony. Oraz nerwów i kręgosłupa, i wątroby, i macicy. Do tej pory jedyną istotną częścią jej ciała, która się nie poddała, był mózg, a Leo twierdził, że jakakolwiek choroba, która byłaby w

stanie zlokalizować mózg pani Jollit, przeszłaby do historii medycyny. Z ciągnącą się sagą dotyczącą jej zmieniających się stale wnętrzności przeplatały się historie o Gavinie, jej najmłodszym wnuku, na którego policja stanowczo się uwzięła z jakichś niezrozumiałych, tylko sobie znanych powodów. Głos pani Jollit — monotony i dziwnie pozbawiony emocji, biorąc pod uwagę naturę jej rewelacji — ścigał dzisiaj Roz aż do drzwi frontowych.

— Niech mi pani wierzy, moja droga, że w tym tygodniu umierałam już tysiąc razy.

Roz szybko przejrzała listy. Minęło pół godziny. Tylko dwa wymagały przeprowadzenia pewnych poszukiwań w papierach oraz rozmów telefonicznych. Roz postanowiła zaparzyć kawę. Przez wiele miesięcy marzyła, by Sonia przestała paplać, dzięki czemu ona mogłaby myśleć w spokoju, lecz teraz — paradoksalnie — jej milczenie zaczęło ją denerwować.

— Napijesz się kawy, Soniu?

— Nie, dziękuję pani, pani Gilmour. — Trzask, trzask. Stuk, stuk.

— Jak chcesz. — Roz wyjęła filiżankę i spodek, pudełko filtrów oraz karton mleka. Nienawidziła mleka instant. Miała w biurze małą lodówkę. Znajdowała się w niej również przegródka na białe wino oraz kilka kieliszków. Roz podejrzewała, że wyniosłe zachowanie Soni ma na celu sprowokowanie jej do zadania pytania. Ze dziewczyna chce, aby Roz postarała się rozszyfrować przyczynę jej humoru. No cóż, za nic nie da się sprowokować. Wykorzysta ciszę do pracy. Bez wątpienia milczenie Soni nie potrwa długo. Atmosfera była gęsta jak grochówka.

— Czy coś się stało?

— Stało się, pani Gilmour? — Sonia zaatakowała z wielkim impetem klawiaturę. Trzask, trzask, stuk, stuk, bum. — Wielkie nieba, nie. Cóż takiego mogło się stać?

Roz zrobiła kawę, wyjęła teczkę z papierami dotyczącymi emerytur i zaczęła je przeglądać. Nie mogła się skoncentrować i znów spojrzała na plecy Soni. Jej niechęć falowała w sposób niemal namacalny, unosząc się wokół ramion jak ektoplazma wokół medium. Roz miała właśnie zamiar spróbować zagadnąć ją powtórnie, gdy Sonia odezwała się pierwsza:

— Przepraszam, że nie jestem dzisiaj w pokoju reporterów, pani Gilmour. Jak pani widzi, wszyscy go opuścili, ponieważ pan Winthrop przeprowadza tam jakieś rozmowy.

A więc o to chodzi! Roz przypomniała sobie, jak wczoraj wpadła na Sonię, opuściwszy reżyserkę. Pamiętała również, że Sonia niosła filiżankę kawy. Bardzo poważnie traktowała swoje obowiązki sekretarki i zawsze okazywała nadzwyczajną uprzejmość. Roz niejednokrotnie prosiła ją, aby nie zwracała sobie głowy przynoszeniem kawy pod koniec programu. Na pewno była po drugiej stronie drzwi i szybko stamtąd odbiegła, uświadomiwszy sobie, że szefowa opuszcza studio.

Poczuła się osobą nikczemną. Przytłaczało ją poczucie winy. Śmiała się razem z Louise, pamiętała to bardzo dokładnie. Śmiały się z tego, że i ona, i reporterzy starali się pozbyć Soni. Spojrzała znów na szczupłe ramiona dziewczyny i poczuła dojmującą falę litości. Co musi odczuwać zwyczajny, niczym niewyróżniający się człowiek, niemający wycucia w świecie wypełnionym zaciekłym współzawodnictwem, który wierzy, że inni będą go tolerować jedynie wówczas, jeśli nieustannie pozostanie fałszywie pogodny i słoneczny? Co musi poczuć taka osoba, kiedy dwie kobiety, z nadwyżką wyposażone we wszystko, czego jej samej brakuje — kobiety, które mogą sobie pozwolić na nieskończenie lekkomyślną nieuprzejmość — mimo to odnoszą zwycięstwo, naigrawając się z niej.

Cisza zaczęła się przedłużać. Roz poczuła się zapędzona w uliczkę bez wyjścia. Cóż mogła powiedzieć? Przeprosiny dodałyby do zadanej rany dodatkową zniewagę. Gdyby starała się być miła lub szczególnie przyjacielska, zostałyby to (słusznie) odebrane jako nieszczerze i spowodowane poczuciem winy. Żadne słowo nie było w stanie sprawić, by ona sama poczuła się lepiej. Zaczęła się zastanawiać, czy może powiedzieć lub uczynić cokolwiek, co sprawi, że Sonia poczuje się lepiej. Zamknęła teczkę z papierami, wsparła głowę na dłoniach i oddała się rozmyślaniom.

Nie było trudno zaproponować coś, co zadowoliłoby Sonię. Od czasu gdy Roz ją poznała, w bardziej lub mniej zawołany sposób wychwalała swoje niewykorzystywane talenty. Sygnalizowała, co mogłaby robić, gdyby tylko dostała szansę. Większość tych pomysłów zdecydowanie wykraczała poza jej możliwości, lecz z pewnością mieścił się w ich granicach program z udziałem młodej publiczności *Saturday Show*, na który składała się muzyka, wywiady oraz telefony od słuchaczy. Audycja ta była emitowana na żywo w pierwszą i третią sobotę każdego miesiąca. Większość personelu stanowili wprawdzie technicy i dźwiękowcy, lecz zawsze potrzeba było kilku dziewczyn, które uprzejmie witały gości, pochlebiały im, parzyły kawę i serwowały drinki. Nazywano je „mieszanką łakoci” i rekrutowano spośród pracujących w budynku maszynistek i recepcjonistek. Nie płacono im, zakładając, że wystarczającym wynagrodzeniem jest sposobność oddychania przez godzinę tym samym powietrzem co gwiazdy muzyki pop. Współzawodnictwo było zacięte. Sonia zgłaszała się często, lecz nigdy nie została wybrana. Roz postanowiła porozmawiać o tym z Tobym Winthropem.

Parę lat temu, po urodzeniu drugiego dziecka, żona Toby'ego, Jill, popadła w bardzo poważną depresję. Podczas sześciu miesięcy nawracających ataków choroby Roz spędziła z nią wiele czasu. Bardzo się wówczas zaprzyjaźniły. Toby był mężczyzną szorstkim i nie potrafił ładnie mówić, lecz Roz zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest jej wdzięczny. Miała u niego kredyt wdzięczności i teraz nadszedł czas, by z niego skorzystać.

Opuściła gabinet i pospieszyła do pokoju reporterów. Znalazła Toby'ego, który miał akurat pauzę przed kolejną rozmową, wśród typowego dla tego pomieszczenia chaosu. Paplający teleks, ciche maszyny do pisania, poplamione plastikowe kubki, przepelnione popielniczki, rośliny duszące się na śmierć w zadymionym powietrzu. Oznajmiła Toby'emu, po co przyszła.

—To nie jest odpowiednia pora, abyś pozwalała sobie wobec mnie na makabryczne żarty, Roz. Przez cały rano prowadzę rozmowy z kandydatami do pracy. To wystarczy, by zamrozić w człowieku wszystkie płyny, więc nie potrzeba mi jeszcze na dodatek ponurych dowcipów.

—Proszę, Toby. Mówię poważnie. Czemu nie miałyby tego robić? Tylko przez parę następnych programów?

Obserwowała, jak nos Toby'ego, porównany niegdyś przez Louise do malinowego, gąbczastego puddingu, zaczyna drżeć i zmienia kształt. Był

tylko nieznacznie bardziej karminowy niż reszta jego twarzy, lecz wydawało się, że żyje własnym życiem. Doświadczeni pracownicy uważali nos Toby'ego za dokładny barometr i potrafili przewidzieć, jaką siłę rażenia osiągnie nadciągający gniew. Reszta jego osoby przypominała, jak zwykle, olbrzymie łóżko, którego ktoś używał z zapamiętaniem, po czym zapomniał je pościelić.

— A jak by się tobie spodobало coś takiego, co? Gdybyś była wrażliwym, młodym mężczyzną, który chlał całą noc i szarpał gitarę, nie mówiąc już o kobietach, i gdybyś tuż po wypiciuklina, ze sklejonymi powiekami, zetknęła się ze złotymi myślami jak z poezji Patience Strong i z uśmiechem, przywodzącym na myśl przejechanie-zardzewiałym-gwoździem-potablicy? Ten uśmiech jest w stanie w ciągu dziesięciu sekund zedrzyć ci z zębów całą emalię.

Roz zachowała milczenie. Byłoby nietaktownie przypominać, że jako szef rozgłosił Toby rzadko widywał uśmiech Soni bądź był narażony na wysłuchiwanie jej filozoficznych rozważań rodem z kartek pocztowych. Przepastne, różowe nozdrza zamknęły się, miażdżąc rudawe wiechcie włosów. Nos Toby'ego przybrał srogi wygląd.

— Przypomina wdzięczenie się bazyliuszka.

Roz odczekała chwilę, po czym odezwała się ostrożnie:

—Zawsze jest ich przynajmniej sześć, Toby. Kto, na litość boską, w ogóle ją zauważy?

—Kto ją zauważy? **Kto zauważy?** Będzie się wyróżniać jak cholerna rzepa w wiązance ślubnej — rzucił Toby, lecz z jego głosu ulotnił się już wcześniejszy bulgot. — Kogo mamy w sobotę?

— Gospodarzem programu jest Dave Winch. Będzie trochę dzieciaków z Holland Park Stage School i Street Theatre z Brixton. I Viridiana.

—Viridiana? Czy oni nie grają heavy metalu?

—Tak mi się wydaje. Ale ja się na tym nie znam, jak wiesz.

— Mój syn interesuje się muzyką heavy metalową. Można powiedzieć, że interesuje się nią zawzięcie. Nie widzę powodu, dlaczego to oni nie mieliby na odmianę trochę pocierpieć.

— Och, dziękuję ci, Toby. To bardzo miłe z twojej strony.

— Ależ ja taki właśnie jestem, kochanie. Niesamowicie miły. Tylko beznadziejnie niezrozumiany.

Okazało się, że nie będzie to takie łatwe, jak się spodziewał. Fenn zagłębił się w siedzenie przy końcu drugiego rzędu. Początkowo wybranie się



do studia na program *Saturday Show* wydawało mu się znakomitym pomysłem. Miał zamiar wejść do budynku, mieszając się z publicznością w momencie, gdy kierowała się w stronę studia, po czym oderwać się od tłumu i znaleźć gabinet Roz Gilmour. Podejrzał, że wszyscy mają na drzwiach plakietki z nazwiskami. A może na każdym biurku znajdują się małe tabliczki z nazwiskiem siedzącej przy nim osoby. Jednak sprawy nie ułożyły się zgodnie z planem.

Po pierwsze, kilkanaście osób spacerowało tam i z powrotem, świdrując wszystkich oczyma i utrzymując porządek w kolejce oczekujących. Kiedy znaleźli się już w środku, próbował zająć miejsce w ostatnim rzędzie, blisko wyjścia, lecz skłoniono go (no cóż, prawdę mówiąc, zmuszono) do zejścia w dół, do przodu. Gdy wszyscy usiedli, wstał i skierował się do wyjścia, tłumacząc facetowi przy drzwiach, że chce skorzystać z toalety. Ten pokazał mu drogę do niej, lecz kiedy Fenn ją opuścił, facet wciąż czekał w pogotowiu, by zaprowadzić go z powrotem na miejsce. Usiadł niechętnie i wkrótce ogarnęła go fala nudy. Zanim zaczął się program, pojawił się jakiś otyły, pokryty samoopalaczem dureń z trwałą ondulacją, który przedstawił się jako „wesoły rozgrzewacz”. Skakał w górę i w dół z mikrofonem na długim kablu, rozmawiał z publicznością i opowiadał oklepane dowcipy. Pot lał się z niego strumieniami. Naigrawał się z ludzi, a oni śmiali się przypochebiająco, wdzięczni za to, że zwrócił na nich uwagę. Wazeliniarze, pomyślał Fenn. Zachował niewzruszony wyraz twarzy, obdarzając komika pogardliwym spojrzeniem.

Sam program nie przyniósł wielkiej poprawy. Miernoty przedstawiające kolejne miernoty, piszczące i wpadające w historyczne tony, jakby mogło to przemienić ich gości w osoby warte słuchania.

Reakcja żeńskiej części publiczności na Viridiane przyprawiła go o mdłości. Prawie się posikały z podniecenia. Następnie pojawiła się uliczna grupa teatralna, którą skonfrontowano z grupą studentów z akademii teatralnej, co przez chwilę wyglądało obiecująco. Członkowie teatru ulicznego zwracali uwagę na związki sztuki z prawdziwym życiem, twierdząc, że wyrażają gniew i lęki wszystkich ludzi, a studenci upierali się, że prawdziwym teatrem jest dla ludzi telewizja, a aktorom potrzebne są: nauka, dyscyplina i wytrwałość. Następnie jeden z nich stwierdził, że każdy głupi potrafi podskakiwać na rynku z nosem clowna, potrząsając tamburynem, na co czarnoskóry chłopak z teatru ulicznego określił przeciwników mianem bandy idiotów. Fenn (razem z całą resztą) oczekiwał interesującego spięcia,

lecz Dave Winch załagodził umiejętnie sytuację w ciągu kilku sekund i program potoczył się dalej.

Fennowi nie podobało się, że kolorowi występują w radiu i telewizji, lecz wiedział, że ludzie z mediów muszą udawać brak uprzedzeń, postanowił więc się temu nie sprzeciwić. Pod warunkiem że nie musiał dotykać żadnego z nich. Na samą myśl o tym dostawał gęsiej skórki. Spojrzał na zegarek. Jeszcze dziesięć minut.

Wojujący miłośnicy teatru zniknęli, a na ich miejsce pojawiła się młoda dziewczyna z trójkolorowymi warkoczykami. Jej pierwszy, niedawno nagrany singiel znajdował się już na siedemnastym miejscu listy przebojów. Wyjaśniła, że ma zamiar rozszerzyć swoje umiejętności i stać się artystką wszechstronną oraz że bierze lekcje tańca i hatha jogi, aby się doskonalić. Wzrok Fenna zaczął błądzić wokół. Zauważył reżyserkę. Siedział w niej jakiś mężczyzna, który spoglądał na zmianę przez szybę w stronę studia i w dół, prawdopodobnie na jakąś niewidzialną aparaturę. Za nim stał inny mężczyzna, trzymający w ręku podkładkę do pisania z klipsem. Obydwaj mieli na głowie słuchawki. Obok stało w wyczekującej pozie kilka młodych kobiet. Zastanawiał się, czy od tego właśnie będzie zaczynać. Od reżyserki. Wyobraził sobie, jak pod koniec sesji zwija taśmę i zwraca się do reszty: „To by było na tyle, dziękuję wam. Znakomity program”.

Ludzie wokół niego zaczęli ze sobą rozmawiać. Wstawali, wkładając okrycia. Program dobiegł końca. On również się podniósł. Część publiczności wchodziła po schodach w stronę wyjścia, inni kierowali się w dół, do poziomu studia. Usunął to na bok część chromowanej barierki i ludzie zbliżali się do mistrzów ceremonii oraz gości. Reżyserka opróżniła się i wszyscy — technicy, muzycy, osoby występujące w programie oraz publiczność — kłębili się wokół.

Fenn dołączył do tłumu. Nie zdawał sobie sprawy, dlaczego to uczynił, wiedział jedynie, że oznacza to możliwość pozostania w budynku jeszcze przez pewien czas. Usłyszawszy, jak dzieciaki płaszczą się przed członkami zespołu, obdarzył ich pogardliwym spojrzeniem. Wokalista, Mel Cazalis, o wytatuowanym, beczkowatym torsie rozsadzającym japońską zbroję ze skóry, był obwieszony dziewczynami, jakby to były medale za udział w walce. Pośrodku jego obfitej, rudej brody zarysowała się nagle niewielka pusta przestrzeń. Wydobył się z niej głos:

— Taaa... Myślę... to znaczy... w porządku... właśnie... absolutnie...

Fenn krążył, niezauważony, na skraju grupy. Stopniowo jego frustracja i niechęć zaczęły słabnąć. Poczł się jak u siebie. Bezpiecznie. Niemal uwierzył, że sam już należy do elity. Do tej nielicznej grupy, którą ledwo dostrzegał przez rozpychając ce się ramiona i powiewające włosy.

Na tyłach studia ustawiono odgrodzone liną stoły, na których znajdowały się sandwicze, kwiaty i butelki wina. Kilka dziewczyn zajmowało się kieliszkami i nerwowo przesuwało wazon. Wyglądały, jakby zstąpiły prosto ze stron magazynu dla nastolatek. Wszystkie miały takie same rozwichrzone włosy, błyszczące rozchylone wargi i zarumienione policzki. Nawet malujący się na ich twarzach wyraz przekomarzania był ten sam: po części „chodź tu do mnie”, po części „nikt mnie jeszcze nie dotknął”. Niektóre z nich miały na sobie ciuchy zapięte od ud aż po linię szczęk, lecz obcisłe jak druga skóra, inne nosiły sukienki tak luźne i odsłaniające tak wiele, że zakrawało na cud, iż w ogóle się na nich trzymały. Wszystkie wpatrywały się w Mela Casalisa, rzucając mu gorące, kokieteryjne spojrzenia. Po chwili Fenn dojrzał, że z tyłu, w cieniu, stoi jeszcze jedna dziewczyna, ubrana w zwykły kostium. Wydawała się starsza od pozostałych i stwarzała wrażenie niemal obojętnej. Uznał, że prawdopodobnie jest ich przełożoną.

Skąd brali te wszystkie dziewczyny? Chyba nie wynajmowali dziwek? Nie. Sprawiały wrażenie pełnych nadziei, lecz nie miało to charakteru profesjonalnego.

Zaczęto kierować publiczność do wyjścia. Z kolei osoby, które wzięły udział w programie, przesuwały się powoli w stronę stołów. Przestrzeń między tymi dwiema grupami szybko się powiększała. Fenn spojrzał na ochraniarzy. Znajdowali się w przejściu w połowie schodów i zwracali uwagę na dwoje drzwi wyjściowych. Wszyscy wychodzili bardzo posłusznie. Grupa z show-biznesu była całkiem spora, a każdy z jej członków — zarówno goście, jak i gospodarze — usiłował zaprezentować się z jak najlepszej strony. Wszyscy mówili, nikt nie słuchał. Fenn zaczął się ociągać. Nie miał żadnego planu, wiedział tylko, że jeśli wyląduje za parę minut na ulicy, znajdzie się dokładnie w punkcie wyjścia. Był w grupie ostatnich kilku osób, wciąż poruszając się wzdłuż rzędu siedzeń. Udał, że upuścił coś na podłogę, i kiedy pozostałe osoby z rzędu przeciskały się obok niego, wybąkał „przepraszam”, a następnie, szybko rozejrzawszy się wokół, przekroczył pustą przestrzeń i doczepił się do skraju magicznego kręgu, włączając się do rozmowy.

— Ten teledysk będzie naprawdę odjazdowy.

—Superancki, człowieku. — To zabrzmiało dobrze. Najlepiej wszystko potwierdzać.

—Oczywiście trzeba będzie trochę pociąć. BBC nigdy nie weźmie tej sceny z dziecięcą trumienką, co nie?

—Nigdy, przenigdy.

—Mieliśmy już kiedyś coś takiego i trzeba było to wyciąć.

—Właśnie.

Wokół serwowano wino. Fenn wziął kieliszek, ledwo dotykając go wargami. Pił niewiele, a dzisiaj całkowita przytomność umysłu była mu szczególnie potrzebna. Przecisnął się do jednego z zaimprovizowanych stołów, uświadamiając sobie, że z powodu przeżywanego napięcia zrobił się głodny. Na talerzach znajdowały się stopy wielobarwnych, brązowych pasków pokrytych małymi stożkami dodatków. Oliwki, ogórki konserwowe, papryczki.

—Hm. Apetyczne. — Wybrał jedną zakąskę i uśmiechnął się do dziewczyny stojącej za stołem, gotowej dopełnić kieliszek, zaoferować kanapkę, pomóc się rozluźnić. Ta dziewczyna należała do rodzaju zapiętego pod szyję. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, lecz bez przekonania. Poczul ukłucie gniewu, uświadamiając sobie, że próbowała go ocenić, zastanawiając się nad jego statusem, po czym zdecydowała, że zalicza się do niższej rangi, być może do osób, które czepiają się sław. Kiedy osiągnie sukces, podobne dziewczyny będzie miał na śniadanie. Zacznie od tej. Jej uśmiech rozjaśnił się nagle o tysiąc watów. Do stołu podszedł gitarzysta solowy, wymachując pustym kieliszkiem, który na oczach Fenna został napełniony mniej więcej dziesięć sekund wcześniej. Po płonących policzkach dziewczyny przesunęły się rzęsy przypominające pokryte sadzą pióra. Jej biust opięty był brokatowym żakietem. Fenn pomyślał, że sprawia wrażenie, jakby przywoływał gitarzystę do siebie. Dziewczyna opróżniła butelkę do jego kieliszka, lecz ten wciąż pozostał napełniony jedynie do połowy. Odwracając się, zawołała:

—Soniu? Czy mamy więcej Sancerre?

Do przodu podeszła dziewczyna w ciemnym kostiumie. Fenn szybko odwrócił się i wmieszał w tłum. Z bezpiecznej odległości przyjrzał się jej dokładnie. Próbował nie podniecać się za bardzo. Na świecie było więcej Soń, a w City Radio też pracowała niewątpliwie niejedna. Nie wyglądała ciekawie. Może jednak będzie mógł z tego wyciągnąć korzyść dla sie-

bie. Ułatwić sobie zadanie. Wyglądała na taką, która będzie wdzięczna za najmniejszy okrucieństwo miłosierdzia. Przeszedł do innego kręgu osób, gdzie jedna z krążących dziewczyn oferowała; kanapki. Wziął jedną — miała nieco rybi smak, a gdy wbijał w nią zęby, ciągnęła się jak guma.

— Mam bzika na punkcie twojej płyty. — Dziewczyna spojrzała na Cazalisa. — Słuchałam jej już ze sto tysięcy razy. — Znacząca pauza. — Zwłaszcza tuż przed pójściem do łóżka.

— Taaa? — objął ją ramieniem i ścisnął jej pierś.

— Zanim idę do łóżka... — Skłonił głowę w jej stronę. Fenn podszedł do kolejnej grupy, ścigany salwą śmiechu.

Tutaj znajdowały się gwiazdy błyszczące o wiele słabiej i dużo łatwiej było zwrócić na siebie uwagę obsługującej dziewczyny.

— Wydaje mi się, że to Sonia Marshall? Tam, w ciemnym kostiumie?

Dziewczyna podążyła za jego wzrokiem.

— Zgadza się.

Aby mieć stuprocentową pewność, dodał:

— Sekretarka Roz Gilmour?

— Hm. — Odwróciła się, zostawiając Fenna, który zaczął oswajać się z tym ostatnim objawem szczęśliwego trafu. Usiłował powściągnąć wybiegającą w przyszłość wyobraźnię, bo- wiem w tym niesamowicie korzystnym zbiegu okoliczności do- strzegł rozwiązanie wszystkich swoich problemów. Musi rozegrać to bardzo, bardzo ostrożnie. Podszedł do stołu.

— Czy mogę odstawić te kanapki z powrotem? — Postawił talerz z dwiema kanapkami na stole. — Na takich spędach jedzenie jest zawsze takie samo. — To było sprytne. Sugerowało, że jest *au courant* w tych sprawach. — Jestem pewien, że większość obsługuje ta sama firma cateringowa. — Zrobił pauzę, po czym pod wpływem nagłego pomysłu dorzucił: — Prawdopodobnie Dunlop.

Sonia spojrzała na niego, lecz się nie uśmiechnęła. Od kiedy tylko się pojawiła dwie godziny temu, zastanawiała się, dlaczego od tak dawna chciała się znaleźć w *Saturday Show*. Powinna była wiedzieć, jak to będzie wyglądać. Tkwiała najpierw w szatni, a pozostałe dziewczyny ledwo zwracały na nią uwagę, chociaż spotykały się codziennie w pracy. Miała na sobie swój czarny kostium, który wydawał jej się taki elegancki, oraz białą bluzkę z angielskim haftem.

Kostium ten Sonia kupiła u Browna, poświęcając nań niewielką fortunę. Na ciuchy wydawała dużą część pensji, lecz efekt nigdy nie był zado-



walający. Nigdy nie przypominała Louise, która wydawszy pięć funtów na targu staroci Portobello, wyglądała, jakby spędziła dzień u Yves St Laurenta. Z Sonią było dokładnie na odwrót.

Kiedy wszyscy ruszyli w stronę stołów, ujrzała nagle samą siebie w ostrym, okrutnym świetle. Wyglądała jak wrona w gnieździe motyli. Uświadomienie sobie tego odebrało jej resztki pewności siebie, pozostała więc w cieniu, marząc jedynie o tym, by impreza się skończyła i by powróciło poczucie bezpieczeństwa, jakie zapewniało sprawianie pozorów. I by mogła uwierzyć, że pewnego dnia nastąpi transformacja. Że pewnego dnia wszystko się zmieni. A teraz podszedł do niej jeden z gości, prawdopodobnie litując się nad jej odosobnieniem i pragnąc spełnić swój dobry uczynek na ten dzień. Miał zdecydowanie protekcjonalny ton. Fakt, że był przystojny, jedynie wzmacniał jej irytację.

— Nie orientuję się w tym — odparła. — Rzadko biorę udział w tych „spędach”, jak pan je nazywa. Pomocnicze rekrutuje się zazwyczaj spośród maszynistek. Jedna z dziewczyn zachorowała w ostatniej chwili i zgodziłam się ją zastąpić.

Oczywiście przejrzał ją. Dostrzegł przyjętą przez nią postawę obronną. Musiał sprawić, aby uznała go za sprzymierzeńca. W tym momencie był dla niej najwyraźniej jednym z wybrańców. Postanowił podjąć pewne ryzyko. Postawił na to, że dziewczyna czuje się odizolowana i samotna i że ma określone poglądy na temat poprawnego zachowania.

— Okropnie przepraszam. Poczuję się... nieco zagubiony. Dziewczyny tego rodzaju... — skinął głową za siebie — takie eleganckie i twarde, wzbudzają we mnie niepokój. Obawiam się, że się zagalopowałem. — Z zaschniętym gardłem odwrócił się od niej.

— Och! Proszę nie odchodzić. — Sonia, wdzięczna teraz za to, że okazał swoją bezbronność, uśmiechnęła się do niego. — To ja powinnam przeprosić. W końcu jestem hostessą i do tej pory zupełnie się nie wykazałam. Ehm... czy ma pan ochotę na jeszcze jedną zakąskę?

Zwrócił się w jej stronę. Dziewczyna zapomniała już jego pierwsze słowa, co pokazywało, jak bardzo jest zmieszana. Dobry znak. Sytuacja zaczęła powoli zmieniać się na jego korzyść.

— W zasadzie nie — odpowiedział z uśmiechem. — Dziękuję.

— Może trochę wina... — Zostawił swój kieliszek na innym stole. — Widzę, że pan nic nie pije.

Zawahał się.

— No cóż... może pół kieliszka... Mówiąc szczerze, rzadko piję...

— Ja również. To znaczy... ja też piję niewiele.

To nie była zupełnie prawda. Czasem w swoim maleńkim mieszkaniu, uwolniona od potrzeby okazywania dobrego humoru, Sonia zanurzała się przez cały wieczór — a raz w tygodniu przez cały weekend — w kontemplacji i opróżniała przed pójściem do łóżka przeszło połowę butelki. Teraz, zadowolona z tego, że przed rozpoczęciem programu odłożyła na bok dwie szklanki, napełniła je do połowy.

— Czy myśli pani, że moglibyśmy usiąść?

Sonia rozejrzała się wokół. Nie było wiele krzeseł, lecz stopnie prowadzące do podium spikera były pokryte grubym dywanem i stały na nich palmy w doniczkach, które zapewniały pewną prywatność.

— Może tam?

— Wspaniale. — Podążył za nią i usiedli obok siebie ze szklankami w dłoniach. Studiowali się wzajemnie badawczo: Sonia ukradkiem, a Fenn, spoglądając na nią spokojnym, przyjacielskim wzrokiem.

Zastanawiał się, ile ma lat. Gdzieś pomiędzy dwudziestoma ośmioma a trzydziestoma pięcioma. Miała mizerne włosy i chociaż zostały uczesane bardzo wymyślnie, rozlatywały się już, tworząc niesforne pasma. Jej kołnierzyk pokryty był łupieżem. Miała ciemnobrązowe oczy, twarde jak bukowe orzeszki. Szminka była zdecydowanie zbyt jaskrawa, popełniła też błąd, wykraczając konturówką poza swoje wąskie wargi i nie wypełniając dokładnie całej przestrzeni, wskutek czego wydawało się, że ma dwie pary ust. Miała na sobie czarny garnitur i koronkową bluzkę, pod którą, o ile mógł ocenić, kryła się praktycznie zapadnięta klatka piersiowa.

Z kolei Sonia poczuła ulgę, stwierdziwszy, że jej pierwsze wrażenie — iż jest uderzająco przystojny — okazało się niezupełnie trafne. Jego oczy, osadzone dość blisko siebie, miały niezwykle dziwny kolor. Tęczówki, prawie bursztynowe i nieznacznie wydłużone, przypominały jej oczy kozy. Nos opadał prostą linią spomiędzy brwi, tak jak hełm starożytnego Rzymianina. Miał bardzo wydatną, nieco wydętą dolną wargę, a z tyłu na szyi widniały blizny po trądziku. I szyja, i dłonie były bardzo zaczerwienione, jakby szorował je często i zapamiętałe. Miał zadziwiająco czyste paznokcie i rozsiewał przyjemny, lecz antyseptyczny zapach.

Pomyślała, że jak na kogoś związanego ze sceną rockową, ma na sobie dosyć osobliwe ciuchy. Dopasowany do koszuli krawat, torlenowe spodnie, a nawet chusteczkę w kieszonce marynarki, ułożoną tak, by ukazywała trzy

rozki. Oczywiście, mogła to być najnowsza moda (podobnie jak wieszanie spodni na ścianie jako ozdoby), lecz wątpiła w to. Nie roztaczał atmosfery pewności siebie ani nie sprawiał wrażenia, że należy do prawdziwej awangardy. Nie. Pod względem ubioru pozostał daleko z tyłu.

Fenn zauważył natychmiast po przybyciu do studia, że cały personel nosi dzinsy lub sztruksy oraz zwyczajne swetry i skórzane marynarki, a w jednym wypadku dostrzegł jaskrawy trykot w tęczowe paski. Teraz zobaczył, że Sonia obrzuca go wzrokiem, i prawidłowo odgadł, do jakiego wniosku doszła. Nie miał ochoty przyznać, jak bardzo się pomylił, lecz musiał się zmierzyć z tym faktem i naprawić, jeśli to możliwe, swój błąd.

—Nie myślisz chyba, że zazwyczaj tak się ubieram? — Wziął w palce z odrazą fałdę torlenu. Gdyby był w stanie trzymać ją na odległość, na pewno by to uczynił.

—Hm... — Błada skóra Soni pociemniała, gdy zauważyła, że czyta w jej myślach. Nie był to delikatny rumieniec wypływający na policzki, lecz nierównomierne plamy. Wydawało się, że z powodu zakłopotania wydłużył jej się nos.

—Miałem przesłuchanie. Chodziło o rolę tego rodzaju. No wiesz... postać okropnego, małego ekscentryka, niemającego pojęcia o tym, co jest modne. — Słowa te sprawiły mu przykrość, ale musiał się postarać, żeby zabrzmiało to przekonująco. — Pomyślałem, że jeśli upodobnię się do tej postaci, to będę miał większą szansę otrzymania roli.

—Oooch... jesteś *aktorem*. W takim razie, co tu robisz?

—Po prostu się dopasowuję... — Fenn przeciągnął wzrokiem po niedobitkach grupy, teraz niemal sztywnych od alkoholu i obwieszonych damskim ciałem. Torowali sobie drogę w kierunku drzwi prowadzących do opuszczonych pomieszczeń biurowych. Pomachał im ręką. Drugi gitarzysta podniósł pięść przypominającą szynkę z Yorku i zamruczał coś niezrozumiałego.

—Kenton to mój kolega ze szkoły teatralnej. Płaci mi za pomoc w robieniu publicity.

Sonia, kompletnie obezwładniona, studiowała uważnie hortensje. Okazało się to błędnym posunięciem. Mel Cazalis, ledwie schowany za dużymi, niebieskimi kwiatami, wsuwał właśnie rękę w majtki nadzwyczaj zmysłowej dziewczyny. Daleka od odepchnięcia jego dłoni, uśmiechała się z zadowolaniem, jakby między jedwabiem a skórą udało jej się zdobyć jakąś

rzadką nagrodę. Uświadomiwszy sobie, że Fenn podążył za jej wzrokiem, Sonia pospiesznie odwróciła wzrok.

—Nie mogę znieść tego wszystkiego — ciągnął Fenn. — Narkotyki, seks, alkohol... oni wszyscy są już wypaleni. Co będą mieli do zaoferowania tej jednej właściwej dziewczynie, gdy się pojawi? — Rzucił jej spojrzenie z ukosa. — Przepraszam. Mam wrażenie, że zabrzmiało to okropnie staroświecko.

—Nie wydaje mi się, abys musiał się usprawiedliwiać. Miło pomyśleć, że niektórzy ludzie wciąż myślą w ten sposób.

—Nie mógłbym kochać się z dziewczyną, jeśli nie brałbym jej zupełnie poważnie... — Obserwował Sonię kątem oka i widział, jak obciąga mankiety, usiłując przykryć ślady egzemy. — Ale wciąż mówię tylko o mnie. Powiedz mi coś o sobie. Nie znam nawet twojego imienia.

—Sonia. Sonia Marshall. Nie mam wiele do powiedzenia. Jestem po prostu sekretarką. — Do licha! Dlaczego to powiedziała? Przecież to nieprawda. Współpracowała blisko z bardzo interesującymi ludźmi.

—Och, daj spokój, Soniu. Wystarczy rzucić na ciebie okiem, aby się zorientować, że nie jesteś tylko sekretarką.

—No cóż... — Zadowolona z szansy rozwinięcia tego tematu, dodała: — Obecnie pracuję nad programem *Pogawędki z Roz*. Szukam materiałów, sprawdzam fakty, umawiam spotkania... no wiesz.

—Ależ ja uwielbiam tę audycję. To jeden z moich ulubionych programów. Musisz mi wszystko o nim opowiedzieć. Jaka ona naprawdę jest?

To było niewłaściwe pytanie. Zauważył, że Sonia spojrzała na niego z większą rezerwą. A więc nie lubiła swojej szefowej. Starał się zapamiętać ten fakt, aby wykorzystać go w przyszłości. Mogło się to okazać bardzo użyteczne.

Sonia wzruszyła ramionami.

—W porządku. Podobnie jak wiele sławnych osób. Jeśli pozna się je bliżej, okazują się dość zwyczajne.

—A w jaki sposób ty trafiłaś do radia?

Tylko tyle było trzeba — przypadkowego pytania i skinięcia głową z zainteresowaniem — aby przez następnych dwadzieścia minut Sonia mówiła bez przerwy. Gdy wyczerpała temat, nie było już niemal nikogo. Kiedy tylko przestała mówić, zaczęła się martwić, że zbyt szybko się rozgadała i go zanudziła. On jednak wydawał się równie zainteresowany jak na początku.

—Zastanawiam się... — przerwał, odwracając od niej wzrok. — Nie... to nieważne... pomyślisz, że jestem niemądry...

—Nie, na pewno nie. Proszę, powiedz, co chciałeś powiedzieć... — Nagle przyszło jej do głowy, że może chce zaprosić ją na lunch. Żołądek ścisnął jej się z wrażenia. Co miała na to odpowiedzieć? Jak powinna się do tego ustosunkować? Jednak jego kolejne słowa uspokoiły ją i jednocześnie rozczarowały.

—Czuję się jak jakiś głupi wielbiciel... Miałem ochotę... — Znów przestał mówić i udało mu się przybrać wygląd osoby nieśmiałej, pełnej nadziei i zarazem podnieconej. Pomyślał, że przedstawiając się jako aktor, nie odbiegł daleko od prawdy. — Tak bardzo chciałbym zobaczyć, gdzie pracujesz. Gdzie naprawdę zaczynają się *Pogawędki*. — Zauważywszy wyraz jej twarzy, dodał natychmiast: — Wiedziałem, że pomyślisz, iż jestem niemądry.

—Ależ wcale tak nie myślę! — Podniosła się, obserwując, jak jego twarz się rozjaśnia, a oczy zaczynają błyszczeć. Gdyby mu odmówiła, przypominałoby to odmówienie dziecku jakiegoś przysmaku. — To na czwartym piętrze. Chodź ze mną... musimy wziąć windę.

Podążył za nią za kurtynę, po czym wyszli na korytarz. Winda była niewielka. Fenn stanął tuż obok niej, dając bez słowa do zrozumienia, że pragnąłby stanąć jeszcze bliżej. Kiedy wyszli z windy, Sonia zwróciła się w lewo i natychmiast znów skrzyła w lewą stronę. Łatwo zapamiętać. Na drzwiach nie było żadnej tabliczki.

Gdy weszli do środka, poczuł najpierw intensywne rozczarowanie. Zabłaganiona, mała dziura. Spodziewał się wspaniałych dywanów, olbrzymiego biurka i, być może, puszystej sofy. Tu jednak podłogę pokrywała tandetna, brązowa wykładzina sznurkowa, a pokój wypełniały poobtłukiwane szare szafki na dokumenty, dwa standardowe biurka oraz sterty reklamówek. Do tablicy z korka przyczepione były widokówki z wakacji i kartki z notatkami. Podobnie jak w każdym zwykłym biurze.

Na jednej ze ścian wisiało wielkie zdjęcie Roz (nie to, które miał w domu). Wyglądała bardzo pięknie. Wiatr zdmuchnął pasmo włosów na jej usta. Pochylała się w stronę jakiegoś dziecka i zwracała do niego, trzymając w dłoni mikrofon. Uśmiechała się, a dziecko odwzajemniało jej uśmiech. Do fotografii przypięta była kręcona, zawadiacka broda wykonana z czarnego papieru.

—Czy nie powinnaś tego zdjąć... zanim to zobaczy w poniedziałek?



—Och, ta broda wisi tam już od wieków. Przypiął ją Duffy z pokoju reporterów. Kiedy próbowałam ją usunąć, Roz się nie zgodziła. Stwierdziła, że z nią wygląda lepiej.

Obydwoje wpatrywali się w zdjęcie i przez chwilę połączyło ich odczuwane z osobna, niewypowiedziane uczucie niechęci. Sonia zastanawiała się, jak jakakolwiek kobieta może być tak beztroska wobec swojego wizerunku, by pomyśleć, że czarna broda to coś do śmiechu, natomiast Fenn rozmyślał, czy Roz rzeczywiście poinstruowała Sonię, co ma do niego napisać.

—Masz dużo roboty z pocztą przychodzącą do programu?

—Wielkie nieba, tak! Oczywiście, czasem zdarza się, że sama odpisuje na jakiś list, ale zazwyczaj przekazuje wszystko mnie. Całe to współczucie, które płynie w eterze strumieniami... wystarczy trochę tu popracować, by nauczyć się podchodzić do tego sceptycznie.

Tego właśnie spodziewał się Fenn. Jeśli ktoś szczerze przejmuje się ludźmi pozbawionymi środków do życia albo nieudacznikami, z pewnością jest naiwnym głupcem. Dowiedział się jednak tego, na czym mu zależało. To Sonia wysłała list z własnej inicjatywy. Roz nie wiedziała nawet, że do niej napisał. Następnego podejścia musi dokonać w sposób o wiele bardziej bezpośredni. Jeśli Sonia jest tak kompetentna, jak twierdzi, to na pewno ma numer Roz w swojej książeczce z adresami.

—Zadowolony? — Studiowała go łobuzersko, przechylając głowę. Pomyślał, że wygląda zupełnie jak jakaś cholerna papużka.

—No cóż... mówiąc prawdę, jestem nieco rozczarowany. Spodziewałem się czegoś bardziej olśniewającego.

—Moim zdaniem zagłądanie za kulisy jakichkolwiek mediów to błąd — Sonia mówiła ze swobodą, czując się pewnie na własnym gruncie. — Wiesz, tak samo jest z filmami i telewizją. Miejsca, w których naprawdę się pracuje, są zazwyczaj dość obskurne.

—Masz rację. — Przypomniawszy sobie swój rzekomy zawód, Fenn dodał szybko: — Zupełnie tak samo jest w teatrze za kulisami sceny. Bardzo tandetnie.

Gdy zwrócili się w stronę wyjścia, dotknął jej ramienia.

— Soniu, wiem, że to sobota, więc pewnie jesteś zajęta... i zdaję sobie sprawę, że to w ostatniej chwili, ale czy... — wyrzucił w pośpiechu resztę zdania: — zjadłabyś ze mną obiad?

Sonia odwróciła wzrok. Poczuła, jak czerwienieją jej policzki i zaciska się gardło. Powstrzymała się przed natychmiastowym zaakceptowaniem propozycji. Ludzie traktują człowieka tak, jak on ocenia sam siebie. Nie chciała, aby pomyślał, że nie ma żadnych planów. Że nigdy nie ma żadnych planów. Z drugiej strony, jeśli okaże wahanie lub podejmie jeszcze większe ryzyko i mu odmówi, czy zaprosi ją znowu?

— No cóż... — Wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić. — To dosyć trudne... — Nie zdając sobie z tego sprawy, zacisnęła dłonie. Fenn zauważył, jak bieleją jej kostki. — Jestem z kimś od dawna umówiona...

Wiedział, że jeśli zachowa milczenie jeszcze przez chwilę, Sonia zasugeruje odwołanie wyimaginowanej randki. Wiedział również, że prawdopodobnie poczuje się dotknięta brakiem reakcji.

— Nie możesz się z tego wycofać? Zadzwoń do niego? Postaraj się o jakąś wymówkę. — Uczynił krok w jej stronę. — Proszę cię.

— Udało ci się mnie przekonać. Jemu to się nie spodoba, ale... — uniosła dłonie do góry, podkreślając, do jakiego stopnia Fenn wywiera na nią wpływ — w porządku.

— Wspaniale! Zapisz mi swój adres. Wpadnę po ciebie około wpół do ósmej.

Ale nie w tych ciuchach, pomyślał. Pół godziny później wszedł do dużego sklepu z modą męską w pobliżu Piccadilly. Historia z przesłuchaniem raz zdała egzamin, wieczorem jednak nie będzie mógł pokazać się w tym samym ubraniu. Spacerował pełen zadowolenia wokół wysoko sklepionych pomieszczeń ze szkła i chromu.

Wybrał parę spodni o wąskich nogawkach, ze sztruksu w błotnistym kolorze, zielony sweter z włoską metką oraz stylową szaro-brązową marynarkę. Ekspedientowi z działu konfekcji wyjaśnił, że zabiera ze sobą marynarkę i spodnie na parter, aby dobrać do nich koszulę, a ekspedientowi z działu koszul oznajmił, że zabiera tę, którą wybrał, z powrotem do działu konfekcji na górze, aby sprawdzić, czy pasuje do jego marynarki. Obydwaj ekspedienci uśmiechnęli się przyzwalająco.

Wślizgnął się do przymierzalni, odciął nożem plastikowe plakietki zapobiegające kradzieży i włożył na siebie wybrane sztuki odzieży. Pasowały znakomicie. W tym ubraniu sprawiał wrażenie wyższego. Wydawało się, że również jego cera zmieniła kolor, przyjmując cieplejszy odcień, niemal sugerując opaleniznę. Przełożył pieniądze (prawie trzydzieści funtów), klucze i nóż do kieszeni nowych spodni i odsunął zasłonę.

Sobota była dobrym dniem na zakupy. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi. Odsunął zasłonę nieco dalej. Dostrzegł tylko jednego ekspedienta, który próbował obsługiwać dwóch klientów. Fenn zaczerpnął głęboki oddech i wyszedł z kabiny. Ruszył przed siebie. Niedaleko szczytu schodów znajdowało się lustro. Gdyby ktokolwiek go zauważył, mógł udawać, że po prostu szuka lustra, aby się sobie przyjrzeć. W momencie gdy do niego doszedł, nadjechała winda. Otworzyły się jej drzwi. Wślizgnął się do środka z parą innych klientów i dwie minuty później znalazł się na ulicy.

Czuł się wspaniale. Pocił się nieco (kropelki potu na górnej wardze chłodziły mu skórę), lecz był bardzo podniecony. Miał na sobie niezwykle elegancki ekwipunek, wart — wyciągnął z kieszeni metki z cenami — trzysta dziewięćdziesiąt sześć funtów.

Tak się wczuł w nowo przyjętą osobowość, że dopiero w ostatniej chwili powstrzymał się przed zatrzymaniem taksówki. Przy takim tempie jego trzydzieści funciaków nie wystarczyłoby na długo. Nienawidził myśli o powrocie do tandetnej okolicy, w której mieszkał, lecz musiał zabić czas do spotkania z Sonią. Zwolnił kroku. Znajdował się przy Royal Academy. Było to miejsce ciepłe i darmowe, lecz nudne. Naprzeciw muzeum zegar na domu towarowym Fortnum wybił godzinę drugą, a znane figury wytoczyły się powoli na zewnątrz i wróciły do środka. Przeszedł przez ulicę. U Fortnuma również było ciepło i darmowo — i absolutnie nie było mowy o nudzie. Wszedł do środka.

Posuwał się po grubym dywanie, wdychając równomiernie i głęboko bogaty, cudowny aromat. Na parterze był to zmieszany zapach dojrzałych owoców, kawy, czekolady, przypraw i słodczy w miodzie oraz przebijająca to wszystko nieokreślona woń — destylat wszystkiego co ekskluzywne, wyborne i kosztowne. Zapach pieniędzy.

Tuż za drzwiami, po prawej stronie, znajdował się wielki kosz owoców. Brzoskwinie z zaróżowioną, meszkowatą skórką, czerwieniejące, nawoskowane i dziobate granaty, perfekcyjne nektarynki. Owoce spoczywały na świeżych paprociach i źdźbłach trawy. Obok nich stały koszyczki wypełnione małymi truskawkami, nie większymi od paznokcia kciuka. Fenn zastanawiał się, skąd pochodzą, jako że był listopad.

Przeszedł do działu z winami. Stały tutaj biurka i eleganckie krzesła, a na jednym z nich siedział gruby mężczyzna w garniturze w prążki, omawiający listę win z młodym człowiekiem, który okazywał mu uwagę w najbar-

dziej nienaganny i uprzejmy sposób, mimo że spowity był dymem z cygara swojego klienta.

Fenn przechadzał się wzdłuż piramid słoików z miodem i konserwowanym imbirem, pomalowanych na chińską modłę w kwiaty i smoki. Minął dział żywności przetrzymywanej w ladach chłodniczych, różne rodzaje glazurowanych ciast (z niektórych sterczały małe stopki) oraz dział z przysmakami wieprzowymi. Herbata i kawa znajdowały się w dużych ciemnobrązowych puszkach, sprawiających wrażenie, że stoją tam od momentu, w którym otwarto sklep po raz pierwszy. Interes kwitł, lecz nie czuło się pośpiechu. Mężczyzna w jasnym garniturze zapytał Fenna, czy może mu w czymś pomóc, a usłyszawszy odpowiedź odmowną, wycofał się grzecznie, wykonawszy zapraszający gest, tak jakby Fortnum był jego domem, a Fenn długo oczekiwanym gościem.

Fenn wszedł po kilku schodach i znalazł się w cukierni. Były tu niezliczone rzędy delikatnych jak piórko ciasteczek, waty cukrowej, karmelu i świeżej bitej śmietany. Jakaś kobieta w jasnym futrze z norek wskazywała kolejne półki, a ekspedientka chwyciła ciastka srebrnymi szczypcami. Robiła to bardzo umiejętnie, nie zaburzając w najmniejszym stopniu dekoracji ani nie ściskając ciastek i nie niszcząc ich kształtu. Wkładała je do dużego pudła z takim szacunkiem, jakby to były królewskie klejnoty. Trzymany przez kobietę mops, z fałdami cętkowanego tłuszczu wylewającymi się z nabijanej kosztownościami obroży, uniósł skórzastą wargę i warknął na Fenna.

Ten przeszedł na drugie piętro. Tutaj zapach był inny. Prawdziwie kobiecy, niemal zmysłowy. Kosmetyki, odzież, akcesoria. Czysty jedwab i autentyczna koronka, torebki ze skóry aligatora i francuskie perfumy. Dotknął zestawu składającego się z koszuli nocnej i peniuaru: migoczące wodospady satyny w kolorze kości słoniowej. Wyobraził sobie osobę noszącą coś takiego: szczupła, z wysokim biustem, o skórze zawsze połyskującej złotym odcieniem. Miała długie, faliste włosy, kosztownie ufarbowane, ze stonowanymi pasemkami, spływające na delikatne, młode ramiona. Fenn podszedł do jednego ze stoisk perfumeryjnych.

Potem, gdy miał czas, aby spokojnie pomyśleć, zdziwiło go to, co uczynił. Z pewnością tego nie planował. Po drugiej stronie kontuaru ekspedientka pochylała się ze śmiertelną powagą nad starszą damą i wahała na zmianę jej pokryte piegami nadgarstki. Dłoń Fenna zacisnęła się wokół

opakowanego w celofan pudełka. Rozejrzał się wokół, opuścił rękę wzdłuż boku i odszedł.

Tym razem nie odczuwał lęku. Wiedział, że jest bezpieczny. Czuł się tak pewnie, że nie próbował opuścić sklepu, lecz po prostu wrócił na parter z pudełkiem w kieszeni. Usłyszał za sobą szczerkanie sztućców i gwar głosów. Odwrócił się i podszedł do wejścia restauracji Fountain. Stoliki były zajęte, lecz przy barze dostrzegł parę wolnych miejsc.

Zaprzagnął nagle z całej siły usiąść tam, aby stać się członkiem tego tłumu, który robi zakupy bądź zabija popołudniowe godziny u Fortnuma. Nie miał pojęcia, ile może kosztować obiad, ale i płacenie tu za coś równie niewyszukanego jak czarna kawa też było szaleństwem. Przeszedł przez tłum, torując sobie drogę wśród paczek i toreb leżących u stóp zasobnych klientów, i wspiał się na jeden ze stołków. Spojrzawszy w lustro, przeżył szok. Tak swobodnie się już czuł w nowym ubraniu, że zapomniał, iż ma je na sobie.

Stojąca za barem ładna dziewczyna z kręconą czupryną i przypiętym do fartuszka goździkiem uśmiechnęła się do niego.

— Czy mógłbym zobaczyć menu? — Natychmiast poczuł się głupio. Serwowano tu bardzo niewiele potraw, więc z pewno ścią nie było żadnego menu. Prawdopodobnie powinien po prosić o cennik.

Ona jednak znów się uśmiechnęła, mówiąc:

— Oczywiście, proszę pana — po czym podała mu dużą kartę. Nie zajął do niej od razu, lecz zaczął obserwować w lu

strze znajdujący się za nim tłum. Wydawało się, że wokół jest mnóstwo dzieci, zjadających ze smakiem ciastka i lody. Nie które miały na sobie szkolne mundurki, inne — dzinsy i jaskrawe bluzy. Jedno z nich miało baseballową czapkę i rękawicę, inne, w T-shircie z wizerunkiem Myszki Miki, trzymało sztuczną rękę rodem z horroru — wielką i owłosioną, z ociekającymi krwią pazurami. Wśród dorosłych byli Japończycy i Arabowie oraz frapujący Amerykanin nieokreślonej płci w kapeluszu w kratkę.

— Czy już się pan zdecydował?

— Przepraszam... nie... — Przystudiował kartę. Poczuł, że nie ma ochoty zamawiać niczego tak banalnego jak kawa, chociaż prawdopodobnie była tu pyszna. Były tu najróżniejsze rodzaje deserów, ciast i opiekaných sandwiczów. Poczuł się zagubiony, lecz postanowił ukryć ten fakt.

—Poproszę... granite...



—Al caffè?

—Tak. Tak, dobrze.

Już chciał spojrzeć na cenę, lecz się powstrzymał. Jak brzmiało to powiedzenie? Jeśli musisz pytać o cenę, to znaczy, że nie możesz sobie na to pozwolić? Zamknął zdecydowanie kartę i wręczył ją z powrotem. Chwilę później dziewczyna postawiła przed nim wysoką szklankę wypełnioną półpłynnymi, brązowawo-czarnymi kryształami pokrytymi skręconą kupką bitej śmietany. Obok leżała długa srebrna łyżka, serwetka oraz rachunek. Nie spojrzawszy nań, wsunął go do kieszeni marynarki.

Zanurzył łyżkę w śmietanie, czując, jak na jej czubku zgrzytają granulki. Następnie wyjął ją, w połowie pełną granity, w połowie pokrytą bitą śmietaną. Przyglądał się temu przez chwilę — śmietana zmieniała już barwę na głęboki odcień toffi — po czym włożył łyżkę do ust.

Nigdy nie kosztował niczego, co choćby odrobinę przypominało to, co spożywał. Było to jednocześnie gorzkie i słodkie, z aromatem świeżo zmielonej kawy. Śmietana miała najdelikatniejszy ślad zapachu wanilii, który w pewnym sensie podkreślał kawowość granity. W ciepłej jaskini jego ust smaki pozostały przez chwilę rozdzielone, po czym zmieszały się i stopiły ze sobą, zaakcentowały bosko swoją obecność, a następnie równie błyskawicznie zniknęły. Zaczerpnął łyżką drugi, cudowny kęs. I jeszcze jeden. Teraz pozostała już tylko niewielka, płowa kałuża na dnie szklanki, której nie mógł wydo- stać bez przechylenia naczynia i wylania jej z niego, do czego się nie poniżył. Odłożył łyżkę.

Otoczony odgłosami jedzenia i rozmów, przestał odczuwać swoją inność. Czuł się ciepło i bezpiecznie. Nagle, bez specjalnego powodu, przypomniał sobie stos ubrań, które zostawił w przymierzalni. Poirytowany, wypchnął z myśli ten obraz. Nie pasował do doskonałej chwili obecnej. Nie udawało mu się jednak wyrzucić go z pamięci. Drażnił go, jak pierwszy odgłos realnego świata w przeżywanym śnie. Stopniowo przenikające go poczucie przynależności do tego miejsca zaczęło się zacierać. Czując przezywający ciało chłód, wyjął z kieszeni rachunek.

Jezu Chryste miłosierny! Położył na spodku nieco drobnych dla barmanki, zapłacił przy staromodnej kasie i wyszedł na Jermyn Street, zanurzając się w gęstym deszczu.

## Rozdział trzeci

Ależ wspaniałe zapach. Na zewnątrz wszystko było ponure. Twarde, listopadowe niebo i czarne, kolczaste platany. W gabinecie Roz panowała atmosfera przypominająca wiosenny dzień. Ciepły, zielony i świeży, kiedy to rozchylają się pąki kwiatów i wszystko kwitnie.

—Och... — Sonia rzuciła niedbałym tonem, lecz twarz i szyja poczerwieniały jej z radości. — Podoba się pani?

—Jest boski. Co to takiego?

Sonia zmarszczyła brwi, jakby codziennie musiała rozważać wybór jednej z pięćdziesięciu różnych buteleczek.

—Hm. — Odwróciła dłoń i powąchała pokrytą łuskami skórę. —Joy... tak mi się wydaje...

—Joy! Mój Boże! Jak ty to robisz? Musielibyśmy chyba zaciągnąć drugą hipotekę, żebyśmy mogła sobie pozwolić na Joy!

Sonia obdarzyła Roz twardym, zimnym spojrzeniem. Uwaga dotycząca pokoju reporterów wciąż rozbrzmiewała w powietrzu i Roz nie powinna myśleć, że podlizując się jej, załagodzi sprawę na dobre.

— Droga pani Gilmour, ja nigdy nie kupuję sama perfum. — Była to prawda. Po opłaceniu czynszu i komunikacji, kupieniu czegoś do ubrania i paru butelek wina, nigdy nie zostawało jej nic na błahostki. — Dostałam je od swojego chłopaka. Dał mi je w sobotę wieczorem. — Poszperała w torbie. — Może chciałaby pani spróbować?

Obojętnym gestem przekazała jej perfumy. Och, ten wyraz twarzy Roz. Dla tego widoku warto było stracić odrobinę zapachu. Roz z wahaniem wzięła buteleczkę.

— Czy to prezent urodzinowy?

— Och, nie. Bez specjalnej okazji. On taki już jest — jej ton sugerował niekończącą się karawanę egzotycznych podarunków. Małpy, kość słoniowa, pawie. Naszywane klejnotami szaty i drzewo sandałowe. Chiński jedwab.

Roz wyjęła koreczek.

— Jesteś pewna?

— Proszę bardzo. — Sonia zaczęła stukać w klawisze. Roz szybko przechyliła buteleczkę w stronę nadgarstka i znowu ją zamknęła. Potarła nadgarstki o siebie, po czym postawiła buteleczkę na biurku Soni.

—Dziękuję. On musi być strasznie bogaty.

—Kto?

—Twój chłopak, oczywiście.

—Nie wydaje mi się. Mieszka nad barem z frytkami w Islington. Dlaczego? Czy te perfumy są drogie?

—Żartujesz sobie? Buteleczka tej wielkości musiała kosztować go parę setek.

Sonia przestała pisać. Spojrzała przez biurko na Roz, przetykając z wysiłkiem ślinę.

— Funtów? — z jej ust wydobyło się jedynie coś, co przypominało skrzek.

— Nie wiedziałaś o tym?

Sonia, teraz całkiem pobladła, potrząsnęła przecząco głową. Nic dziwnego, że Fenn nie był w stanie zabrać jej na obiad.

Spóźnił się niemal pół godziny. Już od godziny była gotowa, wypróbowała uprzednio wszystkie części swojej garderoby przynajmniej dwukrotnie. Wzięła kąpiel, upięła włosy do góry, rozpuściła je, znowu spięła, po czym pomalowała paznokcie. Następnie, wpadłszy w panikę, że Fenn pojawi się wcześniej, włożyła rajstopy, zanim lakier wysechł, więc musiała go zmyć i pomalować paznokcie na nowo. O wpół do dziewiątej, przekonana, że już nie przyjdzie, otworzyła butelkę wina i była w połowie drugiego sporego kieliszka, gdy rozległ się dzwonek.

Z trudem go poznała. Wydawało jej się, że od momentu, w którym się rozstali, zachowywała w pamięci jego podobiznę, lecz teraz wyglądał zupełnie inaczej. Sprawiał wrażenie wyższego, przystojniejszego i miał na sobie przepiękne ciuchy.

Stał przez chwilę w drzwiach, uśmiechając się do niej, po czym spytał:

—Nie masz zamiaru zaprosić mnie do środka?

—Oooh, oczywiście. — Próbując nieco powściągnąć szeroki uśmiech ulgi, otworzyła szeroko drzwi. Fenn przekroczył próg. — Wezmę tylko płaszcz.

—Soniu, poczekaj. — Zatrzymała się w pół drogi do sypialni. — Słuchaj, niezmiernie mi przykro, ale...

—Nie masz czasu. — Odwróciła się szybko, zanim zdołał dostrzec wyraz jej twarzy. Malowało się na niej wyraźnie: „Mogłam to przewidzieć”.

—Głuptasie. — Podeszedł do niej. — Oczywiście, że mam czas. Po prostu... och, zanim zapomnę. —Wręczył jej białe, pokryte celofanem pudełeczko. — Mały prezencik.

—Fenn. — Palce jej drżały, gdy otwierała pudełko. — Jakie to śliczne. — Przechyliła buteleczkę, przykładając ją do zagłębienia u podstawy szyi. Mała strużka perfum pociekła pod dekolot sukienki. Sięgnęła tam skromnie małym palcem, po czym spróbowała przyłożyć go za jego uchem, lecz Fenn cofnął się szybko. — Jaki ładny zapach. Jesteś dla mnie taki dobry. — Sformułowała to tak, jakby ich związek trwał już długo. — No to powiedz, dlaczego jest ci przykro?

—Kiedy się z tobą rozstałem, wpadłem do Fortnuma, aby zjeść lunch i kupić ci coś ładnego, i wydałem wszystkie pieniądze, które miałem przy sobie. Wszystkie banki są teraz zamknięte, a ja przekroczyłem swój limit gotówki, jaką mogę podjąć z bankomatu, więc... nie mogę zabrać cię na obiad.

—I tylko o to chodzi? Wielkie nieba, ja mam trochę pieniędzy.

—Och, nie, nie mógłbym tego zrobić. Nie w restauracji. Co ludzie by sobie pomyśleli?

Podobało jej się to. Widać było, jak jest wrażliwy. Ona jednak od czasu tych okropnych kanapek nie była w stanie niczego przełknąć, a teraz, gdy lęk się ulotnił, poczuła się strasznie głodna.

— Mam pomysł! — Chwyciła go za rękę. — Zjemy tutaj. Po drugiej stronie ulicy jest kilka knajpek z jedzeniem na wynos. Na przykład z falafelami.

— Tylko pod warunkiem, że pozwolisz mi oddać ci pieniądze.

Teraz przyszła kolej na nią, aby powiedzieć: „Głuptasie”. Owinęła się płaszczem przypominającym kraciasty pled, chwyciła reklamówkę, po czym wyjęła z torebki portfel i klucze.

— Hej... — Przywołał ją małym palcem i kiedy podeszła, pocałował delikatnie w kącik ust. — Wracaj szybko.

Stojąc w kolejce po potrawy na wynos, Sonia czuła się jak we śnie. Od czasu do czasu dotykała palcem ust. Przyniosła do domu humus, sheftalię, pitte, sałatkę oliwki, turkish delight obsypany cukrem pudrem i pachnący różami oraz dużą butelkę Frascati.

Usiedli przed małym gazowym kominkiem — on na sofie, ona u jego stóp — i karmili się wzajemnie oliwkami, a potem kawałkami *turkish delight*. Nabierali humus i oliwę kawałkami chleba, zagryzając nim ostro przyprawione klopsiki mięsne. Fenn pił niewiele wina, Sonia natomiast sporo.

Spoglądając na to z perspektywy, doszła do wniosku, że to właśnie z tego powodu udało mu się ją przekonać, by pozwoliła mu na takie przywileje, i to podczas ich pierwszej wspólnej nocy. Na wspomnienie formy, jaką przyjęły te przywileje, Sonię przechodziły ciarki. Oddając mu sprawiedliwość, Fenn nie miał zamiaru pozwolić sprawom zabrnąć tak daleko. Był niezwykle zaniepokojony i okropnie ją przeproszał, pytając, co, na miłość boską, sobie o nim pomyśli. Miała wrażenie, że w tych sprawach to właśnie kobieta w wielkim stopniu decydowała, kiedy zastopować, i o wiele łatwiej byłoby jej to uczynić, gdyby tak dużo nie wypila.

Nie został potem tak długo, jak miała nadzieję (czekała niecierpliwie, aby mu opowiedzieć o swoim nieszczęśliwym dzieciństwie). Była przekonana, że spieszył się z wyjściem po prostu z powodu odczuwanego zawstydzenia. Wkrótce jednak miała zobaczyć go znowu. Obiecał jej to.

Uświadomiła sobie, że Roz spogląda na nią wyczekująco.

—Przepraszam, nie słyszałam...

—Pytałam, czym się zajmuje?

—Jest aktorem. To znaczy, to jest jego prawdziwy zawód. Teraz ma przerwę między rolami, więc zajmuje się PR pewnej grupy rockowej.

— No cóż — Roz się podniosła i zaczęła wrzucać do swojej wielkiej torby listy i foldery — na twoim miejscu trzymałabym się go. Ktoś, kto tak nonszalancko traktuje Joy, stanowi świetną zdobycz.

Pomyśleć tylko, rozmyślała Roz, jadąc do domu metrem. Że też Sonia nie wspomniała o nim wcześniej. Roz nie spodziewała się, że osoba tego pokroju mogłaby zachować w tajemnicy posiadanie w obejściu pięknego łabędzia. Świadomość, jak łatwo kogoś niewłaściwie ocenić, napędza człowieka pokorą. Najwyraźniej miał na nią dobry wpływ. Tego ranka obyło się niemal bez deklamacji na temat przyrody, a mroźna atmosfera wyraźnie zaczęła tajać. Zapomniała zapytać Sonię, czy podobał jej się *Saturday Show*. Była zadowolona, że Toby pozwolił jej wziąć w nim udział. Przysięgła sobie również, że nigdy już nie powie nic niemilego. Poczwała, że ulatniają się ostatnie ślady jej poczucia winy.

Znalazłszy się w Camden Town, pospieszyła przez ostry, dojmujący wiatr, torując sobie drogę wśród wilgotnych liści kapusty, rozłupanych



skrzynek i zepsutych resztek owoców leżących w rynsztokach Inverness Street. W końcu, czując, że skóra na twarzy niemal zakrzepła jej z zimna, weszła do swojego domu. Natychmiast ogarnęło ją ciepło. Ruszyła po grubym igłowym dywanie. Z salonu dobiegało ciche tykanie stojącego zegara. Dzisiaj pani Jollit uwzględniła w swoich porządkach hol oraz schody. Farba błyszczała czystością, a wokół roznosił się słaby sosnowy zapach. Roz zdjęła ciężki płaszcz i zeszła do kuchni, aby zaparzyć kawę. Cudownie było znaleźć się w domu.

Fenn postanowił poprosić pana Christoforou z parteru, by pozwolił mu skorzystać ze swego prywatnego telefonu. Sprawdził już w rozgłośni, że Roz poszła do domu przeszło godzinę temu. Zdobyć jej numeru okazało się łatwiejsze, niż się spodziewał. Łatwiejsze nawet niż uzależnienie od siebie Soni, a to o czymś świadczyło. Wychodząc, by kupić coś do jedzenia, zabrała ze sobą portfel i klucze, lecz zostawiła torebkę. Był w niej notatnik z adresami i numerami telefonów. Ze Snoopym na okładce — co jego zdaniem było w jej wieku dość żalodne... A w środku: para, którą, jak przypuszczał, stanowili jej rodzice, informacja kolejowa na Euston Station (wspomniana para mieszkała w środkowej Anglii), pralnia, jakaś kobieta mieszkająca w dzielnicy Tulse Hill, teatr, Selfridges oraz Roz. Naga prawda o nudnym życiu. Przepisał nazwisko i adres Roz, po czym włożył notatnik z powrotem do torebki.

Gdyby nie plan, który postanowił zrealizować, mógł opuścić mieszkanie Soni, zanim wróciła. Nie zapomniał o jej liście, chociaż natychmiast go zniszczył. Miał zamiar okazywać jej względy, odgrywać rolę kochanka, uzyskać to, co zamierzał, a kiedy zakocha się w nim bez pamięci (biorąc pod uwagę dotychczasowe tempo, nie potrwa to długo), wówczas ją rzucić. Myśl o tym, w jaki sposób to zrobi — i jak ona na to zareaguje — pielęgnował w sobie jak najcudniejszy kwiat. Kiedy budził się rano, pojawiała się ogólne wrażenie czegoś przyjemnego, co szybko lokalizował, a wtedy jego twarz rozjaśniał uśmiech.

Tymczasem, przez kolejnych parę tygodni, miał do dyspozycji mnóstwo pysznego jedzenia — następnym razem może chińszczyzna lub coś hinduskiego — oraz łatwo dostępny seks.

Tak jak przypuszczał, była niemal zupełnie niedoświadczona. Wciąż wyraźnie widział przed sobą zdumienie malujące się w jej oczach oraz okrągłe „o”, w jakie ułożyły się jej usta, kiedy w nią wszedł. I tak bardzo chciała go zadowolić. Mógł przerobić z Sonią całą półkę swoich książek, a

i tak wciąż prosiłaby o jeszcze. Jediną sprawą, która go niepokoiła, był fakt, że powiedział jej w przybliżeniu, gdzie mieszka. Lekkomyślność była mu obca, lecz wówczas miał uwagę skierowaną na coś innego (wędrował językiem w stronę cukru pudru, który wpadł jej za dekolt). Oczywiście nie podał jej dokładnego adresu i nie sądził, że cokolwiek z tego zapamiętała. Obdarzyła go tylko głupim, dziecinnym uśmiechem. A jednak było to ostrzeżenie, by być bardziej ostrożnym.

Zanim opuścił pokój, podszedł do stołu, aby rzucić spojrzenie na Roz. Delikatnie umieścił czubek palca między jej błyszczącymi wargami, gdzie pozostał ślad po wbitym nożu. Jakże bezbronna się wydawała. Uwielbiał takie kobiety: piękne i odnoszące sukcesy, lecz nie twarde karierowiczki ani istoty odcięte od rzeczywistości. Wiedział, że łatwo będzie im się porozumieć, że zostaną przyjaciółmi. Sprawdził zegarek. Powinna już być w domu. Pobiegł na klatkę schodową, podniósł słuchawkę automatu telefonicznego, urządzając przedstawienie przed panem Christoforou, wydał parę rozdrażnionych okrzyków, po czym udał się do sąsiada.

— Telefon nie działa, panie C. Muszę zadzwonić w pilnej sprawie. Czy mogę skorzystać z pańskiego aparatu? Zostawię pieniądze na stole.

— Jasne. — Chłopak nie nadużywał jego uprzejmości. Nigdy o to uprzednio nie prosił. — Zgłosił to pan już?

— Tak, przekazałem wiadomość telefonistce.

Fenn nienawidził salonu pana Christoforou i unikał go jak ognia. Znalazłszy się w nim, człowiek miał wrażenie, że został zamknięty na głucho w dusznym, kiczowatym pudle. Ściany pokryte były gęsto jaskrawymi wyszywankami i obrazami Chrystusa w różnych stadiach męczarni. Małżonkowie Christoforou byli ortodoksyjnymi Grekami. Podłogę przykrywały grube dywany w dzikie wzory, pokryte jeszcze różnymi dywanikami i chodnikami, a z sufitu zwisały lampy elektryczne wykonane ze srebrnych, filigranowych pojemników na kadzidelka. Nie było tu żadnych książek. W pokoju dominował olbrzymi telewizor, chociaż i bez niego pomieszczenie wypełnione było ponad miarę obitymi brokatem meblami oraz bibelotami. Telefon znajdował się na chromowanym koktajlbarze obok błyszczącego małego pociągu z otwartymi wagonami pełnymi orzeszków ziemnych i oliwek, chrupiących przekąsek oraz czekoladek After Eight. Fenn zamknął za sobą drzwi.

Roz dotarła do punktu, w którym Michael Kelly miał otworzyć w Londynie sklep z winem. Jego przyjaciel, Richard Brinsley Sheridan, sugero-

wał, że nad wejściem do sklepu, tuż za nazwiskiem właściciela, powinien znaleźć się napis „Kompozytor Win i Importer Muzyki”. Roz bardzo się to podobało. Pomyślała, że jeśli można ocenić człowieka na podstawie liczby i jakości przyjaciół, to jej tenor musiał być bardzo sympatyczną osobą. W miarę jak zbliżała się do tego okresu w jego życiu, pracowała z coraz większą łatwością.

Biografia musi cechować wyobraźnia powieściopisarza oraz dyscyplina historyka. Roz nigdy nie zapominała, że musi posuwać się po linii rozpiętej między tymi dwoma elementa-

TLR

mi. Zbyt wiele tego pierwszego — i jej praca nie zostałaby przyjęta poważnie; zbyt wiele drugiego — i niemal nikt nie chciałby tego czytać.

Scena, którą właśnie opisywała — tłum rozmawiających mężczyzn, dym z fajek, zapach świeżych ciastek i gorącej czekolady, szelest dzienników — była tak realna, że dzwonienie telefonu dotarło do niej dopiero po chwili. Uświadomiwszy sobie, co to takiego, zignorowała ten odgłos i mając pewność, że ten dwudziestowieczny hałas wkrótce się skończy, usiłowała za wszelką cenę pozostać w swojej staroświeckiej kawiarni. Sygnał rozbrzmiewał jednak nadal. Większość ludzi dawno już by się poddała, lecz ten, kto dzwonił, nie ustępował. Nagle przyszło jej do głowy: „O Boże, to na pewno szkoła...”.

Najbliższy aparat znajdował się w salonie. Zbiegła po schodach i podbiegła jak na skrzydłach do stolika z telefonem.

—Halo...

—Roz?

—Tak... tak... o co chodzi? Co się stało?

—Roz, nie spotkaliśmy się jeszcze, ale napisałem do ciebie parę tygodni temu. — Opadła bezwładnie na krzesło. To nie była szkoła. Głos rozbrzmiewał bez zająknięcia dalej. Usiłowała zwracać uwagę na to, co słyszy. Nie odczuwała już niechęci z powodu zakłócenia jej pracy. Ogarnęło ją poczucie ulgi. Dzieciom nic się nie stało.

—...i kiedy ujrzałem podpis, uświadomiłem sobie, że list, oczywiście, nie pochodzi od ciebie. — Roześmiał się lekko. — Pomyślałem więc, że muszę skontaktować się z tobą osobiście. Jak mężczyzna z mężczyzną. Lub raczej — w jego głosie pojawił się ślad przebiegłości — jak mężczyzna z kobietą.

—Bardzo przepraszam. Czego pan sobie właściwie życzy?

—Czyżbyś mnie nie słuchała?

—Pracowałam, kiedy pan zadzwonił. Musiałam pozbierać myśli — głos Roz brzmiał teraz raźniej. Oswoiła się już z myślą, że dzieci są bezpieczne. Wiedziała, że za chwilę zacznie mieć tego dosyć. Jej rozmówca zaczął od początku. Po chwili przerwała mu.

—Mogę pana zapewnić, że wszystko, co otrzymał pan z mojego działu, nawet jeśli było podpisane tylko przez moją sekretarkę, pochodzi ode mnie.

—A więc to nie ona odpowiada na twoją korespondencję?

—Z całą pewnością nie.

Zamilkł na chwilę, po czym stwierdził:

— To całkowicie zmienia postać rzeczy. Ustawia całe zagadnienie w zupełnie innym świetle.

Roz spojrzała na zegarek. Powinna wyjść z domu za pół godziny. Nie było już sensu wracać do pracy. Aby wczuć się znowu w scenę, którą się zajmowała — a którą, jak teraz sobie uświadomiła, opuściła całkiem niepotrzebnie — musiałaby poświęcić co najmniej dziesięć minut.

—Jeśli, jak pan mówi, pragnie pan pracować w City Radio, to radziłabym zwrócić się...

—Już to zrobiłem!

—...do Toby'ego Winthrope'a. On jest tam szefem i będzie mógł doradzić panu o wiele lepiej niż ja, jak się zabrać do sprawy.

—Nie mogę tego zrobić, Roz. Już jest za późno. Zostałaś wybrana. Nie mogę wrócić i zacząć od początku. To ty jesteś osobą, która mi pomoże. Kiedy mogę się z tobą spotkać?

Dobry Boże. Roz usiłowała zachować cierpliwość. Nieszczęsny facet sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, co się do niego mówi.

—Niech pan posłucha, przykro mi, naprawdę mi przykro, ale nie jestem w stanie niczego uczynić. Jestem po prostu pracownikiem rozgłośni. Nie zajmuję stanowiska kierowniczego. Nie podejmuję żadnych decyzji. Nie mogę nikogo angażować ani zwalniać. Po prostu dwa razy w tygodniu prowadzę audycję.

—Daj spokój, Roz. Nie jestem po prostu jednym ze słuchaczy. Pewnego dnia znajdę się na twoim miejscu. A wybiegając nieco w przyszłość, mogę cię zapewnić, że ten dzień nie przejdzie bez echa. Nie musisz wcisnąć mi kitu, że jesteś tylko prezenterką. Jestem zorientowany w środowisku mediów. Dobrze znam te sprawy. — Kiedy nie odpowiedziała, ciągnął dalej: — Co ty na to, żebyśmy wpadli do stacji po piątkowym programie? Moglibyśmy wypić razem drinka przed lunchem.

—Nie ma sensu kontynuować tej rozmowy... Udzieliłam panu takiej rady, jakiej byłam w stanie udzielić. Teraz musi mi pan wybaczyć.



Roz odłożyła słuchawkę. Dopiero parkując przy szkole po godzinie później, zaczęła się zastanawiać, jak udało mu się zdobyć numer jej telefonu.

Fenn nie potrafił przypomnieć sobie, jak odłożył słuchawkę, rzucił „dziękuję” w stronę pana Christoforou i wrócił do swojego pokoju. Drżały mu nogi, a całe ciało trzęsło się w niekontrolowany sposób. Poruszał się jak sparaliżowany stary człowiek. Ogarnęła go straszliwa wściekłość. Czuł się, jakby porwał go huragan i rzucał nim z impetem na wszystkie strony. Nic nie mógł na to poradzić. W porównaniu z tym, co odczuwał, jego wcześniejsza niechęć wobec Soni sprawiała wrażenie niewinnego zefirka.

Opadł na kolana na środku podłogi, czekając, aż to doznanie przemieni. Gdy zamknął oczy, wydało mu się, że widzi nad sobą nadpływającą falę czerwieni, gotową zalać go i unicestwić. Ogarnęły go bezbrzeżne mdłości. Czas zatrzymał się w miejscu. Czuł, że mózg ścina mu się od przepływających go emocji. Nie był w stanie myśleć ani rozumować normalnie.

Kiedy burza w końcu powoli przeszła, podniósł się z kolan, zdziwiony, że zamiast poczuć wyczerpanie i pustkę, czuje się zimny i silny, jak wykute w ogniu ostrze.

Zanim rozpoczął się ten proces hartowania, była taka chwila podczas rozmowy z Roz, gdy poczuł z nią prawdziwe porozumienie. Nieklamane połączenie się dwóch umysłów. Wiedział, że ona również to poczuła — wrażenie to było niezwykle dojmujące. Ona jednak postanowiła zignorować ten moment. Odrzuciła szansę i teraz było za późno. Mogła winić tylko siebie. Nic nie da przypomnienie mu o tym w przyszłości, odwoływanie się do niego: „Proszę, Fenn, nie pamiętasz, jak to było, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy... Daj mi jeszcze jedną szansę... *proszę...*”.

Podniósł się z klęczek, czując się jak młody wojownik, pobłogosławiony przed wyprawą przez kapłana. Płoneło w nim poczucie słuszności własnej sprawy, lecz odczuwał równocześnie niemal pokorę. Został spowity opończą boskiego autorytetu. W jego życiu i umyśle zapanował nagle nadzwyczajny porządek. Podeszedł do stołu i ostrożnie, wręcz czule, wziął do ręki zdjęcie Roz. Zdawał sobie sprawę, że czuje się podniecony seksualnie i emocjonalnie, lecz panował nad tym wszystkim. Jego działaniami kierował głęboko ukryty w umyśle ośrodek, pozbawiony wszelkich ludzkich uczuć. Bez wahania, niemal z ulgą oddał się w ręce tego autorytetu. Przestał mieć wpływ na to, co się stanie. Co będzie, to będzie.

Przymocował fotografię do stołu, wbijając zdecydowanie w każdy róg pinezkę, następnie wyjął nóż i wykonał pierwsze cięcie. Zamaszyście, bez wahania, w pełni panując nad sobą, dokładnie przez środek gardła.

—Zawsze mówisz, że nie masz czasu.

—Bo nigdy go nie mam.

—Jesteś skonstruowana tak jak my wszyscy, Roz. Od czasu do czasu musisz uzupełnić paliwo, bo w przeciwnym razie koła przestaną się kręcić.

Duffy przysiadł na brzegu biurka Roz, dzierżąc w dłoni gilotynę. Roz wyjmowała z koperty listy, rozdzielając je na poszczególne stosy.

—Jeśli zdecyduję się zjeść z tobą w kantynie lunch, to potem weźmiemy pudding, potem filiżankę herbaty, potem jeszcze porozmawiamy i zrobi się trzecia. A jeśli zamówię coś do jedzenia w domu, to zyskam półtorej godziny na pracę.

—Och, do licha, ten Michael Kelly. Wcale go nie obchodzi, jaką miłością go darzysz ani ile czasu mu poświęcasz. Nie żyje od wielu lat Podczas gdy tutaj oddycha u twego boku żywa ludzka istota: bogata w doświadczenie, płonąca z uwielbienia, pełna potrzeb i pragnień, która marzy tylko o tym, by złożyć serce u twoich stóp.

—Wprawiasz mnie tym wszystkim w zakłopotanie.

Spojrzała na Duffy'ego i się uśmiechnęła. Nigdy nie orientowała się, na ile poważnie traktuje swoje uroczyste zapewnienia, ale wiedziała, że branie ich na serio byłoby błędem pod każdym względem. Łatwiej by jej było, gdyby go nie lubiła. Miał wyrafinowane poczucie humoru, co uważała za odświeżające, i w zasadzie był bardzo miły. Gdyby nie kochała Leo, mogłaby go uznać za atrakcyjnego mężczyznę; z pewnością taką opinią cieszył się u innych kobiet z rozgłośni. Miał nieco rzadziejące na skroniach włosy koloru miodu, dziwnie kontrastujące ze skórą, która wskutek wystawienia na działanie atmosferyczne podczas tysiąca transmisji z terenu przypominała twardy, gładki karmel. Jego jaskrawoniebieskie oczy były zadziwiająco wyraziste, biorąc pod uwagę ilość whisky pochłanianej „dla izolacji” podczas tychże transmisji. Miał lekki irlandzki akcent, lecz na szczęście jego język był wolny od profesjonalnych naleciałości. Roz niewiele wiedziała na temat jego życia prywatnego (zdaniem Louise, był kiedyś żonaty) i nie chciała tego zmieniać. Swoje ułożyła dokładnie tak, jak chciała — było szczęśliwe, konstruktywne i dobrze zorganizowane — i zależało jej na tym, by tego nie zaburzyć.

—Słyszałem — Duffy szepnął uwodzicielsko, przysuwając wargi do jej ucha — że mają kotlety rybne z dodatkiem salmonelli.

—Czego? — Róz odsunęła się od niego ze zniecierpliwieniem. Duffy natychmiast wykonał unik.

—Smażonej fasolki, oczywiście. Czegóż by innego? — Przerwał na chwilę. — Nie pójdziesz ze mną, Roz?

—Nie. — Wzięła ze stosu ostatni list. Duża, kwadratowa koperta, która przy otwieraniu wydała chrzęszczący odgłos. W środku mieściła się sztywna karta w kolorze kości słoniowej z czarną obwódką. Wytłoczony napis głosił: „In Memoriam”.

—Duffy...

—Hm? — Duffy, stojący już przy drzwiach, odwrócił się. — Zmieniłaś zdanie? — spytał z uśmiechem.

—Spójrz na to — Roz wyciągnęła kartę w jego stronę, a on podszedł blisko i wziął ją do ręki.

—Pozdrowienia z wakacji? Trochę się różni od szczerzących zęby dam i małych facetów w chusteczkach z zawiązanymi rogami na głowie. Od kogo to jest?

—Nie mam pojęcia.

—Nie ma tam jakiejś wiadomości? W rodzaju: pogoda jest tutaj... Szkoda, że cię tu...? — Spojrzał na drugą stronę. — Och!

—Pokaż mi ją. — Oddał jej kartę. Po drugiej stronie widniał napis: „W oczekiwaniu, Twój F.”.

—Znasz kogoś, kto ostatnio zmarł, Roz?

—Co takiego?... Nie, nikogo... Co za osobliwy pomysł, by wysłać coś takiego.

—No cóż, jeśli będziesz chciała pożyczyć smoking, wystarczy jedynie poprosić.

—Ależ to nie jest zaproszenie na pogrzeb! To taka karta, którą ludzie przyczepiają do wieńców żałobnych. Co on ma na myśli, pisząc: „w oczekiwaniu”? To tak, jakby ta osoba jeszcze nie umarła.

—Nie przejmowałbym się tym. Na pewno nie dotyczy to kogoś, kogo znasz. W przeciwnym wypadku ten, kto wysłał tę kartę, nawiązałby z tobą kontakt wcześniej. W odpowiedni sposób.

— Wydaje mi się, że masz rację.

— To jakiś idiota, który robi kawały. — Gdy Roz nadal przyglądała się ze zmarszczonymi brwiami otrzymanej karcie, Duffy wyciągnął jej ją z ręki i przedarł na pół. Obie połówki wrzucił do kosza na śmieci. — O, proszę. To najwłaściwsze miejsce.

Roz wyrzuciła również kopertę, a następnie odwróciła dłoń i przyjrzała się czubkom palców. Czują w nich mrowienie, jakby dotknęła czegoś ciepłego i wibrującego. „Palec mię świerzbi...”\*<sup>1</sup>. Jak to leciało dalej?

—Nie zostanę na lunch, Duffy, ale chętnie napiję się kawy. — Wiedziała, że to niemądre, lecz chciała odsunąć moment wyjścia z budynku i zostania bez towarzystwa, aż do chwili, gdy karta straci swoją siłę oddziaływania.

—Cudownie. — Objął ją ramieniem w pasie i niemal ściągnął z krzesła. — A więc bierz torebkę i chodźmy.

Miała nadzieję, że dobry humor Duffy'ego, jego niekłamana radość z powodu jej towarzystwa oraz jego zwyczajność usuną w cień jakiegokolwiek ślady zaniepokojenia. Wydawało się, że rzeczywiście tak jest, aż do czasu, gdy parę godzin później, znalazłszy się w domu, weszła do swojego gabinetu i usiadła przy biurku, gotowa do pracy.

Siedziała przez chwilę, lecz świat Michaela Kelly'ego, znajdujący się zazwyczaj na wyciągnięcie ręki, teraz wymykał się jej i wydawał nieuchwytny. Poczytała trochę, po czym odsunęła książkę na bok. Jej brązowy gabinet nie dawał dzisiaj uspokojenia, lecz sprawiał przygnębiające wrażenie. Wszystko było po-

---

<sup>1</sup> \* W. Shakespeare, *Makbet*, akt IV, sc. 1, przeł. J. Paszkowski (przyp. red.).

nure. Ciemne ściany, ciężkie meble, martwe niebo na zewnątrz które zapewniało jedynie blady całun poświaty. Nawet jej ulubiony dywanik wydawał się pogrążony w mroku. Roz włączyła światło.

Musi zmienić ten pokój. Nie będzie w stanie pracować z radością, dopóki tego nie zrobi. Podjąwszy decyzję, natychmiast poczuła się lepiej. Oczywiście, niektóre przedmioty zatrzyma. Większość mebli, swój dywanik. Chciała jednak mieć jasne ściany w żywych kolorach, zasłony kojarzące się z wiosną (może jakiś wzór w maki), nowe obrazy lub nawet plakaty. Poszuka jutro w sklepach czegoś takiego. Może znajdzie coś z Prowansji. Widziała przed sobą wypaloną ziemię, faliste dachy wyłożone dachówkami z terakoty, białe gołębie i drzewka oliwne pod rozpalonym niebem. Zrobiło jej się ciepło. Koniecznie musi też pojechać do Centrum Wystroju Wnętrz lub do Harveya Nicholasa, aby obejrzeć materiały.

Zacząła zdejmować ze ściany sztychy. Tymczasem może je umieścić w graciarni. Ułożyła je na biurku i przetrząsała właśnie szuflady w poszukiwaniu sznurka, gdy przypomniała sobie zdanie, którego wcześniej bezskutecznie szukała.

„Palec mię świerzbi...”. Gdy powtórzyła na głos drugą część cytatu, jej dłonie zatrzymały się nagle w miejscu: „...to dowodzi, że jakiś potwór tu nadchodzi”.

— Czy Ptasznik może fruwać?

— Oczywiście, że nie, głupolu. — Roz zaczęła się zastanawiać, czy Guy poucza innych z takim poczuciem wyższości również w szkole, i miała nadzieję, że jeśli tak jest, to ktoś mu zwraca uwagę. — Ludzie nie potrafią fruwać.

— To dlaczego nazywa się Ptasznik? — upierała się Kathy.

Okazując swoją łaskawość i dojrzałość, Guy zaczerpnął tak długi oddech, że Roz była w stanie zabrać głos jako pierwsza.

—Ponieważ szalenie interesuje się ptakami i ich zwyczajami oraz porównywaniem ich do ludzi.

—Nie można porównywać ptaków i ludzi — odparła Kathy. — Są zupełnie do siebie niepodobni.

—Czy ja wiem... — Guy postanowił tym razem westchnąć szybciej, aby zapewnić sobie natychmiastową przyjemność wynikającą z szybkiej riposty. — I ludzie, i ptaki mają po dwie nogi, a mózgi niektórych ludzi bardzo przypominają ptasie mózdzki... i wcale nie trzeba ich szukać daleko.



—Poczekaj tylko, aż ja też skończę dwanaście lat. Wtedy nie będziesz mógł mówić do mnie w ten sposób.

—Coś kiepsko myślisz, ptasi mózdzku. Kiedy ty będziesz miała dwanaście lat, ja będę miał siedemnaście.

—Nie będziesz! Nie będziesz! Prawda, mamusiu?

Guy wybuchnął śmiechem. Trzymana przez Leo gazeta zaszeleściła. Kathy zwróciła przepelnione łzami oczy w stronę matki, a ta ujęła jej dłoń.

—Guy będzie miał siedemnaście lat, kochanie, ale to nie będzie tak, jak myślisz. Ty staniesz się wówczas tak dorosła, że zaczniesz myśleć inaczej. Przestanie cię to obchodzić. Naprawdę.

—Obiecujesz?

—Obiecuję.

Guy powiedział wczoraj, że nigdy mu nie dorównam.

—To było bardzo niemiłe z jego strony. — Spojrzała z ukosa na syna. — Jesteś wystarczająco duży, żeby się tak nie zachowywać.

—Niemile i głupie — łzy Kathy zniknęły bez śladu i promieniała teraz na wszystkie strony.

—Nie mam całego dnia, aby słuchać waszej paplaniny — Guy odsunął od stołu swoje krzesło. — Czy Madgewick może dostać resztkę mojego kurczaka?

—To same kości, a wiesz przecież, że on ich nie rusza — odparła Roz.

—Przylepią mu się do gardła i umrze! Tatusiu, Guy próbuje zabić Madgewicka!

—Zbierajcie swoje rzeczy, dzieci. — Leo złożył gazetę i uśmiechnął się do Roz. — Dzień dobry, kochanie.

—Dzień dobry, Leo.

Pół godziny temu wpadli na siebie w przelocie w łazience, a teraz, po wypiciu pół litra mocnej kolumbijskiej kawy i przejrzeniu kilku artykułów z gazety, poczuli się ożywieni i gotowi do starcia z realnym światem. Leo podjął temat, który omawiali przed pójściem do łóżka.

— Jesteś pewna, że chcesz wyrywać wnętrzności z naszego domu, ozdobić go drabinami, wiadrami z farbą i porozkładanymi gazetami i otoczyć się mężczyznami w białych kombinezonach, którzy puszcza nas z torbami? Myślałem, że mamy to już za sobą.

— Nie bądź śmieszny, Leo. Chodzi tylko o mój gabinet.

—Ale przecież twój gabinet jest piękny. Zawsze go uwielbiałaś.

—No cóż, teraz przestał mi się podobać. Działa na mnie przygnębiająco.

Mówiąc szczerze, gdy wpadła do niego tego ranka po torbę, nie wydawał jej się taki zły, nie chciała jednak pozbywać się wizji błyskotliwej transformacji. Poprzedniego dnia wyobrażenie to diametralnie zmieniło jej nastrój, chociaż uprzednie uczucie lęku, które tak silnie wpłynęło na jej usposobienie, teraz wydawało się bardzo mgliste.

—Nie zaszkodzi, jeśli wybiorę jakieś próbki i paletę kolorów farb. Nie muszę z tym nic robić.

—Miejmy nadzieję, że nic z tym nie zrobisz. — Leo lubił, gdy wszystko toczyło się gładko. — To niepodobne do ciebie, Roz, żeby mieć kaprysy.

Roz nie odpowiedziała. Za parę minut mieli się rozstać na cały dzień i nie było sensu zaczynać sprzeczki, lecz prawdę mówiąc... „kaprysy”... Słowo to sugerowało typ osobowości kobiecej, jakiej najbardziej nie lubiła: istotę wdzięczącą się i nieznośną, domagającą się różnych błahostek i niespodzianek. Kaprysy miewały kobiety, które uważały, że dobrze spędzony dzień to dzień spędzony w solarium bądź u fryzjera.

Leo wkładał właśnie swój ciężki płaszcz i rosyjską czapkę z czarnych perskich karakułów. Spojrzawszy na czysty i ciemny profil męża, przypominający jastrzębia, Roz poczuła nagle, jak na chwilę przestaje jej bić serce.

Dzieci były opatulone jak Eskimosi. Leo otworzył drzwi prowadzące na wyłożony szarymi kamykami podjazd i już ich nie było. Roz nakarmiła Madgewicka, zapomniawszy, że zrobiła to już wcześniej, parząc rano herbatę. Kocur nie przypominał jej o tym, lecz pochłonął jedzenie szybko, rzucając jej znad krawędzi swojej miseczki zwycięskie spojrzenia.

Roz sprawdziła zawartość torby i nalała sobie jeszcze filiżankę kawy. Tematem dzisiejszej audycji były „sposoby porozumiewania się”. Za parę dni program *Pogawędki z Roz* miał obchodzić dwulecie istnienia. Praca w radiu była ostatnią rzeczą, której się spodziewała w trzydziestym trzecim roku życia. Poproszono ją kiedyś, aby dla potrzeb godzinnego programu wieczornego zbadała okoliczności wielkich strajków w Londynie w dziewiętnastym wieku. Kilka razy spotkała się z prezenterem programu oraz Tobym Winthropem, który podziwiał jej podejście do pracy i metodę prezentowania zdobytego materiału. Miała miły głos i przyjacielski, pozba-

wiony obłudy sposób bycia, więc po emisji programu Toby poprosił ją o wzięcie udziału w rozmowie ze słuchaczami, którzy dzwoniли do radia. Odniosła taki sukces, że zaoferowano jej sześciomiesięczny kontrakt, który został już trzykrotnie odnowiony.

Roz nie była zupełnie pozbawiona próżności właściwej ludzkiej naturze i na myśl o prowadzeniu własnego programu radiowego poczuła zadowolenie, a nawet podniecenie. Szczerze pragnęła również pomagać ludziom. Jednakże wciąż powracające tematy telefonów od słuchaczy oraz jej niezdolność do nadania biegu sprawom, o których się z nich dowiedziała (nie było sposobu, aby dowiedzieć się, czy od początku istnienia programu rzeczywiście pomogła choćby jednej osobie), osłabiła stopniowo jej wiarę w to, że jej praca naprawdę ma istotne znaczenie. Miała też świadomość, że jej odpowiedzi cechuje pewna doza obojętnej uprzejmości, niemal gładkości, i chociaż bardzo starała się to wyplenić, to sam fakt, że wciąż dostrzegała ten problem, nie był dobrym znakiem. Niemal zdecydowała, że jeśli Toby zaoferuje jej w następnym miesiącu odnowę kontraktu — a była pewna, że tak się stanie — to mu odmówi. Chciała zakończyć pracę nad Michaelem Kellym, a następnie zastanowić się nad swoim życiem zawodowym. Spojrzała na zegar i podniosła się szybko. Do pojawienia się pani Jollit ze swoją chorobą miesiąca pozostało zaledwie dziesięć minut.

— O wiele lepiej poczułabym się, moja droga, gdybym mogła poprosić o radę doktora Gilmoura — zwróciła się ostatnio do Roz. — Obawiam się, że to rak kręgosłupa.

Roz zapytała o to męża, lecz ten się nie przejął.

— Powiedz jej, żeby postarała się nie dopuścić go do głowy — stwierdził ze śmiechem.

Roz również się roześmiała, lecz natychmiast poczuła się okropnie.

—A jeśli to rzeczywiście rak?

— Nonsens. Jej biedny lekarz pewnie już posiwił z nerwów. Ona przeżyje nas wszystkich.

Na zastanowienie się nad potencjalną formą programu Roz miała niemal pół godziny. Znalazłszy się w swoim gabinecie — ku swojemu zdziwieniu, bez Soni — zapisała na kartce kilka haseł: „Rola mediów w procesie porozumiewania się. Czy szersze i łatwiej dostępne metody komunikowania się na forum publicznym oznaczają zubożenie kontaktów osobistych między ludźmi? Dlaczego często łatwiej porozumieć się w grupie albo porozmawiać z kimś obcym, niż nawiązać kontakt z bliskimi?“. Może uda się

też zahaczyć o tematy poruszane we współczesnych filmach i w teatrze... Przejrzała powtórnie notatki, po czym zeszła do studia. Program nie przyniósł niespodzianek. Ptasznik pojawił się na antenie osiem minut przed zakończeniem.

—Nasza żałosna niemożność porozumienia się, panno Gilmour, to w rzeczywistości kwestia braku wyrazistości. Mamy tak wiele sposobów ukrywania tego, co naprawdę czujemy, nawet gdy ostentacyjnie pragniemy nawiązać z kimś kontakt. Powinniśmy udoskonalić swoje metody oraz odrzucić wszelkie drobne komplikacje do czasu, gdy wypracujemy metodę równie jasną i pozbawioną nieporozumień jak ta, którą posługują się ptaki.

—Ma pan na myśli ich śpiew?

—Ich stopy! Ich stopy!

—Przepraszam, nie rozumiem...

—Proszę posłuchać, odciski stóp ptaka podobne są do hieroglifów. Klucz do całej tej tajemniczej wiedzy jest, oczywiście, dla nas niedostępny. Kiedy widzimy chodzące wokół ptaki, to co według nas one robią?

—Chodzą?

—Właśnie. Ale dla innego ptaka to oznacza zupełnie co innego.

Długo już tego nie zniosę, pomyślała Roz i zauważyła z ulgą, że wskazówka na studyjnym zegarze przeskoczyła na godzinę jedenastą pięćdziesiąt pięć. Wymieniła spojrzenie z Louise, która zdjęła swoje peruwiańskie skarpety z podeszwami, włożyła je na dłonie i przyłożyła do czubka głowy na kształt wielkich stojących uszu. Jakimś cudem Roz udało się powstrzymać od śmiechu i zauważyć normalnym tonem:

— Ale ludzie też mają swoje sygnały. Język ciała...

— Ludzie są pełni fałszu, panno Gilmour. Swoim językiem ciała, jak pani to ujęła, posługują się w równym stopniu po to, by sygnalizować swoje prawdziwe uczucia, co po to, by wprowadzać w błąd.

— Czy wszystkie ptaki są w stanie odczytywać wzajemnie swoje sygnały?

Po długiej chwili zastanowienia Ptasznik odezwał się głosem tak przygnębionym, jakby uświadomił sobie właśnie coś strasznego:

— Obawiam się, że nie. Rozumie pani, to nie jest konieczne. Ale to urocza myśl, prawda? Nie. Każdy gatunek potrafi odczytywać tylko własny język zapisany stopami. Jakakolwiek wiedza dodatkowa byłaby zbyteczna, a nasz Stwórca, jak wiemy, brzydzi się marnotrawstwem.

Istnieją różne zdania na ten temat, pomyślała Roz, zauważywszy światełko sygnalizujące kolejne połączenie. Włączyła przycisk.

Louise zakomunikowała:

—Jeszcze jeden.

—Już prawie kończymy.

— On twierdzi, że będzie się streszczał.

— Będzie musiał się streszczać. W porządku, zatrzymaj go na linii.

Roz podziękowała Ptasznikowi i przerwała połączenie. Wprowadziła na antenę ostatniego rozmówcę. Cichy, grzeczny głos. Niemal zbyt ugrzeczniony. Bez ikry, jakby nieśmiały, ale uparty. Tak wiele osób mówiło w podobny sposób. Nigdy nie zrażał ich fakt, że nie mają do powiedzenia nic oryginalnego ani nawet choćby trochę interesującego. Wydzwaniali bez końca, aż znaleźli się na antenie, po czym wypluwali z siebie typowe uprzedzenia i wyświechtane stereotypy, jakby to były godne rozpowszechnienia odkrycia. W pierwszych kilku programach zrobiło to na Roz pewne wrażenie.

—Jest pan na antenie.

—Chodzi o... śmierć.

Roz z trudem powstrzymała się przed daniem wyrazu swojej irytacji. Program poświęcony żałobie nadawali parę tygodni temu, dlaczego nie zadzwonił wtedy? Jego słowa wywołały w niej reakcję Pawłowa — informacje o organizacjach oferujących pomoc, zasugerowanie telefonu zaufania, kilka zwykłych pytań. Zorientowała się, że błyskawicznie wpada w rutynę, i to odkrycie nią wstrząsnęło. Gdzież się podziało jej współczucie?

—Tak mi przykro. Czy była to bliska osoba?

—Nie. To nic osobistego.

Dziwny głos. Nieco spięty. Słowa wypowiedane z lekką londyńską intonacją. Ale trudno było stwierdzić, czy akcent był prawdziwy, czy udawany na potrzeby tej rozmowy. Wydawało jej się, że dostrzega w nim coś znajomego.

—Nie rozumiem. Czy zdenerwowało pana coś, co zobaczył pan w gazecie? Wiadomość o jakimś morderstwie? Coś, co zdarzyło się w Irlandii Północnej?

—Och, wcale nie jestem zdenerwowany. — Usłyszała kryjący się tuż pod słowami śmiech, który w każdej chwili może dojść do głosu i zakłócić tok mówienia.

Roz zareagowała dość ostro:



— No cóż, w takim razie w jakim celu pan dzwoni?

Kątem oka dostrzegła, że czekający w reżyserce Duffy stanął za plecami Louise. Miała wrażenie, że obydwójce jej się przyglądają.

— Po prostu pomyślałem sobie... jako że śmierć jeszcze nie nastąpiła... że powinienem o tym komuś powiedzieć.

Roz westchnęła. Ten dzień z pewnością nie zapowiada się dobrze. Dwa takie przypadki, nim zdążyła zjeść drugie śniadanie.

— Czy mam rozumieć, że jest pan swego rodzaju jasnowidzem?

— Powiedziałem coś takiego?

— Prawdę mówiąc, nie powiedział pan jeszcze nic. — Roz usłyszała, że w jej głosie pojawia się irytacja. Tak, stanowczo miała tego dosyć. Jej cierpliwość była na wyczerpaniu, nadszedł więc czas, aby przestać mówić w sposób okrężny. — I ma pan teraz niecałych pięćdziesiąt sekund, aby wyrzucić z siebie to, co leży panu na sercu.

— Rozumie pani, muszę kogoś zamordować. Chciałem, żeby pani o tym wiedziała...

Roz wyprostowała się na krześle, czując, że odczuwana uprzednio niecierpliwość ulotniła się bez śladu.

— Co takiego?!

Louise uniosła się do połowy i pochyliła do przodu, trzymając dłonie na konsolce. Duffy stał bez ruchu tuż za nią, przyglądając się Roz intensywnie jak retriwer. Nagle całą ich trójkę połączyła nić odczuwanego niepokoju i podniecenia. Roz wyszeptała do Louise bezgłownie: „Zatrzymaj go na linii”.

— ...ponieważ dotyczy to pani bezpośrednio...

Louise zdjęła go z anteny i zasygnalizowała podniesieniem kciuka, że wciąż trzyma go na linii. Wskazówka minutowa zaczęła dochodzić do dwunastej i Roz zaczęła się zbierać, uświadamiając sobie, że coś bełkocze. Duffy opuścił reżyserkę, trzymając w ręku wydrukowane wiadomości.

— To wszystko w programie *Pogawędki z Roz* na dziś... Do zobaczenia w piątek... jeśli wciąż tu będę... Do widzenia...

Louise włączyła taśmę z muzyką końcową. Roz zdjęła słuchawki i wręczyła je Duffy'emu, który wślizgnął się na jej krzesło, pytając:

— Co masz zamiar zrobić?

— Nie wiem.

Co miała zrobić? Ruszyła bez pośpiechu do reżyserki. Podniecenie szybko opadało. Uświadomiła sobie teraz, że zostało wywołane wyłącznie

przez to, iż zaistniały incydent miał cechy nowości. Zespół monitorujący nadchodzące telefony odsiewał aż do tej pory osoby pomyłone oraz dziwaków i nie dopuszczał ich na antenę (z wyjątkiem Ptasznika).

Louise wręczyła jej słuchawkę, stukając się znacząco w głowę. Roz się zawahała. Powód, dla którego nie chciała jej wziąć, był czysto instynktowny — podstawowy ludzki impuls nakazujący odwrócić się od deformacji, nieprzyjmowanie do wiadomości, że istnieją wzorce myślenia i zachowania, które w niepojęty sposób różnią się zastraszająco od naszych własnych. Powód, dla którego rozważała wzięcie słuchawki, był natury racjonalnej. Przez dwa ostatnie lata płacono jej, i to bardzo dobrze, za to, że prezentuje się jako ktoś, kto okazuje troskę innym, prowadząc ze słuchaczami pełne zainteresowania rozmowy. Nigdy nie kwestionowała tego podstawowego założenia. Nigdy nie uważała, że zarabia te pieniądze w nieuczciwy sposób, mimo że niektórzy telefonujący słuchacze powodowali jej irytację.

Czy jednak proszono ją kiedykolwiek, aby się w coś naprawdę zaangażowała? Rozmowy telefoniczne były tak krótkie, jak sama sobie tego życzyła—gdy miała dosyć rozmówców, po prostu zdejmowała ich z anteny. Czy można to było nazwać okazywaniem troski? Teraz pojawiła się sposobność, aby naprawdę komuś pomóc. Nie pójść po linii najmniejszego oporu, wygłaszając stereotypowe rady bądź przekazując kilka użytecznych adresów, lecz cierpliwie wysłuchać i spróbować zrozumieć.

A jednak nie udawało jej się przytłumić swojego instynktu. Gdy wyciągnęła dłoń po słuchawkę, poczuła, że po jej skórze rozchodzą się fale mrowienia.

— Halo! Czy wciąż pan tam jest?

— Och, tak — jego głos był jedwabisty. Jakby ktoś wlewał jej do ucha ciepłą oliwę. Była pewna, że popełniła pomyłkę. Zaakceptowanie rozmowy, potraktowanie jej serio, zachęci go do dalszego fantazjowania. Gdyby to była rozmowa obsceniczna, nie odezwałaby się do niego. Ale cóż jest bardziej obscenicznego niż zamysł świadomego odebrania komuś życia?

—Chciałabym panu pomóc... jeśli jestem w stanie.

—Och, jest pani w stanie to uczynić.

Roześmiał się. Był to śmiech budzący grozę. Niewinny i radosny jak śmiech dziecka. Louise, która obserwowała twarz Roz, podniosła się i wykonała gest, jakby chciała odebrać jej telefon, lecz ta potrząsnęła przecząco głową. Wyczuła, że za jej plecami otwierają się drzwi i do pomieszczenia wchodzi Duffy. Rzuciła w słuchawkę:

—W jaki sposób? Czy pomoże panu, jeśli o tym porozmawiamy?

—Nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy chwilę pogadać. Na początek.

Roz poczuła, jak zaciska się jej gardło.

— Co pan ma na myśli, mówiąc... na początek?

Duffy wykonał szybki ruch i zanim zdołała go powstrzymać, wyrwał jej z ręki słuchawkę.

—Proszę posłuchać. Istnieją specjaliści, którzy pomagają takim jak pan. Proszę podać nam swoje nazwisko i adres, a skontaktujemy pana z kimś. — Wszyscy usłyszeli odgłos odłożonej słuchawki. — Dziękuję panu za telefon.

—Nie powinienś być tego robić, Duffy.

—Spójrz tylko na siebie. Jesteś blada jak ściana. Nie mam zamiaru stać tutaj i patrzeć, jak wysłuchujesz tych bredni.

—Może mogłabym mu pomóc.

—Bzdura, to wariat. Gdyby chciał pomocy, poszedłby do lekarza. A nie wydzwaniałby tutaj, żeby cię dręczyć. Jak, do diabła, przedostał się na antenę?

—Był bardzo przebiegły — odparła Louise. — Dziewczynie, która odebrała telefon, powiedział, że prowadzi grupę specjalizującą się w porozumiewaniu się bez słów. Zanim Roz zeszła z anteny, ta dziewczyna zadzwoniła do mnie, strasznie zdenerwowana. Obawia się, że wyleją ją z pracy.

—Pójdę tam i porozmawiam z nią. Wszystko będzie w porządku — w głosie Roz było więcej pewności siebie, niż naprawdę czuła.

—Założę się, że Toby nie uzna, iż wszystko jest w porządku.

—Na miłość boską, Louise. Pierwszy raz stało się coś podobnego. Nawet Toby musi dopuścić możliwość ludzkiego błędu.

—Na twoim miejscu poszłabym do niego, zanim powiesz Fionie, że może się nie obawiać o utratę pracy.

Duffy wziął Roz za rękę.

— Mam wrażenie, że obie robicie z igły widły. Chodźmy jednak sprawdzić.

Ledwo wyszli na korytarz, stało się oczywiste, że wiadomość o incydencie rozeszła się po rozgłośni. Wszyscy, których mijali, spoglądali z zainteresowaniem na Roz, a grupa maszynistek przy windzie przestała rozmawiać. Jeden z reporterów wystawił głowę przez drzwi sąsiadujące z ga-

binetem Toby'ego i przeciągnął dłonią przez gardło, po czym zrobił zęza i zaczął charczeć:

— Chcę kogoś zamordować, kochanie...

— Tak jest o wiele lepiej, Colin — rzucił Duffy, przechodząc obok niego. — Przez chwilę wyglądałeś niemal jak człowiek.

Roz uśmiechnęła się do Duffy'ego, a przynajmniej usiłowała to uczynić. Zapukali do drzwi Toby'ego.

— Wejść.

Zaledwie przestąpiła próg, Toby zeskoczył z krzesła i podbiegł do niej. Cały promieniał.

— Kochanie, w końcu jesteś. Wejdź do środka i usiądź. Widzę, że przyprowadziłaś kogoś ze swojej świty. Wynoś się, Duffield.

Duffy usiadł. Toby poprowadził Roz do dużej, obitej skórą sofy.

— Siadaj tutaj i zrelaksuj się na moim sprzęcie do przesłuchań. Napijesz się czegoś?

Roz poczuła się zakłopotana i spojrzała nań nieufnie.

—Czemu?

—No dobrze — Toby mówił przez ramię, nie patrząc na Duffy'ego. — Spróbuj się do czegoś przydać. Tam są kieliszki. Otwórz Pouilly-Fume. I nalej dwa duże. — Gdy Duffy zajął się otwieraniem wina, Toby ciągnął: — Sama popatrz, kochanie. Myślę, że naprawdę na coś trafiliśmy. Telefonistkom głowa już pęka od makabrycznych telefonów. Czy rozmawiałaś z tym mężczyzną po programie?

—Tak...

—Co jeszcze powiedział?

—Po prostu powtórzył to samo co na antenie. — Roz nie mogła się zmusić do przytoczenia jego słów. — Potem powiedział, że mogę mu pomóc.

—Wspaniale! To właśnie chciałem usłyszeć. — Duffy wręczył Roz kieliszek. — W jaki sposób chcesz nawiązać z nim kontakt?

—Nie wiem. Duffy wyrwał mi słuchawkę, po czym on natychmiast się rozłączył.

—Ty idioto! — Toby zwrócił twarz przypominającą karmazynowy balon w stronę szafki z drinkami. — Hej! Co robisz, do jasnej cholery?

—Piję swoje wino — Duffy opuścił trzymany kieliszek, sprawiając wrażenie nieco urażonego.

— Miałeś nalać mi i Rossi.

Roz nienawidziła, gdy nazywał ją Rossi. Zazwyczaj wisiało wówczas w powietrzu coś niemilego.

— A teraz spieprzaj stąd.

Duffy napełnił trzeci kieliszek.

—Skąd to porażające promieniowanie dobroci, Toby? I grymas bazyliuszka, który ma uchodzić za uśmiech?

—Nie pozwalaj sobie na zbyt wiele, Duffield. Sam wiesz, że reporterów sportowych jest do licha i trochę. Nauczyciele wu-efu, którzy pozwolili sobie na zbyt wiele. Pozbawione kultury, żłowiące piwo prostytutki o poziomie intelektualnym wombata.

Duffy kandydował do tytułu Sportowego Reportera Roku, a poza pracą w radiu pisywał też dla pewnej ekskluzywnej gazety. Obydwaj wiedzieli, że jego stanowisko jest równie bezpieczne jak pozycja Toby'ego, a może nawet pewniejsze. Wziął teraz drugie krzesło i postawił butelkę na rogu biurka. Toby ignorował jego obecność.

— Nie zdajesz sobie sprawy, kochanie, jak coś takiego może podnieść nasze notowania?

Duffy wydał odgłos pełen obrzydzenia. Na twarzy Roz odmalowało się zakłopotanie, a potem niedowierzanie.

—Ależ, Toby, nie masz chyba na myśli tego, co mi teraz przyszło do głowy?

—Nie bądź tego taka pewna — rzucił Duffy.

—To jest biznes jak każdy inny i nie ma sensu udawać, że jest inaczej. Konkurujemy z LBC i Capitałem, nie mówiąc już o starej BBC, więc przestań się zachowywać jak cnotliwa wiktoriańska dama.

—Cnotliwa wiktoriańska dama na pewno by nie...

Toby ciągnął, nie zwracając uwagi na wtrącenie Duffy'ego.

—Możemy to wykorzystać, Rossi. Jasne, może się okazać, że facet nikogo nie zamorduje — w głosie Toby'ego zabrzmiał autentyczny żal, jakby trudno mu było się z tym pogodzić — lecz jeśli uda nam się tę sprawę przedłużyć i znów wprowadzić go na antenę, to naprawdę możemy stworzyć odpowiednie napięcie. Porozumiałem się już z marketingiem.

—Wspaniale. Może w odpowiednim momencie uda nam się ściągnąć go do studia. I namówić, by udusił swą ofiarę na antenie.

—Jeśli upierasz się przy pozostaniu tu bez zaproszenia, Duffield, to przynajmniej postaraj się o jakieś pożyteczne sugestie.



—Och, nie mówię, że mu na to pozwolimy. Najwyżej jedno, dwa charknięcia, po czym oddział specjalny będzie mógł wpaść do studia i go unieruchomić. Oczywiście, o wiele lepiej wyglądałoby to w telewizji.

Toby, obdarzywszy Duffy'ego spojrzeniem godnym świętego, którego cierpliwości stanowczo nadużyto, zwrócił się do Roz.

—Ja sam tego nie słyszałem, kochanie... Jak zwykle jestem zavalony robotą aż potąd... — pomachał w stronę jarzeniówki w suficie, na co Duffy zaśmiał się zjadliwie. — Ale moja sekretarka miała włączony głośnik i powiedziała, że to zabrzmiało dość... no cóż... osobiście. Co takiego właściwie powiedział ten człowiek?

—Że musi kogoś zamordować i chce, abym o tym wiedziała.

—Zastanawiam się, dlaczego właśnie ty?

—Bo jest stuknięty — rzucił Duffy. — Po prostu wybrał ją na oślep. Równie dobrze mógł to być ktokolwiek inny.

—Powiedział, że to dotyczy mnie bezpośrednio.

—Usiłuje cię przestraszyć, Roz. To cholerny wariat.

—Poczekaj chwilkę... To ja decyduję, kto tutaj jest niespełna rozumu — Toby spojrział twardo po kolei na każde z nich, czując, że jego autorytet słabnie. — Co powiedział potem? Zanim odciął go ten clown wścibiający nos w nie swoje sprawy?

—Zapytałam, czy pomogłaby mu rozmowa na ten temat...

—Dobrze! Grzeczna dziewczynka!

—...a on odpowiedział, że nie ma nic przeciw temu, by pogadać trochę na początek.

—Na początek?! To brzmi obiecująco.

Duffy podniósł się szybko, zawahał przez chwilę, a następnie dolał sobie jeszcze trochę wina:

—Gdy cię słucham, chce mi się rzygać.

—A więc wszystko zależy teraz od tego, czy będzie to dalej ciągnął. Jestem pewny, że się na to zdecyduje. Zwłaszcza gdy zajmie się tym nasz marketing. Oni lubią czuć się ważni, w samym środku spraw, ci pomyleńcy. Zobaczycie, jak zaczną, to nie będzie siiy, żeby go zatrzymać.

Roz zadrżała, po czym coś jej się nagle przypomniało.

— Zastanawiam się, czy ta karta, którą dostałam wczoraj, ma z tym coś wspólnego?

— Co? Jaka karta?

Roz opisała kartę z „In Memoriam” oraz zamieszczoną na niej wiadomość. Toby zareagował jak chart spuszczonej ze smyczy.

— Z pewnością tak. Boże, ten człowiek to artysta. Przynies ją, Roz, przyjrzymy jej się dobrze.

—No cóż... hm...

—Podarłem ją — rzucił Duffy.

—Co *zrobiłeś*? Mam cię naprawdę dosyć. — Toby wstał i podszedł z mozołem do okna, wskazując urażonym, lecz żywym gestem na swoje puste krzesło. — Może chciałbyś zająć to miejsce i kierować tym wszystkim?

—Ktoś powinien to robić. — Duffy podszedł do Roz. — Chodź, Rossetto. — Wziął ją za rękę.

— Jeszcze nie skończyłem.

—Co jeszcze można powiedzieć? Do czasu, kiedy ten facet zadzwoni ponownie, nic nie możemy zrobić. A nie ma sensu przeżuwać tego bez końca. Nie widzisz, że ją to denerwuje?

—Osoby o delikatnych nerwach nie powinny zostawać dziennikarzami. — Zauważywszy, jak zmienił się wyraz twarzy Duffy'ego, Toby dodał pospiesznie: — W porządku. W porządku. Masz rację.

Gdy opuszczali gabinet, Duffy się obejrzał. Toby, który powtórnie zajął swe miejsce, wygląda! jak nieznany, odnoszący mizerne sukcesy aktor, któremu zaoferowano właśnie główną rolę w filmie Spielberga. Nie miał zamiaru z tego rezygnować. Duffy uświadomił sobie, że wbrew oczekiwaniom szefa ma nadzieję, iż człowiek ten już więcej nie zadzwoni.

—Mamusiu!

—Hm.

— Gdybyś musiała oddać mnie albo Guya, to które z nas byś zatrzymała?

Roz marzyła o tym, by Leo bardziej przykładał się do śniadaniowego rytuału — prawdę mówiąc, chciała, żeby w ogóle się doń przykładał. To ona musiała sobie radzić z przygotowywaniem i nakładaniem jedzenia, ze sprawdzaniem, czy dzieci spakowały właściwe podręczniki, czy skarpetki nie mają dziur, czy ubranie jest w miarę porządne, a teraz musiała jeszcze odpowiadać na niemądre pytania. W tym poranku coś się kryło. Wydawał się taki sam jak zwykle. Dzieci na zmianę chichotały i gderwały. „The Times” był rozłożony i przeglądany jak zawsze. Bałagan na stole nie różnił się od normalnego bałaganu. Madgewick leżał rozwalony po lordowsku obok grzejnika. Pojawił się nawet bonus w postaci ostrego, listopadowego

światła, które rzucało chłodny połysk na stojące w walijskim kredensie talerze. Jednakże z jakiegoś powodu to wszystko wywierało na Roz odmienne wrażenie. Dzisiaj brudne naczynia, samozadowolenie Leo oraz sprzecznienie się dzieci, zamiast zapewnić rozpęd na cały dzień, zaczęły ją denerwować.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

Kathy odrzekła:

—Wszyscy pytamy swoich rodziców. Miałam cię o to zapytać wczoraj, ale zapomniałam.

—Nie byłabym w stanie dokonać takiego wyboru. Kocham was oboje tak samo.

—To właśnie mówią wszyscy rodzice. Z wyjątkiem rodziców Franceski.

—A co oni powiedzieli?

—Powiedzieli, że musieliby wybrać ją, bo kochają ją bardziej niż jej starszego brata, bardziej niż jej siostrzyczkę, która się niedawno urodziła, bardziej niż wszystkie dzieci świata zebrane razem.

Roz się uśmiechnęła.

—Naprawdę tak powiedzieli?

—Ale nikt jej nie uwierzył. Ona tak strasznie kłamie.

Kathy spojrzała wyzywająco na Guya, lecz ten wypełniał kupon z opakowania płatków kukurydzianych i nie przysłu- chiwał się rozmowie. Roz zaczęła się zastanawiać, ile jeszcze nadejdzie bezwartościowych przesyłek, które powiększą górę rupieci, już teraz z trudem mieszczącą się w czterech ścianach jego pokoju. Po raz pierwszy poczuła, że nie ma siły o tym myśleć.

— Nie zapomnij wziąć jabłka.

Dzieci wstały z hałasem, krzesła zazgrzytały po wypolerowanej posadzce. „The Times” opuścił się wówczas niechętnie do pół masztu, zatrzymując się na poziomie stołu. Leo nigdy nie zabierał gazety do pracy. W ciągu dnia nie miał ani chwili wolnej i Roz podejrzewała, że często pracował bez przerwy, nie korzystając nawet z przerwy na lunch. Kiedy wracał wieczorem do domu, czuł się zbyt zmęczony, by zrobić cokolwiek; był w stanie jedynie się rozluźnić, zjeść posiłek i porozmawiać z dziećmi w dość chaotyczny sposób. Tak więc, mając do niego żal, że w miarę spokojnie czyta prasę podczas śniadania, okazywała wielki egoizm. Uznała jednak, iż powinien się dowiedzieć, że ten ranek różni się od pozostałych. Że sprawy nie są w całkowitym porządku.

Leo pochylił się nad krzesłem żony, składając pocałunek między jej brwią a uchem.

—Idziesz dziś do radia? Czy też kolej na Michaela Kelly'ego?

—Och, naprawdę, Leo! — Od dwóch lat prowadziła *Pogawędki z Roz*, a on wciąż nie miał pojęcia, jak był zorganizowany jej tydzień. — Nigdy nie chodzę do radia w środę.

—Przepraszam, przepraszam. — Przykucnął przy niej, tak że ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. — Co jest nie tak?

Najwidoczniej zupełnie zapomniał o ich rozmowie z poprzedniego wieczora. Zaczekała, aż dzieci poszły spać, a on niemal zasnął na sofie, i dopiero wtedy wspomniała o rozmowie telefonicznej. Myślała o niej przez cały wieczór, co podsycało jej lęk do tego stopnia, że w chwili, gdy poruszyła ten temat, całe ciało miała napięte. Reakcja męża ją zaszokowała, chociaż zdrowy rozsądek mówił jej, że powinna ją uspokoić. Leo odniósł się do całej sprawy bez większych emocji.

—To dlatego, że jesteś sławna, kochanie. — Szybki, ciepły pocałunek. — Nie przejmuj się. Prawdopodobnie codziennie wydzwania do znanych ludzi. No wiesz: jeśli to poniedziałek, muszę zadzwonić do Gilmour.

—To nie był poniedziałek!

Leo opuścił nogi na podłogę i wstał, podciągając ją do pozycji stojącej. Odgarnął jej włosy do tyłu i przeciągnął palcami po napiętych brwiach i skroniach.

— Jesteś bardzo zdenerwowana. Zrobię ci coś do picia. Nie możemy sobie pozwolić na łzy przed snem.

Siedzieli potem blisko siebie w swoim wielkim, miękkim łóżku, pijąc gorącą czekoladę, a następnie kochali się z namaszczaniem i czułością i Roz jak zwykle zapomniała w ramionach Leo o bożym świecie. Potem zapadła w bezpieczny, satysfakcjonujący sen, lecz obudziła się nagle w środku nocy, całkiem przytomna, i wykrzyknęła:

— Leo, z nami jest wszystko w porządku, prawda?! Niezależnie od tego, co się stanie, to z nami jest wszystko w porządku?

Nie otworzył oczu, lecz objął ją ramieniem. Resztę nocy spędziła, drzemiąc niewygodnie z głową na jego piersi. Teraz, odpowiadając na jego pytanie, powiedziała:

— Nic takiego, kochanie. Jestem po prostu trochę zmęczona.

Kiedy wyszedł, a dzieci zbiegły za nim z tupotem po schodach, Roz zabrała kawę na górę do gabinetu. Chciała znaleźć się tam bezpiecznie za

zamkniętymi drzwiami, zanim pojawi się pani Jollit. Istniało między nimi porozumienie, że nie wolno jej wówczas przeszkadzać, bowiem oznacza to, iż pracuje. Usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać swoje notatki z poprzedniego dnia. Przeczytała trzy strony, zanim zorientowała się, że nie rozumiała z nich ani słowa. Postanowiła zrezygnować z pracy.

Na krzesłach wokół pokoju rozłożone były próbki materiałów, palety z kolorami farb oraz próbki wykładziny dywanowej. Podeszła do najbliższego krzesła i wzięła do ręki wachlarz z próbkami zasłon od Warnera. Wcale nie miała tego w planie. Chciała pisać: pragnęła zanurzyć się w spokojny, uporządkowany, oświecony świat osiemnastego wieku, lecz nie była w stanie się skoncentrować. Zdyscyplinowana energia, do której odwoływała się tak beztrąsko, nigdy jej nie kwestionując, dzisiaj po prostu była nieosiągalna.

Stała obok okna, przerzucając kawałki bawełny i kretonu. Przykładała je do białej ramy, sprawdzając, jak poszczególne kolory wyglądają w świetle dziennym. Podobał jej się zwłaszcza materiał w duży kwiatowy wzór. Żywe, jaskrawe, agresywne kolory. Wyrażające określony punkt widzenia w zdecydowany sposób. Dostyc miała subtelnych, spranych odcieni i drobnych wzorków. Chwyciła paletę z różnymi kolorami farb. Szczególnie ciekawie prezentował się połyskliwy kolor mimozy. Jeszcze tylko jednobarwne płótno jako obicie sofy oraz masa barwnych poduszek. Haftowanych, gobelinowych, a może trochę tych z pięknymi wypychanymi aplikacjami wyobrażającymi satynowe obłoki i korpulentne, zabawne owieczki. Właśnie tak. „A więc ruszaj do dzieła, Gilmour”, mruknęła do siebie Roz i rozejrzała się za taśmą do mierzenia.

Na dole trzasnęły frontowe drzwi. Pani Jollit. Roz stanęła na krześle, aby zmierzyć długość zasłon. Zanotowała wyniki pomiarów na kawałku papieru. Z kuchni dobiegały ją odgłosy gwałtownego trzaskania i walenia, a następnie przenikliwy sopran oznajmiający całemu światu, że jego posiadaczka cieszy się z tego, co robi.

Roz wróciła do próbek kolorów farb. Biały był zbyt zimny, a jednocześnie przy delikatnym połysku na drzwiach i wszystkich drewnianych elementach, a także przy tych zasłonach powinno to być coś niezbyt rzucającego się w oczy. Szarości odpadały z tego samego powodu. Może odcień żółtawobrazowy... albo waniliowy. Brązowy wydawał się za ciemny, złocistożółty zbyt banalny, a ściany były nieco za duże, by można je było pomalować na beżowo. W końcu zdecydowała się na coś pośredniego: wanilio-



wy, lecz o ciepłym, cytrynowym odcieniu. Roz niemal nie zdawała sobie sprawy, że otrząsa się z depresji. A teraz dywan.

Ciemny brąz obecnej wykładziny był o wiele za ciężki. Podobała jej się zieleń, lecz uznała, że przy kwiecistych zasłonach i wybranym kolorze ścian całość może sprawić wrażenie parku publicznego. Zauważyła próbkę w ładnym kolorze mlecznej czekolady z kremowymi plamkami. Niemal jak tweed. Uklękła i wymierzyła powierzchnię podłogi. Wprawdzie najpierw trzeba będzie złożyć zamówienie i zanim wszystko nadejdzie, minie bez wątpienia parę tygodni, lecz przynajmniej zrobiła pierwszy krok.

Mogła zamówić zasłony przez telefon, ale postanowiła pojechać do Centrum i przy okazji oddać próbki. W drodze powrotnej miała zamiar wybrać farbę. W dużym notesie miała zapisany numer telefonu niezależnego dekoratora wnętrz i jego córki, którzy pięknie pomalowali poprzedniego lata górne piętro domu ich sąsiadów. Prawdopodobnie mieli zamówienia na parę najbliższych miesięcy, lecz mimo to warto było spróbować.

Usiadła przy biurku, wyjęła z szuflady notes z adresami i otworzyła go na literze D, potem W, a potem N (od słowa „niezależny”). Bez rezultatu. Prawdopodobnie wpisała go niemądrze pod jego własnym nazwiskiem, po czym natychmiast je zapomniała. Westchnęła. Notes miał pokaźne rozmiary i wypełniony był wszystkimi adresami i numerami, których mogła kiedykolwiek potrzebować. Znajomi, rodzina, praca. Zaczęła od litery A i doszła do nazwiska Arundell, gdy nagle zadzwonił telefon. Do licha! Oznaczało to narażenie się na kontakt z panią Jollit. Zbiegła szybko po schodach.

— Halo, Roz. — Nie odpowiedziała, nie była w stanie. — To nie było zbyt miłe z twojej strony, odłożyć wczoraj słuchawkę.

— Nie zrobiłam tego, nie odłożyłam jej.

Była zadowolona, że jej głos brzmi normalnie. Nie było w nim ani śladu niepokoju, od którego przewracał jej się żołądek. Ani też nie wyczuwało się, że rozmawianie z nim bez świadków jest dla niej czymś o wiele gorszym.

Co postanowiła wczoraj? Że spróbuje mu pomóc? Czyż nie było to jej obowiązkiem? Co jednak mogła uczynić? Niezrównoważeni ludzie potrzebują profesjonalnej pomocy. A Duffy stwierdził, że gdyby temu człowiekowi naprawdę na tym zależało, to udałby się do lekarza. Może jednak własny lekarz nie okazał mu współczucia i łatwiej mu było zwrócić się do kogoś obcego? Przez cały ten czas słowa wylewały się ze słuchawki. Nie była

w stanie ich rozróżnić. Był to dla niej tylko ciepły, oleisty szelest, jedwabista rzeka.

Biała słuchawka ślizgała jej się w dłoni. Od czasu do czasu przebijało się przez mgłę jakieś wyrażenie.

— Służba społeczna... kompletne zero... uporządkowanie spraw...

Nagle poczuła pierwszy sygnał powracającego życia — mrowienie w czubkach palców. Rzuciła słuchawkę i wróciła do swojego gabinetu, ignorując krzyk z sutereny, który prawdopodobnie oznaczał „dzień dobry”.

Obeszła szybko pokój, biorąc do ręki próbki tkaniny i torebkę. Musiała wyjść z domu, znaleźć się na świeżym powietrzu. Odwiedzić sklepy, porozmawiać ze spokojnymi, rozsądnymi ludźmi o zwykłych, normalnych sprawach. Ile jabłek wchodzi na pół kilo i czy mają w sklepie angielską baraninę. Guyowi potrzebne były szare skarpetki. W sklepiku greckim powinni mieć świeżą kolendrę. Nagle, przechodząc przez hol, zatrzymała się w miejscu.

Zadzwoił do niej do domu. Ale przecież ich numer był zastrzeżony. Jak łatwo można zdobyć zastrzeżony numer? Weszła do salonu i podniosła słuchawkę, odczuwając zalewającą ją falę odrazy, jakby jej rozmówca wciąż był na linii i na nią czekał. Skarciła się za opieszałość. Żeby obawiać się skorzystać z własnego telefonu! Wybrała numer informacji o numerach, podała swoje nazwisko i adres, po czym poprosiła o przynależny numer. Po krótkiej przerwie telefonistka powiedziała:

—Przykro mi, ale ten numer jest zastrzeżony.

—Ale to niezwykle pilna sprawa.

—Obawiam się, że nie możemy pani pomóc.

—Muszę się porozumieć z panią Gilmour. To niesamowicie ważne. Absolutnie konieczne.

—Nie możemy podać tego numeru w żadnych okolicznościach. Bardzo mi przykro.

— Nawet policji?

—A pani jest z policji?

Roz się zawahała.

—Tak...

— W takim razie, jeśli poda mi pani swój numer oraz adres macierzystego posterunku, wówczas mój przełożony oddzwoni do pani.

Roz odwiesiła słuchawkę. A więc nie było to takie proste.

Zacząła się zastanawiać, czy ten mężczyzna pracuje w British Telecom. Ta myśl dodała jej nieco otuchy. Oznaczało to, że jeśli następnym razem, gdy zadzwoni, uda im się zdobyć choćby jego imię, wówczas będą mogli do niego dotrzeć.

Zaraz jednak pojawiła się następna myśl. Jeśli zna jej numer, to prawdopodobnie zna również jej adres. Pomyślała beznamiętnie, że to o wiele poważniejszy problem. Przeszła przez pokój i wyjrzała przez okno, lecz poczuła się bezceremonialnie wystawiona na spojrzenia innych, więc cofnęła się za zasłonę.

Ulica wydawała się pusta. Roz znów podeszła powoli do okna. Jak zwykle po obu stronach stłoczone były jeden za drugim parkujące samochody, a jej golf stał tuż pod oknem. Drzewa, które parę miesięcy temu były świeże, kolorowe i zapewniały osłonę, teraz sprawiały wrażenie, że wysuwają w niebo szponiaste, nagie gałęzie, przypominające bicze. Ujrzała, jak Jonathan Miller opuszcza dom, otuliwszy swoją wysoką, kościstą sylwetkę ciężkim płaszczem i szalikiem. Obok przeszedł mężczyzna pchający przed sobą wózek ze śmieciami. Niemal spodziewała się, że spojrzy do góry, więc kiedy poszedł dalej, zbierając po drodze śmieci z rynsztoka, i zniknął za zakrętem, odetchnęła z ulgą.

Znowu zadzwonił telefon. Między pierwszym sygnałem a chwilą, gdy pół minuty później podniosła słuchawkę, Roz uległa radykalnej przemianie. Poczowała przyływ gniewu. W jej żyłach zaczęło pulsować oburzenie skierowane przeciw temu nieznanemu mężczyźnie, który zakłócił spokojny, równomierny bieg jej życia, sprawiając, że nie potrafiła się skoncentrować, a nawet naruszając jej szczęście domowe. Nie dała mu szansy dojścia do głosu.

—Posłuchaj mnie uważnie. Jeśli zadzwonisz tu jeszcze raz, zawiadomię policję. Powinieneś trafić do psychiatryka! Nic mnie nie interesują twoje zwyrodniałe plany ani to, co się dzieje w twoim chorym umyśle. Takich jak ty powinno się izolować. Po prostu zostaw mnie w spokoju, słyszysz? *Zostaw mnie w spokoju.*

—Roz...

—O mój Boże. — Opadła bez siły na siedzenie, czując, że gniew się ulatnia. — Duffy.

—Co się dzieje, na miłość boską?

—Zadzwonił do mnie. Tutaj.

—Kiedy?

—Kilka minut temu.

—Co powiedział?

—Nie wiem.

—Co masz na myśli, mówiąc, że nie wiesz?

— Chyba się na chwilę wyłączyłam. Zrozumiałam tylko poszczególne fragmenty... jakby przez...

Na chwilę zapadła cisza, po czym Duffy zapytał:

— Co masz zamiar teraz zrobić?

—Hm... Miałam właśnie udać się na Sloane Street, żeby załatwić sprawę zasłon.

—Ja wybieram się teraz do księgowości po zwrot kosztów służbowych. Nie wyobrażam sobie lepszego sposobu wydania tych pieniędzy niż zaproszenie cię na lunch.

Roz zaczęła automatycznie wysuwać obiekcje, lecz Duffy stwierdził:

— Nie proszę cię o to, słoneczko, lecz ci to oznajmiam. Znasz restaurację Guy Hussar?

—Tak.

—Bądź tam przed pierwszą.

—Posłuchaj, Duffy...

—Nie dyskutuj ze mną.

—Wcale nie miałam zamiaru dyskutować. Chciałam ci po prostu podziękować.

—Bardzo słusznie. A więc do zobaczenia. Aha, jeszcze jedno...

— Tak?

— Zanim wyjdiesz z domu, zadzwoń do British Telecom. Postaraj się o zmianę numeru.

Od chwili, gdy Roz była ostatnio w Guy Hussar, minęło z pewnością dziesięć lat, lecz nic się tu nie zmieniło. Gdy przyszła, Duffy już na nią czekał. Wcisnęła się na obitą materiałem ławę i przez chwilę siedziała z zamkniętymi oczyma, słuchając odgłosów rozmów i sztucców oraz stukającego w okno deszczu. Duffy zachował milczenie do czasu, gdy otworzyła oczy. Była mu za to wdzięczna.

— Cześć — odezwał się, nalewając węgierskie wino. Miało delikatny bursztynowy kolor o niemal zielonkawym odcieniu. Tam, gdzie zimne wino wypełniało kieliszek, na szkle ukazywał się kwiat. —Zamówiłem zupełną wiśniową.

—Wciąż ją serwują?

—*Spécialité de la maison.*

Było tam bardzo przytulnie. Siatkowe firanki nie dopuszczały do wnętrza szarego dziennego światła, a kelnerzy uwijali się wokół, stawiając na śnieżnobiałych obrusach dymiące dania. Lampy żarzyły się jasno. Roz wdychała aromat wina. Przyniesiono pierwsze danie. Miała nieco wątpliwości co do zimnej zupy przy takiej pogodzie, lecz zupa była pyszna, smak wiśni i kwaśnej śmietany cudownie łączył się ze sobą, a wszelką ostrość łagodził kwiatowy aromat wina o delikatnej, miodowej słodyczy.

Wydawało się, że Duffy czuje się tu zupełnie swobodnie.

Roz tak się przyzwyczaiła do jego widoku w odzieży wierzchniej lub w swetrze i sztruksach, że trzyczęściowy garnitur w wąskie jasnoszare prążki był dla niej rewelacją. Jego koszula z delikatnej bawełny również miała jasny kolor. Róż nie potrafiła zdecydować, czy jest szara, czy biała, i spytała go o to.

— Sprzedawca u Turnbulla uważał, że jest niebieska. Najważniejsze, że tobie się podoba, kochanie. — Uśmiechnął się do niej, a rysy jego szczupłej, opalonej twarzy złagodziło rozproszone światło.

Roz odpowiedziała mu uśmiechem.

—Nienawidzę nylonowych koszul, a ty?

—O Boże, ja też. Pasują do nich ażurowe podkoszulki i zestawy krawat z chusteczką.

—I faceci, którzy noszą skarpetki do sandałów. — Gdyby jednak miała zastanowić się nad tym, jakie koszule posiada Duffy, przypuszczałaby, że są nylonowe. Samotnie mieszkającemu mężczyźnie wygodnie jest przepłukać taką koszulę i powiesić w łazience. Ale może nie mieszkał sam. Może istniała para, a nawet kilka par chętnych rąk, piorących i prasujących jego koszule od Turnbulla i Assera. Uświadomiła sobie, że przestała się nad nim litować. Niebezpieczny objaw.

—Ja biorę gulasz, a ty?

—Poproszę omlet. Nigdy nie jem dużo w ciągu dnia. My jemy... no cóż, później. — Nagle poczuła się zażenowana, jakby wprowadziwszy do ich rozmowy wątek domowy, popełniła jakąś towarzyską gafę.

Ale Duffy zapytał po prostu:

— Jaki omlet?

— Z jajek. — Obydwoje się roześmieli, o wiele głośniejszym, niż zasługiwał na to kiepski dowcip.



Przyniesiono omlet, gruby i puszysty, posypany makiem. Roz zamówiła do niego sałatę. Gulasz Duffy'ego pachniał intensywnie papryką i delikatnym mięsem, a podany był z ryżem i okrą. Zabrali się do jedzenia, dobrze się czując w swoim towarzystwie.

Nie tylko ubranie Duffy'ego różniło się od tego, do czego Roz była przyzwyczajona. W studiu zawsze miała wrażenie, że kogoś udawał. Że pozował na rubasznego reportera z terenu, który ma słabość do Roz Gilmo-ur. Kiedy okazywał jej względy lub zapraszał na lunch, sprawiało to wrażenie elementu pasującego do jego repertuaru zachowań. Teraz zrezygnował z tego przedstawienia i chociaż jej się to podobało, poczuła się również nieco zaniepokojona. Miała ochotę zacząć go przepytawać. Wypełnić białe plamy z jego przeszłości, o której wiedziała tak niewiele, oraz odkryć, jakie drogi doprowadziły go do City Radio. I jakie są jego plany na przyszłość.

Usiłowała wyobrazić sobie jego dom. Prawdopodobnie było to mieszkanie. Zastanawiała się, jakie posiada książki i obrazy, o ile w ogóle je posiada. Natychmiast pomyślała, że ta ostatnia uwaga była niezwykle protekcyjna. Dlaczego dziennikarz sportowy nie miałby mieć obrazów? Duffy pisał bardzo dobrze. Prawdopodobnie posiada bibliotekę, przy której powstydzilaby się swojej. Może chce zaprosić ją po lunchu do siebie. Oczywiście odmówi. Miała nadzieję, że jej nie zaprosi. Dobrze było mieć w nim sprzymierzeńca i przyjaciela. Nie chciała być zmuszona do radzenia sobie z czymś więcej.

— Nie martw się.

— Co takiego? — poczuła, że na policzki wypływa jej rumieniec.

— Wiesz, co mam na myśli.

— Z całą pewnością nie wiem.

— Daj spokój, kochanie. Czytam w tobie jak w książce. Spójrz — uniół ręce do poziomu ramion, odwracając dłonie w jej stronę. — Ręce są tu.

Uśmiechnęła się.

— Przepraszam.

— Uwielbiam twój uśmiech, Rosetto. Jest lepszy niż kamienna twarz.

— Przerwał na chwilę. — Co jest?

— Bolało.

Szybko i sprawnie zmienił temat rozmowy:

—Na pewno zastanawiasz się, w związku z czym zadzwoniłem. Chciałem podwędzić nową taśmę do swojego magnetofonu. Jutro rano sonduję opinię publiczną na Oxford Street.

—Pod warunkiem, że przyniesiesz ją z powrotem.

Na twarzy Duffy'ego pojawił się wyraz urażonej niewinności.

—Zawsze kładę je z powrotem na miejsce.

—Duffy, *nigdy* nie kładziesz ich z powrotem na miejsce. Nawiasem mówiąc, jaki temat będziesz poruszał?

—Kradzieże sklepowe. Będę pytał ludzi, czy odczuwają czasem taką pokusę. Czy oburza ich, że muszą płacić więcej za towary, by pokryć straty, jakie ponoszą sklepy. Zwyczajne sprawy. Powinnaś sama kiedyś tego spróbować.

—Nie ma mowy. Lubię zaszyć się w studiu. Bezpiecznie ukryta przed irytującym tłumem.

I o to właśnie chodziło. Było to doskonale otwarcie rozmowy, w ten sposób mogli omówić powód, dla którego w rzeczywistości spotkali się na lunchu. Zagłębiwszy się uprzednio z upodobaniem w analizę osobowości Duffy'ego, Roz zapomniała o tym na parę minut.

—Zmieniłaś swój numer? — zwrócił się do niej Duffy.

—Sprawa jest już pod kontrolą. Na razie będą blokować wszelkie telefony. Nie powinno to zająć więcej niż dwa dni.

—To dobrze. On na pewno nie pojawi się znowu na antenie. Oczywiście jest jeszcze sprawa tego listu. Powinniśmy byli zatrzymać kopertę od tej upiornej karty. Rozpoznałabyś wówczas charakter pisma i mogłabyś po prostu wyrzucić wszystko bez otwierania.

—Ale jeśli zdobył uprzednio mój numer domowy, to podejrzewam, że uda mu się to po raz drugi.

—Też o tym myślałem. Kto zna twój numer?

—Och, paru bliskich przyjaciół. Szkoła każdego z dzieci, szpital św. Tomasza, rodzice Leo, moja mama. Studio, Sonia...

—Bardzo mi przykro, że zabrzmiało to przygnębiająco, ale to naprawdę mnóstwo osób.

—Ale ich wszystkich na pewno można wykluczyć. Czy potrafisz wyobrazić sobie, jak moja mama, rodzice Leo bądź nawet ktoś ze szpitala przekazuje nasz numer komuś całkowicie nieznanemu?

Może to nie jest nieznanemu, pomyślał Duffy, lecz za nic w świecie nie powiedziałby tego głośno.

— Czy jesteś pewna, że nie przypominasz sobie niczego, co powiedział? Zdaję sobie sprawę, że nie chcesz świadomie tego rozpamiętywać, ale może się tam kryć jakaś wskazówka.

Nie chciała tego rozpamiętywać. W ciągu kilku sekund zaczęło jej się wydawać, że jego przymilny szept rozlega się w całej restauracji, brukając białe obrusy i zamulając uśmiechy wychodzących gości.

— Powiedział coś o zamordowaniu włóczęgi. I o tłumie oplakujących osób.

— Jesteś pewna? Mam na myśli, że te dwie sprawy nie pasują do siebie.

— Nie, nie jestem tego pewna! — odparła rozdrażniona, a jej głos zabrzmiał ostrzej i głośniej. Ludzie siedzący przy sąsiednim stoliku przestali rozmawiać i zaczęli jej się przyglądać. — Usiłowałam wymazać go z pamięci, nie poświęcałam mu całej uwagi.

— Daj spokój, kochanie. — Wyciągnął rękę i Roz bez zastanowienia wsunęła w nią swoją dłoń.

— Boję się, Duffy.

Nie zaoferował jej żadnego z banalnych sformułowań, które pragnęła usłyszeć, w rodzaju: „Nie przejmuj się” lub „Prawdopodobnie jest zupełnie nieszkodliwy” bądź „Wszystko będzie w porządku. Zaopiekuję się tobą”. Po prostu przykrył ich połączone dłonie swoją drugą dłonią.

— Nie wiem, dlaczego to wszystko robisz — wskazała na stół, mając na myśli znacznie więcej niż posiłek. Odczuwała na swojej dłoni pewien nacisk, tak delikatny, że potem zastanawiała się, czy tego sobie nie obraziła.

Po chwili Duffy się odezwał:

— Jestem pewny, że dobrze to wiesz.

Gdy podziękowała za kawę, poprosił o rachunek.

Na zewnątrz poczucie ciepła i bezpieczeństwa ulotniło się w ciągu paru sekund. Wiatr przenikał skórę i tamował oddech. Roz chciała się uśmiechnąć, ale miała zamrożone na sztywno wargi. Nawet oczy sprawiały jej ból. Miała na sobie płaszcz z kapturem ze sztucznego futra udającego ocelota.

Duffy zanurzył głowę w futrze tuż koło jej ucha. Serce zabiło jej w piersi, gdy ujrzała, jak przybliżyła się jego twarz, tracąc ostrość. Przekrzykując wiatr, zawołał:

— Wyglądasz jak Miss Koła Podbiegunowego. Wokół ich stóp wirowały śmieci z Soho.

— Złapię dla ciebie taksówkę — Duffy wstąpił na jezdnię i podniósł rękę.

Gdy Roz weszła do taksówki, zwróciła się do niego:

— Nie wsiądziesz? Mogę cię gdzieś podrzucić. — Nie chciała się z nim rozstawać i uświadomiła sobie ze wstrząsem, że powoduje ją nie tylko obawa przed pozostaniem samą.

W restauracji czuła się szczęśliwa, niemal bezpieczna. Gdy stanęła na zewnątrz tuż obok niego, wystawiona na deszcz i wiatr, jej poczucie bezpieczeństwa się zmniejszyło. Teraz, w miarę oddalania się taksówki, czuła się nie tylko niepewnie, lecz również w osobliwy sposób czegoś pozbawiona. Nie usiłował pocałować jej na pożegnanie, nie cmoknął jej nawet przyjacielsko w policzek.

Odwróciwszy się, spojrzała przez tylną szybę i zauważyła przez rzęsisty deszcz, że Duffy ruszył już w przeciwnym kierunku.

## Rozdział czwarty

Mniej więcej w połowie rozmowy uświadomił sobie, że go nie słucha. Nie wiedział, jak to wyczuł. Nie była to przecież rozmowa twarzą w twarz. Wiedział, że nie odłożyła słuchawki, lecz po prostu się wyłączyła. A jednak przedtem udało mu się wyprowadzić ją z równowagi. Słyszał, jak wstrzymała oddech. Mocno się zdenerwowała, ale potem w jakiś sposób mu się wymknęła.

*Wysłucha go jednak.* Już on się o to postara. Powinna się dowiedzieć, co się wydarzy. Nikt nie będzie mógł potem powiedzieć, że nie grał z nią uczciwie, niezwykle uczciwie, nawet jeśli ona nie odwdzieczyła mu się tym samym. Zwodziła go, a potem w pełni zawiodła.

Prawdopodobnie nie był w tym odosobniony. Ilu innych ludzi napisało lub zadzwoniło do niej i zostało odsuniętych na bok jak bezwartościowe śmieci? Cios, który jej zada, będzie wykonany w imieniu ich wszystkich. Tych wszystkich, którzy urodzili się w niewłaściwej rodzinie i w niewłaściwym miejscu, tych, którzy nie mieli szczęścia. Znowu poczuł oczyszczający powiew moralnej pewności. Ujrzyć, że sprawiedliwości stało się zadość, było czymś satysfakcjonującym, lecz stać się instrumentem tej sprawiedliwości...

Przysunął do siebie blok papieru. Przede wszystkim powinien powtórzyć to, co powiedział podczas ich rozmowy telefonicznej, i upewnić się, że tym razem dotrze to do niej. Oznaczało to zapisanie wszystkiego lub—jeszcze lepiej (mogła przecież przeczytać parę pierwszych słów, po czym wyrzucić list) — nagranie tego na taśmę. Uświadomił sobie, że będzie to o wiele bardziej ryzykowne, taśmę mógł na przykład przesłuchać kto inny, nic na to jednak nie mógł poradzić. Skuteczniejsze wyjaśnienie jej swoich planów było kolejnym krokiem w jego kampanii i nie znał uczciwego sposobu, aby ten krok ominąć. Nie miał zamiaru wysłać taśmy pocztą, narażając ją na wyrzucenie do śmieci wraz z resztą niechcianej korespondencji. Nie. Umieści tę wiadomość w jej własnym magnetofonie. To będzie trudniejsze, lecz trudności są po to, by je przewyciężyć.

Napisał: „DOSTARCZENIE WIADOMOŚCI” i podkreślił te słowa. Następnie umieścił na papierze punkt pierwszy: „Jak wejść do rozgłośni?”. Znał rozmieszczenie pomieszczeń i dokładnie wiedział, gdzie znajduje się



jej gabinet. Pamiętał, jak działa recepcja. Tym razem nie był skazany na błądzenie po omacku. Potrzebował jedynie przekonującego powodu, aby się tam dostać. Nie mogło to być umówione spotkanie, bo zadzwoniliby, aby to sprawdzić. Myślał intensywnie, nie odczuwając najmniejszego lęku. Czuł się pewny siebie, ponieważ wiedział, że jego sprawa jest słuszna i że na pewno coś wymyśli.

Przyszło mu do głowy, że rozgłośnia o takiej wielkości jak City Radio nie zatrudnia prawdopodobnie wielu pracowników technicznych zajmujących się konserwacją budynku. W razie potrzeby na pewno korzystają z pomocy jakiejś firmy z zewnątrz. Sprawdzenie, kto wzywał fachowca, zabrałoby dziewczynie z recepcji trochę czasu. Mógł po prostu przemknąć szybko ze swoją torbą z narzędziami, rzucając w jej stronę: „Hydraulik... W porządku, wiem, gdzie iść”, a jeśli zachowa zimną krew i nie zatrzyma się nawet na chwilę, to powinno wystarczyć. Mógł się nieco ucharakteryzować. Przylepić sobie wąsy, na wypadek, gdyby spotkał kogoś z programu *Saturday Show*. Nic wymyślnego, bo nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Pan Christoforou trzymał w szafie na klatce schodowej obok telefonu starą płócienną torbę pełną narzędzi. Wyciągnięcie jej po kryjomu i włożenie z powrotem, zanim cokolwiek będzie jej właścicielowi potrzebne, nie sprawi raczej większych kłopotów. Nie musi wkładać żadnego uniformu. Przy obecnej pogodzie i tak będzie miał na sobie jakąś kurtkę. W zupełności wystarczą też dzinsy.

Musiał upewnić się, że w budynku nie będzie Soni. Była jedyną osobą, która mogła go rozpoznać. Nie powinno to być trudne. Umówi się z nią obok przystanku metra Holborn i poprosi, by wyszła z pracy nieco wcześniej. Na pewno nie wróci do biura. Nawet gdyby ją poprosił, żeby spotkała się z nim na pasie szybkiego ruchu autostrady M1, głupia krowa czekałaby na niego przez całą wieczność. Miał Soni absolutnie dosyć. W krótkim czasie, od kiedy ją poznał, stała się już równie niemożliwa, jak jego matka. Wciąż pytała go, czy ją kocha i czy się spotkają następnego dnia. Musiał jednak przyznać, że podporządkowywała mu się bez protestu. Zaspokajał nie tylko swoje podstawowe potrzeby, lecz po raz pierwszy mógł liczyć na upragnione wariacje. Gdy poprzedniego wieczoru przyniósł ze sobą jedną ze swoich książek, Sonia pokryła się wprawdzie szkarłatnym rumieńcem na całym ciele, aż do kostek u nóg, ale dzielnie spróbowała trzech czy czterech mniej skomplikowanych pozycji. Przyznała, że gdy dwoje ludzi się kocha i

(co ważniejsze) ma zamiar się pobrać, to nie ma znaczenia, jak się zachowują.

Leo się spóźniał. Siedząc z dziećmi przed telewizorem, Roz zaczęła spoglądać na zegar. Obejrzelili kreskówkę, w której pies z nosem w kształcie piłki golfowej i w kolorze lukrecji pracował na pół etatu jako woźny, a pozostały czas poświęcał rozwiązywaniu zagadek kryminalnych, nad którymi głowiła się policja wszystkich kontynentów. Roz skrzywiła się na myśl, że przydałby się jej taki pies.

Czuła się już lepiej. Częściowo wpłynął na to lunch z Duffym, a częściowo absolutna normalność towarzysząca odbieraniu dzieci ze szkoły, słuchaniu ich paplaniny i parzeniu herbaty. Siekała teraz seler, orzechy włoskie i paprykę na sałatkę. Kawalki kurczaka, doprawione winem, bulionem i ziołami, dusiły się przez cały dzień w specjalnym garnku do powolnego gotowania. Roz marzyła o kieliszku wina i oczywiście mogła nalać go sobie sama, lecz zazwyczaj robił to Leo tuż po przyjściu. Był to pierwszy krok powolnego, rozluźniającego rytuału ich wspólnego wieczoru. Leo powinien wrócić do domu niemal pół godziny temu. W drzwiach kuchni pojawił się Guy.

— Gdzie jest tata?

Roz zadziwiało demonstrowane przez dzieci zaufanie do jej wiedzy. Gdzie jest moja książka do fizyki? Buty do piłki nożnej? Najdłuższy most na świecie? Mars?

— Powinien niedługo przyjść.

—Kathy zaraz idzie spać. Może będzie musiała pójść do łóżka, zanim go zobaczy.

—Nie gadaj jej tak. A zresztą nawet, gdyby była już w łóżku, to tata pójdzie do niej na górę, jak tylko wróci do domu.

Wydawało się, że ta wiadomość sprawiła chłopcu przyjemność.

— Tak, wiem.

Obydwoje usłyszeli w tej samej chwili trzaśnięcie drzwi.

— O wilku mowa!

Leo wszedł po schodach z sutereny i Roz usłyszała zbiegającą z góry Kathy. Gdy jej mąż zdejmował płaszcz, dzieci mówiły coś do niego z ożywieniem. Roz zorientowała się, że przeszli do salonu, bo ich głosy przycichły. Dziesięć minut później Leo wszedł do kuchni, podszedł do niej od tyłu i objął ramionami w pasie.

—Coś cudownie pachnie. — Pocałował ją w szyję. — Hmm, to ty tak pachniesz. — Przycisnął ją do siebie przez moment, a następnie wypuścił z objęć. — Na co masz ochotę?

—Trochę białego wina, kochanie. — Gdy Leo wyjmował z kredensu kieliszek, dodała: — Z wodą mineralną. Wypiłam sporo wina podczas lunchu.

—Doprawdy? — Leo odstawił kieliszek i wyjął dużą, kulistą szklanę. — To do ciebie niepodobne.

—Wybrałam się do Gay Hussar.

—To się staje coraz ciekawsze.

—W lodówce jest otwarta butelka.

Leo napełnił winem szklanę do połowy, otworzył małą butelkę Perriera, dolał wody, po czym zaniósł szklanę wraz z resztą wody mineralnej do miejsca, gdzie Roz przyprawiała sałatkę. Dla siebie napełnił dużą szklanę whisky, dodając nieco wody z Malvern.

— A któż to cię zaprosił do restauracji?

Roz zirytowała nieco zawarta w tych słowach implikacja, że nie mogła sama wybrać się do Gay Hussar ani zjeść tam lunchu z kimś znajomym, płacąc za siebie. Jeszcze bardziej oburzył ją fakt, że Leo wcale nie czekał na jej odpowiedź.

—Przepraszam za spóźnienie. Próbowałem zadzwonić, ale coś jest nie w porządku z telefonem. Powinienem to zgłosić.

—Och... — Wydawało jej się, że musi myśleć o wszystkim naraz. Miała zamiar powiedzieć mu o swojej rozmowie telefonicznej później, gdy upora się z dziećmi. — Obawiam się, że to moja wina.

—Co takiego?

—Miałam niemiły telefon. Zadzwonił tu ten facet, o którym ci mówiłam. Nie mam pojęcia, jak zdobył numer. Załatwiam więc jego zmianę.

Leo wpatrywał się w nią.

—Mam prywatnego pacjenta w krytycznym stanie. Mogą mnie w każdej chwili wezwać do szpitala. Nawet w środku nocy. A ty mi oznajmiasz, że nie można się ze mną skontaktować, ponieważ wyłączyłaś nam telefon?

—Myślałam, że będziesz z tego zadowolony.

—Zadowolony?! Oczywiście, że nie jestem zadowolony.

—To znaczy zadowolony z tego, że nie będę miała więcej podobnych telefonów.

—A nie lepiej podłączyć automatyczną sekretarkę?

—Rozmawialiśmy już kiedyś na ten temat. *Nienawidzę* automatycznych sekretarek. Poza tym i tak słyszy się wówczas to, co ktoś mówi. Chcę zapomnieć na zawsze brzmienie jego głosu. A nie utrwać go na taśmie po wszystkie czasy.

—Jeśli znowu zadzwoni, wystarczy tylko, żebyś odłożyła słuchawkę. Wkrótce mu się to znudzi. Zamiast tego wszystko stawiasz na głowie. Będziemy musieli przekazać nowy numer wszystkim znajomym.

—Nie wszystkim. Myślałam, że dopóki go nie złapią, powinniśmy zachować wielką ostrożność — w jej głosie pojawił się gniew. — Wygląda na to, że bardziej cię obchodzą prywatni pacjenci niż ja. A co z twoimi ubogimi pacjentami z National Health? Im nie poświęcasz równie wielkiej uwagi?

—Nie ma powodu, żebyś szydziła z moich prywatnych pacjentów. Jak ci dobrze wiadomo, od bardzo dawna to im właśnie zawdzięczasz śmietankę na swojej kawie — Leo przerwał, po czym, podejmując wysiłek, by złagodzić nieco napięcie, spytał: — Co takiego właściwie powiedział ten facet?

—„Halo, Roz...”

—No cóż, to nie brzmi tak strasznie — Leo się uśmiechnął. Boże, jaki ma protekcjonalny ton, pomyślała Roz. Dlaczego nigdy nie zwróciłam na to uwagi?

— A potem gadał coś długo na temat służby społecznej... doprowadzenia spraw do porządku... czy coś takiego...

—Nie groził ci?

—Chyba nie. Starłam się go nie słuchać.

—Moim zdaniem najskuteczniejszym sposobem, żeby nie słuchać, było odwieszenie słuchawki.

—Masz rację. — Jak mu wyjaśnić, że czuła się jak sparaliżowana? Teraz oboje mieli wrażenie, że okazała się kimś pozbawionym zarówno inteligencji, jak i odwagi.

—Czy wciąż można od nas zadzwonić?

—Tak.

— To już coś. Zadzwonię do szpitala i wyjaśnię, co się stało. I porozumiem się z centralą telefoniczną, żeby się upewnić, czy przepuszczają pilne telefony. Powiedzieli, ile czasu to zajmie, ten nowy numer?

— Nie.

—No to wspaniale. Podejrzewam, że uświadamiasz sobie, iż skoro zdobył stary numer, to może też odkryć nowy?

—Tak, przyszło mi to do głowy, Leo, ale wielkie dzięki, że zwróciłeś mi na to uwagę. Dzięki temu od razu czuję się o wiele lepiej.

Roz odwróciła się z powrotem z drżącymi dłońmi w stronę sałatki, a Leo trzasnął kuchennymi drzwiami. Kiedy w końcu zasiedli do posiłku, niemal się nie odzywał. Zazwyczaj opowiadał przynajmniej jedną historię z minionego dnia w pracy, komentował posiłek, pytał, jak minął jej dzień. Czasem rozmawiali na temat dzieci. Tego wieczoru, gdy spytała o pracę domową Guya, odpowiedział krótko: „Biologia. Nigdy nie ma z tym problemów”, po czym znów zabrał się do jedzenia.

Skończyli jeść kurczaka z dzikim ryżem. Na deser Roz kupiła w greckim sklepiku bakławę. Zazwyczaj bardzo jej smakowała, lecz dzisiaj mieszanka miodu i orzechów wydawała jej się mdła i niemal jej nie tknęła. Obserwując, jak Leo zjada wszystko do końca i nalewa sobie drugą filiżankę kawy, doszła do wniosku, że ich kłótnia nie zdenerwowała go w widoczny sposób. Nie sądziła dotąd, że potrafi być tak niewrażliwy. Wróciła znów myślami do sceny w restauracji i reakcji Duffy'ego na wiadomość o telefonie. Wydawało jej się, że znów widzi go naprzeciw siebie, jak uśmiecha się do niej z uniesionymi dłońmi, rozumiejąc ją bez słowa. Tym razem nie usunęła z myśli tego obrazu.

Fenn stał na rogu Southampton Row i Great Ormond Street. Strumień samochodów przepływał obok niego, wychlapując na chodnik brudną wodę z rynsztoków. Wszystko było zalane, a niebo nabrzmiewało kolejną porcją deszczu, przybrawszy wygląd szarego, nasiąkniętego wodą koca. Fenn przejrzał się uważnie w oknie sklepu z odzieżą męską. Miał na sobie płaską czarną czapkę z daszkiem, a nad ustami przylepił starannie mały blond wąsik. W ręku trzymał torbę z narzędziami należącą do pana Christoforou. Od czasu do czasu spoglądał na wejście do City Radio.

Zaczął już się niepokoić, gdy ujrzał, jak Sonia opuszcza budynek. Szybko cofnął się do bramy sklepowej. Obserwował, jak dziewczyna odchodzi, kierując się w stronę stacji metra Holborn. Miała w ręku ciężką torbę z zakupami oraz reklamówkę ze sklepu Victoria Wine. To dobrze. Oznaczało to obfity posiłek oraz kieliszek lub dwa, kiedy w końcu do niej dotrze. Nie mógł się tego doczekać.

Dłuższe czekanie nie miało sensu. Dołączył do grupy przemokniętych, przygnębionych osób czekających na zmianę świateł, po czym przeszedł



przez jezdnię. Kiedy doszedł do drzwi obrotowych, usiłował odtworzyć w sobie poczucie słuszności i pewności sukcesu, które tak przemożnie go ogarnęły w czasie planowania obecnych działań. Czuł, że wszelkie znaki na niebie i ziemi są pomyślne, lecz marzył mu się znak wyraźnie wskazujący na to, że dopisuje mu szczęście. Dostrzegł przez drzwi wysokie, liściaste palmy, błyszczącą recepcję ze szkła i metalu oraz grube, ciemne dywany. Zmusił się do wejścia do środka. Zatrzymanie się byłoby fatalnym błędem. W górę po schodach. Do przodu po dywanie.

TLR

Dziewczyna w recepcji była mioda i ładna. Nie mógł powstrzymać się przed porównaniem jej do Soni. Gdyby okoliczności były inne... Miała pomysłowo pomalowaną twarz, a jej żółte włosy sterczały jak dziesiątki delikatnych pierzastych kolców. Przypominała uroczonego, seksownego małego jeża.

Minął ją pewnym krokiem ze słowami:

—Hydraulik... toaleta męska na parterze...

Dziewczyna podniosła się, mając zamiar coś powiedzieć.

—Proszę chwilę poczekać...

— Wszystko w porządku. Wiem, gdzie to jest. Nie jestem tu pierwszy raz.

Ona jednak wyszła zza biurka i ruszyła w jego stronę. I wówczas otrzymał swój znak. Przez drzwi obrotowe wszedł postawny mężczyzna w płaszczu z wielbłądziej wełny, który sprawiał wrażenie, że potrafi sobie radzić, i rzucił w stronę dziewczyny:

— Louise! Co tutaj robisz?

— Czekam na Felicity, panie Winthrop. Zastępuję ją przez chwilę, bo poszła po płaszcz.

— Czy Val Berry już się pojawił?

— Zaraz to sprawdzę — dziewczyna zajrzała do leżącego na biurku dużego notesu.

Tymczasem Fenn zdążył przejść przez kolejne drzwi i znajdował się w połowie korytarza. Miał pewność, że dziewczyna nie zadzwoni do nikogo, aby sprawdzić, czy wezwano hydraulika. Był również przekonany, że uda mu się nagrać swoją wiadomość bez przeszkód. Opatrzność mu sprzyjała. W toalecie nie było nikogo. Zastanawiał się, czy w czasie czekania nie pomajstrować kluczem lub nie zająć się zbiornikiem z wodą, istniało jednak ryzyko, że z toalety skorzysta ktoś, kto zajmuje się konserwacją budynku. Wprawdzie do tej pory szczęście go nie opuszczało, lecz nie było sensu przeciągać struny.

Wszedł do jednej z kabin i ukrył torbę z narzędziami na zbiorniku z wodą. Ktoś zostawił egzemplarz „The Sun”, co powinno pomóc mu wypełnić czas oczekiwania. Otworzył dziennik na trzeciej stronie. Uznał za absolutnie odrażające, że niektóre dziewczyny pokazują wszystkie swoje wdzięki pierwszemu lepszemu, którego stać na kupienie gazety. Niektórzy ludzie robią wszystko, żeby zdobyć pieniądze. Gdyby któraś z jego dziewczyn uczyniła coś takiego, postarałby się, aby zapamiętała to na dobre.

Spróbował wyobrazić sobie Sonię, jak leży tylko w majtkach, liząc lody, i zachichotał, lecz zamilkł natychmiast, usłyszawszy, że ktoś wszedł do toalety.

Wiedział, że pracownicy biurowi kończą pracę za mniej więcej pięć minut, o wpół do szóstej, i miał zamiar pozostać w ukryciu jeszcze przez kwadrans lub pół godziny, aby dać im czas na opuszczenie budynku. Zdobył od Soni najróżniejsze informacje. Orientował się, gdzie znajdują się studia, i wiedział, że personel będzie się kręcił wokół nich aż do północy. Fakt, że Sonia nie lubiła Roz Gilmour, był bardzo pożyteczny. Nieprzerwanie wylewały się z niej informacje i osobiste uwagi na temat szefowej. Wystarczyło, że zapytał: „Jaka dzisiaj była Jaśnie Pani?”, aby uwolnić strumień jej mowy.

Ktoś spuścił wodę i mył ręce. Dwaj mężczyźni rozmawiali bez końca, uzgadniając wspólny obiad: pierwszy z nich podawał niekończącą się listę potraw, których nie mogła jeść jego żona z powodu ciąży, a drugi bez przerwy wzdychał i przerywał mu słowami: „Nie musisz mi tego mówić”. Do kabiny Fenna dotarł dym z drogiego cygara. Potem nastąpiła cisza.

Wszedł z kabiny ze swoją torbą z narzędziami. Korytarze wydawały się opuszczone. Kawalek dalej znajdowała się winda. Nacisnął przycisk, po czym cofnął się do toalety na wypadek, gdyby w windzie ktoś był. Drzwi otworzyły się automatycznie — w środku nie było nikogo. Wślizgnął się do windy i nacisnął przycisk czwartego piętra. Miał przemożne uczucie, że los mu sprzyja, lecz mimo to, kiedy winda się zatrzymała, musiał przyznać, że przez moment ogarnął go lęk. Gdyby teraz wysiadł i kogoś spotkał, trudno by mu było wyjaśnić, co tu robi. Na czwartym piętrze nie było wiele do roboty dla hydraulika. Nie zobaczył jednak żywego ducha. Udał się prosto do gabinetu Roz.

O tym, gdzie trzymany jest magnetofon, dowiedział się od Soni podczas jednej z sesji zadawania naiwnych pytań, kiedy to udawał, że pragnie dowiedzieć się absolutnie wszystkiego na temat jej codziennych obowiązków biurowych: „Żebym mógł wyobrazić sobie ciebie przy pracy, kochanie”. Usiadł przy biurku Roz, wciągnął rękawiczki i postawił przed sobą magnetofon.

Zapisał sobie wszystko, co chciał powiedzieć, i teraz rozłożył kartkę z notatkami, chociaż wiedział, że wcale nie jest to potrzebne. Słowa były wyryte w jego umyśle. Zaczął mówić.

Sonia czekała czterdzieści pięć minut. Najpierw stała w środku, obok automatów biletowych, aby nie zmoknąć, lecz nagle przyszło jej do głowy, że Fenn może zbliżyć się do stacji i kiedy jej nie zauważy, natychmiast odejdzie. Na tę myśl wpadła w taką panikę, że co trzy, cztery minuty wybiegała na ulicę, żeby sprawdzić, czy go nie ma, i była teraz tak przemoknięta, jakby spędziła cały ten czas, stojąc na deszczu.

Osiągnęła teraz stadium „jeśli”. Jeśli zamknę oczy i policzę do dwudziestu, to kiedy je otworzę, pierwszą osobą, którą zobaczę, będzie właśnie on. Policzyła do dwudziestu i otworzyła oczy. Przez tłum, typowy dla godziny szczytu, torował sobie drogę jasnowłosy młody mężczyzna.

— Fenn! Tutaj...

Z bliska jednak zupełnie nie przypominał Fenna. Kiedy wrzucał monety do automatu biletowego, spojrzał na nią niemal szyderczym wzrokiem. Kupił dwa bilety, po czym znów zanurzył się w tłum ludzi. Podszedł do dość atrakcyjnej dziewczyny w skórzanej minispódnicy i wysokich kozaczkach. Coś do niej szepnął, a ona się odwróciła i zaczęła przyglądać Soni, po czym obydwójce wybuchli śmiechem. Och, jak marzyła o tym, żeby pojawił się teraz Fenn i by mogła wsunąć mu rękę pod ramię i ruszyć z podniesioną głową. Udała, że niczego nie zauważyła.

Miał tego popołudnia przesłuchanie, ale nic nie wspominał, że się może spóźnić. Może musiał tam zostać i przeczytać swoją partię jeszcze raz. Cudownie by było, gdyby dostał rolę, chociaż Sonia nie mogła stłumić w sobie niepokoju na myśl o aktorkach, z którymi by wówczas pracował. Upłynęło kolejnych dziesięć minut. A może miał wypadek, może przejechał go samochód? Albo ktoś go napadł? W głębi duszy nie wierzyła w to. Było w nim coś takiego... Nie sprawiał wprawdzie wrażenia niezniszczalnego, ale demonstrował tajemniczą pewność siebie, jakby dysponował sekretną wiedzą, niedostępną reszcie świata.

Spoglądając z perspektywy na ich kilka spotkań, Sonia wciąż niezbyt dobrze rozumiała, jak to się stało, że w niezwykle krótkim czasie osiągnęli w swoim związku tak zaawansowane stadium. Fenn przestał wydawać się nieśmiały i chociaż nigdy tego nie powiedział, doszła w jakiś sposób do wniosku, że jeśli odmówi mu spełnienia któregoś z jego „fizycznych żądań”, to ją opuści. Często marzyła o tym, aby okazywał jej nieco więcej czułości, lecz, być może, pojawi się to w swoim czasie. Była pewna, że odmieni go ojcostwo. A jeśli sprawy ułożą się tak, jak planowała, dzieci pojawią się szybko. Chciała mieć najpierw dziewczynkę — o karnacji Fenna,

lecz z jej łagodną naturą. I bardzo ładną. Ktoś, kto posiada urodę, może sobie poradzić nawet bez miłego charakteru.

— Cześć.

Podszedł do niej od tyłu. Rzuciła się na niego, a jej twarz zajaśniała poczuciem ulgi. Trzymana przez nią butelka wina uderzyła Fenna w kolano.

— Au! No to pocałuj mnie, Sony.

Czasami nazywał ją Sony, ponieważ, jak twierdził, potrafiła błyskawicznie zmieniać kanały. Sonia nigdy do końca nie zrozumiała tej uwagi, lecz podobał jej się pomysł posiadania przydomku: brzmiał sympatycznie i wskazywał na bliskość między nimi. Gdy zajęli miejsce w metrze, przytuliła się do Fenna.

— Kochanie — dotknęła delikatnie jego twarzy — twoja skóra nad górną wargą jest cała czerwona.

Wyrwał jej się gwałtownie. Nie miał nic przeciwko temu, że go pocałowała w holu dworcowym, gdzie było mnóstwo ludzi, ale tutaj byli boleśnie wystawieni na widok publiczny. Przyszło mu do głowy, że wszyscy w wagonie na pewno myślą, iż nie może sobie pozwolić na lepszą dziewczynę.

—To guma od sztucznych wąsów. Ta rola, o której ci opowiadałem, to jeden z tych lalusiów z prywatnej szkoły. No wiesz, z pretensjonalnym głosem. Przylepiłem więc sobie mały wąsik. Jasny, w rodzaju Edwarda Foxa.

—A więc to było staroświeckie?

—Co takiego?

—No, ta sztuka. Dzisiaj nieczęsto nosi się wąsy.

—Taaa. Osadzona w latach trzydziestych.

—Jaka była twoja rola?

—Niewielka. Ale mam jedną czy dwie dobre sceny.

—O czym jest ta sztuka?

— Nie wiem, skąd miałbym to wiedzieć? Dostajesz do przeczytania tylko kilka stron, a nie całą sztukę. — Boże, jaki był głodny. Umierał z głodu. Teraz, gdy udało mu się skutecznie zrealizować swoje zadanie, był w stanie zjeść obiad złożony z dziesięciu dań.

— Pokaż, co masz w swojej torbie, Sony.

Sonia ugotowała makaron, do którego miała sos mięsny. Przygotowała go poprzedniego wieczoru, kiedy się nie spotkali, siekając wszystko starannie i dopilnowując cierpliwie, gdy dusił się powoli na wolnym ogniu. Pod-



czas gotowania uczucie szczęścia, jakie ją spotkało, uderzyło ją z nową, cudowną siłą.

Czasem, po prostu po to, by spotęgować swoją radość, przypominała sobie bezbarwne wieczory z czasów zanim się spotkali. Jajko albo pasztecik z mięsem, które jadła dopiero po wpół do dziewiątej, aby czymś urozmaicić upływające godziny. Oglądanie telewizji po prostu dla zabicia czasu, pranie bielizny, która nie była naprawdę brudna. I niekończące się, nieciekawe letnie wieczory, gdy przed spaniem wybierała się na długi spacer i odwracała wzrok od par leżących w parku oraz grup młodych ludzi siedzących przed pubami, którzy śmiali się i pili w świetle zachodzącego słońca.

Tym razem kupiła wino Rioja, które sprzedawca polecał jako wino miesiąca. Rzeczywiście było bardzo dobre, „o owocowym aromacie”, jak to określił.

—Nie tak owocowe jak ty, kochanie — stwierdził Fenn, zanim przeszedł do tego, co nazywał swoimi małymi figlami. Jak zwykle pił bardzo mało; w czasie gdy ona miała za sobą cztery kieliszki, on skończył pierwszy. Kiedy posłusznie zwróciła się w stronę wąskiego jednoosobowego łóżka, poprowadził ją zamiast tego do jednego z krzeseł stołowych z twardej oparciem.

—No chodź... nie, nie siadaj na nim, głuptasie... tutaj... w ten sposób...

Spoglądał jej w oczy i działał szybko. Wydała cichy krzyk, który zaczął wzbijać się w coraz wyższe rejestry na wstrzymanym oddechu.

— Przepraszam, będę musiał obciąć paznokcie.

Nie zatrzymał się jednak. Oczy jej pociemniały. Poczucie czegoś nie do zniesienia zaczęło ustępować innym doznaniom — było to smutne oczekiwanie zmieszane z lękiem i narastający strach. Tak bardzo wzmocniło to odczuwaną przez niego przyjemność, że niemal wynagrodziło mu to brak reakcji z jej strony. I nagle, w momencie olśnienia, Fenn uświadomił sobie, że to właśnie ten brak reakcji działa na niego stymulująco.

Boże... Tak jest lepiej... Zdziwiał, że oparcie krzesła, się nie złamało. Co musieli sobie pomyśleć sąsiedzi z dołu. Zachwycony, roześmiał się jej w twarz, na której malowało się oszołomienie, po czym zmienił jej pozycję tak, by mógł wykonać swój ostatni ruch.

Louise piła herbatę cytrynową, siedząc w gabinecie Roz. Przyszła tu, aby omówić swoją przyszłość. Zaoferowano jej kurs, którego ukończenie miało jej umożliwić kandydowanie na stanowisko asystentki produkcji, i pomyślała, że porozmawianie na ten temat z Roz pomoże jej uporządkować

myśli. Praca w reżyserce sprawiała jej wiele satysfakcji i nie była pewna, czy pragnie zmiany. Ich dyskusja została jednak gwałtownie przerwana wejściem Soni, kipiącej z podniecenia. Trzymała w ręku egzemplarz „The Sun”, który położyła przed Roz, przypominając psa aportującego piłkę.

Konferencja prasowa Toby'ego nieco zawiodła jego oczekiwania, ponieważ przedstawiciele poważnych gazet albo wcale się nie pojawili, albo poświęcili jego zaskakującej rewelacji parę linijek na ostatniej stronie, lecz bulwarówki okazały nieco więcej zainteresowania. W leżącej na biurku gazecie, powyżej oficjalnej fotografii Roz, widniał wytłuszczony, czarny tytuł: „GROŹBY POD ADRESEM GWIAZDY RADIOWEJ PODCZAS AUDYCJI ZE SŁUCHACZAMI”. Zamieszczona poniżej historia nie wносиła do sprawy niczego nowego, ale wyrażona była w terminach nabrzmiałych złowieszczyimi implikacjami.

—Uważam, że Toby popełnia błąd — stwierdziła Louise. — Zwracanie się do prasy zachęca tylko ekshibicjonistów.

—Tego właśnie pragnie Toby. To dobrze wpływa na notowania rozgłośni.

Louise się skrzywiła:

—Ale to niezbyt mile w stosunku do ciebie. Swoją drogą, świadomie wprowadził ich w błąd. Przedstawił to w taki sposób, jakby ta groźba dotyczyła twojej osoby.

—Och, to jedna z korzyści ubocznych tego zawodu, czyżbyś o tym nie wiedziała? Możesz mieć własnego świra. — Roz była zła na Sonię za to, że przyniosła gazetę. Czuła się już dzisiaj lepiej: była ożywiona i myślała pozytywnie. Artykuł prasowy zmącił ten jej nastrój.

Między gabinetem Roz a korytarzem był niewielki kącik. Znajdowały się tam trzy półki, na których leżały rzadko używane teczki z papierami, a obok dość szerokiej półki z białej melaminy, która w razie potrzeby spełniała funkcję pulpitu biurka, stało krzesło obrotowe. Za każdym razem, gdy Louise lub Duffy przychodzili do Roz na rozmowę, Sonia wycofywała się tam nader ostentacyjnie. Teraz też to uczyniła, zamykając zdecydowanie drzwi za sobą. Roz, równie zdecydowanie, otworzyła je i zostawiła uchylone. Czuła się dotknięta wiszącą w powietrzu niemą insynuacją, że jej rozmowa z Louise nie powinna zostać podsłuchana, że, być może, padną podczas niej niemiłe uwagi dotyczące jej sekretarki.

—Jutro w tę gazetę będą pakować frytki, Roz. A za parę dni znajdzie się tam, gdzie powinna. Na śmietniku.

—Nie stanie się tak, jeśli Toby postawi na swoim — w głosie Roz zabrzmiał nieukrywany niesmak. — On usiłuje to rozdmuchać. No wiesz: czy ten facet to zrobi, czy tego nie zrobi? Czy potencjalna ofiara spaceruje w tej chwili ulicami Londynu w błogosławionej nieświadomości, że wkrótce jej życie zostanie brutalnie przerwane? Robi mi się od tego niedobrze.

—To musi być kobieta.

—Oczywiście. Jaki dreszcz podniecenia może wywołać mężczyzna, który morduje mężczyznę? — Roz zgmiotła gazetę i wepchnęła ją gniewnym gestem do kosza na śmieci. — Do diabła z tym. Przepraszam, Lou, miałyśmy rozmawiać o twojej pracy.

Louise otworzyła swoją torbę.

— Nie ma sprawy. Chyba już podjęłam decyzję. Ludzie zawsze twierdzą, że potrzebują porady, a potem i tak robią to, co planowali, prawda? — Wyjęła z torby dwa podłużne sreberka o znajomym kształcie.

TLR

—Chcesz Marsa?

—Nie, dziękuję. — Z jakiegoś powodu Roz nie miała ochoty powtarzać rutynowych zdań o tym przysmaku. — Zostało tylko dziesięć minut do lunchu. — Po chwili wiedziona nagłym impulsem, rzuciła: — Wczoraj Duffy zaprosił mnie do Gay Hussar.

—A więc to o to chodziło.

—Wspomniał o tym? — Roz poczuła rozczarowanie, chociaż zdawała sobie sprawę, że jest to bezpodstawne.

—Nie. Ale widziałam go o wpół do piątej i wyglądał jak bardzo elegancki kot, który przed chwilą schrupał co najmniej pięć kanarków, zagryzając je bitą śmietaną.

—On... sprawia wrażenie, że mnie bardzo lubi.

—Powtarzam ci to już od wieków.

—Wiem, ale zawsze wydawało mi się, że to pewna poza. Taki żart. Podejrzewam, że wygodnie mi było w to uwierzyć. W końcu, to nie ma sensu, prawda? Poza tym nie chciałabym go urazić.

—Na twoim miejscu nie martwiłabym się o Duffy'ego — odparła Louise. — Faceci dają sobie z tym świetnie radę.

Do gabinetu weszła Sonia i sięgnęła po płaszcz wiszący na drzwiach.

— Idę teraz na lunch, pani Gilmour. Będę z powrotem punktualnie o drugiej.

Zawsze tak mówiła. Roz nigdy nie była pewna, czy jest to zapewnienie, czy też ostrzeżenie. Gdy drzwi się za nią zamknęły, zwróciła się do Louise:

—Sonia ma chłopaka, który kupuje jej Joy.

—O rany! Nawet za moich najlepszych czasów nigdy nie oceniono mnie wyżej niż na Rive Gauche.

—No właśnie, sama widzisz. Najwidoczniej ma jakieś ukryte zalety.

—Powiedziałabym, że dokumentnie ukryte.

—Przestań. Nie powiem więcej nic niemiłego na temat Soni. Przyrzekłam to sobie.

—No cóż, ja nie składałam takiego przyrzeczenia. Musi na to zasługiwać — odezwała się Louise z ustami wypchanymi batonem. — Może trudni się najstarszym zawodem świata.

Pomysł, że Sonia mogłaby zajmować się czymś podobnym, był tak nedorzeczny, że obydwie wybuchły śmiechem. Louise zapytała:

— Idziesz teraz do domu, żeby popracować?

— Nie, raczej nie. — Jeszcze przed chwilą trudno było Roz wyobrazić sobie, że mogłaby kiedykolwiek przedkładać pozostanie w biurze nad pójście do domu. — Mam sporo listów.

Louise wstała:

— Co słyhać u Michaela Kelly'ego?

— Spoko. — Roz przysunęła do siebie magnetofon. — To dziwne.

— Co takiego? — Louise zatrzymała się w drzwiach.

— Zanim ostatnio poszłam do domu, włożyłam tu czystą taśmę, ale ktoś jej używał.

— Może to wiadomość od Toby'ego.

— On zawsze zostawia jakąś kartkę. Albo wysyła posłańca. To bardzo dziwne.

Louise zawróciła z drogi i usiadła.

— No to przesłuchaj tę taśmę.

Roz nadal nie wykonała żadnego ruchu, więc Louise się gnęła przez biurko, przewinęła taśmę do tyłu, po czym włączyła odtwarzanie.

— Halo, Roz... — Jej dłoń natychmiast wykonała szybki ruch i nacisnęła przycisk „Stop”. Wymieniły spojrzenia.

— Czy Duffy jest w pracy?

Louise skinęła głową.

— W pokoju reporterów.

— Poproś go, proszę, żeby tu przyszedł. Nie chcę tego słuchać sama.

Louise nie poczuła się obrażona sugestią, że jej obecność została niedostrzeżona, lecz kiedy wróciła, towarzyszył jej nie tylko Duffy, ale również Toby Winthrop. Roz poczuła się załamana.

— Co się dzieje, Rossi?

Louise spojrzała współczująco na Roz i wzruszyła ramionami.

— Toby był w pokoju reporterów. Przepraszam.

— Czy to ten ekscentryk, kochanie? A może powinienem użyć słowa „pomylenie”?

— Jaka to różnica? — Duffy zareagował agresywnie i łatwo było zauważyć, że jest gotowy na wszystko.

— Och, różnica klasowa, oczywiście. Reprezentant górnej klasy średniej to ekscentryk, a ktoś z niższej, kto musi pracować, to pomylenie.

— Znalazłam wiadomość w swoim magnetofonie. — Roz nacisnęła odtwarzanie, odczuwając ogarniające ją mdłości.



—Roz. Jak niemiło z twojej strony, że odwiesiłaś w domu słuchawkę. Widzisz jednak, jaki jestem wytrwały. I jaki sprytny. Wdarłem się do twojej małej twierdzy. Nie jesteś zdziwiona? Chciałbym zobaczyć wyraz twojej twarzy. Wróćmy do tej śmierci. Chcę być w tej sprawie całkowicie uczciwy, Roz. Powinnaś znać powód. Chodzi o to, że podobnie jak wiele bardzo znanych osób, które odniosły sukces, w rzeczywistości, jako ludzka istota, jesteś kupą śmieci. Prawdę mówiąc, myślę, że termin „istota ludzka” jest tu w ogóle nie na miejscu. Skoro już to sobie wyjaśniliśmy, sprawy zaczynają wyglądać o wiele prościej. Każdy, kto pozbywa się kupy śmieci, wyświadcza społeczeństwu przysługę. Takim ludziom nawet się za to płaci. A więc wyświadczam przysługę olbrzymiej liczbie ludzi, Roz. Wszystkim pozostałym, których zawiodłaś. Ludziom podobnym do mnie, którzy zwrócili się do ciebie o pomoc, wierząc w całe to gówno, którym wymiotujesz na falach eteru. Podejrzewam, że myślałaś, iż jestem kolejnym zerem. Podobnym do wszystkich, których wykopałaś na bok. To był twój wielki błąd. Mogę wręcz powiedzieć: twój błąd ostatni. Naprzeciw siebie mam twoją fotografię, Roz. Wyglądasz na niej pięknie. Przystaniesz tak wyglądać, gdy z tobą skończę. Będziesz zadowolona, kiedy będziesz to miała za sobą. Nie zatrzymam cię teraz ani chwili dłużej. Muszę zrealizować pewne plany, a ty, oczywiście, musisz uporządkować swoje sprawy. Mówiąc zupełnie szczerze, nie mogę obiecać, że nawiążę jeszcze z tobą kontakt. To znaczy, zanim nadejdzie ten dzień. Mam wrażenie, że ostrzegając cię w ten sposób, zachowałem się tak uczciwie, jak powinienem. Więcej powiedzieć nie mogę. Do widzenia, Roz.

Cisza, która zapadła, zaczęła się przedłużać. Roz siedziała skulona na swoim krześle, czekając, aż ktoś ją przerwie. W końcu wykrztusiła spierzchniętymi wargami:

— Wyłączcie to.

Duffy spełnił jej prośbę. Głos zabrał Toby:

—No cóż, abstrahując od faktu, że funkcjonowanie jego umysłu wydaje się nieco zaburzone, to przesłanie brzmi dość jasno.

—Na miłość boską, Toby! — Duffy usiadł na rogu biurka i ujął dłoń Roz. Jej twarz była śmiertelnie blada. — Przynies trochę wody, Lou.

—Wszystko w porządku... nic mi nie jest.

—Oczywiście, że nic jej nie jest — podjął Toby gromkim głosem, niemal eksplodując z radości. — Nasza Rossi chętnie zmierzy się z czymś takim, prawda? A zresztą, ci szaleńcy nigdy niczego nie realizują. Przypo-

minają porywaczy, którzy zawsze wyglądają na gotowych wysadzić w powietrze samolot i zastrzelić pasażerów. Ale nigdy tego nie robią. — Naciśnął przycisk przewijania do tyłu.

—Nie ma pan chyba zamiaru odtwarzać tego po raz kolejny!

—Pamiętaj, do kogo mówisz, Louise i zwróć uwagę na swóton. — Toby poczekał, aż taśma się zatrzyma i wyjął ją z magnetofonu. — Wezmę ją ze sobą — rzekł, wsuwając ją do kieszeni — i przekażę prasie, oczywiście po odpowiednim montażu. Muszę przyznać, że moją poprzednią intrygującą informację przyjęli nieco chłodno. Może to ich trochę ożywi.

—Skoro się tym zajmiesz, mógłbyś przepytac pracowników ochrony na dole — rzucił Duffy. Louise spojrzala na niego ze zdziwieniem. Nigdy nie widziala go tak wscieklego. Był niemal równie blady jak Roz.

—Ochrony?

—Wygląda na to, że wszedł do budynku, dotarł do gabinetu Roz, posłużył się magnetofonem i wyszedł, a nikt nie zauważył niczego niecodziennego, więc powiedziałbym, że należy zacząć właśnie od ochrony!

—Masz rację — po raz pierwszy na twarzy Toby'ego odmalował się pewien niepokój. — Mamy tu trochę cholernie drogiego sprzętu. — Spojrzał na zegar nad biurkiem Roz. — Zostało jeszcze osiem minut. Powinno mi się udać zmontować to do czasu wiadomości.

—Szkoda, że masz ręce zajęte taśmą, prawda? — rzucił Duffy. Toby, stojąc już przy drzwiach, spojrzal pytajaco, nie rozumiejaco, o co chodzi. Duffy ciągnął: — Gdyby nie to, zacierałbyś pewnie dłonie. — Następnie zwrócił się do Louise: — W moim płaszczu w pomieszczeniu redakcyjnym jest piersiówka. Możesz ją przynieść, kochanie?

Kiedy Toby i Louise opuścili pokój, zwrócił się do Roz:

— Niechętnie to przyznaję, ale tym razem Toby ma rację. Wiem, że to okropne być zmuszonym do słuchania czegoś podobnego, ale tacy ludzie prawie nigdy nie wprowadzają swoich pogroźek w czyn.

Roz siedziała bardzo cicho, a na jej twarzy malowało się raczej niedowierzenie niż przerażenie, jak u kogoś, kto wciąż nie potrafi w pełni pojąć strasznej wiadomości, którą mu przekazano. Odezwała się cichym, spokojnym głosem:

— Czasem to robią, Duffy.

Tak. Czasem to robią. W nagrany na taśmie głosie brzmiała absolutna bezwzględność. Najwyraźniej człowiek ten widział siebie w roli mściciela wyznaczonego przez niebiosy. Nie ma sposobu, by dotrzeć do tych

obdarzonych misją szaleńców. Usiłując nie uzewnętrzniać swoich obaw, Duffy stwierdził:

— Musimy skontaktować się z policją.

— Tak mi się wydaje, chociaż nie mam pojęcia, co mogą w tej sytuacji zrobić.

Zadzwonili do komisariatu w Southampton Row, co dało w wyniku wizytę sierżanta w towarzystwie młodej policjantki. „Wyglądali tak — oznajmiła potem Roz, opowiadając o tym mężowi — jakby przynieśli wieść o czyjejs śmierci”.

Policjanci udali się do gabinetu Toby'ego, gdzie przeszuchali taśmę, a potem zasiedli razem z Roz i Duffym, pijąc z plastikowych kubków kawę przyniesioną z automatu w korytarzu. Policjantka miała notes i ołówek. Po kilku solidnych łykach whisky Duffy'ego policzki Roz nieco się zaróżowiły.

— Proszę posłuchać, pani Gilmour — rzekł sierżant, który miał błyszczące wąsy kasztanowego koloru — jestem pewny, że dla pani nie było to miłe doświadczenie, lecz my stykamy się z tym często. Nie wiem, czy rozmawiała pani na ten temat ze znajomymi z mediów...

— Nie miała czasu, żeby rozmawiać o tym z kimkolwiek — przerwał Duffy.

Sierżant wypii trochę kawy i osuszył delikatnie wąsy śnieżnobiałą chusteczką.

— ...lecz jeśli pani to zrobi, sądzę, że przekona się pani, iż większość miała kiedyś do czynienia z czymś podobnym. Obsceniczne telefony, pogrożki, żądanie pieniędzy. Wydaje się, że to nieodłączny aspekt tej pracy. Coś, z czym osoby publiczne muszą nauczyć się żyć. Musi pani wiedzieć, że ci ludzie rzadko wprowadzają swoje pogrożki w czyn.

Osobiście nie podobało mu się to wszystko. W głosie tego faceta słychać było szczere zadowolenie. Nie zdziwiłoby go, gdyby okazało się, że to psychopata. Jednak nie było sensu na tym etapie o tym wspominać.

— Ale z pewnością policja jest w stanie coś z tym zrobić. Przecież ten człowiek popełnia przestępstwo.

— Rzeczywiście tak jest, proszę pana. — Sierżant poczuł niechęć wobec Duffy'ego. Doskonale mógł się obejść bez szlachetnego rycerza-obroncy oraz bez gorączkowych, niecierpliwych uwag. Lubił, aby sprawy posuwały się w określonym tempie. Widział kątem oka, że policjantka Palmer zapisuje najwyraźniej każdą wypowiedzianą sylabę. Musi z nią po-

tem porozmawiać. Ten dzień krył w sobie wiele niespodzianek, z których nie najmniejszą był fakt, że istnieje kawa jeszcze gorsza w smaku niż ta w posterunkowej kantynie. Umieścił ostrożnie do połowy napełniony kubek na rogu biurka Roz i powtórzył: — Rzeczywiście tak jest. Grożenie komuś jest formą napaści. Mamy jednak niewiele punktów zaczepienia. Oczywiście przepytam pracowników recepcji.

—Wątpię, czy podał tam swoje nazwisko i oznajmił, co zamierza — Duffy wiedział, że zachowuje się nierozsądnie, nie potrafił się jednak powstrzymać. Zupełnie jak ten cholerny policjant z książeczek dla dzieci. — Czy może pan sprawdzić odciski palców?

—Tak — skinął głową sierżant, sprawiając wrażenie uosobienia cierpliwości — nie wiąże z tym jednak wielkich nadziei. Od czasu nagrania taśmy magnetofon obsługiwały co najmniej trzy osoby, a jeśli nasz facet jest choćby w połowie tak sprytny, jak mu się wydaje, to na pewno miał na sobie rękawiczki. Czy może mi pani powiedzieć — zwrócił się do Roz — kiedy, pani zdaniem, mogła zostać nagrana ta taśma? Proszę to zapisać, konstablu Palmer.

Policjantka spojrzała nań zaskoczona, zaczerwieniła się i przestała robić notatki.

—Wyszłam z pracy koło trzeciej. Moja sekretarka wyszła wczoraj trochę wcześniej niż zwykle, mniej więcej pięć po piątej, bo miała wizytę u dentysty. Zazwyczaj wychodzi o wpół do szóstej.

—Czy dotyczy to całego personelu biurowego?

—Tak. Mniej więcej kwadrans przed szóstą to piętro staje się raczej puste. Oczywiście parter i studia wciąż działają. Nadajemy audycje aż do północy.

—A rano?

—Sonia, moja sekretarka, przychodzi o dziewiątej. Ale rozgłośnia jest otwarta od siódmej.

—Zamienię z nią parę słów, zanim wyjdę. Czy nie ma pani jakichś podejrzeń, kim może być ten człowiek? — Roz pokręciła przecząco głową. — Czy magnetofon był schowany w szafie?

—Nie. Mógł go zobaczyć każdy, kto otworzył drzwi.

—Ale ten ktoś musiałby wiedzieć, które drzwi otworzyć. Nie ma na nich tabliczki z pani nazwiskiem. Co wskazuje na to, że orientował się w otoczeniu.

—To prawda — Roz zamilkła na chwilę. Ołówek policjantki Palmer, który znowu przesuwiał się po papierze z prędkością światła, zatrzymał się na chwilę. — Kontaktował się ze mną wcześniej. Dostałam kartkę pocztową. I dzwonił do mnie do domu.

—To może się okazać pomocne. Czy mogę zobaczyć tę kartkę?

—Niestety została wyrzucona. Wówczas nie przywiązywałam do niej wielkiej wagi. To była karta In Memoriam. Z czarną obwódką i krzyżem.

—To bardzo artystyczne zagranie. Co mówił, gdy zadzwonił do pani do domu?

—Nie wiem. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale kiedy usłyszałam jego głos, wyłączyłam świadomość. Mam zastrzeżony numer. Nie mam pojęcia, w jaki sposób go zdobył. Ten numer został teraz zmieniony.

—Czy zgłosiła to pani na policji?

—Tak. W moim posterunku dzielnicowym. Powiedzieli, że nie są w stanie niczego zrobić.

—Poproszę, żeby przesłali stamtąd wszystko, co mają.

—To brzmi złowieszczo. Tak jakby spodziewał się pan, że będzie gromadził papiery do konkretnej sprawy.

—Absolutnie nie — sierżant podniósł się z uśmiechem. Krył się w nim odcień wyższości, co miało na celu uspokojenie zarówno szlachetnego obrońcy, jak i damy jego serca. —Prawdopodobnie on już się nie odezwie. Ale rozsądnie jest trzymać wszystkie informacje w jednym miejscu.

—Oczywiście. — Roz odpowiedziała mu uśmiechem. Poczowała przyływ odwagi. Ten policjant wydawał się taki solidny i niewzruszony. Były tysiące takich jak on. Cała armia ludzi, samochodów, ekwipunku. Laboratoria sądowe. Komputery. Sieć telekomunikacyjna. Broń.

—Wydaje mi się, że słyszałem, jak pani sekretarka wróciła z lunchu.

—Tak, rzeczywiście — Roz też usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych. — Czy chciałby pan tutaj z nią porozmawiać?

Zostawiła Sonię, która, podniecona i zadowolona, odpowiadała z przejęciem na pytania, a sama udała się do kantyny. Z systemu nagłaśniającego na ścianie rozbrzmiewał biuletyn informacyjny.

— Roz Gilmour, prowadzącej audycję *Pogawędki z Roz*, grożono śmiercią. Możemy teraz ujawnić, że ta wiadomość, sprytnie przeszmyglana do budynku na taśmę, jest ostatnią z całej serii wyjątkowo niemiłych ataków na tę popularną i lubianą osobę.



Wbrew sobie Roz niemal się uśmiechnęła. Jakie to typowe dla Toby'ego. W niezrozumiały sposób to melodramatyczne ogłoszenie, zamiast podsycić jej niepokój, uspokoiło ją.

Wydawało jej się, że całe to zamieszanie wokół sprawy przynosi wręcz odwrotny skutek, sprawiając, że taśma zamiast nabierać znaczenia, zaczyna się wydawać coraz mniej ważna. Oczywiście, Roz była niezmiernie daleka od tego, by potraktować ją jako dowcip. Nie byłaby w stanie tego uczynić. Ale ten policjant prawdopodobnie miał rację. To był jakiś nieszczęsny, mały zboczeniec, rozpaczliwie pragnący zwrócić na siebie uwagę, który w tym celu wybrał właśnie ją. Co powiedział Leo? Jeśli to poniedziałek, to kolej na Gilmour? Wstała, po czym natychmiast znowu usiadła. Whisky od Duffy'ego, wypita na pusty żołądek, sprawiła, że zakreśliło jej się w głowie.

Nadeszła pora, by przed jazdą do domu zjeść trochę „kotletów rybnych z salmonellą”. Zastanawiała się, czy Duffy wciąż znajduje się na terenie budynku, i zanim złożyła zamówienie, postanowiła sprawdzić to w pokoju reporterów.

Kiedy Fenn obudził się następnego ranka, natychmiast wiedział, że coś jest bardzo nie w porządku. Układając się do snu poprzedniego wieczoru, uświadamiał sobie, że jego umysł, który powinien cechować absolutny spokój, wykazuje objawy jakiegoś niesprecyzowanego, dokuczliwego lęku. Wrócił myślami do wczorajszego dnia i przeanalizował go krok po kroku. Wszystko wydawało się w najwyższym stopniu satysfakcjonujące. Wypełnił swoją misję w rozgłośni z zimną brawurą, zjadł bardzo dobry obiad, pił bardzo mało, a pieprzył bardzo dużo, po czym zostawił Sonię mniej lub bardziej wykończoną. Wszystko powinno być w doskonałym porządku. Jednak gdy zapadł w sen, ten niepokój ciągle go gnębił, a w ciągu nocy tak się wzmógł, że nie czuł się teraz odświeżony, lecz przytłoczony.

Wstał, ubrał się i zrobił sobie bardzo mocną kawę rozpuszczalną. Usiadł przy stole i wyciągnął swój plan. Po raz któryś z rzędu przejrzał kolejne punkty. Był pewny, że czapka i wąsy uniemożliwiłyby dziewczynie z recepcji rozpoznanie go. Sonia, jedyna osoba, która mogłaby go rozpoznać, znajdowała się wówczas poza budynkiem. Wprawdzie w archiwach policyjnych nie było jego odcisków palców, lecz mimo to włożył rękawiczki, myśląc przede wszystkim o bezpieczeństwie. O czym więc zapomniał? O niczym. Czemu więc przytłaczało go poczucie lęku?

Gdy nagle to sobie uświadomił, wydało mu się takie oczywiste. Pojawiło się jak silne uderzenie od tyłu lub chluśnięcie w twarz wiadrem lodo-

watej wody. Nie był w stanie się poruszyć. Siedział po prostu przez chwilę, absorbując siłę uderzenia. Był skończony. Oszukany. Gorzej, lada chwila mogli go złapać. Ponieważ usłyszawszy taśmę, Sonia natychmiast musiała rozpoznać jego głos. Nie mógł niemal znieść ogromu swojej głupoty. Jak to możliwe, że nie pomyślał o tym wcześniej? Zacisnął pięści i zaczął walić się nimi w czoło, pragnąc unicestwić słabowity mózg, który go zawiódł.

W dodatku Sonia miała jego numer telefoniczny. Zadzwoił do niej raz z automatu na klatce schodowej, a ona, pragnąc nadal gruchać i paplać, odzwoiła z powrotem. Wówczas się tym nie przejął. Automat nie figurował w książce telefonicznej, więc nie mogła na tej podstawie zdobyć jego adresu. Ale policja szybko by do niego dotarła. Na pewno zwrócono się już do nich w tej sprawie. Spojrzał na zegar i poczuł, że krew krzepnie mu w żyłach. Było niemal wpół do trzeciej.

Z pewnością spał aż do pory lunchu, a potem siedział przy stole dłużej, niż mu się wydawało. Podniósł się i zaczął nerwowo chodzić wokół. Nawet jeśli Sonia nie powiedziała nic nikomu, gdy wysłuchiwała taśmę, to na pewno zdradzi się sama. Chwytał się brzytwy. Może była sama, gdy słuchała taśmy po raz pierwszy. Opowiadała mu, że pisze na maszynie niektóre listy, spisując je z taśmy nagrywanej przez Roz w domu. Może Roz po prostu nadal posługiwała się magnetofonem, nie przewinawszy taśmy do początku. W tym wypadku nie słyszałaby jeszcze taśmy i nie poinformowałaby policji. Szansa była minimalna. Oczywiście, sama Sonia mogła zadzwonić na policję, ale nie wydawało mu się to prawdopodobne. Wiedziała, że oznaczałoby to koniec ich związku. Głowa go bolała od bębnienia pięściami oraz podobnych spekulacji, przypominających poruszanie się po labiryncie.

Na myśl o tym, że Sonia ma nad nim jakąkolwiek przewagę, poczuł mdłości i zaczął się trząść. Miała zwyczaj lepienia się do niego i kwilenia, napomykania o miodowym miesiącu, garniturach trzyczęściowych oraz, najgorsze ze wszystkiego, o dzieciach. I zawsze w tych słowach kryło się coś niewypowiedzianego, co w obecnej sytuacji stanowiło niemal groźbę. Nie. Nigdy by tego nie zniósł. Musiał po prostu zniknąć. Innym udawało się tego dokonać. Wsiądzie do pociągu i pojedzie do innego miasta. Do Birmingham, a może do Bristolu. Wyjdzie z tego cało. Zdobędzie jakąś pracę. I znajdzie jakąś inną wpatrzoną w niego babkę, która go będzie karmić. Nie powinno to sprawić trudności. Ale przecież, och! — poczuł, jak w sercu pęcznieje i rozlewa się czarna żółć rozczarowania — będzie musiał

zrezygnować ze zrealizowania swojego wielkiego projektu. Pozwolić, by Roz Gilmour wyszła z tego cało. A jednak nie musiał z tego zrezygnować definitywnie. Był młody. Ludzie wkrótce zapomną o tej taśmie. Wówczas tu wróci. I zaatakuje.

Zdecydowanym ruchem wyjął spod łóżka płócienną torbę podróżną. Najpierw wcisnął do niej kilka książek, wybierając ze swojej kolekcji najbardziej osobliwe, następnie nowe ubranie, zegarki i portfele oraz trochę bielizny. Włożył płaszcz i zebrał posiadane pieniądze. Postanowił pojechać pociągiem z dworca Paddington do West Country tak daleko, jak będzie to możliwe za piętnaście funtów, po czym pokonać resztę drogi do Bristolu, korzystając z autostopu. Opuścił pokój i wyszedł na korytarz, gdzie przekonał się, że drzwi prowadzące na zapasową klatkę przeciwpożarową są zamknięte na klucz. Musiał zaufać swojemu szczęściu i skorzystać ze schodów.

Zszedł już z trzech stopni, gdy zadzwonił telefon. Przez korytarz przechodził właśnie pan Christoforou. Podniósł słuchawkę. Szczęście, które wczoraj uśmiechało się do Fenna przez cały dzień, dzisiaj pluło mu w oczy. Położył torbę za sobą na podeście, aby jej nie było widać, i cofnął się w stronę swojego pokoju, lecz było już za późno.

Pan Christoforou stał na tle promiennego uśmiechu i błyszczących, wulgarnie zwisających owoców z karaibskiego plakatu, wyciągając w jego stronę słuchawkę.

— Hej! — zawołał. — To do pana.

## Rozdział piąty

— Co to jest: chodzi po ścianie i świeci?

— Ja wiem! — wykrzyknęła Kathy.

— Nie, nie wiesz. A zresztą, pytałem mamę.

— Wiem więcej, niż każdy sobie myśli, że wiem, tylko dlatego, że mam dopiero siedem lat.

Roz nieustannie próbowała formułować i modyfikować zdanie, od którego chciała zacząć rozmowę z Leo. Tym razem, usłyszawszy wiadomość w radiu w samochodzie, przejął się nią, lecz gdy przyszedł do domu, uspokoił się, widząc, że Roz zachowuje stoicką postawę, niemal optymizm. Postawę tę udało jej się utrzymać podczas lunchu z Duffym i przez resztę dnia, dzięki wzmocnieniu się częstymi wycieczkami do regału z winem. Ale w zimnym świetle poranka poczuła się o wiele mniej pewna siebie i szukała wokół sposobów i środków, którymi mogłaby wspomóc swoje morale.

— Za to ostatnie zdanie nie postawiłbym ci nawet dwóć. Jeśli chodzi o jego strukturę gramatyczną, zdanie to było zupełnie do kitu. Mamo, co chodzi po ścianie i świeci?

Okazało się, że martwiła się o dzieci zupełnie niepotrzebnie. Na szczęście do Kathy najwidoczniej zupełnie nie docierało, co się dzieje, a Guy uważał, że to niezwykle ekscytujące i że powinna skontaktować się z MI5.

— Nie wiem. Co to takiego?

— Mucha ze złotym zębem.

— O jeny, wiedziałam — stwierdziła Kathy.

— Nie, nie wiedziałaś. Nie wiesz nawet, że można mieć złoty ząb.

Wino sprawiło, że Roz poczuła się ospała. Głowa jej ciążyła, a w ustach miała kwaśny smak. Nie mogła się dobudzić.

— Leo... — zza „Timesa” dobiegł niesprecyzowany odgłos, który mógł oznaczać wszystko. — Och, odłóż tę gazetę. Usiłuję z tobą rozmawiać.

— Przepraszam. — Leo odłożył gazetę i się uśmiechnął. — Dobra kawa.

—Taka sama jak zawsze. Leo, uważam, że powinniśmy zmienić wszystkie zamki.

—Na miłość boską, po co?

—Wydaje mi się, że to oczywiste.

—Oooch, chodzi o niego. Przecież on nie ma klucza. — Leo przeniósł wzrok z powrotem w stronę „Timesa”. Roz pochyliła się nad stołem i wyjęła mu gazetę z rąk. Leo zmarszczył brwi. — Mieliliśmy wystarczająco dużo kłopotów z telefonem, żeby jeszcze biegać i wyrywać z drzwi wszystkie zamki.

—W takim razie powinniśmy załatwić kogoś, kto będzie obserwował nasz dom.

—Masz pojęcie, ile to by kosztowało? — rzucił Leo. — Ci ludzie żądają około dwudziestu funtów za godzinę.

—Tu chodzi o moje życie, więc myślałam, że uznasz je zawarte tych pieniędzy.

—Nie bądź taka melodramatyczna, Roz. Czy myślisz, że gdyby naprawdę chodziło o twoje życie, to reagowałbym w ten sposób? Po pierwsze, sama policja zapewniłaby człowieka do obserwowania domu.

—Powiedzieli, że nie mogą sobie pozwolić na oddelegowanie kogośkolwiek w tym celu. Nie mają do tego wystarczających podstaw.

—No właśnie. Oni mają wielkie doświadczenie w ocenie podobnych sytuacji. Jeśli uważają, że nie ma wystarczających podstaw, to prawdopodobnie mają rację.

—I to „prawdopodobnie” jest dla ciebie czymś wystarczającym?

—Gdzie pająki grają w piłkę nożną? — Guy odczekał chwilę. — Mamusiu, gdzie pa...

—Wczoraj wieczorem sprawiałeś wrażenie, że się tym przejmujesz.

—Przejmowałem się. I przejmuję się nadal. Musimy jednak zachować zdrowy rozsądek. Istnieje szansa, że do niczego nie dojdzie.

—Rozumiem. A co ja mam robić, czekając na to, czy jednak do czegoś dojdzie? Jak mam żyć? Bez przerwy oglądając się przez ramię? Jak długo, Leo? Przez tydzień? Miesiąc? Przez resztę życia?

—Mamusiu... *Mamusiu...*

—Jak mam pracować?

—Mogłabyś przestać pracować. Dalibyśmy sobie radę, żyjąc z mojej pensji.

—Mamusiu, Guy wie, gdzie pająki grają w piłkę nożną.



—Aaach... teraz dochodzimy do sedna sprawy. Nigdy nie chciałeś, żebym pracowała, prawda? Zawsze byłeś zazdrosny.

—Roz! — Leo wydawał się zaszokowany. — Przecież wiesz, że to nieprawda.

—W każdym razie dziękuję ci za nadzwyczajną sugestię. A więc mój problem został rozwiązany. Wystarczy, że zabezpieczę wszystkie okna, zarygluję wszystkie drzwi i nie będę wychodzić z domu. Mogę spędzać cały dzień w kuchni, produkując pełne odżywczych wartości wypieki, robiąc pachtworkowe narzuty i warząc piwo słodowe, jak amerykańskie pionierki — mówiła coraz głośniej. — Ze strzelbą u boku, na wypadek Indian.

—Mamusiu... — Kathy wyciągnęła dłoń, aby złapać ją za rękę, i przewróciła przy tym wysoką szklanekę soku pomarańczowego. Roz wymierzyła jej siarczasty policzek. Kolorowy płyn rozlał się na kraciastym obrusie i zaczął skapywać na podłogę. Roz wpatrywała się w dzieci z niedowierzaniem i zdumieniem. One również patrzyły bez słowa na swoją matkę. Nigdy dotąd jeszcze ich nie uderzyła. Guy odsunął krzesło i podszedł do siostry. Kathy, zbyt wstrząśnięta, by płakać, ukryła twarz w jego swetrze.

—Przepraszam... — Roz spojrzała na męża, a ten podniósł się i wyszedł z pokoju. — Leo... — był to niemal szept — nie wychodź...

Sok kapał na jej kremową spódnicę. Patrzyła, jak żółta plama się rozszerza: oto komentarz do straszliwego zwrotu, jaki dokonywał się w jej życiu. Leo wrócił z teczką w ręku. Oparł ją na walijskim kredensie i otworzył. Wyjął ze środka ciemno-brązową buteleczkę i wytrząsnął z niej dwie tabletki. Następnie podszedł do stołu, wlał trochę soku i pochylił się nad Roz.

—Proszę. Połknij to.

—Och, Leo, nie chcę być przez cały dzień otepiąta.

—Nie będziesz. One po prostu sprawią, że sprawy wydadzą ci się nieco łatwiejsze. Pomogą ci stawić czoło rzeczywistości. Wybierasz się dzisiaj do pracy? — Roz potrząsnęła przecząco głową. — Chcesz popracować trochę w domu?

—Nie mogę, Leo. Nie potrafię się skoncentrować. Wydaje mi się, że wszystko wokół mnie... się rozlatuje.

Obserwowała, jak Leo usiłuje zachować cierpliwość, tak jak czasem robił to w stosunku do dzieci.

—Przykro mi, że nie mogę zostać. Wrócę do domu, jak tylko będę mógł. Kiedy znajdę wolną chwilę, zadzwonię, żeby się dowiedzieć, jak się sprawy mają.

—Dziękuję ci... — Roz zawstydzila się, słysząc wdzięczność bijącą z tych słów. Połknęła tabletki, odstawiła szklanke i powtórnie spojrzęła na dzieci. Guy patrzył na nią twardym, oskarżycielskim wzrokiem. Kathy zaczęła płakać, a łzy spływały po wyraźnym, szkarłatnym znaku na jej policzku. — Och, kochanie. Tak bardzo mi przykro.

—Posłuchaj, Roz — Leo wziął ją za rękę. — Żyjesz w wielkim napięciu. Straciłaś panowanie nad sobą i spoliczkowałaś dziecko. Postaraj się nie reagować przesadnie i nie oskarżaj się zbyt. Takie historie są w życiu rodzinnym na porządku dziennym.

—Nie w naszej rodzinie, Leo.

—To prawda — Leo zamilkł na chwilę. — Podejrzewam, że jesteśmy wyjątkiem. Albo wynika to z tego, że nigdy do tej pory nie zetknęliśmy się z poważnymi problemami.

Roz chwyciła go za rękę. Może tak właśnie było. Ich życie, aż do chwili sprzed paru dni, zdecydowanie uzyskało teraz w jej umyśle patynę złotej, niewinnej szczęśliwości, niemal życia w raju. Zanim pojawił się wąż. Zanim nastąpił upadek. Roz usiłowała zachować poczucie perspektywy. Nie mogła pozwolić, aby jeden człowiek, jakiś świrnięty typ, którego nigdy nawet nie spotkała, wywierał na nią taki wpływ. I wpływał na życie ludzi, którzy byli jej najdrożsi. Byłby pewnie bardzo zadowolony, gdyby mógł ujrzeć, ile zgrzyoty i zamętu już spowodował. To właśnie ta myśl, w większym stopniu niż cokolwiek innego, kazała jej zaczerpnąć głęboki oddech i zwrócić się do męża:

— Czuję się już lepiej. Nic mi nie będzie.

— Wkrótce przyjdzie pani Jollit. Ona poprawi ci humor. — Obydwoje się roześmieli i spostrzegli, że napięty, przerażony wyraz twarzy dzieci znikną stopniowo jak śnieg pod wpływem słońca.

—Jeśli podrzucisz Guya, zatrzymam dziś Kathy w domu.

—To niesprawiedliwe!

—Chodź już, Guy. Jestem spóźniony o dziesięć minut.

Guy wszedł za ojcem po schodach z nadąsaną miną.

—No to powinienem coś dostać w zamian. Jakiś prezent.

—No to powiedz mi, gdzie pająki grają w piłkę nożną.

— Biedny Guy — Kathy westchnęła, lecz w westchnieniu tym kryło się zadowolenie. — Dlaczego nie idę do szkoły, mamusiu?

To prostoduszne pytanie ugodziło Roz prosto w serce. Zastanawiała się, kiedy ślad na twarzy córki zacznie blednąć.

— Możemy przed południem kupić jakąś pluszową zabawkę. I tak muszę pójść do Marksa i Spencera. A po południu może chciałabyś się wybrać do muzeum zabawek?

Kathy rozpromieniła się, a jej policzki zaczęły przypominać delikatne, wilgotne poduszki.

—Oooh, tak! — Uwielbiała muzeum zabawek z jego wąskimi schodami i małymi, wiktoriańskimi pokoikami pełnymi lalek, teatrów z tektury i marionetek. — Guy nie może pójść razem z nami, więc mogłybyśmy też kupić mu jakiś prezent.

—Coś na pewno znajdziemy. No to doprowadźmy cię do porządku.

—Pójdę do łazienki — Kathy zsunęła się z krzesła i ruszyła w stronę drzwi.

— Nie, nie idź tam — miała na myśli: „Nie patrz w lustro”. — Chodź tu do mnie. Wytrzymaj ci buzię papierowym ręcznikiem.

Przyciskając z przesadną czułością ręcznik do twarzy Kathy, spojrzała na zegar. Nie uda im się tego ranka uniknąć głosu Sybilli. W dodatku pani Jollit kupowała „The Sun”. Jej dramatyczne wypowiedzi znajdują więc nową pożywkę. Nie byłoby to dobre dla Kathy. Powinna przynajmniej postarać się, by nie zostać w towarzystwie pani Jollit dłużej niż przez parę minut. Zaprowadziła Kathy do holu, gdzie pomogła jej włożyć płaszcz i czapkę. Dzień był zimny, lecz pełen słonecznego blasku.

— Poczekaj w salonie, kochanie. Wezmę tylko torbę i klucze. — Wróciwszy do kuchni, Roz zaczęła szukać torby i humor jej się nieco poprawił. Wyglądało na to, że uda im się jednak uniknąć spotkania z panią J. Spóźniła się, miała pojawić się o dziewiątej trzydzieści, a dochodziła już za dwadzieścia dziesiąta. Roz zaczęła wchodzić na schody, gdy zadzwonił telefon.

Natychmiast poczuła niepokój. W szybkim tempie wróciły wszystkie obawy, aż przypomniała sobie, że ich numer został zmieniony. Nowy numer znało jedynie kilka osób. Pospieszyła do salonu.

—Halo?

—Pani Gilmour? To ja.

—Och, pani Jollit. Źle się pani czuje? Zastanawiałam się właśnie, co się z panią dzieje.

—Jestem w domu, bo tutaj mogę się czuć bezpiecznie. I tutaj mam zamiar pozostać.

—Dlaczego? O co chodzi? — Tak jakby tego nie wiedziała.

Żółta plama zaczęła się rozszerzać, przynosząc teraz obok zgryzoty również zakłócenie życia.

—No cóż, wie pani o tym moim problemie z rakiem.

—Tak.

—Widziałam taki program w telewizji. Mówili tam, że jedną z najważniejszych przyczyn jest stres. No cóż, przy tej mojej podatności na choroby jest rzeczą oczywistą, że muszę trzymać się z daleka od wszelkich sytuacji, które mogą mnie w coś wpędzić. Rozumie pani chyba, co mam na myśli, pani Gilmour?

—O, tak.

—Chcę przez to powiedzieć, że może mi się zdarzyć, że przyjdę do pani domu i zostanę zamordowana we własnym łóżku.

—W moim domu go nie ma. Mamy zamki i rygle, dom jest zupełnie bezpieczny. — I to nie na panią się uwziął, dodała w myśli. — Mam nadzieję, że się pani nad tym powtórnie zastanowi. To naprawdę stawia mnie w trudnej sytuacji.

— A ja muszę myśleć o swoim Albercie. Nie mogę sobie pozwolić, żeby złapać jakąś straszną, wyniszczającą chorobę tylko dlatego, że jest pani w trudnej sytuacji. Wrócę, jak go złapią.

—Niech pani sobie nie zawraca tym głowy.

—Nie rozumiem?

— Nie poradzę sobie bez pomocy, więc będę musiała wziąć kogoś z agencji. Bez wątpienia potrączę z pani wynagrodzenia sporą sumę.

— Należy mi się pensja za cały tydzień.

— Nie w wypadku niepoinformowania mnie o tym z tygodniowym wyprzedzeniem. Do widzenia. — Roz trzasnęła słuchawką. Odwróciła się do Kathy. —Przykro mi, kochanie, ale pani Jollit nie może dzisiaj przyjść, będziemy więc musiały posprzątać trochę przed wyjściem. Będiesz grzeczną dziewczynką i mi pomożesz?

— Co mam zrobić?

— Pościel swoje łóżko i łóżko Guya. A ja zacznę zmywać.

Gdy Kathy zniknęła na górze, Roz odkręciła kran, włożyła stos naczyń do zlewu i chwyciła pojemnik z płynem do zmywania. Skierowała go na pozostałości ze śniadania i nacisnęła z całej siły, jakby strzelała z broni.

Kiedy tylko zaczęła mówić, wiedział już, że wszystko jest w porządku. Przynajmniej na razie. Słyszał to w jej głosie. Nie była wystarczająco bystra, żeby udawać.

— Wiem, mój drogi, że mówiłeś, żebym nie dzwoniła do ciebie do domu, ale wrócę dzisiaj późno i nie chciałam żebyś czekał na dworze przy tej pogodzie. Pomyślałam, że moglibyśmy się spotkać w naszej kawiarence.

Zastanawiał się, którą z nich miała na myśli. Była tak sentymentalna, że człowiekowi zbierało się na mdłości., Każde miejsce, w którym byli więcej niż raz, stawało się „ich” kawiarnią, pubem lub restauracją.

—Dlaczego wrócisz późno?

—A chciałbyś to wiedzieć?

TLR



Na rany Chrystusa. Oczywiście, że chciałbym wiedzieć, ty głupia dziwko. Jak myślisz, dlaczego cię o to pytam? Sonia zadeklamowała głosem małej dziewczynki:

— Powiem ci kiedy się spotkamy. — Po chwili dodała: — W kawiarni Donatello. Muszę uciekać, jestem już spóźniona.

— Wydajesz się bardzo podekscytowana, Sony. Co się stało?

— Powiem ci wieczorem. Obiecuję.

— A ja ci obiecuję, że jeśli nie powiesz mi tego teraz, to wcale wieczorem nie przyjdę.

Pauza.

— No dobrze, Jaśnie Pani zagrożono śmiercią. Poważnie. Na taśmie. Rozmawiałam długo z policją. Nie wyobrażasz sobie, jak ostro mnie przesłuchiwali.

Wyraźnie poczuł płomień strachu, lecz jego racjonalny umysł natychmiast go zagasił. Dopóki Sonia nie usłyszała taśmy, nie była w stanie niczego im powiedzieć.

— Czy mają zamiar przesłuchiwać cię jeszcze raz?

— Nie — słyszał wyraźnie, jak bardzo chciała udzielić odpowiedzi twierdzącej. — Kocham cię.

— Do zobaczenia — odwiesił słuchawkę.

Co miał teraz zrobić? Do szóstej wszystko mogło się zdarzyć. Gliny mogły zmienić zdanie i zdecydować się na powtórne przesłuchanie Sony. A wtedy mogłaby odsłuchać tę taśmę. Fenn zdawał sobie sprawę, że nie powinien przeciągać struny i uciec. Nie było co do tego wątpliwości.

Ale jak mógł odrzucić wspaniałą sposobność odkrycia, co wie policja? Co zrobili z taśmą (gdyby tylko mógł ją odzyskać) oraz, najważniejsze, jak na nią zareagowała Roz. Boże, oddałby wszystko, żeby móc to zobaczyć. Ujrzeć ją drżącą, roztrzęsioną i zalaną łzami. Niemal równie satysfakcjonujące będzie usłyszenie o tym od kogoś.

Postanowił pójść jednak na spotkanie z Sonią, lecz ukryć się aż do jej przyjścia. Wystarczy mu jedno spojrzenie. Od razu się zorientuje, jak sprawa wygląda.

Kawiarnia Donatello była usytuowana odpowiednio do swej nazwy w pasażu w stylu włoskim, wychodzącym na dziedziniec niedaleko Dombey Street. W lecie stały tam stoliki i ławki w towarzystwie skrzynek z drzewkami laurowymi i oleandrami oraz wiszących koszów z kwiatami. Brukowany dziedziniec wyglądał niemal jak wioska Piazza. Teraz był pusty. Sta-

ło tam sześć latarni o mleczych kulach w uchwytach z filigranowego metalu. Oświetlały ociekające deszczem szyldy sklepowe i odbijały się w stojących kałużach.

Fenn stanął w cieniu w miejscu, z którego mógł widzieć nadchodzące osoby. Po raz pierwszy od poznania Soni nie mógł się doczekać, kiedy ją ujrzy. Zanim wyszedł z domu, zapisał sobie dokładnie wszystko, czego chciał się od niej dowiedzieć. Nie miał, oczywiście, zamiaru zadawać wszystkich pytań naraz, ponieważ nie chciał wzbudzić jej podejrzeń.

Spóźniła się. To również zdarzyło się po raz pierwszy. Fenn czekał, ogarnięty zimnym strachem. A jeśli mimo wszystko udawała w czasie rozmowy telefonicznej? Może jej nie doceniał. Może tuż przy niej znajdowali się policjanci, którzy podpowiadali jej, co ma mówić. Zastawili na niego pułapkę. Może już się na niego szykują. Schowani w zamkniętym sklepie z papeterią i w butiku naprzeciw. Albo siedzą w cywilnym ubraniu w restauracji, sącząc aperitif.

Wtedy ją zobaczył i od razu zrozumiał, że jego obawy były zbyt duże. Przebiegła obok, emanując podnieceniem, a z całej jej postawy przebijało wołanie: „Ileż mam ci do opowiedzenia!”.

Zauważył, że cały ten nastrój ulotnił się, gdy weszła do kawiarni i uświadomiła sobie, że jego tam nie ma. Z pewnością podejrzewała, że był wcześniej i już sobie poszedł. Usiadła przy stoliku, nie wiedząc, co teraz uczynić.

Dał jej jeszcze pięć minut, wystarczająco dużo, aby doprowadzić ją niemal do łez, po czym wolnym krokiem wszedł do środka.

—Fenn! — wykrzyknęła, a jej twarz rozjaśniła się jak reflektor samochodowy. Zanim Fenn zdążył się usadowić, zaczęła paplać:

—Mój Boże, kochanie. Co to był za dzień! Och, nie chciałabym nigdy więcej przeżywać czegoś podobnego — wyrecytowawszy początkowe, nieprawdziwe wiersze swojej dramatycznej deklamacji, Sonia podniosła się, po czym zdjęła płaszcz i wełnianą czapkę. Kręcąc się po rozgłośni radiowej, odkryła w sobie całkiem spory talent narracyjny i czuła, że pauza uczyniona tuż po rozpoczęciu opowiadania jest znakomitym sposobem potęgowania napięcia. Złożyła płaszcz i położyła go na sąsiednim krześle, a na wierzchu umieściła swoją czapkę. Powoli i starannie zdjęła wilgotne rękawiczki, pociągając za każdy palec z osobna i przyglądając mu się podczas tej czynności z przerażająco szelmowskim wyrazem twarzy. Fenn ob-

serwował tę makabryczną parodię striptizu i tylko dzięki najwyższemu wysiłkowi woli zachował milczenie. Miał ochotę ją udusić.

— Myślałam już, że nigdy nie uda mi się wyjść. — Zaczęła przywoływać wzrokiem kelnera, dając mu znaki w agresywny sposób, typowy dla ludzi pozbawionych pewności siebie. — Ja wezmę tylko kawę... Po prostu nie potrafię ci powiedzieć...

Fenn wstał gwałtownie, podszedł do lady, gdzie znajdował się ekspres do kawy i wrócił z filiżanką. Postawił ją pieczołowicie tuż przed Sonią i powiedział:

— Proszę bardzo, kochanie. Opowiedz mi teraz o wszystkim.

— Ooch, Fenn — wdychała unoszącą się parę, jakby to był najcudowniejszy nektar — jesteś dla mnie naprawdę taki dobry. — Uświadomiwszy sobie prawdopodobnie, że posunęła się wystarczająco daleko, podjęła natchmianem: — No cóż, rozmawiałam z policją przez...

— Powoli, powoli. Zaczynaj od początku. Wspomniałaś coś o jakiejś taśmie.

— Ktoś się naprawdę zawzięł na Roz. Ten człowiek wszedł do budynku, znalazł jej gabinet i zagroził jej śmiercią, nagrywając to na jej własnym magnetofonie. Musisz przyznać, że wymagało to niezwykłej śmiałości.

— Chcesz powiedzieć... — w głosie Fenna zabrzmiało zdziwienie — ...że po prostu wszedł do środka?

— Po prostu wszedł do środka.

— Nie macie tam żadnej ochrony?

— Oczywiście, że tak. W recepcji zawsze ktoś jest. Ta dziewczyna twierdzi, że nikt obok niej nie przechodził.

— A więc musiał wejść od tyłu — rzekł Fenn, który wcześniej dokładnie to sprawdził.

— Z tyłu nie ma żadnego wejścia. Rozumiesz, co to znaczy?

Skoro nie wszedł frontowym wejściem, a także dokładnie wiedział, gdzie jest jej gabinet, to jest to...

Kokieteryjnie uniesione brwi i wymowna pauza na zatrzymanym oddechu skłoniły go do zepsucia jej przyjemności.

— Sprawka kogoś z wewnątrz?

W pełnym uwielbienia spojrzeniu Soni pojawił się ślad irytacji.

— To oczywiste. Policja pracuje nad tą hipotezą. Wydaje mi się jednak, że nadal nie mają...

— I nie dali ci posłuchać tej strasznej wiadomości? — spytał Fenn.

Sonia westchnęła ze szczerym żalem.

—Nie.

—Nieważne. Może Roz puści ci ją jutro.

—Ona jej nie ma. Taśmę zabrała policja.

—I będziesz musiała pójść na komisariat, żeby jej wysłuchać?

—Nie — westchnęła znowu. Święto definitywnie się skończyło. —

Uważają, że on niczego nie zrobi. To jeden z tych obłąkańców. Sam wiesz, jak to jest — porozumiewawcze spojrzenie, jedna niespełniona sława mrugająca do drugiej. — Jeśli jesteś sławny, to narażasz się na tego typu rzeczy.

Jedna część jego umysłu płonęła oburzeniem z powodu tej oceny sytuacji, natomiast drugą przepelniało poczucie ulgi. Wciąż jeszcze był bezpieczny. I przekazał swoje posłanie wystarczająco dosadnie. Przeraził ją tak bardzo, że wezwała policję. Podano to w wiadomościach. Potraktowano poważnie.

—A jak ona zareagowała? — Chętnie podbudowywał w subtelny sposób niechęć Soni wobec jej szefowej. Dzięki temu czuła, że jest po jej stronie i wciąż przekazywała mu informacje na jej temat, choć nie były one bezstronne.

—Jaśnie Pani? — prychnęła Sonia. — O mało nie umarła ze strachu. Szkoda, że nie mogłeś jej zobaczyć. Trzęsa się jak osika. Błada jak zjawa. Oczywiście, wszyscy tańczyli wokół niej. Wszyscy faceci. Stary Duffield biegał tam i z powrotem, przynosząc jej whisky i kolejne szklanki wody. Słyszałam ich przez drzwi. A ona go zachęcała. Tak jakby nie miała w domu bardzo dobrego męża i dzieci — zamilkła, przypomniawszy sobie, że nie ma teraz powodu być zazdrosną o Roz. Ona również wkrótce będzie miała własnego męża i dzieci. Obserwując, jak zmienia się wyraz jej twarzy, Fenn trafnie ocenił tego powód i pomyślał w duchu: kiedy Gwiazdka będzie w maju.

Zastanawiał się, czy Sonia ma w swoim notatniku nowy numer Roz. Nie czekała długo ze zmianą numeru. Postanowił wcześniej, że przed podjęciem konkretnego działania zadzwoni do niej, aby wzmocnić groźbę nagraną na taśmie. Aby jej uświadomić, że nie jest kimś, kto żartuje. Ale gdy wybrał numer, usłyszał sygnał świadczący o tym, że został on zlikwidowany. Nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Jakby coś podobnego mogło go powstrzymać! Nic nie było w stanie go powstrzymać.

Poczucie ulgi sprawiło, że po raz pierwszy od paru godzin się rozluźnił, co spowodowało również konieczność udania się do toalety. Podniósł się szybko.

— Zaraz wracam, Sony.

W toalecie opróżnił pęcherz, umył ręce i przyglądał włosy do tyłu przed dużym lustrem, zaczynając odczuwać, że los znów mu sprzyja.

Widać było wyraźnie, że policja nie ma zamiaru robić z tego wielkiej sprawy. Sóni nie było nawet w budynku, gdy nagrywał taśmę, więc nie będą z nią rozmawiać powtórnie. Jednocześnie odczuwał jednak, że powinien się spieszyć. Miał wcześniej nadzieję, że będzie mógł pobawić się trochę z Roz w ciuciubabkę — teraz mnie widzisz, a teraz się schowałem. Jedna lub dwie smakowite, delikatne groźby przez telefon. Musiał jednak to wszystko nieco skrócić. Szkoda. Czasem gdy wyobrażał sobie koniec polowania, siła przywoływanych obrazów była tak straszna i ekscytująca, że jego serce niemal przestawało bić. A jednak samemu polowaniu też nie brakowało atrakcyjności. Podniecał go każdy szczegół, każdy zwrot, proces wabienia, zapach strachu, pojawianie się i znikanie ofiary. Konieczność bycia elastycznym, szybkiego myślenia, przewidywania i wycofywania się.

Nawet wówczas — nieco wcześniej tego samego dnia — gdy myślał, że został pokonany, nie czuł się równie żywy! Nadchodzące dni nie wydawały się już szare i monotonne, lecz uzyskały nową barwę, jakby specjalnie dla niego zostały wyczyszczone na wysoki połysk. W pewnym sensie na pewno będzie mu szkoda, gdy to wszystko się skończy, lecz zdawał sobie również sprawę, że on sam ulegnie transformacji. Nie wiedział dokładnie, na czym będzie to polegało ani jaki przyniesie rezultat, był jedynie przekonany, że we własnych oczach i w oczach całego świata stanie się zupełnie kimś innym. W tym czasie Sonia studiowała ze spokojem jego listę pytań.

Agencja obiecała przysłać kogoś w ciągu dwudziestu czterech godzin. Byli gotowi podjąć się każdego zadania. Głos w telefonie brzmiał niezdecydowanie, przypominając dźwięk fletu. Prawdopodobnie odpowiedź Roz zabrzmiała niepewnie, ponieważ głos natychmiast zapewnił ją, że gwarantują jej satysfakcję, „niezależnie od tego, jak nietypowa jest jej prośba”. „W ostatnim tygodniu załatwiliśmy pracownika do robót na wysokościach oraz chochlika dla sklepu Selfridges, a także eskortowaliśmy wielbłąda z lotniska Stanstead”.

—Dobrze — odparła Roz zmęczonym głosem. Jeszcze niedawno rozkoszowałyby się takim zachwycającym zestawieniem i postarała się je za-



pamiętać, aby później opowiedzieć o tym Leo. — A więc może pojawić się tutaj rano?

—O wpół do dziesiątej. — Tuż przed odwieszeniem słuchawki głos dodał: — Och, mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko aktorom?

— Wielkie nieba, nie.

—Wielu naszych pracowników to aktorzy. Wie pani, zawsze mają trochę wolnego na odpoczynek między dwiema rolami.

—No cóż, jeśli tylko nie odpoczywają w ramach czasu, za który płacę.

Ten zgryźliwy ton nie spotkał się z dobrym przyjęciem. We fletowym brzmieniu pojawiła się dysonansowa nuta.

— Do widzenia, pani Gilmour.

Teraz Roz czekała na przyjście tego bezimiennego aktora. Cieszyła się na myśl o czymś towarzystwie. I to ona, która przedtem była najbardziej zadowolona, gdy mogła mieć cały dom dla siebie. Miała wątpliwości, czy nowy pracownik okaże się równie efektywny jak pani Jollit. Ale przynajmniej nie będzie mieć do czynienia z neurozami o śmiertelnych następstwach. Usłyszała dzwonek

Gdy weszła do holu i ujrzała wysoki, ciemny cień rysujący się na kolorowej szybie, poczuła niepokój. Powinna była zamontować na drzwiach łańcuch. Postanowiła załatwić to dzisiaj, zanim pójdzie do rozgłośni. Na głównej ulicy był zakład ślusarski. Uchyliła drzwi na centymetr i wyjrzała.

—Pani Gilmour? Greg. Z agencji.

—Proszę wejść — uśmiechnęła się, otwierając dalej drzwi.

— Przepraszam, że sprawiam wrażenie podejrzliwej. To po prostu...

—Słyszałem, moja droga. — Podążył za nią do holu i na dół do kuchni. — Paskudna sprawa.

—Napije się pan kawy?

—No cóż... to pani płaci za mój czas, pani Gilmour.

—Roz.

—Z rozkoszą napiję się kawy. — Powiesił swoją skórzaną kurtkę na oparciu krzesła i rozejrzył się z podziwem po kuchni. — Wypasiony dom.

—To prawda. — Nastawiła czajnik. — Kupiliśmy go, zanim ceny zwariowały. Teraz trzeba być chyba milionerem. A gdzie ty mieszkasz?

—W Palmers Green. Wynajmuję mieszkanie z przyjacielem. — Przycupnął na jednym z drewnianych giętych stołków.

— Czy masz jakiś plan sprzątnięcia? Czy zajmować się tym, co akurat uznasz za konieczne?

—Pani Jollit miała plan, ale ona była tu dość długo i wiedziała, czego od niej oczekuję. Myślę, że będziemy się umawiać z dnia na dzień.

—Dlaczego zrezygnowała z pracy?

—Z powodu tej okropnej sprawy... no wiesz. — Greg skinął ze współczuciem głową. — Bała się, że zamordują ją w łóżku.

—A więc mieszkała tutaj?

—Nie. — Greg wybuchnął gromkim śmiechem i Roz również się uśmiechnęła. — Mam zamiar dać ogłoszenie, że potrzebuję stałej pomocy, a ponieważ i Leo, i ja pracujemy, muszę na razie mieć kogoś, kto się tym wszystkim zajmie.

Greg spojrział na stos brudnych naczyń w zlewie i na blacie kuchennym.

— Rozumiem, co masz na myśli, moja droga. — Po chwili dodał: — Ach, ależ boski chód!

Madgewick, usłyszawszy nieznajomy głos, wygramolił się mozolnie ze swojego kosza, aby przeprowadzić dochodzenie. Roz opowiedziała krótko o jego pochodzeniu.

—Biedne stworzenie. Te jego kolory są po prostu cudowne.

—To prawda. Przypomina trochę płaszcz biblijnego Józefa.

Greg przyglądał się, jak Roz wlewa kawę do dwóch ciężkich, ciemnozielonych kubków śniadaniowych. Zauważył, że pod starannie nałożonym makijażem jest bardzo blada. Zaczął się zastanawiać, jak czuje się człowiek, któremu ktoś zupełnie nieznany oznajmił, że ma zamiar go zamordować. Uświadomienie sobie jej trudnego położenia sprawiło, że zalała go nagle fala współczucia, powiedział więc:

—Wiem, że łatwo mi to mówić, ale nie powinnaś za bardzo się przejmować. Oni nigdy nie wprowadzają swoich pogroźek w czyn.

—...wprowadzają swoich pogroźek w czyn — zakończyła razem z nim Roz.

—Przepraszam. Na pewno wszyscy mówią coś takiego.

Roz siedziała przy stole, trzymając w ręku kubek.

—Wszyscy, którym nigdy nikt nie groził.

Roz uznała, że chłopak naprawdę jest bardzo miły. Okazywał zainteresowanie, lecz nie był wścibski i wydawało się, że szczerze jej współczuje. Był wysoki i szczupły, o podłużnej, kościstej twarzy, podobnej do miłego konia na biegunach. Miał jasnozielone oczy i gęste rudawe, kręcone włosy.

Ubrany był w zwykłe dżinsy i wzorzysty sweter zrobiony na drutach. Usiadł przy niej przy stole.

— Chcesz o tym porozmawiać?

— Sama nie wiem. Czasem wydaje mi się, że jeśli nie będę o tym mówić, to zupełnie o nim zapomnę. Albo że on wówczas zniknie. Ale to nie działa w ten sposób.

— Najlepiej, żebyś starała się, o ile to tylko możliwe, nigdy nie być sama. Nie chcę powiedzieć, że naprawdę grozi ci niebezpieczeństwo, ale dzięki temu nie będziesz miała czasu na rozmyślanie. Tylko do chwili, gdy go złapią.

— Oni wcale się tym naprawdę nie zajmują. Mam na myśli policję. Uważają, że tego typu problemy to nieodłączny aspekt takiego zawodu.

— Niewiele się myślą. Sprzątałem kiedyś u pewnego znanego gościa z telewizji. Nie powiem ci którego. Biedaczysko, wpadł w tarapaty przez dżin i inne grzeszki. Dostawał setki listów od wariatów. Znasz te sprawy. Czytał mi te najbardziej świrnięte. Przez całe godziny zwijaliśmy się ze śmiechu na jego wzorzystej sofie.

— Jakie sprawy masz na myśli? — Roz zdecydowała już, że nawet jeśli Greg nie kiwnie palcem, to i tak jest wart sześciu funtów za godzinę.

— No cóż, kiedyś dwukrotnie odchrząknął i pewna kobieta napisała, że będzie stawiać buteleczkę z syropem Pulmo Bailley na telewizorze, dopóki kaszel mu nie przejdzie. Przyszedł też list od sfrustrowanej starej panny spod Londynu. Możesz sobie wyobrazić, czego dotyczył... Jeśli czujesz to samo co ja, to w następny piątek nie przerzucaj papierów pod koniec programu, ale połóż je na krawędzi pulpitu. No i, jak u Freuda, zrobił to przez zapomnienie. Żebyś widziała te rysunki, jakie zaczęła wysyłać pocztą... Moja droga... powiedzieć o nich „dosłowne”, to za mało. — Roz potrząsnęła głową z udawanym niedowierzaniem i obrzydzeniem. — Gdyby tylko miała pojęcie, że obecna pani jego serca ma siedemnaście lat i, delikatnie mówiąc, wygląda na obojnaka. Uosobienie elastyczności w tych sprawach. Miło spotkać kogoś o zdecydowanych upodobaniach. Jeśli ktokolwiek z nas takie posiada.

Dopił kawę.

— Chyba jednak powinienem umyć jeden albo dwa garnki. Nie jestem tani, sama wiesz.

Roz się podniosła.

—Masz rację. A ja powinnam już wyjść. Zostawiam ci klucz na komo-  
dzie. W te dni, gdy jestem w radiu, będziesz musiał sam sobie otwierać  
drzwi.

—Tylko yale? — zdziwił się Greg. — W dzisiejszych czasach powin-  
naś mieć coś bardziej wytrzymałego.

—Mamy też zamek Chubba, ale nie posiadam do niego zapasowego  
klucza. Dam go dorobić, gdy wybiorę się dziś do ślusarza. Odkurzacze jest  
w spiżarni.

—Spiżarnia! — w głosie Grega zabrzmiał zachwyt. — Jak edwardiań-  
sko.

—Ale z kilometrem przewodów z powodu tych wszystkich schodów.  
Dobrze by było, gdybyś przed dwunastą mógł posprzątać kuchnię, pościelić  
łóżka i odkurzyć, ile zdążysz. Środki do czyszczenia są w szafce pod zle-  
wem. — Przy drzwiach zawahała się na chwilę. — Cieszę się, że to ciebie  
przysłali.

—Miłego dnia w pracy.

Nie było w tych słowach żadnej przesady. Opuszczając dom, Roz po-  
czuła się radośniej, a jej humor poprawił się jeszcze, gdy odwiedziła ślusa-  
rza i umówiła się, że ktoś przyjdzie o czwartej, aby założyć łańcuch.

Po wyjściu Roz Greg poświęcił pięć minut na przejrzanie wszystkiego  
w szafkach i na kredensie, po czym zabrał się do zmywania. Ledwo zanu-  
rzył ręce w mydlinach, gdy rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych.  
Wytarł szybko ręce i pospieszył po schodach w górę, mrużąc:

— W takim tempie nigdy nie uda mi się nawet opróżnić nocnika.

Natychmiast pożałował swojego gderania, bowiem na schodach stał  
bardzo przystojny chłopak. Niezbyt wysoki, wąski w biodrach i o profilu  
godnym Antinousa. Oczy osadzone może nieco zbyt blisko siebie, ale te  
rzęsy... I cudowne włosy, rozdzielające się na płatki jak różowawo-brązowa  
chryzantema. Przesunął świadomie wzrok nieco w dół. Wygląda na to, że  
dobrze wyposażony, chociaż dzisiaj nigdy nie wiadomo, z tymi wszystkimi  
suspensjami i podobnymi rzeczami. Spojrzał chłopakowi w oczy o nie-  
zwykłej barwie i uśmiechnął się w swój najbardziej zniewalający sposób.

—W czym mogę pomóc?

—Szukam Chalk Farm. Czy wie pan, gdzie to jest?

—Strasznie mi przykro, mój drogi, ale to nie moja rezydencja. Jestem  
tu w przelocie. Z Palmers Green. — Chłopak patrzył nierozumiejącym  
wzrokiem. — Ale w kuchni jest plan Londynu z informacjami. — Zauwa-

żył go wcześniej na kredensie. — Proszę sekundę zaczekać, pójdę i sprawdzę. O jaką część Chalk Farm chodzi?

Chłopak się zawahał.

— Chalk Farm Road.

Greg pobiegł do kuchni, chwycił plan miasta i otworzył go na spisie ulic: 2D45. Zatrzymał się przy lustrze, by sprawdzić fryzurę, wyciągnął grzebień i poprawił parę loków. Nic się nie stanie, jeśli zaprosi go na sekundę. Szczegóły na planie były bardzo niewyraźne. Kiedy będzie je wskazywał, ich głowy z konieczności znajdą się bardzo blisko siebie. Pełen oczekiwania wbiegł na schody, lecz gdy tylko dotarł do holu, jego nadzieje się ulotniły. Chłopak sobie poszedł. Greg podbiegł do drzwi frontowych i zatrzymał się w nich na chwilę, cały drżąc, po czym rozejrzał się w obie strony. Jednak po gościu nie było ani śladu. Greg westchnął. A taką miał nadzieję ujrzeć go od tyłu i poprzyglądać się, jak odchodzi.

Sonia torowała sobie drogę przez tłum ludzi ściśniętych w wagonie metra linii Piccadilly, mrużąc co chwila: „Przepraszam”, „Czy mógłby pan... Dziękuję”. Po wielu miesiącach codziennego podróżowania tą samą trasą o tej samej porze rozpoznawała już innych pasażerów. Dostrzegła kobietę w kozakach i nausznikach, z plastikową torbą ozdobioną wizerunkiem Różowej Pantery, która zawsze wysiadała przy Gloucester Road. Sonia zajęła odpowiednią pozycję i kiedy kobieta wysiadła, natychmiast zajęła jej miejsce. Usadowiwszy się, mogła w pełni oddać się swoim myślom. Jak zwykle dotyczyły Fenna.

Była zadowolona, że wczoraj wieczorem nie miał ochoty wpaść do niej. Poza tym, że po poprzednim wieczorze czuła się absolutnie wykończona i wszystko ją bardzo bolało, chciała być sama ze swoimi marzeniami...

Najpierw jego lista ją zdumiała. Zapoznawszy się z nią dokładnie, wsunęła ją starannie z powrotem pod rachunek. Nie miała ochoty wprawiać go w zakłopotanie ani budzić jego gniewu. Ale później, gdy siedziała przy gazowym kominku w wielbłądzim szlafroku z kubkiem napoju Horlicks i termoforem, zaczęła powoli to rozumieć. Ich rozmowa telefoniczna uświadomiła mu, jak była podniecona tym, co przydarzyło się Roz, więc przygotował listę pytań dotyczących każdego z aspektów tej zbrodni. Chciał być pewny, że nie przeoczy niczego i że jej historia spotka się z jak najlepszym przyjęciem.



Troskliwość bijąca z takiego zachowania rozgrzała serce Soni. Musiała przyznać, że Fenn nie zawsze był troskliwy, lecz mężczyźni na ogół nie okazują troski. To cecha, której wymaga się od kobiet. Gdy tak siedziała wygodnie, na wpół drzemiąc przy trzaskającym ogniu, przyszło jej nagle do głowy, że w rzeczywistości czuła się o wiele szczęśliwsza w te wieczory, gdy nie było z nią Fenna. Kiedy mogła o nim marzyć. W marzeniach można wymazać wszystkie drobne sprawy, których się w kimś nie lubi, a poza tym ten ktoś zawsze mówi to, czego się pragnie.

Ale znaleziona lista podniosła ją mocno na duchu. Wprawdzie sporządzając ją, odsłonił się nieco, demonstrując skłonność do voyeryzmu, ale cóż z tego? Nie był gorszy od tych wszystkich ludzi, którzy czytują tabloidy w poszukiwaniu świńskich kawałków. Taka jest ludzka natura. Być może (Sonia delectowała się swoją uczciwością), ona sama nie jest zupełnie pozbawiona tej cechy...

Ciepło z tak wielu ciał powodowało, że śnieg na butach i parasolach się topił, a ubrania wydzielaly wilgotny, a nawet nieco spleśniały zapach. Sonia podniosła wzrok i omijając tłum złych lub obojętnych twarzy, spojrzała na reklamy. Od kiedy pamiętała, reklamowano w metrze pierścionki firmy Bravington. Tuż koło tej reklamy znajdowało się zdjęcie domów w nowym osiedlu Milton Keynes. Były to domy dwurodzinne z rozsuwanymi szklanymi drzwiami, które prowadziły na patio ze skrzynkami pełnymi kwiatów oraz do ogrodu. W ogrodzie przedstawionym na zdjęciu siedziała na huśtawce ładna mała dziewczynka, którą popychała młoda matka. Na patio przystojny mężczyzna w dżinsach przykucnął koło syna, majstrując przy rowerze. Fala tęsknoty, która ogarnęła Sonię, gdy przyglądała się tej scenie, była tak intensywna i dojmująca, że poczuła w oczach łzy. Szybko skierowała uwagę na pannę młodą Bravingtona i jej złotą obrączkę. W końcu, wszystko przecież powinno odbyć się po kolei.

Oczywiście, planowanie wesela będzie na jej głowie. Fenn obiecywał pomyśleć o tych sprawach. Zgadzała się na to, ale myślenie to nie to samo co planowanie. Plany są o wiele bardziej solidne. Metro zatrzymało się w Green Park. Jeszcze dwa przystanki do Holborn. Miała wystarczająco wiele czasu, aby spojrzeć na swą listę. Poszperała w torbie i wyciągnęła niewielki, specjalnie kupiony notes ze srebrnymi dzwoneczkami na okładce, do którego przyczepiony był ołówek.

Ubierze się na biało. Przecież i tak nikt nie będzie wiedział. A zresztą, jak wiele panien młodych zachowuje w dzisiejszych czasach dziewictwo?

Niektóre są nawet w ciąży. Przerzuciła parę stron, aż dotarła do listy gości. Przeglądała ją bez końca. Stali byli na niej jedynie jej ojciec i macocha, ponieważ tylko z nimi mogła gaworzyć o starych czasach, oraz koleżanka ze szkoły sekretarek, z którą utrzymywała kontakt i raz w miesiącu chodziła na lunch. To ludzie z pracy byli powodem trudności w podjęciu decyzji. Były dni, gdy okazywali wielkie zainteresowanie, a były też takie, gdy ją zupełnie ignorowali. Zwłaszcza pani Gilmour. Sonia była rozdarta między chęcią zaproszenia Roz, aby móc pochwalić się Fennem i puszyć swoim szczęściem, a pragnieniem ostentacyjnego pominięcia jej osoby. Można to było zrobić w delikatny sposób. Sonia chciała zachować poczucie godności, lecz zarazem wyraźnie dać do zrozumienia, co myśli. Tak. Pośliniła ołówek i po raz kolejny przekreśliła często zapisywane imię Roz.

Fenn przekreślił ostrożnie gałkę w szafie, powoli otworzył jej drzwi i zaczął nasłuchiwać. W domu panowała cisza. Wyszedł z szafy i znalazł się znów w sypialni. Otworzył usta i wciągnął głęboko powietrze. Był pewien, że jeszcze kilka minut w tym ciemnym wnętrzu, a się udusi. Wciśnięty między pachnące aksamity i brokaty. Po upływie pierwszej godziny wydawało się, że zaczęły żyć własnym życiem, okręcając się wokół jego ramion i nóg, tuląc się do ust. Nie śmiał jednak się poruszyć, dopóki nie usłyszał trzaśnięcia drzwi wejściowych. Do czasu, gdy ten cholerny, ohydny pedał sobie poszedł. Na to wspomnienie Fenna przeszył dreszcz. Wciąż jeszcze odczuwał mdłości. Takich ludzi powinno się trzymać w odosobnieniu.

Obserwował dom bez specjalnego celu, kiedy nagle pojawiła się Roz. Poczł po prostu, że musi coś zrobić, aby zasypać przepaść między nimi, zacieśnić związek między sobą a ofiarą. Mając w pamięci powiększenie na ścianie jej gabinetu, rozpoznał ją natychmiast. Była wyższa, niż się spodziewał, lecz bardzo szczupła. Gdy zaczęła iść po schodach, ruszył szybko z zaciśniętym z podniecenia gardłem, aby zdążyć minąć ją na chodniku. Miał wielką ochotę powiedzieć „dzień dobry”, poczuł już nawet te słowa w gardle, lecz tak się uwikłał w rozradowany chichot, że kiedy się z nią zrównał, nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

Była niemal równie piękna jak na zdjęciu, z popielatoszarymi smugami pod oczyma i szminką błyszczącą na tle zbyt bladej cery. Odwrócił się i patrzył, jak znika za rogiem, po czym pospieszył do jej domu i zadzwonił.

Gdy potem o tym myślał, nie potrafił wyjaśnić, dlaczego to uczynił i zdziwił się, gdy ktoś otworzył mu drzwi. Powiedział pierwsze słowa, które przyszły mu do głowy — akurat przypomniał sobie jakąś nazwę stacji pół-

nocnej linii metra kursującego do Camden. A kiedy ten pedał zniknął w głębi domu, znowu poczuł nagły impuls i wbiegł do środka, nie robiąc hałasu na grubym dywanie, a następnie wspiał się po schodach. Na najwyższym piętrze znalazł się w sypialni, gdzie zatrzymał się pełen napięcia, nasłuchując odgłosów dochodzących z kuchni. Po upływie mniej więcej piętnastu minut usłyszał szum odkurzacza, który stopniowo zaczął się przybliżać. Odkurzane były teraz schody.

Fenn sięgnął do wewnętrznej kieszeni, w której zawsze trzymał nóż. Czuł się podekscytowany. Usiłował zrationalizować nagły przymus, który nim zawładnął. W końcu, gdyby został odkryty, musiałby zrezygnować z wszystkich planów. Nie mógł na to pozwolić. A mówiąc prawdę, lepiej by było, żeby niektórzy ludzie nie żyli. Na przykład homoseksualiści. Faceci, którzy co rusz zmieniają partnerów, zaczepiają przyzwoitych ludzi i roznoszą choroby. Jeśli tak na to spojrzeć, wyrządziłby niemal przysługę rodzajowi ludzkiemu. Usłyszał, że odkurzacz został postawiony na podeście drugiego piętra.

Fenn Wszedł do szafy. Sprawy wymknęły mu się z rąk, wszystko zależało teraz od tego rudego geja. Jeśli otworzy szafę, będzie to jego własna wina. Usłyszał, że odkurza podłogę sypialni. Krzesła były odsuwane i stawiane z powrotem na miejsce. W pewnej chwili odkurzacz uderzył w podstawę szafy i Fenn poczuł, jak wibracja aparatu przenosi się przez podešwy jego stóp aż do kręgosłupa. Po pewnym czasie odkurzacz został wyłączony. Fenn stał nieruchomo, wstrzymując oddech. Przez drzwi nie dochodził najmniejszy dźwięk. Facet mógł chodzić wokół. Dywany były tak grube, że trudno to było stwierdzić. Dotarły do niego jakieś dźwięki przypominające przesuwanie szklanek lub butelek oraz odgłos głębokiego wciągnięcia powietrza, co powtórzyło się kilkakrotnie. Fenn skrzywił się z niesmakiem. Ten alfonsowaty gnojek spryskiwał się perfumami. Po pewnym czasie wyszedł z pokoju, obijając odkurzacz o schody. Pięć minut później trzasnęły drzwi frontowe.

Teraz Fenn stał z nieco niepewną miną na środku sypialni. Wprawdzie czuł się bezpieczny, lecz był nieco zdezorientowany. Miał do dyspozycji cały dom swojego wroga, co powinno zapewnić mu przewagę. W jaki sposób jednak wykorzystać tę sytuację? Usiłował myśleć strategicznie, jak żołnierz. Im więcej wiesz o swoim przeciwniku, a także im mniej przeciwnik wie o tobie, tym lepiej. Postanowił się rozejrzeć.

Najpierw musiał przyznać, że odczuwa rozczarowanie. Szafa była wielkim, staromodnym meblem. Gładkie ciemne drewno inkrustowane masą perłową — coś, co mogło należeć do jego babki. Łóżko zostało dopasowane do stylu szafy, a na każdym z jego wdzięcznie wygiętych narożników widniał spiralny, połączony wzór. Nie było nawet toaletki. Po chwili przekonał się, jaka była tego przyczyna. Z sypialni prowadziły drzwi do łazienki. Urządzona była w kolorze kości słoniowej i stało w niej mnóstwo roślin. Na jednej ze ścian wisiały lustra, podobne do tych w staromodnych pubach. Odbijały się w nich wszystkie rośliny, dzięki czemu całość wyglądała, zdaniem Fenna, jak cholerna grotta świętego Mikołaja. Wszędzie stały butelczki i słoiczki, a zapach z dużego rozpylacza o nazwie Fleurs de Rocaille wciąż unosił się w powietrzu.

Na niższym piętrze znajdowały się trzy pokoje. W jednym z nich było mnóstwo lalek i dziesiątki wypchanych zabawek, które niemal zupełnie pokrywały zwykłe małe łóżko stojące obok pasującej do niego szafy. Zastłony miały wzór w jaskry. Z sufitu zwisały ruchome ozdoby: fluorescencyjne ryby i żaby, a jedna z tych ozdób złożona była z białych mew, które, zderzając się ze sobą, wydawały delikatne, szemrzące odgłosy.

W sąsiednim pokoju też stało zwykłe łóżko oraz szafa zavalona do sufitu różnymi rzeczami. Były tam stosy gier w pudełkach, klocki Lego, jakiś fort, mnóstwo żołnierzyków. Kilkaset książek, półki z naczyniami pełnymi kamieni, suszone liście i kwiaty, muszle, długi szkielet rybi, jakaś zwierzęca szczeka, instrument muzyczny w futerale, okazały mikroskop. Obok plakatu Nirvany wisiała tablica z korka. Przypięty był do niej program z Wimbledonu oraz program jakiegoś koncertu rockowego. Lista imprez oraz parę nagryzmołonych notatek: „Oddać pierścień”. „Wystawa w Muzeum Nauki”. „Wyścigi w Crystal Palace Dinosaur — do 20 grudnia”. Zastłony były tutaj w jasne paski. Z sufitu zwisał wspaniały latawiec w formie chińskiego smoka. Funkcję biurka pełnił stół na kozłach, jakiego używają projektanci wnętrz. Leżały na nim pióra, bloki papierowe, farby i ołówki. Stał tam też komputer.

Fenn zastanawiał się, ile lat ma ten chłopiec, ten mały gówniarz, który miał tyle szczęścia i posiadał wszystkie te rzeczy. Zastanawiał się, w jaki sposób zdobył muszle i skamieniały rybi szkielet, i wyobraził go sobie, jak spaceruje pustym brzegiem morza, prawdopodobnie z ojcem, przetrząsając plażę. W pewnej odległości jego matka i siostra rozpakowują na piasku wiklinowy koszyk, przygotowując piknik: rozkładają obrus i rozstawiają



prawdziwe porcelanowe filiżanki i talerze. Fenn zastanawiał się, ile musiało minąć świąt Bożego Narodzenia oraz kolejnych urodzin, aby móc zgromadzić taką jaskinię skarbów. Jak wiele przytulania, pocałunków i pełnych miłości pozdrowień, ile arkuszy kolorowego papieru i metrów błyszczącego sznurka? Ilu było dziadków, ciotek i wujków, wpatrzonych w niego jak w cholerny obrazek? Serce załała mu czarna, przytłaczająca nienawiść do tego nieznanego dziecka. Miał ochotę zmiażdżyć muszle, rozgnieść stopą na proch zwierzęcą szczękę, roztrzaskać mikroskop o komputer.

Nie należało to jednak do jego planu. Na tym etapie nie chciał nawet, aby Roz zorientowała się, że był w jej domu. Tak łatwo byłoby zniszczyć przedmioty, utorować sobie siłą drogę przez to miejsce, a nawet zostawić w jej łóżku swój sprośny podpis, jak robią to niektórzy włamywacze, o czym kiedyś słyszał.

To jednak nie był jego sposób działania. Do tej pory wykazał pewien styl. Był wytworny, inteligentny i pomysłowy, i nie chciał zaszargać teraz tego obrazu, zachowując się ordynarnie i paskudnie. Zresztą nawet posiadanie wszystkich tych przedmiotów oraz całej miłości świata nie przywróci chłopcu matki, gdy on, Fenn, zrobi już, co do niego należy. Musi pamiętać o tym za każdym razem, kiedy poczuje w gardle duszącą go zawiść.

Trzeci pokój, pomalowany na brązowo, pełen był książek i papierów, a kilka stopni poniżej niego znajdował się podłużny pokój, rozciągający się na całą szerokość domu, z wysokimi, biało pomalowanymi rozsuwanymi drzwiami, które teraz były otwarte. Zamiast dywanu leżało tu dużo chodników w ciepłych, słonecznych kolorach, a w oknach wisały długie jedwabne zasłony.

Fenn chodził wolno wokół pokoju, przeciągając dłonią po błyszczącym owalnym stole. Na jego środku stał srebrny kandelabr oraz naczynie ze stertą przepięknych, wypolerowanych jabłek. Wziął jedno z nich. Nieregularne czerwone paski na zielonym tle. Stał tam też duży słój z gałęzmi pokrytymi drobnymi różowymi, pachnącymi kwiatami. W rogu pokoju tykał cicho wąski stojący zegar. Na emaliowanej tarczy namalowana była pastorałna scena: pod rozłożystym drzewem siedziała pulchna pastuszka, podczas gdy jej owieczki dokazywały w oddali. Na ścianach wisały trzy obrazy w złotych ramach oraz kilka akwarel przedstawiających miejscowości nadmorskie. Wokół stołu stało osiem krzeseł z oparciami w kształcie liry i siedzeniami obitymi morelowym aksamitem. Fenn odsunął jedno z nich i usiadł, pogryzając jabłko. To zabawne, co podoba się lu-



dziom. Nie mógł sobie wyobrazić swoich rodziców kupujących z własnej inicjatywy coś podobnego.

Na wąskim kredensie, pasującym stylem do stołu, stało na srebrnej tacy kilka butelek i karafek. Otworzył drzwiczki, znalazł kryształową szklankę i napełnił ją do połowy whisky. Popijał ją z perwersyjną przyjemnością. Nie lubił alkoholu i gardził niezdyscyplinowanymi ludźmi, którzy nie mogą się bez niego obejść. Chciał jednak naruszyć nieco tego bogactwa, nie kradnąc czegoś, czego brak mogliby zauważyć.

W dalekim końcu pokoju stała duża sofa i dwa fotele, zwrócone w stronę ogrodu, obite wzorzystą, cytrynowozieloną tkaniną w lilie wodne. Zagłębił się w fotelu, umieszczając stopy na wyszywanym podnóżku. Wypił trochę (whisky była niesmaczna) i oparł się, zamykając oczy. Cicho tykał zegar.

Czuł, jak jego ciało się rozpręża. Cóż takiego było w tym pokoju? Jedna chwila łagodnie przechodziła w kolejną. Czas mijał niezauważalnie, zupełnie inaczej niż wtedy, gdy ma się zadania do wykonania, określone terminy, zaplanowane spotkania z ludźmi. To ten spokój tak na niego działał.

Po raz pierwszy dojrzał związek istniejący nie między pieniędzmi a dobytkiem bądź seksem, lecz między pieniędzmi a ciszą. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek mieszkał bez nieustannego hałasu w tle. Słyszane przez ścianę jazgoczące telewizory i wielkie przenośne radiomagnetofony innych ludzi, wrzeszczące dzieci, ujadające psy. Aż do tej pory nie uświadamiał sobie, że istnieje alternatywa. Że są szczęśliwcy, którzy żyją wyłącznie wśród dźwięków, które wybierają sami. Reklamy nigdy o tym nie wspominały. Prezentowały samochody, magnetowidy, alkohole i ubrania, lecz nigdy nie wspominały o ciszy. Popijana whisky w połączeniu ze spokojną atmosferą zaczęły stopniowo niwelować siłę jego złości. A nawet więcej, wydawało się, że posiadają niemal właściwości uzdrawiające, które, jak podejrzewał, mogły pozbawić go odwagi. Czuł, jak te subtelne i budzące zawiść środki sprawiają, że chęć niszczenia, jego *raison d'être*, zaczyna się z niego ulatniać.

Wstał szybko, chwytając dla równowagi oparcie krzesła. Jakimże był głupcem! To, że dom był pusty, nie oznaczało wcale, że jest bezpieczny. Nadal był to dom jego wroga. Niemal wybiegł z pokoju.

Schody prowadzące z holu w dół doprowadziły go do drugiej łazienki, toalety i kuchni. Postanowił ochłapać twarz zimną wodą i zrobić sobie trochę kawy dla otrzeźwienia. Spodziewał się połyskujących, wbudowanych

w meble urzędzeń i jasnych światel. Zdziwił się więc, ujrawszy przytulną scenerię. Było tu uroczo i ciepło dzięki dużemu szkarłatnemu grzejnikowi. Pomieszczenie pachniało owocami i ziołami. Ujrzał kredens z ciemnego drewna, na którym stały ładne talerze i drewniane misy oraz kamienny dzban wypełniony gałęziami z jakimiś jagodami i nieśmiertelnikami. Na tyłach obydwu drzewiczek znajdowały się rysunki dzieci oraz kalendarz składający się z dużych białych kwadratów zabazgranych różnymi notatkami. Wszystko było porządnie posprzątane i ułożone, lecz nie w sztywny, przyciągający uwagę sposób, typowy dla kuchni w oknach wystawowych lub ilustrowanych magazynach.

Wyjrzał przez okno, rozważając możliwość wejścia do domu w późniejszym czasie. Długa murowana ściana granicząca z kolejną długą murowaną ścianą. Nie do wykorzystania. Tylne drzwi były zaryglowane od środka, a okno miało podwójny zamek. Wsadził twarz pod kran z zimną wodą, po czym odkręcił go do maksimum. Tak było lepiej. Przeraził zimna woda sprawiła, że zalewająca go żółć wróciła do krwiobiegu. Gdy wycierał twarz, znowu poczuł się prawdziwym sobą, przepelnionym pragnieniem zemsty. Postanowił nie zatrzymywać się dłużej na kawę, aby nie nadużywać swojego szczęścia.

Od strony grzejnika dobiegł go jakiś odgłos. Zaalarmowany, okręcił się na pięcie. W polu jego widzenia pojawił się kot — przez chwilę kroczył dumnie, a potem wygiął grzbiet i przeciągnął się leniwie. Chryste, Fenn widywał już zabawne stworzenia, lecz ten bił na głowę je wszystkie. Wyglądał, jakby go skompletowano z dwóch lub trzech różnych zestawów wyposażenia. Spodobało mu się to sformułowanie i zachichotał. Pochylił się i wyciągnął rękę.

— Chodź tu, mój śliczny. — Na myśl o tym, jak nieadekwatne są jego słowa, znów parsknął śmiechem i dodał: — Śliczny kotek... no chodź tutaj... tutaj, kotku...

## Rozdział szósty

Duffy czekał, aby zabrać Roz do kantyny. Przyjęli zwyczaj wspólnego jedzenia lunchu. Roz wciąż jeszcze nie przyznała się sama przed sobą, jak bardzo na to czekała. Louise siedziała teraz naprzeciw jej biurka w wygodnym fotelu. Zastanawiali się w trójkę, czy powinna zapisać się na kurs asystentów produkcji. Louise postanowiła definitywnie, że to uczyni. Dzisiaj jej wygląd był niemal stonowany. Miała na sobie czarne spódnico-spodnie o nierównej fakturze, pawoniebieską aksamitną kamizelkę oraz morwowo-żółty patchworkowy żakiet. W jej włosach połyskiwał srebrny pył.

—Idziesz z nami na lunch? — spytała ją Roz.

—Nie. Odchudzam się. Dzisiaj tylko jeden Mars.

—Będą musieli zwinąć interes — uśmiechnął się do niej Duffy. — Teraz, gdy wspinasz się w górę, wszyscy będziemy musieli zadbać o swoje posady.

Louise spytała Roz, czy policja próbowała znowu nawiązać kontakt, i natychmiast tego pożałowała. Atmosfera wyraźnie się popsuła. Roz potrząsnęła przecząco głową.

—Nie. Myślę, że przestali zawracać sobie tym głowę. Chociaż, mówiąc szczerze, zrobili, co mogli. Przepyтали wszystkich, osoby pracujące w recepcji...

—Ja byłam wtedy w recepcji. A mnie nie pytali.

—Naprawdę tam byłaś? — w głosie Duffy'ego zabrzmiało głębokie zdziwienie.

—Tylko chwilę. Miałyśmy pójść z Felicity do jej mieszkania. Chciałyśmy się wybrać do nowego klubu przy Frith Street, Wild Horses. Nie miałam ochoty wracać kawał drogi aż do Redbridge, a potem jechać z powrotem. Zastępowałam ją tylko przez chwilę, kiedy poszła po płaszcz.

—Widziałaś kogoś, kiedy tam siedziałaś?

—Tylko Toby'ego, Och, i tego hydraulika.

Duffy zmarszczył brwi:

—Jakiego hydraulika?

—Po prostu zwykłego hydraulika.

—Sprawdziłaś, kto go wzywał, zanim go przepuściłaś?

—Nie. Miałam zamiar zadzwonić do administracji, ale wtedy właśnie przyszedł Toby. Zapytał mnie, czy pojawił się już jego gość, z którym był umówiony na piątą, więc musiałam to sprawdzić w rejestrze. Gdy to zrobiłam, tamten facet już zniknął. Ale jestem pewna, że to był prawdziwy hydraulik.

—Skąd taka pewność?

—Och, najwidoczniej był tu już przedtem. Powiedział: „Proszę się nie martwić, wiem, gdzie iść”, i miał torbę z narzędziami... No wiesz... po prostu wyglądał odpowiednio.

Wymienili spojrzenia. Roz stwierdziła:

—To jedyna osoba, o której nikt do tej pory nie wspominał. Duffy sięgnął po telefon i wybrał numer administracji.

—Nietrudno to sprawdzić.

—Powiedział, że chodzi o męską toaletę na parterze.

— Halo, Robby? Tu Duffield. W porządku, a co u ciebie? Posłuchaj, czy we wtorek zamawiałeś hydraulika do męskiej toalety na dole? — Pauza. — Może zrobił to ktoś inny. Mógłbyś sprawdzić w rejestrze? — Pauza. — W porządku. Bardzo ci dziękuję. Tak, myślę, że to możliwe. — Odwieścił słuchawkę i zwrócił się do pozostałych z zaczerwienioną twarzą: — Nikt nie wzywał hydraulika.

Louise powiedziała cichym głosem:

—Ja cię kręcę.

—Pamiętasz, jak wyglądał?

—Ciemne ubranie, czapka. Wydaje mi się, że miał wąsy, ale nie jestem pewna. Przeszedł obok tak szybko...

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, które były szeroko otwarte. Do gabinetu weszła Sonia.

— Wczorajsze listy do podpisania, pani Gilmour. — Zauważyła kubki z kawą, Duffy'ego usadowionego w znany sposób na krawędzi biurka Roz i Louise siedzącą w niskim fotelu w nader zrelaksowanej pozycji. — Oczywiście jeśli ma pani chwilę wolną.

—Chyba dam radę przed lunchem — odparta Roz suchym tonem. — Połóż je tu.

—Wyobraź sobie, Soniu — Louise uniosła się w fotelu — że to ja wpuściłam tego człowieka-widmo, który rzucał groźby.

—Nie rozumiem?

—Och, daj spokój. Nie powiesz mi, że nie wiesz...

—Słuchaj — przerwał jej Duffy — rozpoznałabyś jego głos? Tak czy owak powiemy o tym policji, ale to definitywnie rozstrzygnęłoby sprawę. W przeciwnym wypadku to wszystko pozostaje dość niekonkretne.

—Może bym mogła.

—Puścimy ci taśmę.

—Nie możemy tego zrobić — wtrąciła Roz. — Zabrała ją policja.

—Może poproszą, żebym zgłosiła się w komisariacie. Żeby pomóc w śledztwie.

Zapomnieli o Soni, która stała w drzwiach rozdarta między potrzebą okazania absolutnej obojętności wobec ich intymnych pogawędek (jakby żyli wzajemnie swoim życiem) a chęcią uczestniczenia, choćby złudnego, w jakimkolwiek rozgrywającym się dramacie.

—A co z *Pogawędkami*? Kiedy zadzwonił po raz pierwszy?

—Och, mam to nagrane. — Roz okręciła się na krześle. Za jej biurkiem znajdowały się wąskie półki zastawione porządnie oznaczonymi taśmami. — To była audycja *Sposoby porozumiewania się*. Pamiętam, bo wkład Ptasznika był wówczas szczególnie dziwaczny. — Umieściła taśmę w magnetofonie i przewinęła ją do tyłu. Louise podeszła do biurka i stanęła nad magnetofonem z poważnym, napiętym wyrazem twarzy.

Roz włączyła odtwarzanie.

—...pełni fałszu i szykan... swoim językiem ciała, jak pani to...

Louise rzuciła:

—Trochę dalej.

—Wiem, wiem. — Roz przewinęła taśmę nieco do przodu.

—Jest pan na antenie.

—To właśnie to, Roz.

—Wiem o tym — jej głos był pełen irytacji. Wcale nie chciała tego słuchać. Ale przynajmniej starali się jej pomóc, czego nie można było powiedzieć o Soni, która wpatrywała się tylko błyszczącymi oczyma. Wydawało się niemal, że rozkoszuje się sytuacją. — Dostaniesz je po lunchu — Roz wskazała na listy, wyraźnie dając jej do zrozumienia, że może odejść. Sonia ruszyła z ociąganiem w stronę drzwi.

— ...o śmierć... nic osobistego... nie jestem zdenerwowany... Usłyszenie go znowu, ze świadomością wszystkiego, co się wydarzyło od tego czasu, było czymś o wiele gorszym. Roz miała wrażenie, że ten człowiek znaj-



duje się razem z nimi w pokoju. Że czuje na swojej twarzy jego cuchnący oddech. Odwróciła głowę od magnetofonu.

— ...jeszcze nie nastąpiła... powinienem o tym komuś powiedzieć... czyżbym powiedział coś takiego?... rozumie pani, muszę kogoś zamordować...

Roz przyglądała się Louise, która wykrzywiła swoją ładną twarz w grymasie koncentracji.

— ...chciałem, żeby pani o tym wiedziała... ponieważ dotyczy to pani bezpośrednio...

Roz zatrzymała taśmę, a Duffy zwrócił się do Louise:

— No i?

Ale Louise nie zdążyła na to odpowiedzieć. Od strony drzwi dobiegł ich jakiś odgłos. Wszyscy się odwrócili. Sonia usiłowała przytrzymać się framugi. Na jej twarzy malowało się skrajne niedowierzenie. Wykrzywiła otwarte usta w grymasie wyrażającym brak wiary w to, co słyszy, jej oczy rozszerzyły się i pociemniały, a skóra przybrała odcień serwatki. Zanim ktokolwiek był w stanie do niej podbiec, osunęła się na podłogę.

Sprawy nie rozwijały się zgodnie z planem. Porwanie kota wydawało się genialnym pomysłem. Nie zastanawiał się wówczas jeszcze, co z nim zrobi. Po prostu wsunął go sobie pod kurtkę i zabrał do domu. Jednak podczas jazdy metrem uświadomił sobie, że ma w ręku cenną zdobycz. Było to przecież ukochane zwierzę domowe. Jakież rozkoszne zmartwienia i lęki mógł spowodować, dając Gilmourom do zrozumienia, pod czyją czułą opieką kot obecnie się znajduje. Mógłby zacząć od przesłania pocztą kilku jego wąsów, aby udowodnić, że ich nie nabiera.

Jednak wracając do mieszkania, musiał przejść przez bar państwa Christoforou. Gdy wychodził już z niego na klatkę schodową, wpadł prosto na gospodynię. Cholerne zwierzę zaczęło się wiercić, a ona chwyciła go za rękę, krzycząc: „Co pan mi tutaj przynosi do domu?!“ i pociągnęła za suwak w jego kurtce. Kot wyrwał się, spadł niezgrabnie na podłogę, śmignął im między nogami i zniknął w mroku nocy.

Fenn siedział w swoim pokoju, kipiąc ze złości i dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie, że chociaż on sam widział, iż stracił kota, to *oni* tego nie będą wiedzieć. Wciąż jeszcze był w stanie przysporzyć im nerwów i zmartwień. Musieli mu wierzyć na słowo. W końcu, skąd wiedziałby o tym, że zwierzę zniknęło, jeśli nie miałyby z tym nic wspólnego? Na pewno

tak właśnie będą rozmawiać. A jednak wcale mu się to nie podobało. Czuł, że zniknięcie kota jest czymś złowieszczym.

I była jeszcze Sony. A właściwie, by być precyzyjnym, nie było jej. Wydzwaniał do niej od dłuższego czasu, bez skutku. To było do niej niepodobne. Zazwyczaj natychmiast podnosiła słuchawkę i zaczynała paplać, zanim miał czas, by otworzyć usta. Obawiał się zadzwonić do niej do pracy. Istniała szansa, że osoba, która odbierze telefon, rozpozna jego głos i poprosi, aby poczekał, po czym spróbuje go namierzyć. Było całkiem możliwe, że policja monitoruje rozmowy z rozgłośnią.

— Jaki jest ten nowy pomocnik?

Roz siedziała z Leo na dużej sofie. Zasunięte zasłony nie dopuszczały zimowej nocy, a lampy przyjemnie oświetlały pokój. Oprócz centralnego ogrzewania włączony był kominek gazowy z tańczącymi płomykami. Kathy leżała już w łóżku, a Guy odrabiał w kuchni lekcje. Roz zsunęła buty i oparła się na ramieniu męża, podwinąwszy pod siebie nogi. Przyjąwszy tak wygodną pozycję, uświadomiła sobie, że poza ta jest sztuczna. Nie czuła się zrelaksowana i zastanawiała się, czy Leo, wyciągnięty wygodnie z nogami na podnóżku, również tylko udaje zadowolonego.

— Cudowny. Bardzo zabawny i świetnie daje sobie radę ze środkami do czyszczenia. — Była miło zaskoczona, znalazłszy mieszkanie tak porządnie posprzątane. Obawiała się, że frywolne wypowiedzi Grega wróżą jego równie frywolną postawę wobec zadań domowych. — Ma tylko jeden minus.

— Co takiego?

Skinęła głową w stronę kredensu.

— Jest archetypem kamerdynera. Popija po kryjomu.

— Naprawdę?

— Mhm. Zniknęła spora porcja whisky. Nie zwróciłabym na to uwagi, gdyby nie zapach unoszący się w pokoju. I zostawił na wierzchu szklanekę.

— Masz zamiar odgrywać sknerę i zaznaczać od dzisiaj poziom na wszystkich butelkach?

— Oczywiście, że nie. Prawdę mówiąc, nie przejmuję się tym zbytnio. Co nam przeszkadza, że wypije mały łyeczek? Poza tym nie zostanie u nas na stałe.

— Dałaś już ogłoszenie w tej sprawie?

— Jeszcze nie.

— Lepiej zrób to, póki w domu jest jeszcze choć kropla.

Roz starała się powstrzymać złość. Dlaczego ja? pomyślała.

Jesteś nierozsądna, skarciła się natychmiast. Przecież Leo pracuje przez cały dzień. Ale ja również pracuję. Tak, ale jesteś w domu. Chociaż o tym nie mówili, to z góry było przyjęte, że to ona jest odpowiedzialna za te sprawy, ponieważ to właśnie ona musiałaby sprzątać, gdyby nikogo nie wynajęto do pomocy. Zaczęła ogarniać ją irytacja. Spróbowała zmienić temat, zanim wyrwie jej się coś zjadliwego.

— I jakby moje życie nie było wystarczająco dramatyczne, dzisiaj w pracy zemdląca Sonia.

— Wielki Boże! Jest w ciąży?

Możliwość ta nie przyszła Roz do głowy. Omdlenie Soni było tak nagłe i dramatyczne, że przez chwilę cała trójka stała po prostu w miejscu, gapiąc się na nią w osłupieniu. Pierwsza podbiegła Louise i próbowała ją podnieść, lecz zastąpił ją w tym Duffy, a Roz przyniosła szklanekę wody.

Sonia była nieprzytomna przez niecałą minutę. Kiedy odzyskała świadomość, nie powiedziała ani słowa, lecz spojrzała na nich po kolei, a następnie wybuchnęła niemiłym, ochryplym szlochem. Na znak dany przez Roz pozostali opuścili pokój. Dźwięki, jakie wydawała Sonia, były przerażające, naładowane czymś o wiele straszniejszym niż rozpacz. Płakała, jakby nadszedł koniec świata. Roz cieszyła się, że nie byli w stanie odtworzyć tamtej drugiej taśmy, skoro już na pierwszą Sonia zareagowała w ten sposób. Usiłowała przytulić dziewczynę, lecz przypominało to obejmowanie kłody drewna.

— Spróbuj wypić trochę wody — Roz podała jej szklanekę, lecz Sonia odepchnęła ją z impetem, rozlewając wodę na podłogę. — Przepraszam, jeśli ta taśma cię zdenerwowała...

— To nie taśma! To nie ma z nią nic wspólnego... — Sonia chwyciła Roz za rękę. Jej oczy miały błagalny, gorączkowy blask. — To... to moje nerwy. Od pewnego czasu czuję się chora... Miałam zamiar pani o tym powiedzieć... poprosić o trochę wolnego...

— W porządku, Soniu, w porządku. — Ujęła jej dłoń. Okropne, rozdzierające dźwięki ucichły. Sonia płakała teraz cicho, a łzy spływały jej strumieniem po policzkach. — Oczywiście, musisz wziąć trochę wolnego. Wiesz co, weź po prostu resztę tygodnia. — Razem z weekendem dałoby to cztery dni. — I zadzwoń do mnie w poniedziałek rano, żeby powiedzieć, jak się czujesz. A teraz zawiozę cię do domu.

— Och, nie... Mogę sama...

—Nie dyskutuj ze mną, Soniu. — Uśmiechnęła się i wypuściła jej dłoń. — Czy chcesz najpierw wpaść do ambulatorium? Zobaczyć, czy mają coś na uspokojenie? — Sonia potrząsnęła przecząco głową. — No to chodźmy. To w Baron's Court, prawda?

—Edith Road.

—Znam drogę do Cromwell Road, a potem będziesz musiała mną pokierować.

Podczas podróży Sonia niemal się nie odzywała, rzucała jedynie wskazówki, w którą stronę jechać. Roz zaparkowała przed zaniedbanym, trzy-piętrowym szeregowym domem. Wyobraziła sobie, jak po jej odjeździe Sonia siedzi tam samotnie, prawdopodobnie chora, płacząc cicho w poduszkę.

— Chciałabyś, żebym z tobą weszła, Soniu? Może mogłabym ugotować ci trochę zupy? Masz w domu coś do jedzenia? Mogę zrobić ci zakupy. — Chciała dodać jeszcze: „A może chciałabyś po prostu porozmawiać?”, lecz Sonia wysiadła z samochodu i trzasnęła drzwiami. Roz nie poczuła się obrażona. Malująca się na twarzy dziewczyny skrajna udreka wykluczała okazywanie dobrych manier. —Przepraszam, Leo, co mówiłeś?

—Po prostu zastanawiałem się, czy nie jest w ciąży? Bo po dejrzewam, że on spodziewa się jakiejś rekompensaty za te bardzo drogie perfumy, o których mi opowiadałaś.

—Co ty za szowinistyczne głupoty gadasz?! Ta dziewczyna była kompletnie zrozpaczona.

—Och, daj spokój, Roz. Normalnie sama powiedziałałabyś coś w tym stylu.

Prawdziwość tej uwagi ugodziła Roz do żywego.

— Nie bądź tak cholernie ojcowski. Nie wyobrażaj sobie, że jestem jedną z twoich pacjentek. — Strząsnęła z siebie jego ramię. — Czy to w ten sposób zapewniasz im swobodną atmosferę? Och, och, pani Willoughby. Jest pani naprawdę w dobrych rękach. Napuszony dupek.

Leo przez chwilę siedział cicho, po czym zauważył:

—Nie powiedziałaś mi, jak dzisiaj poszedł program.

—*Nie miałam dzisiaj programu.* Po dwóch latach powinieneś wiedzieć, w które dni jestem na antenie. — Wstała, po czym zachwiała się nieco. Przed powrotem Leo wypła dwie duże szklaneczki ginu i chociaż musiał poczuć to w jej oddechu, nic nie powiedział. Zaczynała pić coraz wcześniej. — I przestań się ze mnie śmiać!

—Kochanie, wcale się nie śmieję. — Leo również się podniósł. — Daj spokój. Dzisiaj ty przygotujesz sałatę, a ja rybę. Nie dopuściłbym cię na miłą do ognia.

Obserwował, jak jej dolna warga opuszcza się coraz niżej. Przez chwilę wyglądała zupełnie jak Kathy. Poczł wobec niej wielką czułość, w której kryło się również pewne rozczarowanie. Miał wcześniej nadzieję, że w ogólnym rozrachunku jego miłość, dzieci oraz stabilność ich rodziny bardziej będą się liczyć i zrównoważą to zewnętrzne zagrożenie. Pocałował ją delikatnie w ucho, na co Roz zareagowała gwałtownym odrzuceniem głowy. W drzwiach pojawił się Guy.

— Gdzie jest Madgewick?

—A nie ma go w kuchni?

—Nie.

—Podejrzewam więc, że leży na naszym łóżku. Będę musiała powiedzieć Gregowi, żeby za każdym razem upewniał się, że zostawia go zamkniętego w suterenie.

—Sprawdzałem już w waszej sypialni.

—A w pomieszczeniu gospodarczym?

Madgewick uwielbiał ciepło i przytulność miejsca, w którym znajdował się kocioł grzewczy. Jeśli tylko drzwi były otwarte, wpadał tam natychmiast, obficie rozsiewając różnokolorowe włosy na stertę ubrań przygotowanych do prasowania.

—Tam też szukałem. Przeszukałem wszystko. I zajrzałem pod wszystkie łóżka.

—Musi gdzieś być — odezwał się Leo. — Poszukamy razem po kolacji. Nawet jeśli ten nowy facet zostawił drzwi otwarte, kot nie wyszedłby na zewnątrz.

Była to prawda. Od pierwszego dnia, gdy przynieśli go do domu, ani razu nie wyszedł na dwór, z wyjątkiem swojej pierwszej wizyty u weterynarza, kiedy to jego stan wymagał wykonania rozległych zabiegów. Uprzednie doświadczenia Madgewicka — a ze stanu, w jakim go znaleźli, domyślali się, że musiały być straszne — sprawiły, że nie znosił podróży, co granoczyło wręcz z paranoją. W lecie, kiedy wszyscy byli w ogrodzie, udawało się od czasu do czasu wywabić go na podwórko, gdzie związał się w kłębek na słońcu, mniej więcej o dwie stopy od tylnych drzwi, gotowy natychmiast pobiec z powrotem w bezpieczne miejsce.



Po kolacji przeszukali cały dom, lecz nigdzie go nie było. Leo wyszedł w przejmujący zimnem wieczór, aby spytać sąsiadów z obu stron. Roz zadzwoniła na policję i zgłosiła zaginięcie kota. Ten, kto odebrał słuchawkę, nie przejął się szczególnie tą sprawą.

—Mamy rejestr zgubionych i znalezionych psów, ale nie prowadzimy rejestru żadnych innych zwierząt. Oczywiście zanotujemy to zgłoszenie.

—To miło. Na pewno myśli pan, że taki kot jest czymś bez znaczenia. No cóż, dla nas znaczy bardzo wiele! — Roz krzyczała do telefonu. Zdawała sobie sprawę, że Guya to zaniepokoiło, bo zmarszczył brwi. Trzasnęła z impetem słuchawką. Tej nocy spała źle, trawiona niepokojem i lękiem.

Przy śniadaniu wszyscy byli milczący, a dzieci znajdowały się na granicy płaczu. Roz zdziwiła się, jak bardzo jej brakuje osobliwego, zabawnego pyszczka Madgewicka oraz jego dumnego, bezwstydного paradowania. Zanim wyszła do rozgłośni, do ostatniej chwili stała w ogrodzie i spoglądała na bezlistne drzewa z czarnymi, powyginanymi wiatrem gałęziami, przywołując go wciąż bez skutku. Kot po prostu zniknął.

Sonia leżała w łóżku. Leżała tak od tego popołudnia, kiedy Roz odwiozła ją do domu. Reszta tego dnia, ciemny wczesny wieczór, niekończąca się noc oraz następny nędzny, szary dzień, ciągnęły się bardzo wolno. Ona jednak straciła rachubę czasu. Cóż to miało za znaczenie? Gdyby tylko nie było jej tak zimno. W mieszkaniu panował ziąb. Pościel była zimna, a poduszka przesiąknięta łzami.

Teraz, gdy wyplakała już wszystkie łzy, leżała skostniała i sztywna, rozpamiętując poniesioną stratę. Nie miała w domu nic do jedzenia ani do picia i czuła, że gdyby spróbowała coś przełknąć, natychmiast by się udusiła. Trzykrotnie zadzwonił telefon, lecz to zignorowała. Osiągnęła dno nieszczęścia, potem ogarnęła ją czarna rozpacz i skrajna udreka, a teraz miała wrażenie, że jej przytępione uczucia boleśnie powracają do życia. Wraz z powrotem świadomości pojawiła się nowa emocja.

Najpierw było to po prostu oburzenie. Ależ ją wykorzystał! Myślała o godzinach spędzonych wspólnie w jej mieszkaniu. O wszystkich posiłkach i winie, o które się postarała. I o tym, co kazał jej robić. Bez fantazji na temat miłości okazywało się to sprośnym i poniżającym zachowaniem. A ona pozwalała na to wszystko, ponieważ tak bardzo pragnęła, by on jej pragnął. Tak bardzo chciała mieć ślub w bieli z obrączką od Bravingtona i mały domek z dzieckiem bawiącym się w ogródku. Równie stanowczo, jak przedtem się oszukiwała, teraz wydarła z siebie z brutalną siłą półprawdy i

oczywiste kłamstwa, którymi tak głupio wspomagała swoje iluzoryczne szczęście. Usiadła sztywno (wciąż nie zdjęła ubrania, które miała na sobie w biurze) i opuściła nogi na podłogę.

Nadal była roztrzęsiona i czuła mdłości od tak długiego płaczu. Ale ogrzewał ją gniew, a z każdą chwilą rozrastała się również kolejna emocja. Coś, co migotało w zimnym obszarze jej serca i ogrzewało jej wychłodzoną pierś. Krew, która jeszcze przed kilkoma sekundami ścinała jej się w żyłach, zaczęła płynąć żywiej. W dodatku odczuwane obecnie ciepło nie było iluzją, którą mogło rozwiązać kolejne gwałtowne, przypadkowe odkrycie. Tym razem ciepło to było wytworem twardej rzeczywistości.

Sonia poczuła, że podłoga pod stopami daje pewne oparcie. Rozbiegane myśli, nadmiernie obfite łzy, przekreślone nadzieje i zrujnowane marzenia zlały się ze sobą, a następnie przemieniły w eliksir potężniejszy i bardziej samowystarczalny, niż kiedykolwiek była miłość. Kiedy nienawiść doszła do głosu i z płomyczka przemieniła się w pochłaniający wszystko ogień, Sonia poczuła, że jej podekscytowanie przewyższa strach i spycha go na dalszy plan. Siła nienawiści była tak wszechogarniająca, że wydawało się, iż jest od niej niezależna. Sonia na w pół spodziewała się, że nienawiść ta otworzy drzwi, zerwie zasłony i zetnie ją z nóg. Uchwyciła się krawędzi łóżka, czekając, aż intensywność tego uczucia nieco zblednie.

Gdy wykręciła numer 999, odczuwała jedynie przyjemność i nie było w niej ani śladu żalu bądź poczucia winy. Kiedy połączyła się z centralą, powiedziała:

— Proszę z policją.

Roz uświadamiała sobie, że Leo ją obserwuje. Wydawało jej się, że garnki gruchoczą i obijają się o kuchenkę niemal z własnej woli. Wytłumaczyła sobie, że to dlatego, iż ich uchwyty są śliskie od pary. Dzisiaj zrobiła coś nie do pomyślenia. Poprosiła dzieci, by sprzymierzyły się z nią przeciw ojcu.

Był to jeden z jej dni spędzanych w domu i przed południem oraz podczas lunchu wypila niemal całą butelkę wina. Kwadrans po trzeciej była o krok od zadzwonienia na pobliski postój taksówek z prośbą o odebranie ze szkoły Kathy i Guya i przywiezienie ich do domu, lecz po chwili zrezygnowała z tego pomysłu. Kathy bardzo by się bała jechać z kimś obcym. Roz zadzwoniła do matki kolegi Guya, Speeda, aby ją poprosić o pomoc, ale nikt nie odpowiadał. Tak więc dwadzieścia po trzeciej wsiadła do golfa, po czym bardzo powoli i ostrożnie pojechała do szkoły Kathy.

Gdy z obydwójgiem dzieci na tylnym siedzeniu dojechała do Bayham Street, górę w niej wzięło poczucie, że bezpiecznie znalazła się niemal w domu. Dodawszy gazu, przejechała przez ciągłą linię i wjechała na Greenland Road. Zbliżająca się furgonetka zatrzymała się z piskiem opon, a samochód Roz wylądował w rynsztoku. Jakimś cudem, pojazdy nie zderzyły się ze sobą. Z furgonetki wysiadł młody człowiek o twarzy pobladłej z powodu przeżytego szoku i gniewu i podszedł do golfa. Roz opuściła szybę.

—Ja... strasznie przepraszam... Nie chciałam... przepraszam...

—Pozamykać... takich jak ty... Nawet z cholernym wózkiem byś sobie nie poradziła, a co dopiero z samochodem! — Wsunął przez okno przystojną, młodą twarz, wykrzywioną teraz z wściekłości. — Cholera jasna, jesteś pijana, tak?!

Roz potrząsnęła przecząco głową, a po twarzy zaczęły jej płynąć łzy.

—Nie... nie...

—I to z dziećmi z tyłu. Należałoby cię zamknąć, zanim kogoś zabijesz — powtórzył. — Zastanawiam się, czy nie złożyć na ciebie skargi za niebezpieczną jazdę.

Roz oparła głowę na kierownicy, a jej ramiona zaczęły się trząść. Kierowca chciał coś dodać, lecz prawdopodobnie po-wstrzymała go przed tym udreka malująca się w jej postawie. Wsiadł z powrotem do swojej furgonetki, włączył się do ruchu i odjechał.

Na chodniku zgromadziło się kilka osób. Zanim Roz podniosła szybę, usłyszała, jak jakaś kobieta mówi: „Biedne maleństwa”, a inna: „I w dodatku nawet nie nadeszła jeszcze pora podwieczorku”. Siedziała jeszcze przez parę minut w samocho-dzie ustawionym na żółtych liniach, aż dostrzegła zbliżającego się policjanta. Wytrzeźwiawszy gwałtownie wskutek przeżytego wstrząsu, pojechała wolno do domu. To właśnie wtedy poprosiła dzieci, by nie wspominały o tym incydencie ojcu.

— Gdyby tatuś wiedział, że byłam... chora, strasznie by się zmartwił. I byłby bardzo nieszczęśliwy. — Gardząc sobą, dodała szybko: — Wiem, że żadne z was by tego nie chciało.

Kathy zgodziła się natychmiast i wspięła się na jej kolana, a Guy uczynił to po długiej przerwie, z ociąganiem, nie patrząc na nią. Ale dorośli zawsze orientują się, gdy dzieci mają jakiś sekret. Kathy i Guy tak ostentacyjnie pomijali w rozmowie ten incydent, że właśnie intensywność milczenia ich zdradziła. Leo nie wspominał jednak o niczym i teraz, gdy byli sa-

mi, nadal milczał. Oczekiwanie na jego słowa zaczęło Roz coraz bardziej denerwować. Wyjęła z piekarnika żeliwny garnek. Leo odchrząknął.

— Wspaniale pachnie.

—Karkówka. I ugotowałam makaron. Nie ma jarzyn. Nie mam czasu zawracać sobie głowy jarzynami, gdy przez cały dzień jestem zajęta.

—Dlaczego nie poprosisz Grega, żeby coś ugotował? Myślę, że oni wszyscy to potrafią.

—„Oni”, też coś. Nie bądź taki wstydlivy, Leo. W każdym razie on już się tu nie pojawi. Zadzwoiłam do agencji i poprosiłam, żeby przysłali kogo innego.

—Dlaczego? Co się stało?

—Pokłóciliśmy się.

—Myślałem, że go lubisz. I że dobrze pracuje.

To prawda. Roz trudno było wyjaśnić, w jaki sposób nagle doszło do kłótni. Ten ranek zaczął się jak zwykle, od wypitego wspólnie dzbanka kawy. Greg powiedział jej, że w następnym tygodniu ma przesłuchanie dla Royal Shakespeare Company w Barbicanie.

— Co masz zamiar im zaproponować?

— Myślałem, by pokazać im mojego Tamburlaine'a. A potem coś niewielkiego w stylu komediowym.

— Co myślisz o Lady Bracknell?

Wzdrygnął się z przesadą.

— Nic tak zimnego, kochanie. Nie, myślałem raczej o Ma- Ivoliu. Chociaż podejrzewam, że wszyscy go wybierają. Może spróbuję Garry'ego Essendine'a.

— A jak chcesz się ubrać?

— No cóż — przysunął swoje krzesło blisko Roz, przygotowując się na rozmowę między-nami-dziewczynami. — Mam śliczny, dyskretny *cache-sex* z naszytą flagą Nelsona na maszcie. Do tego ciemnozielone rajstopy i zielonkawy żakiecik z cudownie szerokimi rękawami. Roz się roześmiała.

—Co naprawdę masz zamiar włożyć?

—Dżinsy i T-shirt z emblematem National Theatre. Nie chcę, żeby myśleli, że się wysiłam.

Dopiero parę minut później, gdy Greg sprzątał naczynia po śniadaniu, Roz poruszyła sprawę kota. W ciągu kilku minut atmosfera uległa zmianie i stała się gęsta od podejrzeń.

—Ale na pewno go wypuściłeś, Greg. Przykro mi. Wiem, że to wszystko jest bardzo nieprzyjemne, ale spróbuj zrozumieć, że to nasze ulubione zwierzę domowe, za którym bardzo tęsknimy.

—Nie musisz mi tego mówić. Sam uwielbiam zwierzęta, wiesz o tym. Ale otworzyłem drzwi tylko raz, gdy zadzwonił jakiś facet, żeby zapytać o drogę. A kiedy wróciłem na dół, Madgers był wciąż w swoim koszu.

To zdrobnienie zirytowało Roz równie mocno jak kłamstwo.

—Nie nazywaj go Madgers. Jego imię brzmi Madgewick.

—W porządku, a więc Madgewick. Gdy wychodziłem, wciąż był w koszu.

—Greg, jak możesz tak kłamać? Nie mógłby opuścić domu, gdybyś zostawił go zamkniętego w kuchni.

—Najmocniej przepraszam. Jestem pewny, że posiadam najróżniejsze drobne niedociągnięcia, ale nigdy nie kłamię.

Nie mogąc się powstrzymać, Roz rzuciła:

—Podejrzewam, że również nie pijesz alkoholu?

—Nie bardzo wiem, co ma do rzeczy w tym momencie to złośliwe szyderstwo, ale rzeczywiście, nie piję.

—A więc to na pewno Madgewick odpowiada za to, że whisky wyparowała z butelki?

—Nie mam pojęcia, kto to zrobił, ale z całą pewnością nie ja. Może ty sama postarałaś się, żeby wyparowała, jak to elegancko ujęłaś.

—Ty bezczelny sukinsynu!

Greg wydał swoje nozdrza konia na biegunach, po czym naciągnął z wielką gracją gumowe rękawiczki i zaczął wkładać naczynia do zlewu.

—Poproszę w agencji, aby przysłano jutro kogoś innego, proszę pani.

—Bardzo proszę, zrób to. — Roz opuściła pokój, niosąc kawę w drżącej ręce. — Też mi abstynent z wyboru.

Gdy zamykała drzwi, usłyszała, jak Greg mruczy pod nosem:

—Nadęta dziwka.

Przez następne dwie godziny pozostała w swoim gabinecie, udając, że pracuje, aż usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi. Wówczas zeszła na dół i otworzyła butelkę alzackiego wina.

Leo wysłuchiwał jej starannie ocenzurowanej wersji tej wymiany zdań.



— Wiem, że to dość tajemnicze, ale naprawdę uważam, że pozbywanie się go jest przesadą. Nie wiesz, kogo ci przyślą następnym razem. On był przyjacielski i sprawny, nawet jeśli podwędził ten alkohol.

Roz zgadzała się wprawdzie z wszystkimi słowami męża, lecz uparcie milczała. Zjedli zapiekankę, niemal się do siebie nie odzywając. Zapiekan-ka była półproduktem niewymagającym inwencji. Roz straciła zaintereso-wanie jedzeniem. Czuła się niemal tak, jakby była w ciąży. Przez cały czas miała lekkie mdłości, których przyczyną było nie nowe życie, lecz wciąż obecny lęk. Zauważyła, że Leo nie pije do posiłku wina, co było czymś niecodziennym. Prawdopodobnie zachęcał ją w ten sposób, by mniej piła. Miała na końcu języka prowokującą, uszczypliwą uwagę na ten temat. Za-cisnęła usta, zagryzając dolną wargę. Przez umysł przelatywał jej z kleko-tem strumień obraźliwych wyrażen. Wybrała najłagodniejsze z nich i zwró-ciła się do męża:

— Zachowujesz się zupełnie jak Hiob. — Zaśmiała się fałszywie, w sposób typowy dla ludzi pozbawionych odwagi, którzy gdy poczują się ob-rażeni, udają, że nie mówią zupełnie serio. — Siedzisz tutaj ze stoickim spokojem. Twojej żonie zagrożono śmiercią albo jeszcze czymś gorszym. Świat wali się wokół nas. Dzieci są przerażone i nieszczęśliwe. Ich ulubio-ny zwierzak przepadł bez wieści. Czego trzeba, żeby cię obudzić, Leo? Głodu? Zarazy? Wybuchu bomby? Mogę sobie wyobrazić, jak siedzisz tu podczas wybuchu z głową schowaną w pieprzoną papierową torbę!

—Przestań, Roz. — Leo wyciągnął ręce i złapał ją za nadgarstki. —  
*Natychmiast.*

—Wiem, czemu cię to nie obchodzi. Wolałbyś, żebyś zniknęła na dobre, prawda? Pieprzysz się w szpitalu z jakąś dojrzałą do zamążpójścia pielęgniarką, co? Niedługo stuknie mi czterdziestka. Pora zamienić mnie na nowszy model.

Leo odsunął swoje krzesło, które wydało na kamiennej podłodze okropny, zgrzytliwy odgłos.

—Mam tego absolutnie powyżej uszu. Jestem wykończony. Przeprowadziłem dziś trzy bardzo trudne operacje. Wiem, że niezależnie od wszystkiego, co jestem w stanie zrobić, jedna z moich pacjentek na pewno umrze. Jest młodsza od ciebie. Zamieniasz się w sekutnicę, która tylko uważa się nad sobą. A teraz, na miłość boską, zamknij się wreszcie!

—Och, twoja praca, twoja szlachetna praca. Zapomniałam, jakie to ważne — Roz słuchała z osłupieniem swoich przesiąkniętych sarkazmem słów, które nie chciały się zatrzymać. — W pracy możesz się wyładować, nie? Nic dziwnego, że w domu jesteś taki spokojny. Jak to jest, gdy człowiek może kroić bezbronnych ludzi? Siekać ich bez litości? Założę się, że naprawdę to lubisz, prawda? No, przyznaj się. Nie jesteś lepszy od tego zbrojnego, który mi grozi. Z tą różnicą, że w twoim wypadku jest to legalne.

Roz wydawało się, że stoi na zewnątrz i ogląda film. Wszystko działo się w zwolnionym tempie i było czarno-białe. Mężczyzna górował nad kobietą, wysoki i groźny. Pojawił się nagle znikąd, z kanciastą sylwetką, i parł do przodu, a tło pozbawione było jakichkolwiek szczegółów. Zrobił ruch ręką, jakby przygotowywał się do zadania ciosu. Całe jego ubranie było szare, a twarz biała z czarnymi jak węgiel oczyma, pod którymi widniały ciemne sińce zmęczenia. Kontrast ten był surowy i intensywny. Mężczyzna wyglądał jak bohater niemego filmu. Kobieta również wstała. Ona też była szara, z masą włosów opadających na ramiona, jak u Meduzy. Dwukrotnie otworzyła usta i krzyknęła: „Rzeźnik!”. Roz słyszała ją bardzo wyraźnie i pomyślała, że traci zmysły. Wówczas ręka mężczyzny zaczęła bardzo wolno opadać w stronę głowy kobiety. Ta wysunęła swoją twarz ochoczo naprzeciw, wykrzywiając się do niego i prowokując do zadania ciosu. Roz krzyknęła: „Nie, nie!” i próbowała wkroczyć między te dwie postacie. Wtedy zadzwonił telefon. Natychmiast wszystko wróciło do normy i odzyskało kolor. Ręka Leo opadła wzdłuż jego boku. Roz zwiesiła głowę, nie

czując ani śladu gniewu, pełna udręki. Leo opuścił pokój, a ona pobiegła za nim. Stała pod drzwiami salonu, nasłuchując.

— Tak, ale nie czuje się dobrze. Mówi Gilmour. — Kilka sekund później spytał: — Gdzie to jest dokładnie? — po czym coś zapisał. Po chwili dodał: — Tak, ale nie wiem kiedy. Oddzwonię do pana. — Zapisał jeszcze coś i odłożył słuchawkę.

— O co chodzi? Co się stało?

— To była policja. — Podszedł do sofy. — Chyba go złapali.

— Jak to? — Roz zmarszczyła brwi. — Kogo?

— Na miłość boską, jak ci się wydaje? Mężczyznę, który jest odpowiedzialny za to wszystko.

— Och! — Wsunęła najbliższe krzesło i usiadła. Czekala, aż pojawi się w niej uczucie ulgi, radość, szczęście. — Jesteś pewny?

— Oczywiście, że jestem pewny. Przyznał się do tego. Trzymają go w komisariacie Wapping.

Ruszyli po połyskujących kocich łbach. Roz ujęła Leo za rękę, nie czując jakiegokolwiek reakcji z jego strony. Między ulicą a rzeką wznosiły się wąskie budynki, w których toczyło się pełne napięcia życie. W zaadaptowanych na mieszkania magazynach widniały wspaniałe łukowate okna, przez które widać było świecące lampy. Na jednym z domów dostrzec można było wymalowaną nazwę luksusowego sklepu z winami ODDBINS, a z innego dobiegał cichy szum jakiejś maszyny. Na tablicy umieszczonej na zewnątrz widniał napis „Policja Rzeczna”.

Przez przerwę między budynkami Roz dostrzegła rzekę, poprzecinaną srebrnymi kreskami księżycowego światła. Woda uderzała o zanurzone w wodzie metalowe pale i kamienne ściany. Na tle nieba odcinały się trzy nieruchome dźwigi, upozowane jak szkielety prehistorycznych olbrzymich ptaków. Tuż obok był pub The Town of Ramsgate.

— Może potem moglibyśmy wpaść na drinka, Leo?

— Mówiąc szczerze, marzę tylko o tym, by po tym wszystkim się dobrze wyspać. I mam nadzieję, że potem nasze życie powróci do normy.

Kolejny odcinek domów po renowacji, podnoszących prestiż okolicy. Po obu stronach niewielkiego skweru przycupnęły eleganckie, wspaniale utrzymane domy w stylu edwardiańskim. Przed jednym z nich zaparkowany był porsche, a tuż obok niego podrasowana, robiona na zamówienie cortina. W ciemności żywopłoty wydawały się granatowe. Obok przepłynął statek, którego światła odbijały się w wodzie, a kilwater zaburzył odbicie księżyca. Na skraju skweru, tuż nad wodą, stały kamienne ławki.

—Czy możemy zatrzymać się na chwilę?

—Po co? Jest strasznie zimno.

—Tylko na chwilę.

Leo wydał nieokreślony odgłos — na wpół westchnienie, na wpół parsknięcie — wyrażając w ten sposób zarówno pogodzenie się z kapryсами kobiet w ogóle, jak i poirytowanie z powodu zachowania własnej żony w szczególności. Zatrzymał się jednak.

Spojrzeni w dół na wodę. Z bliska, w sztucznym świetle lamp, wydawała się spieniona. Unosiły się w niej plastikowe butelki, stare puszki i kawałki rozmiętego drewna. Widać było boję, która kiwała się jak pijana.

— Nie musisz tego robić, wiesz o tym.

— Słyszałeś, co powiedzieli, Leo. On nie złoży zeznania, do-póki nie porozmawia ze mną.

— Przyznał się do tego. To im wystarczy, żeby go oskarżyć.

Roz chciała go jednak zobaczyć. Gdy minął początkowy szok, doświadczyła tak wielu emocji, że teraz nie potrafiła stwierdzić, jak się naprawdę czuje. Miała wrażenie, że pozostały jej w głowie ślady wszystkich tych uczuć: ulgi, gniewu, podekscytowania, oczekiwania i strachu. Doznania te dochodziły do głosu po kolei i teraz połączyły się, tworząc taran, który walił zapamiętałe w jej sercu. Rzeczywiście czuła w piersi intensywny ból, który utrudniał jej oddychanie. Jednakże nad wszystkimi tymi uczuciami, nawet nad strachem, górowała ciekawość. Czuła, że *musi* go zobaczyć. Musi zobaczyć człowieka, który z taką obojętnością i zapierającą dech złośliwą premedytacją wpłynął na jej życie.

Podczas jazdy na posterunek próbowała go sobie wyobrazić tysiące razy na tysiąc różnych sposobów: młody, w średnim wieku, stary, gruby, chudy, łysy, kudłaty, wysoki, niski. A jeśli chodzi o jej reakcję? Wyobrażała sobie (z wielkim wysiłkiem), że będzie wyrozumiała, jak również (z o

wiele mniejszym wysiłkiem), że trzeba ją będzie powstrzymać, aby się na niego nie rzuciła. Leo usiłował przekonać ją, aby poczekała do następnego dnia. Uważał, że nocny odpoczynek umożliwi jej poradzenie sobie z sytuacją w bardziej opanowany sposób, lecz ta sugestia doprowadziła ją niemal do szału — chciała już sama pojechać na posterunek. To właśnie wtedy poprosił sąsiadkę, aby została z dziećmi.

Roz starała się uspokoić, oddychając wolniej i bardziej świadomie. Po chwili się podniosła. Ten nagły ruch przestraszył przycupniętą obok mewę, która podfrunęła niemal do ich twarzy, wydając chrypliwy skrzek.

Wejście do komisariatu znajdowało się z boku budynku, prowadziły do niego kamienne schody. W środku było ciepło, wewnątrz wydawało się niemal zaparowane. Siedzący przy biurku sierżant od razu zorientował się, kim są.

— Gdzie... gdzie on jest?

— W pokoju przesłuchań, pani Gilmour. Czy ma pani ochotę na filiżankę herbaty, zanim pani tam pójdzie? Jest bardzo zimno.

—Nie. Dziękuję.

—A więc może potem?

—Bardzo chętnie. Jak on się nazywa?

—Nie chciał podać nazwiska. To dziwny typ.

Roz uznała, że powinna znać jego imię. No bo jak ma się do niego zwracać? Dostrzegłszy nagle absurdalność tego problemu z dziedziny etykiety, niemal się uśmiechnęła. Młody konstabl z notatnikiem w rękę otworzył jej drzwi, przepuszczając ją przed sobą.

Gdy weszła do środka, natychmiast cały strach się ulotnił, a jego miejsce zajęło niezwykle zdumienie. Siedzący po drugiej stronie stołu z formiki niewysoki mężczyzna podniósł się grzecznie. Na pierwszy rzut oka wydało jej się, że od stóp do głów pokryty jest piórami. Obejrzała go dokładniej. Miał na głowie hełm lotniczy, do którego przyklepione były najróżniejsze pióra, w taki sposób, że zakręcały się do środka, tworząc rodzaj liściastego obramowania wokół jego twarzy. Ubrany był w skórzaną, o wiele za dużą kurtkę, pomalowaną całkiem umiejętnie w pióra o jaskrawych kolorach. Jego spodnie, zrobione z jakiegoś żółtego plastikowego materiału w guzowate wzory, były bardzo obcisłe, co stwarzało wrażenie, że balansuje na cienkich, zrogowaciałych nogach. Porządne, małe czarne buty udekorowane były wzorem szponów. Nawet jego cera, o niebieskawym odcieniu, miała wygląd świeżo oskubanej gęsiej skóry, przypominając kurczaka na desce do



krojenia. Paciorkowate, okrągłe oczy błyszcząły intensywnie. Ruszył w jej stronę, cały promieniejąc.

— Pani Gilmour. W końcu się spotykamy.

Konstabl wkroczył szybko pomiędzy nich.

— W porządku — powiedziała Roz. — On jest nieszkodliwy. — Zawładnęło ją potężne rozczarowanie, usuwając wszelkie emocje i pozostawiając poczucie wielkiej, zabójczej pustki. Jej głos wydawał się ciężki jak ołów. — To słuchacz mojego programu, który często dzwoni. Rozpoznaję jego głos. W niczym nie przypomina tego na taśmie. To nie jest człowiek, o którego wam chodzi.

Kiedy wróciła z pokoju przesłuchań, Leo był w stanie furii. Złorzeczył policjantom za to, że nie ściągnęli taśmy z komisariatu Southampton Row, aby ją porównać z zatrzymanym. Policjanci zachowali spokój, twierdząc, że najważniejsza była potrzeba zdobycia zeznania. W drodze do domu Leo opanował swój gniew, ujawniając go jedynie w nadmiernie ostrożnym sposobie prowadzenia samochodu, lecz kiedy poszli do łóżka, Roz czuła, że ten gniew emanuje z każdego ruchu jego dłoni i z całego ciała. Po raz pierwszy nie mogła się doczekać, kiedy skończą uprawiać miłość.

Potem wstała, włożyła szlafrok i poszła sprawdzić, co słychać u dzieci. Kathy spała głęboko z ukrytą w poduszce zaróżowioną twarzą, a jej kciuk wciąż spoczywał na dolnej wardze. Kołdra Guya spadła na podłogę i chłopiec leżał na brzuchu w dziwnej pozycji, trzymając pasiaste ramię pod klatką piersiową. Rano będzie miał ścierpniętą rękę. Roz delikatnie go uniosła i wyprostowała mu rękę, po czym przykryła go kołdrą. Zamruczał coś przez sen, lecz się nie obudził. Poczowała, że jej miłość do dzieci jest pewna jak skała i wieczna, bezpiecznie zamknięta w sercu. Przynajmniej to nigdy się nie zmieni. Tego mogła się trzymać. Wszystko pozostałe wydawało się płynne i zmienne, przybliżało się do niej i oddalało w niepokojący sposób. Sprawy, które niegdyś uważała za niewzruszone, teraz ulegały transformacji, a ona przyglądała się temu bezradnie. Usiłowała zrozumieć irytację i brak współczucia ze strony męża. Starła się uwierzyć, że Leo nie przejmuje się sytuacją tylko dlatego, iż nie wierzy, aby groziło jej jakiegokolwiek prawdziwe niebezpieczeństwo. Że po prostu jest zmęczony.

Coraz więcej myśli poświęcała Duffy'emu. Godzinę temu widziała nawet ponad sobą jego twarz zamiast twarzy męża. Usiłowała zracjonalizować swoje uczucia. Leo wykazywał niemal obojętność, natomiast Duffy był miły i wrażliwy: To tylko o to chodziło. Wszystko, czego teraz doświadcza-

ła, to była wdzięczność, pełna czułości wdzięczność. Jednakże, mimo tej konkluzji, wspomnienia ich spotkania w Gay Hussar powróciły ze świeżą siłą i wyrazistością. Widziała jasnozłote włosy na grzbietach jego dłoni, widziała, jak jego oczy zmieniły wyraz i pociemniały, gdy zbliżył swoją twarz do jej twarzy w bramie, i prawidłowo zidentyfikowała to niebezpieczne i niepokojące uczucie. Nie była to wdzięczność.

Marzyła o tym, żeby nadszedł już dzień i żeby dzieci się obudziły. Chciała je podnieść, przytulić i stworzyć w ten sposób barierę oddzielającą od świata zewnętrznego. Albo tarczę ochronną.

Fenn wymyślił, jak może nie tylko otwarcie podejść do drzwi wejściowych Roz, lecz również zostać zaproszonym do środka z otwartymi rękoma. Włożył w tym celu mundur policjanta. Kiedy ten pomysł po raz pierwszy przyszedł mu do głowy, uderzyło go jego piękno i prostota. Nie sądził, aby wynajęcie munduru policjanta było sprawą trudną bądź skomplikowaną. Ale okazało się, że jest to i trudne, i skomplikowane.

Wyszukał w książce telefonicznej rubrykę wypożyczalni kostiumów teatralnych i zrobił sobie listę. Najpierw wybrał się do firmy Morris Angel przy Shaftesbury Avenue. Tam powiedziano mu, że jako zwykłemu obywatelowi w żadnym wypadku nie mogą mu wypożyczyć munduru policjanta. Musi należeć do prawdziwego zespołu teatralnego, każde zamówienie zostanie sprawdzone telefonicznie z kimś z tego zespołu, a przy odbiorze będzie musiał udowodnić, że jest tam zatrudniony. Może to być papier z nadrukiem teatru lub dokument podobnego rodzaju.

Podróżując z powrotem do Islington, wciąż zastanawiał się nad tym problemem. Nie miał ochoty zrezygnować ze swojego pomysłu. Gdy nadejdzie czas, musi znaleźć się z Roz sam na sam. Nie miał zamiaru dokonać tego w pośpieszny, amatorski sposób, wyczekując na ulicy w zimnie i ciemności. Nie zamierzał czekać, aż zaparkuje, po czym rzucić się na nią, i szybko uciec. Gdzie tu miejsce na przyjemność? Wszystko by się skończyło, zanim uświadomiłaby sobie, że się zaczęło. A gdyby zabawiał się z nią w pełnym ubraniu, istniała możliwość, że nie uda mu się zakończyć dzieła. Miała się teraz na baczności i nie wyobrażał sobie innego sposobu, aby dobrowolnie wpuściła go do środka. Nie widział alternatywy dla wypożyczenia munduru. Gdyby nie był takim samotnikiem, gdyby kiedykolwiek zadawał się z ludźmi z marginesu, bez wątpienia nie miałby z tym problemu. Ktoś nieuczciwy zawsze jest w stanie zdobyć to, co mu potrzebne. On jednak zawsze działał sam. Przyszła mu do głowy telewizja i wytwórnie fil-

mowe, po czym zaczął się zastanawiać, jak zdobywają tam potrzebne kostiumy. Z pewnością ich nie wynajmowano. Na przykład BBC niewątpliwie dysponuje własnymi wielkimi magazynami. Dla niego jednak było to bez znaczenia. Zdobycie munduru od nich było równie niemożliwe jak w wypożyczalni kostiumów. Metro dojechało do stacji Angel.

Idąc wzdłuż Essex Road, Fenn doszedł do pubu The Sun and Seventeen Cantons. Mijał go niemal codziennie, zupełnie go nie zauważając, podobnie jak niemal każdy budynek przy tej ulicy. Zawsze stała tu na zewnątrz duża tablica z wypisaną kredą informacją. Grupa jazzowa, czytanie poezji, występ teatralny w porze lunchu. Dzisiaj była kolej na ten ostatni — mówiące o tym duże białe litery zatrzymały go w pół kroku. Wszedł do środka, zamówił małe piwo i otrzymał szklanekę ciepławego, pieniaącego się jasnobrązowego płynu.

Teraz, gdy znalazł się w pubie, nie był pewny, co dalej robić. Przy końcu baru wisiała niechlujna czarna kurtyna, a przy rozklekotanym stoliku do kart siedziała dziewczyna z burzą długich ciemnych włosów. Fenn podszedł do niej i skinął w stronę kurtyny.

— To jest ten teatr?

— Zaczynamy za pięć minut. Trzy funty, jeśli nie bierze pan nic do jedzenia.

Wypchaj się trocinami, pomyślał, i wrócił do baru, gdzie złożył zamówienie i otrzymał dużą porcję zapiekanki pasterskiej oraz bardzo miękkie frytki. Wziął ostrożnie talerz, zabrał też plastikowy nóż i widelec oraz swoje piwo. Dziewczyna uniosła kurtynę, aby mógł pod nią przejść. W środku stał długi stół i ława o tej samej długości oraz trzy okrągłe drewniane stoliki na żeliwnych nogach. Wokół rozsiadło się kilka osób. Dochodzący od strony baru hałas i rubaszny śmiech sprawiały, że tutejsza atmosfera wydawała się jeszcze bardziej bezbarwna, niż sugerowało to otoczenie. Za podium przypominającym mównicę wisiały kolejne niechlujne kurtyny. Fenn zaczął jeść.

Nie miał pojęcia o teatrze i nigdy w żadnym nie był. Zapytany o to, jak wygląda wizyta w tym przybytku sztuki, opisałby ją jako procesję limuzyn wypływających sławne osobistości, widownię z czerwonego pluszu i złota oraz reflektory oświetlające krzykliwie ubrane gwiazdy. Były to obrazy zaczerpnięte z fotografii pochodzących z premier teatralnych lub z fotosów na zewnątrz Palladium. Słowo „fringe”<sup>2</sup> oznaczało dla niego wyłącznie

---

<sup>2</sup> \* *Fringe theatre* (ang.) — teatr alternatywny (przyp. red.).

grzywkę nad brwiami lub frędzelki na meblach. Tak więc, kiedy jeden z mężczyzn siedzących przy stole — facet w T-shircie i džinsach — podniósł się i zaczął opisywać pożar w domu swojego dziadka, Fenn nie miał pojęcia, jak to rozumieć. Czuł się bardzo zakłopotany (facet znajdował się o parę stóp od niego) i nie wiedział, w którą stronę kierować wzrok. Wówczas zza kurtyny wyłoniła się dziewczyna z transparentem, z którego zwisały czerwone wstążki, głoszącym: POŻAR W DOMU SIGNORA FERNANZE. W ciągu następnych trzydziestu minut dziewczyna wchodziła i wychodziła z różnymi transparentami, podczas gdy facet nadal coś bełkotał. Fenn przestał słuchać i zajął się jedzeniem.

Zastanawiał się, czy może z tej sytuacji wyciągnąć dla siebie jakąś korzyść, a jeśli tak, to w jaki sposób. Czy tę gównianą bandę można nazwać zespołem teatralnym? Czy uznano by ich za instytucję, jaką dziewczyna w firmie Morris Angel określiła jako „usankcjonowaną prawnie”? Jak się o tym przekonać? Usilnie pragnął przypomnieć sobie cokolwiek z rozmowy z aktorem, który pomógł mu w załatwieniu profesjonalnych fotografii. Słuchanie ludzi tylko do chwili zdobycia upragnionej informacji i wyłączanie uwagi natychmiast potem oszczędza mnóstwo czasu. Ale czasem korzystne może się okazać uważne wysłuchanie wszystkiego i posortowanie zdobytego materiału. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakaś informacja może się przydać.

Wreszcie oboje aktorzy znaleźli się razem na scenie, a dziewczyna śpiewała o spękanej suszą ziemi i pomarszczonych owocach z drzewa oliwnego. Nagle, w środku zdania, a Fennowi wydawało się niemal, że w środku nuty, przestała śpiewać i obydwójce wykonali razem głęboki ukłon. Publiczność, choć mizerna, klaskała entuzjastycznie, po czym występujący zeskoczyli z podium z udawanym nieśmiałym uśmiechem to-przecież-tylko-my i zaczęli mieszać się z obecnymi na sali.

Fenn wyskrobał resztki swojej zapiekanki i podszedł do reszty. Aktorzy odpowiedzieli mu „cześć”, chociaż bez większego przekonania. Wydawało się, że cała publiczność to ich znajomi. Rozmawiali na temat wieśniaków uprawiających oliwki w Toskanii na początku lat dwudziestych i o tym, jakie to niezrozumiałe, że byli oni lekceważeni przez poetów i dramaturgów. Fenn usiłował zwrócić uwagę dziewczyny stojącej na skraju grupy.

---

—Czy jest jakaś... hm... szansa, żeby dostać pracę w zespole? Ja... — na wpół zapomniane wyrażenie wypłynęło na powierzchnię — mam właśnie przerwę w występach.

—Myślisz, że my jej właśnie nie mamy? Musisz zapytać Garsteena.

— Garsteena?

Skinęła w stronę kurtyny.

— Jest przy światłach. To znaczy w biurze. To to samo miejsce. Wiesz, że nie mamy pieniędzy? Gramy za darmo.

— Och, tak... jasne... naturalnie.

Wskoczył na podium i odsunął kurtynę. Po jednej stronie sceny była niewielka przestrzeń. Znajdowało się tam krzesło, stół, telefon i konsola świateł. Oraz olbrzymi mężczyzna w kraciastej koszuli i dżinsach o rozmiarach derki dla konia, z czarną brodą opadającą na piersi.

—Garsteen?

—Zgadza się.

—Widziałem przed chwilą... hm... przedstawienie. Zastanawiam się, czy znajdziecie dla mnie jakąś rolę. — Obok telefonu dostrzegł plik papieru. Czarne słońce o prostych, krótkich promieniach na białym tle, z nagłówkiem „The Sun Theatre Company”.

—To będzie kłopot. — Miał silny amerykański akcent. Fenn zaczął się zastanawiać, jak udaje im się zarobić na życie. Na pewno wysysają z państwa, ile się da. — Dobieramy obsadę do każdej sztuki z osobna. Następny będzie Tennessee Williams, ale tam będą tylko role żeńskie. Potem mamy Sama Shepherda, ale wybrałem już ludzi.

Fenn się podniósł.

—Pozwolisz, że będziemy w kontakcie?

—Proszę bardzo — odparł Garsteen, wciskając różne przełączniki.

—Nie mam twojego numeru. Czy mógłbym... — wyciągnął rękę, lecz Garsteen natychmiast ją pochwycił.

—Wolnego, wolnego... Te papiery kosztują kupę forsy. Używamy ich wyłącznie na listy do instytucji i agentów... — Nagryzmolił coś na tylnej stronie starej koperty. — To dla ciebie.

Fenn odebrał kopertę.

—Będziesz tu dziś wieczorem?

—Nie ma przedstawienia, bo trzymamy się ściśle pory lunchu. Ale będzie próba, koło ósmej.



—Świetnie. — Fenn zgniół otrzymany papier w kulkę, wrócił do baru i poprosił o sok pomidorowy. Stał plecami do wejścia za kurtynę, ale obserwował je w lustrze. Małymi grupkami wszyscy stopniowo opuścili pomieszczenie. Martwił się jedynie, aby ktoś z grupy nie został w barze aż do czasu zamknięcia pubu. Czarna Broda w towarzystwie jednej z dziewczyn zabrał się do wina i sandwiczów, lecz obydwójce wyszli po upływie pół godziny. Dziewczyna obejmowała go w pasie ramieniem, które sięgało mniej więcej do jednej czwartej jego obfitej talii. Pozostały jedynie dwie osoby, a barman kursował tam i z powrotem wokół przepierzenia odgradzającego kuchnię od sali.

Starannie wybrawszy moment, Fenn wślizgnął się za kurtynę, a następnie za scenę. Zagarnął kilka kartek z nadrukiem i złożył je na pół. Następnie wyjął z kieszeni marynarki swoją listę wypożyczalni kostiumów, usiadł na krześle z twardym oparciem i przyciągnął do siebie telefon. Przekreślił Morris Angel i wybrał kolejny numer, firmę w Chiswick, a potem w Covent Garden. Żadna z nich nie była w stanie mu pomóc. W trzeciej z kolei, znajdującej się w Holland Park, zapytano go o wymiary, poproszono, aby zaczekał przez chwilę, i w końcu oznajmiono, że mogą wypożyczyć mu strój. Jak nazywa się zespół? Kiedy podał nazwę, usłyszał, że ktoś wskakuje na podium, i kurtyna została odsunięta na bok. Był to barman.

—Myślałem, że wszyscy od was już sobie poszli.

—Przepraszam... Musiałem wykonać parę telefonów dla Garsteena.

—Zamykamy teraz. — Nie wyszedł, lecz stał nadal, trzymając odsuniętą kurtynę, i czekał.

—Obawiam się, że właśnie zamykają pub — rzucił Fenn do telefonu.

— Czy mogę zjawić się od razu?

—Tak. Mamy otwarte do piątej. Gdy pan wysiadzie w Holland Park, proszę skręcić w prawo w Clarendon Road i trzymać się lewej strony. Fairly Court to zaułek oddalony o pięć minut spacerem.

Wymierzili go tam i znaleźli mundur, który pasował niemal idealnie. Dziewczyna spojrzała na jego porządnie wypisane zamówienie i powiedziała:

—Musimy potwierdzić to zamówienie w teatrze, wie pan o tym.

—Och, jasne. Znam tę procedurę. Zdążyłem się już zorientować. Ale jesteśmy tam tylko w czasie lunchu. A próba jest wieczorem o ósmej. Numer znajdzie pani na tej kartce. To właśnie na dzisiejszą próbę potrzebny jest mi strój.

—O ósmej nikogo tu nie będzie. Sprawdzimy jutro w czasie lunchu. — Zapakowała czapkę i mundur do torby, po czym się zawahała. — Jeśli wazsa próba kostiumowa jest dziś wieczorem, to czy nie czekał pan z tym nieco zbyt długo? Z wynajęciem kostiumu?

Olśniła go nagła myśl:

— Morris Angel wystawił nas do wiatru.

Wydawało się, że już samo rzucenie znanej nazwy nadało jego sprawie pozory autentyczności. Jej twarz rozjaśniła się uśmiechem.

— No właśnie, sam pan widzi. Najwięksi nie zawsze są najlepsi. — Wręczyła mu torbę. — Powodzenia.

— Słucham?

— Podczas premiery.

Gdy wracał do Islington, ściskając w ręku torbę, czuł się niezwykle uradowany. Jego wcześniejsze obawy wydawały mu się chimeryczne, całkowicie go niegodne. Widząc znaki wróżebne w tym czy tamtym i wierząc, że jakieś siły zewnętrzne są w stanie wpłynąć na jego przeznaczenie, zachowywał się jak przestraszony chłopiec. Zawstydził się tego sprzeniewierzenia i przysiągł, że będzie sobie bardziej wierny. Nie miał przecież długo na to czekać.

Chcę złożyć doniesienie — powiedziała Sonia. — O kimś niebezpiecznym.

— Przyjmujemy zgłoszenia wyłącznie w nagłych wypadkach. Czy skontaktowała się już pani z najbliższym posterunkiem policji?

— Nie. Ja... — Zawahała się. Wydawało się, że ten bezosobowy głos zaburzył jej emocje i myśli, wstrząsając nimi w taki sposób, iż uformowały inny wzór. Kłębiły jej się w umyśle nowe pomysły i możliwości. Nie musi się spieszyć. Odłożyła telefon, po czym nastawiła czajnik i zrobiła sobie dzbanek kawy. Zapaliła kominek gazowy, umyła twarz i ręce, a następnie przelała kawę przez filtr. Była bardzo mocna. Dodała mleka i trochę brązowego cukru, po czym usiadła przy ogniu, ogrzewając dłonie na kubku.

Przez mniej więcej dziesięć minut nie zrobiła nic, rozkoszując się jedynie swoją nową pozycją. Po raz pierwszy w życiu to ona miała przewagę. A była już o krok od poddania się. Co by jej z tego przyszło? Nie wiedziałby nawet, kto go wydał. A ona wróciłaby do punktu wyjścia. Nie. Od niej samej zależało, czy uda jej się wykorzystać swoje dobre położenie. Nie była już „zakochana”, cokolwiek oznaczało to głupie słowo, i ten fakt, w po-

łączeniu z wiedzą, którą ostatnio zdobyła, sprawił, że czuła się bardzo silna. Nie wiedziała dokładnie, jak wykorzysta tę siłę. Może zmusi go jednak, by się z nią ożenił. Kiedy już będzie miała dom i dziecko, on będzie mógł robić, co chce. Zdążyła go poznać i wejdzcie w to z otwartymi szeroko oczyma, absolutnie pozbawiona złudzeń. To niezła podstawa partnerstwa. Ferment w jej umyśle zaczął się uspokajać.

Podniosła się zdecydowanie. Miała teraz taką pewność, co powinna zrobić, że wydawało jej się niemal, iż popycha ją jakaś zewnętrzna siła. Nie była w stanie czekać na jego telefon, więc wyjęła swój notatnik i przerzuciła strony. Nigdy nie podał jej swojego adresu, chociaż dość często o tym wspominała. To nie miało znaczenia. Na pewno poda jej go teraz, skoro usłyszy, co Sonia ma mu do powiedzenia. Wybierając numer, miała niezwykle żywą wizję Fenna podnoszącego słuchawkę i przez sekundę w jej mózgu odezwało się nikłe echo dawnego zauroczenia. Tak. Z powodzeniem mogli się pobrać. Wprawdzie sytuacja będzie inna niż do tej pory, ale przecież wszystko zawsze się zmienia. Odpowiedział jej nieznajomy głos.

—Czy zastałam Fenna?

—Nie wiem. Spróbuję go zawołać.

—Nie, proszę poczekać. Lepiej zamiast tego po prostu sama wpadnę. Tylko że nie dzwonię z domu, więc nie mam przy sobie zapisanego adresu. Czy mógłby pan...?

—Lucy Place czternaście, w bok od Packington Street. Chce pani, żebym sprawdził, czy jest u siebie?

—Nie, dziękuję. Chciałabym zrobić mu niespodziankę.

—Jak pani uważa.

Sonia odłożyła słuchawkę i wyciągnęła plan Londynu. Najbliżej była chyba stacja Angel. Zdawała sobie sprawę, że jej ubranie jest pogniecione i brudne, twarz nieumalowana, a włosy w nieładzie. Zaczęła przeszukiwać swoją garderobę, by znaleźć coś ładnego do włożenia, lecz po chwili uświadomiła sobie, że eleganckie ciuchy i makijaż przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie udawała się na zaloty. Ruszała na wojnę.

Spotkanie z Ptasznikiem wpędziło Roz w ponury, fatalistyczny nastrój, którego nie mogła z siebie strząsnąć. Wypróbowała wszelkie sposoby, aby pozytywniej spojrzeć na sprawy, lecz żaden z nich nie działał długo.

Wciąż jednak jakoś sobie radziła. Następnego dnia na jej ogłoszenie o poszukiwaniu pomocy domowej zareagowała miła kobieta w średnim wieku i Roz ją przyjęła. Odpowiedziała na swoją pocztę, wynajawszy sprawną

maszynistkę. Ptasznik nie wziął udziału w jej wtorkowym programie. Roz miała wątpliwości, czy jeszcze kiedykolwiek go usłyszy.

Leo był przekonany, że wszystko będzie teraz normalnym trybem, i powrócił, jak wydawało się Roz, do swojego dawnego ja. Obserwowała go, jak przerzuca strony „Timesa”, jak je obiad, jak bawi się z dziećmi, zawsze jednak przyjmowała perspektywę osoby niemal obcej. Wydawało jej się, że absolutnie nic go z nią nie wiąże. Zastanawiała się, czy to oznacza, że przestała go kochać. Jeśli tak rzeczywiście było, to jakże mizerna musiała być jej miłość, skoro tak łatwo rozleciała się przy pierwszej dużej przeszkodzie w ich życiu. Próbowwała porozmawiać z mężem o tym dziwnym braku uczucia, nie zagłębiając się w szczegóły. Leo nie przejął się tym zbyt i pocieszył ją, że to mechanizm obronny, zdecydowanie przejściowy, który organizm uruchamia w celach ochronnych po okresie pełnym napięcia i wstrząsów. Uznała to za prawdopodobne i modliła się, aby tak właśnie było.

Usiłowała unikać Duffy'ego, a kiedy to było niemożliwe, starała się, by w pobliżu był ktoś jeszcze. Jeśli nawet wyczuł, jaki jest powód tych manewrów, nie powiedział ani słowa, lecz pewnego razu w gabinecie Toby'ego złapała go na intensywnym przyglądaniu się jej. Obdarzył ją promiennym uśmiechem, a ona znowu poczuła dziwny ucisk w żołądku. Następnego dnia po incydencie w Wapping obydwójce byli w kantynie razem z Louise.

— Sonia pozwala sobie na długą przerwę w pracy.

Roz przesuwała po talerzu zimną smażoną fasolę.

— Dzwoniłam do niej dziś rano. Nie odebrała.

— To do niej niepodobne. — Louise sięgnęła przez stół, unosząc brwi w pytającym geście, po czym zgarnęła fasolę z talerza Roz i zaczęła ją zjadać. — Sonia to typ człowieka, który przyszedłby do pracy nawet, gdyby umierał.

— Nie mów takich rzeczy!

— Przepraszam. — Louise przestała na chwilę jeść, sprawiając wrażenie speszzonej. — Nie zastanawiałam się nad tym, co mówię.

Dlaczego miałyby się zastanawiać? Roz wierzyła, że Louise ją lubi, lecz mówiła o otrzymanych przez nią groźbach tak, jakby omawiała perypetie bohaterów z serialu telewizyjnego. Roz zastanawiała się, czy nie przesadza, reagując w ten sposób. W końcu człowiek może odczuwać jednocześnie wiele emocji. Czemu Louise nie miałyby jednocześnie troszczyć się o jej dobre samopoczucie i ekscytować się obecnym dramatem?

— Uważam, że powinnaś zadzwonić znowu, kiedy wrócimy do biura — rzucił Duffy.

Roz podniosła się, nie patrząc na niego.

— Zrobię to od razu. Obok windy jest automat telefoniczny.

— To kosztuje dziesięć pensów! — w głosie Louise zabrzmiało przerażenie. — Prawie skończyłam jeść. Będziemy z powrotem na dole w mgnieniu oka.

— Nie chcę czekać dłużej. — Roz wyjęła z torebki notes z adresami. Louise miała rację. Gdyby Sonia czuła się wystarczająco dobrze, by wyjść z domu, to przyszłaby do pracy. Gdy podnosiła słuchawkę, poczuła wzmagający się niepokój. Nie było odpowiedzi. Piętnaście minut później wróciła do swojego gabinetu, zrobiła sobie kawę i spróbowała znowu zadzwonić, z tym samym rezultatem.

— Nie udało się?

Nie słyszała otwierania drzwi. Duffy podszedł wolnym krokiem do jej biurka i przysiadł na rogu w ten sam sposób co zawsze. Jedyne efekt, jaki wywierało na nią jego zachowanie, był inny. Roz chwyciła pierwsze z brzegu papiery, które były pod ręką, i przeszła do szafki z dokumentami.

— Wydaje mi się, że te listy czekają na podpis.

— Co takiego? — Spojrzała na nie. — Och!

— O co chodzi, na miłość boską?

— O nic.



—Za każdym razem, gdy pojawiając się w promieniu pięciu mil od ciebie, rzucasz się jak ryba na piasku.

Roz wzięła głęboki oddech, zwróciła twarz w jego stronę i bezczelnie skłamała:

—Myślę, że wytrąciła mnie z równowagi ta sprawa z Ptasznikiem. Sam wiesz, myślałam, że to wszystko się już skończyło, a okazało się, że nie.

—Naprawdę był tak dziwaczny?

—Zupełnie świrnięty. Miał żółte plastikowe nogi.

—Cudownie. — Duffy roześmiał się, a jego zęby błysnęły olśniewającą bielą na tle opalonej skóry. — Żałuję, że mnie tam nie było.

Och, ja również żałuję, pomyślała Roz, przypomniawszy sobie jazdę na komisariat i z powrotem w przygniatającej atmosferze oraz smutne zespolenie, które potem nastąpiło. Ja również.

W tym momencie wydała się Duffy'emu tak załamana, że jego uśmiech się ulotnił.

—Chciałbym dostać tego sukinsyna w swoje ręce! Pożałowałby, że się w ogóle urodził. — Uznawszy, że pomoże zmiana tematu, dodał: — Dziwna jest ta sprawa z Sonią. Albo jest zbyt chora, żeby podejść do telefonu, albo wyzdrowiała i stało się coś innego.

—Wiem o tym. Po prostu nie potrafię tego zrozumieć.

—Chyba powinniśmy coś zrobić.

—Hm... Na przykład co?

—Moim zdaniem moglibyśmy sami sprawdzić, co się dzieje. Gdzie ona mieszka?

—W Barons Court.

—O której odbierasz dzieci?

—Za piętnaście czwarta. Ale...

—Mamy mnóstwo czasu. — Chwycił telefon i wybrał numer. — Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, to jestem w Upton Park i przeprowadzam wywiad z Billym Bondsem. — Odwiesił słuchawkę. — Pojedziemy do jej mieszkania, a potem zabiorę cię do...

—Primrose Hill.

—No to chodźmy... — Był już w pół drogi do drzwi. — Co się stało?

—To... to nie jest dobry pomysł.

—Masz lepszy?

Roz potrząsnęła przecząco głową. Myśl o znalezieniu się w zamkniętym samochodzie o parę cali od niego sprawiła, że zakręciło jej się w głowie.

—To może być coś poważnego, Roz.

—Wiem. — Miał rację. A ona nie była w stanie podać sensownego powodu, dla którego nie chce z nim pojechać, chyba że podałyby powód prawdziwy. Równie dobrze mogłabym podpalić lont, pomyślała. Duffy chciał jej pomóc włożyć płaszcz, lecz odmówiła i chwyciła torebkę. — Nie możemy spóźnić się po dzieci — powiedziała bardzo szybko, jak nauczycielka do wyjątkowo nieposłusznej klasy.

—Oczywiście, proszę pani — żartobliwie dotknął blond grzywki. — Będzie, jak pani sobie życzy.

W samochodzie, mimo jego bliskości, poczuła się lepiej.

Dobrze było podjąć jakiegokolwiek działanie. Nawet zwracając się do niego, wpatrywała się w drogę. Duffy zmieniał pasy ruchu często i umiejętnie, lecz mimo to wydawało się, że podróż ciągnie się nieznośnie. W końcu skręcili z Cromwell Road z jej orkiestrą hałaśliwych klaksonów i przytłaczającym smrodem spalin.

—Niezbyt przyjemne otoczenie — mruknął Duffy, skręcając w Edith Road.

—To ten dom. Ten z kolumnami z obłazącym tynkiem.

—Kochanie, one wszystkie mają kolumny z obłazącym tynkiem. — Nie była to prawda, parę z nich było całkiem eleganckich. — Masz na myśli ten w kolorze rozkładającej się wątroby? — Kiedy Roz skinęła głową, zaparkował jak najbliżej. — Nie powinniśmy tu długo stać. A może chcesz zostać w samochodzie i wdać się w dyskusję, jeśli pojawi się policjant?

—Nie. — Roz wysiadała już z samochodu. — Sonia może być chora i może nie chcieć, żebyś to ty pakował się do środka.

—Wspaniale! Miło być kimś oczekiwanym. — Wspięli się na schody. — O Boże, to jeden z tych. — Było tam kilkanaście dzwoneczków opatrzonych karteczkami zapisanymi najróżniejszym pismem w zróżnicowanych kolorach. — To oznacza, że nie dostaniemy się do środka, o ile ktoś nie otworzy nam drzwi.

— Nie wydaje mi się. Widziałam, jak weszła, po prostu popchnąwszy drzwi.

Na porządnie wypisanej karteczce obok dzwonka należącego do mieszkania numer siedem widniało „Sonia Marshall”.

Duffy oparł się o niegdyś białe, pokryte bąblami drzwi, po czym weszli na korytarz. Podłoga i schody były wyłożone poplamioną kokosową wykładziną. Wokół unosił się aromat składający się z wielu różnych zapachów. Najświeższym z nich wydawało się curry, lecz spod niego przebijały liczne zapachy zalegające tam od dawna: nieświeża kapusta, ryby, przypalone grillowane mięso, spleśniałe pranie, stęchły ser. Smutne pozostałości po setkach samotnych osób wynajmujących pokoje. Było bardzo ciemno. Duffy nacisnął kontakt — włącznik czasowy.

— Boże! Wyobraź sobie, że wracasz do takiego domu codziennie wieczorem.

— I weekendy. Jak muszą tu wyglądać weekendy? Oprócz cichych odgłosów reggae, wszędzie panowała cisza.

Weszli na piętro. Minęli dwie łazienki wyłożone linoleum, ze staromodnymi wannami na nóżkach i monstrualnymi, zardzewiałymi bojlerami na gaz. W jednej z nich znajdowała się umywalka i jednopalnikowa maszyna gazowa.

— O rany! — stwierdził Duffy. — To się nazywa oszczędność czasu. Możesz smażyć kurczaka, a jednocześnie myć nogi i odpowiadać na zew natury.

— Właściciel tego domu z pewnością wyciąga około tysiąca funtów miesięcznie. Można by się spodziewać, że część pieniędzy przeznaczy na puszkę farby.

— Nie bądź naiwna, Roz. To nie wchodzi tu w grę. Drzwi z numerem siedem były równie zapuszczone i anonimowe jak wszystkie pozostałe. Duffy zapukał, a Roz zawołała:

— Soniu! To ja, Roz. Czy nic ci nie jest? — Pchnęła drzwi, te jednak nie drgnęły ani trochę. — I co teraz?

— Przekonajmy się, czy sąsiedzi coś wiedzą. — Duffy przeszedł przez korytarz i zapukał do pozostałych czworga drzwi, bez rezultatu. Wbiegł na kolejne piętro i tam uczynił to samo. Roz zapukała powtórnie do drzwi Soni, nie licząc na efekt, po czym obydwójce zeszli piętro niżej. Kierując się dźwiękami reggae, znaleźli się przed mieszkaniem numer trzy.

Drzwi otworzył im jakiś Afrykanin. Miał dredy, powiewną karminową szatę, a z szyi, na sznurku splecionym z włosów, zwisał mu mały bębenek. Chwiał się lekko. Doleciał od niego intensywny, słodki zapach. Roz zapytała, czy orientuje się, gdzie może znajdować się Sonia. Zaczął się w nią wpatrywać.

—Ona mieszka nade mną. Wiem, że teraz jej nie ma, bo jak jest u siebie, to, człowieku, wszystko wibruje.

—Co pan ma na myśli? — Roz nie mogła sobie wyobrazić skaczącej Sonii.

—Bachanalia, człowieku. Jak myślicie, co mam na myśli? — Gdy Roz wciąż wpatrywała się w niego nierozumiejącym wzrokiem, dodał: — Es e ka es.

—Och! — Wyobrażenie sobie Sonii w centrum orgiastycznych scen przyszło jej z jeszcze większym trudem. Poczowała, że rumieni się jak uczennica. — Kiedy ostatnio pan ją widział... to znaczy... ich słyszał?

—Zeszłego wieczoru, w zeszłym tygodniu, w zeszłym roku... Czymże jest czas, człowieku? Czy wieszasz się na tarczy zegara, kochanie?

—Proszę... to bardzo ważne...

—Roz — przerwał Duffy, odciągając ją na bok. Drzwi się zamknęły. — On jest naćpany. Niczego się od niego nie dowiesz.

—Ale nie ma przecież nikogo innego. — Roz niechętnie odeszła od drzwi. — Może powinnam przyjść wieczorem? Kiedy wrócą ci, którzy teraz są w pracy.

—Sam nie wiem — ton głosu Duffy'ego nie był zachęcający. — W takich miejscach ludzie nie rozmawiają zbyt często ze sobą, chociaż mieszkają tuż obok siebie. Myślę jednak, że warto spróbować. — Po chwili dodał: — Kiedy cię odwiozę, wrócę do rozgłośni i zamienię parę słów z kimś z działu personalnego. Będą tam mieli w papierach dane jej najbliższych krewnych, prawdopodobnie rodziców. Może pojechała do domu, żeby odpocząć. Sprawdzę to i zadzwonię do ciebie później.

—To dobry pomysł. Wydaje mi się, że to ty wszystko robisz. Ja jestem zupełnie bezużyteczna.

—Nie powiedziałbym tego. W każdym razie musisz być ostrożna!

Obcas Roz utknął w rozerwanej wykładzinie. Zachwiała się do przodu i Duffy pochwycił ją w ramiona. W tym samym momencie kliknął kontakt i zgasło światło. Duffy trzymał ją przez chwilę, po czym wolno wypuścił powietrze z płuc i ukrył twarz w jej włosach.

— Oooch, Boże... Marzyłem o tym... nigdy się nie dowiesz, jak często.  
— Jego ramiona zacisnęły się. — Nie odpychaj mnie, Roz. **Proszę**, nie odpychaj mnie.

To okazało się gorsze, lepsze, wspanialsze, okropniejsze niż kiedykolwiek była w stanie sobie wyobrazić. Miała rację, że się tego obawiała. Gdy mu odpowiedziała, rozchylając pod jego ustami swoje, wsunął dłonie pod jej płaszcz i zaczął ją pieścić, przyciskając coraz mocniej do siebie. Zarzuciła mu ręce na szyję. Czowała się lekka i pozbawiona kości, a jej ciało tak cudownie pasowało do jego ciała, że mogli być odlani z jednego kawałka. Ich pocałunek trwał całą wieczność. Chciała, aby nigdy się nie skończył. Nagle ktoś na dole włączył światło. Odskoczyli od siebie — Duffy rozradowany i podekscytowany, a Roz zamroczona.

—Przepraszam państwa — do domu wchodziła krepą kobieta, trzymająca w rękach torby pełne zakupów. Odsunęli się od siebie, aby ją przepuścić i istniejące między nimi napięcie opadło. Roz czuła, że zamęt w jej głowie słabnie, a krew zaczyna krążyć spokojniej. Kiedy Duffy zrobił znowu krok do przodu, podniosła rękę, aby go powstrzymać.

—Nie rób tego, Duffy. Ja... nie potrafię sobie z tym poradzić. Nie w tej chwili. Nie z tym wszystkim, co się teraz dzieje.

—Ale przecież pragniesz mnie, prawda, Roz?

—Nie wiem... Sama nie wiem, czego pragnę...

Nie naciskał, ale promienny, niebieski płomień w jego oczach nadal był widoczny. Dostrzegła tę jego nową pewność siebie i zauważyła, że to ją oburza i jednocześnie w równym stopniu podnieca.

Jak autentyczne były jednak jej uczucia? Sytuacja była skrajna. Wydawało jej się, że poczucie zagrożenia życia wszystko potęguje. Czowała się tak, jakby była centralną postacią w melodramacie. Znikły wszelkie odcienie szarości. Jej reakcja na pocałunek Duffy'ego była wulkaniczna, jej rozczarowanie z powodu Leo — cierpkie jak piołun. Miała wrażenie, że z jednego stanu emocjonalnego wpada natychmiast w następny, bez chwili na zaczerpnięcie oddechu.

Przypomniała sobie nagle moment, który wydawał się teraz odległy o wiele lat, gdy siedziała w swoim gabinecie, spokojna i zadowolona, gratulując sobie, że jej życie jest tak harmonijnie uporządkowane. Siła oddziaływania tego wspomnienia pobudziła ją niemal do łez. Odsunęła twarz od Duffy'ego.

— Lepiej pojedźmy odebrać dzieci.



Nowa gospoia wyjęła trochę jedzenia z zamrażarki i zostawiła je do rozmrożenia w kuchni. Sola i krewetki w śmietanowym sosie, otoczone panierowanym ciastem w kształcie muszli. Brokuły i ziemniaki puree ubite ze śmietanką. Mus pomarańczowy. Roz dodała do tego kawałek sera Gloucester. Jak zwykle w piątek, dzieci miały pójść spać później i zjeść razem z nimi.

Roz nakrywała do stołu, poruszając się jak we śnie. Wszystkie emocje rozbudzone przez uścisk Duffy'ego wygasły teraz, pozostawiając ją w stanie omdlenia i powodując lekkie mdłości. Wyjęła dwa kieliszki i dwie szklanki dla dzieci, które napełniła gęstym sokiem truskawkowym. Leo wrócił dość wcześnie, cmoknął ją przelotnie i otworzył butelkę burgundzkiego wina.

—Lepiej się dzisiaj czujesz, kochanie?

—Tak, dobrze, dziękuję.

—Jak poszedł program?

—Tak jak zawsze. Można się było uśmieć.

—Przepraszam. — Obdarzył ją szybkim spojrzeniem, zdumiony jej beznamiętnym głosem. — Proszę. Napij się trochę tego pysznego wina.

Rzeczywiście było pyszne. Świeże, nawet nieco ostre w pierwszym momencie, ale pozostawiające w ustach cudownie ciepły, złocisty posmak. Przyjrzała się mężowi i zauważyła, że wygląda na dość zmęczonego. Nie zmartwiło jej to. Zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby odstawiła kieliszek i powiedziała: „Nie obchodzisz mnie już ani trochę” albo „Parę godzin temu całowałam się z pewnym mężczyzną. Gdybyśmy mieli wówczas pokój do dyspozycji, poszłabym z nim do łóżka”.

Ostatnio, kiedy Leo z nią rozmawiał, zachowywał się zawsze jak profesjonalista. „Dobrze, dobrze. Dostyc już tego”, po czym mierzył jej temperaturę. Zauważyła, że nie przeszkadza jej to podejście, bowiem z rolą pacjentki potrafiła sobie poradzić bez najmniejszego problemu. To rola żony okazywała się niemożliwa do odgrywania.

W połowie posiłku zadzwonił telefon. Roz odsunęła krzesło do tyłu.

—Ja odbiorę. Pewnie coś na temat Soni. Ktoś miał sprawdzić dla mnie w dziale personalnym.

—Nie — Leo odsunął swoje krzesło. — Dzieci, nie odchódźcie od stołu. Pozwól mi odpowiedzieć, Roz.

Podążyła za nim do salonu.

—Wszystko w porządku... numer został zmieniony.

—Mimo to wolę sam odebrać.

Chociaż Roz stała o kilka kroków od telefonu, była w stanie usłyszeć sygnał wskazujący na to, że ktoś dzwoni z automatu. Leo nie powiedział ani słowa. Ktokolwiek to był, zaczął mówić od razu. Leo słuchał przez chwilę, po czym odłożył słuchawkę. Roz obserwowała jego twarz.

—Co powiedział?

—Pomyłka.

— Na miłość boską, Leo! Przestań traktować mnie jak dziecko. To takie cholernie obraźliwe.

—Staram się tylko cię chronić.

—Za późno, żeby mnie chronić.

Leo wzruszył ramionami. Kierując się w stronę kuchni, powiedział:

— To było paskudne, jak zwykle. Z pewnością nie zależy ci na usłyszeniu wszystkich plugawych szczegółów. — Kiedy usiedli z powrotem przy stole, dodał: — Spodziewam się, że jeśli będziemy tego słuchać wystarczająco często, to w końcu stanie się bez znaczenia. Wiesz przecież, że tak się zwykle dzieje.

Roz dłużyła w swoim musie pomarańczowym i zastanawiała się, czy Leo ma rację. Ale jak często było wystarczająco często? Czy była w stanie znieść odtwarzanie taśmy wciąż od nowa dopóty, dopóki słowa przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie? I czy w ten sposób dokonałaby egzorcyzmu lub przynajmniej odczarowała szkodliwą energię, która pulsowała w jej uszach z każdą sylabą?

Ten człowiek zdobył jej nowy numer. Uświadomiła sobie, że to jej nawet nie dziwi, po czym skarciła się, że przestaje myśleć sensownie. Była o krok od przyznania mu statusu wszystkowiedzącego, wszechwładnego czarownika. On po prostu znał kogoś, kto pracuje w telefonach lub, co bardziej prawdopodobne, sam tam pracuje. To z pewnością jakiś cherlawy, pokryty trądzikiem urzędnik, który ma dostęp do numerów zastrzeżonych. Całkiem możliwe, że robi to też przez cały czas wobec innych osób. Policja niemal to sugerowała. Zapytano ją, czy rozmawiała na ten temat z innymi sławnymi ludźmi. Możliwe, że odbywało się to na wielką skalę. Wyobraziła sobie, że dzwoni do Esther, Terry'ego lub Danny'ego Bakera, a oni mówią: „Ach, to o *niego* ci chodzi. Działa od czasów Wilhelma Zdobywcy. Wszyscy mieliśmy z nim do czynienia". Ale oczywiście, jeśli by tego nie powiedzieli, sprawa zaczęłaby się wydawać o wiele poważniejsza.

Guy przedstawiał ostatni pomysł zarobienia sporych pieniędzy przez ojca jego przyjaciela Mervyna.

—Wkrótce wszyscy będą chcieli żeglować po chodnikach. Mervyn mówi, że mógłbym dostać jedną żaglówkę po cenach hurtowych, ale muszę zdecydować się od razu.

—Jedź swój mus, Roz — odezwał się Leo. — Nie pozwól, żeby takie gówno odebrało ci apetyt.

Od strony Kathy dobiegł odgłos wyrażający absolutny zachwyty.

—Nie wolno nam w szkole używać słowa „gówno”, tatusiu.

—Oczywiście, że nie. Na tym właśnie polega edukacja.

— Co masz na myśli — spytał Guy — mówiąc, że na tym właśnie polega edukacja?

— Odpowiednie słowo w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie.

—Nie rozumiem, jak do tej teorii pasują logarytmy, tato.

—Zrozumiesz to wkrótce.

Leo odpowiadał automatycznie. Jego myśli były całkowicie zajęte długą inwektywą, której przed chwilą wysłuchał. Biorąc pod uwagę, czym się zajmował w pracy przez cały dzień, nie był w stanie zrozumieć, dlaczego odczuwał tak przemożne mdłości, wysłuchawszy szczegółowego opisu reakcji Madgewicka, gdy powoli i z okrucieństwem zadawano mu śmierć.

## Rozdział siódmy

Kiedy następnego ranka zadzwonił telefon, Roz była sama. Słuchała sygnału, stojąc w miejscu. Odbierz. Odbierz. Powiedziała sobie, że ktokolwiek to jest, zadzwoni powtórnie, jeśli to coś ważnego, a wówczas pani Phillips będzie mogła podnieść słuchawkę i odebrać wiadomość. Roz obiecała mężowi — i wcale nie było to trudne — że w żadnym wypadku nie będzie odbierać telefonu. Nigdy dotąd nie uświadamiała sobie, jaką tyrańską władzę posiada ten przedmiot. Dotknęła aparatu. Wibrował delikatnie pod jej dłonią. Znała już tak dobrze głos swojego prześladowcy. Może przecież odłożyć słuchawkę po usłyszeniu jednej sylaby. Wcale nie musi go słuchać. Podniosła słuchawkę.

—Halo, kochanie. Jak się dzisiaj czujesz?

—Och! — Ogarnęła ją fala nerwowego podekscytowania połączona z poczuciem ulgi. — To ty.

—Oczywiście. Muszę się z tobą spotkać, Roz.

—Posłuchaj, Duffy. To, co powiedziałam wczoraj... że nie jestem w stanie poradzić sobie z tym w obecnej sytuacji, to była prawda. Nie próbuję udawać skromnisi.

—To nie dlatego chcę się z tobą zobaczyć. To znaczy, rzeczywiście dlatego, ale jest jeszcze inna sprawa. To niesamowicie ważne. Wydaje mi się, że trafiłem na ślad naszego pomysłu.

—W jaki sposób? Och, a dowiedziałeś się czegoś o Soni?

—Tak... nie... powiem ci, kiedy przyjdę.

— **Gdzie?** Chyba nie masz zamiaru przyjść *tutaj*?

Słyszac panikę w jej głosie, nie mógł nie poczuć zadowolenia.

— Czemu nie? Będziemy przecież mieli przyzwoitkę, prawda? Tę twoją panią Jakaśtam?

Roz spojrzała na stojący zegar. Pani Phillips powinna się zjawić za piętnaście minut, na długo przed przyjściem Duffy'ego.

—W porządku. Masz ochotę na śniadanie?

—Tylko na odrobinę whisky.

—Zrobię trochę więcej kawy.

Kiedy nadeszła gosposia, Roz pobiegła do piekarni i kupiła świeże bułeczki. Nakryła do stołu w salonie — ustawiła masło, dżem z czarnej po-

rzeczki i owoce i napełniła od nowa maszynkę do kawy. Potem stanęła przy oknie, wyczekując nadejścia Duffy'ego.

Spodziewała się, że zobaczy jego czarnego peugeota 106, lecz po chwili uświadomiła sobie, że zaparkowanie w pobliżu jej frontowych drzwi jest sprawą niemożliwą. Dzień był przeraźliwie zimny i promiennie słoneczny. Pełne szkarłatnych jagód gałązki irgi stukały nieustannie w okno, poruszane wiatrem. Dokładnie pięć po dziesiątej Duffy wbiegł po schodach. Miał na sobie ubranie, które wkładał do pracy w terenie: zieloną kurtkę, sztruksy w kolorze khaki, futrzaną czapkę z nausznikami i baranie rękawiczki. Spojrzał intensywnie na Roz, ujął jej dłonie i po chwili je wypuścił.

—Gdzie jest ta sławna kawa?

—Nakryłam do stołu w salonie.

—Fantastycznie. No to prowadź. — Rozejrzał się z uznaniem po eleganckim, podłużnym pokoju, po czym podążył za nią do stołu. — Mam nadzieję, że masz w piecu coś gorącego, jak powiadają artyści komediowi.

—Całkiem niezły humor jak na dziesiątą rano.

Wydaje się, że obydwójce uderzamy w ten sam ton, pomyślała Roz. Przyjacielski, zabawny, pozbawiony poufałości. Była wdzięczna za to, że Duffy się do niej dostosował, nic jednak nie mogło unieważnić tamtego pocałunku, więc kiedy usiedli przy stole, zajęła miejsce nieco dalej, niż zrobiłaby to normalnie, zdając sobie sprawę, że to zauważył. Była zadowolona, że z dołu dobiegają odgłosy szczekania garnków i patelni. Kiedy odsuwała krzesło, dotknęła przelotnie stopą jego stopy i zmusiła się do tego, by zachować się, jakby to było nieważne i nie cofnąć natychmiast nogi.

—Co powiedzieli w dziale personalnym?

—No właśnie. Powiedziałem Doris, że jesteśmy zaniepokojeni i że sprawdziliśmy w jej mieszkaniu, po czym zapytałem, co jej zdaniem powinniśmy teraz zrobić. Znalazła teczkę Soni i zadzwoniła do jej rodziców; nawiasem mówiąc, mieszkają w Rugby. Nie mieli z nią kontaktu od ponad tygodnia, ale ostatnim razem, gdy dzwoniła, była w świetnym humorze i wspomniała o tym, że wychodzi za mąż za kogoś o imieniu Fenn.

—Wychodzi za mąż?

—Właśnie tak. Powiedziałem Doris, że nikt w biurze nie miał o tym pojęcia, że nie było żadnych zaproszeń ani zbiórki pieniędzy na srebrny podgrzewacz do potraw. Zapytałem, czy rozważy rutynową wizytę na policji i zgłoszenie jej jako osoby zaginionej, ale Doris uznała, że na to jeszcze



za wcześniej. Jej zdaniem Sonia prawdopodobnie prysnęła ze swoim lubym na dzień lub dwa. Stwierdziłem, że to zupełnie niezgodne z jej charakterem, na co ona odpowiedziała, że nikt nie działa w sposób niezgodny ze swoim charakterem. Jeśli nam się tak wydaje, to taka osoba pokazuje nam po prostu taki aspekt swojego charakteru, którego jeszcze nie znamy.

—To brzmi rozsądnie.

—Nonsens. Zaczepnęła to z kursu psychologii, który „Reader's Digest” przysyła do działu personalnego.

—To znaczy, wydaje mi się, że dobrze by było poczekać jeszcze trochę, zanim pójdziemy na policję.

—Poczekaj chwilę. Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. Wczoraj miałem nocną zmianę. Wysłuchawszy wiadomości o jedenastej, kręciłem się po pokoju reporterów, nie mając nic do roboty poza czekaniem na wiadomości podawane o północy, więc pomyślałem sobie: weź się do roboty, Duffield, tak jak zawsze to robią w kryminałach, i sporządź listę. Zapisz wszystko, co wiemy na temat tego psychopaty, wszystko, co się do tej pory wydarzyło i ma związek z tą sprawą, wszystko, co wiemy na temat Soni...

—Ale Sonia nie ma nic wspólnego...

—Pozwól mi skończyć, kochanie. Sonia zaczęła wspominać o swoim chłopaku dopiero parę tygodni temu, prawda?

—To ja zawsze podejrzewałam, że ona nikogo nie ma. — Roz uświadomiła sobie, jak poniżająco to zabrzmiało. — Ale oczywiście mogła mieć chłopaka wcześniej.

Duffy potrząsnął głową.

—Nie wydaje mi się. Ona nie należy do osób, które utrzymują coś takiego w tajemnicy.

—Zachowała w tajemnicy sprawę ślubu.

—Może to jeszcze nie zostało ustalone. Nie знаła go długo. Pomyśl teraz dobrze. Czy dałaś Soni swój nowy numer telefoniczny?

Roz nie musiała się zastanawiać.

—Tak. — Siedziała bez ruchu. Powoli wszystko zaczynało do siebie pasować. Nie chciała jednak w to uwierzyć. — Na pewno jesteś w błędzie. Wiem, że mnie nie lubi, ale nie mogę sobie wyobrazić, aby zrobiła coś podobnego.

—Ale ona o tym nie wiedziała. Nie rozumiesz? To właśnie dlatego, że nie wiedziała, zemdląca w biurze, kiedy usłyszała na taśmie jego głos.

Prawdopodobnie przeszukał jej torebkę, gdy nie patrzyła. Zdobył jej notes z adresami.

—Jeśli znał Sonię, to by wyjaśniało, skąd wiedział tak dużo o budynku. Gdzie jest moje biuro i gdzie się wszystko znajduje. Na pewno kiedyś mu to pokazała.

—W takim razie musiała go wówczas wpisać do księgi wejść w recepcji. Będą to mieli zarejestrowane. To na pewno było właśnie tak, Roz. Nie ma innego wytłumaczenia.

Roz czuła twardą podłogę pod nogami. Pusty kubek po kawie wciąż jeszcze był ciepły, kawałek masła roztapiał się na kawałku wciąż ciepłej bułeczki. Realność. Fenn był równie realny jak każda z tych drobnych rzeczy. Nie był czarodziejem obdarzonym nadzwyczajnymi mocami. Po prostu miał nieświadomą kolaborantkę: nieszczęsną, łatwowierną Sonię.

—Ty również to dostrzegasz, prawda, Roz?

—Tak — skinęła głową. — Jestem pewna, że masz rację. — Wydawało jej się, że powiązanie Fenna z Sonią sprawiło, iż stał się mniej groźny. Sonia była istotą tak żalostną, że częściowo przenosiło się to niejako na niego. —Ale co możemy teraz zrobić? Przecież dopóki nie znajdziemy Soni, nie możemy znaleźć Fenna. Poza tym usłyszała taśmę i zdaje sobie teraz sprawę, że się nią po prostu posłużył, więc mogła z nim zerwać. Na pewno strasznie ją to wytrąciło z równowagi.

—Mimo to będzie wiedziała, jak do niego dotrzeć. Gdzie mieszka. Kiedy wróci, porozmawiamy z nią.

—A jeśli nam tego nie powie?

—Wówczas wezwiemy policję, żeby z nią porozmawiała.

—Nie uważasz, że powinniśmy natychmiast skontaktować się z policją? — spytała Roz.

Duffy potrząsnął przecząco głową.

—Dopóki Sonia znów się nie pojawi, to nie ma sensu. Nie mogą zrobić nic więcej niż my.

—Wydaje mi się, że masz rację. — Roz umoczyła bułkę w resztkę swojej kawy, sięgnęła po jabłko i spojrzała na Duffy'ego. — Nie podoba mi się wyraz twojej twarzy.

—To zabawne. Ja uwielbiam wyraz twojej.

—Przestań, Duffy.

—Przepraszam. Nawiasem mówiąc, co masz na myśli?

—Nie zaczynaj węszyć wokół w poszukiwaniu sensacji. Ten człowiek ma na pewno nierówno pod sufitem. Nie wiesz, co może zrobić.

—Ludzie, ona się naprawdę przejmuje! — Uchwyciwszy wzrok Roz, dodał: —A jakie ty masz wieści?

—Nic wielkiego. Zadzwoił tu wczoraj wieczorem. Leo odebrał telefon. Powiedział, że to było paskudne, jak zwykle.

—Nie rozumiesz, że teraz jest już całkiem inaczej, kochanie? Wiemy na jego temat to i owo. Znalazłaś się na całkiem innej pozycji. Jesteś niemal w ataku.

—Tak mi się wydaje. — Wszystko to było bardzo nowe, ale Roz od razu poczuła się nieco lepiej. Nie mogła tego wprawdzie jeszcze nazwać pewnością siebie, ponieważ było to niemożliwe, dopóki go nie złapią, ale czuła się mniej bezradna. Istniało teraz coś, co mogła zrobić, miała wreszcie wrażenie, że poradzi sobie z sytuacją. — Myślę, że lepiej, żeby żadne z nas nie rozmawiało z Sonią, gdy wróci. Pozostawmy to raczej Toby'emu lub komuś... — przerwała nagle, a jej twarz zrobiła się kredowobiała. Czowała, że na granicy jej świadomości przemożnie dochodzi do głosu kolejny, przerażający związek. Coś, co musi odepchnąć od siebie za wszelką cenę. — Och, nie...

Duffy sięgnął przez stół po jej rękę.

— Co się dzieje, na miłość boską?! — Nie odpowiedziała.

— Roz... — Wstał i obszedł stół. — Powiedz mi. O co chodzi?

— Muszę zadzwonić. Na pewno mam rację. Wiem, że się nie mylę, to zbyt wielki zbieg okoliczności. — Zobaczył, jak drżącymi palcami wybiera numer. — To nie była wina Grega.

— Zaczęła płakać. — O, Chryste, Duffy... co ja mam zrobić...?

—Kochanie, przestań... przestań płakać. Powiedz mi, o co chodzi, a może będę mógł coś poradzić.

—Oni niezbyt chętnie podają numery swoich pracowników. Zawsze myślą, że próbujesz wynająć ich na czarno, nie płacąc oficjalnej stawki, ale na pewno jeśli wyjaśnię... Halo!

Duffy obserwował jej napiętą, spopielalą twarz. Słyszał, co mówi, widział, jak w końcu zapisuje jakiś numer i odkłada słuchawkę bez słowa podziękowania. Ponownie wybrała jakiś numer.

—To był aktor... Agencja przysłała go, gdy prosiłam o kogoś tymczasowego... oskarżyłam go, że się upił i wypuścił Madgewicka... Pokłócili-

śmy się i tyle go widziałam. Muszę... Halo! Greg? Tu Roz Gilmour. Posłuchaj, pomyliłam się co do ciebie. Że wypuściłeś kota. Chciałam po prostu...

—Nie prosz mnie, żebym wrócił, kochanie. Jutro jadę do Liverpoolu na próbę. Będę nosił sztylet w *Księżnej Amalfi*.

— To nie dlatego chciałam...

— To przesłuchanie w Barbicanie było całkowitym fiaskiem. Zupełnie się rozsypałem. Pewnie przez to wspaniałe miejsce. Ale muszę ci powiedzieć...

—Greg. *Proszę*, to jest okropnie ważne.

—Och! No to powiedz, o co chodzi.

—Ten człowiek, który mi grozi. On... on ma naszego kota.

Duffy podszedł bliżej i zatrzymał się tuż obok niej.

—Paskudna sprawa. Ale nie rozumiem, co ja mam z tym wspólnego. To wszystko brzmi tak wstrętne.

—Ten dzień, kiedy zniknął... Kiedy, jak twierdzisz, zostawiłeś go w jego koszu.

—I tak właśnie było, moja droga. Nie mam co do tego wątpliwości.

—Tak. Wiem. Mówiłeś, że ktoś wtedy zadzwonił do drzwi, żeby spytać o drogę...?

—Zgadza się.

—Co właściwie zaszło? Po prostu zapytał i natychmiast sobie poszedł?

—Niezupełnie, Roz. — Zrobił przerwę, po czym jego głos nagle się zmienił: — O jejku! Tak się dzieje, kiedy człowiek chce być pomocny.

—Już dobrze. Po prostu mi to powiedz.

—Zapytał o drogę do Chalk Farm. Powiedziałem mu, że nie znam tych okolic, ale wcześniej zauważyłem na twoim kredensie plan Londynu, więc zaproponowałem, że pobiegnę na dół i go przyniosę. Tak też zrobiłem.

—Zostawiając frontowe drzwi otwarte?

—Obawiam się, że tak. — Nastąpiła jeszcze dłuższa pauza. — O mój Boże! Nie myślisz chyba, że kiedy robiłem porządki, on był przez cały czas w domu?

—Musiał tam być. Nie było śladów włamania. A kiedy przyszedłam do domu, kota nie było. Brakowało też sporej porcji whisky.

—Oooch! — W jego głosie słyhać było niemal zachwyt i podniecenie. — Robi mi się zimno na całym ciele.

—Nie obwiniaj się o to — Roz zdawała sobie sprawę, że w jej głosie zabrzmiała niechęć. Wiedział przecież o otrzymanych przez nią groźbach,

więc powinien zachować o wiele większą ostrożność. — Proszę, Greg, powiedz mi wszystko, co pamiętasz na temat jego wyglądu. Najdrobniejsze szczegóły. To bardzo ważne.

Duffy widział, jak jej długopis śmiga po papierze. A więc ten facet pamiętał naprawdę sporo. Po chwili ramiona Roz zaczęły się trząść. Kiedy odłożyła słuchawkę i odwróciła się do niego, jej twarz zalana była łzami.

— Ludzie byli tak okrutni wobec Madgewicka, Duffy... zanim go wzięliśmy do siebie. Leżał w kontenerze ze śmieciami, po prostu wrzucono go tam, żeby zdechł. O Boże, nie mogę znieść myśli, że ktoś go skrzywdził... nie mogę... musimy coś zrobić...

Pospieszył do niej, instynktownie biorąc ją w ramiona.

— Nie płacz, moja kochana. — Pragnąc ją pocieszyć, nie cofnął się przed kłamstwem; — Nic mu nie będzie. Koty mają swoje sposoby. Pewnie właśnie teraz próbuje znaleźć drogę do domu.

— Naprawdę tak myślisz? — spojrzała nań z żalnym wyrazem twarzy.

Nie mogąc się oprzeć, pochylił się, aby scałować jej łzy.

— Czy to wszystko na dzisiaj, pani Gilmour?

Odskoczyli od siebie gwałtownie, a Roz rzuciła:

— Tak... dziękuję bardzo.

Kiedy pani Phillips wyszła, Duffy poprowadził ją do stołu.

— Usiądź, kochanie. Daj mi swoje notatki. No już... Gdy tylko zaczniemy działać, poczujesz się lepiej. — Usiadła obok niego, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy. — Muszę, przyznać, że twój Greg sporo pamiętał.

— Tak. Wiesz, on jest gejem, a ten mężczyzna był najwidoczniej... — przy wypowiedzianiu tych słów wykrzywiła usta — niczego sobie. Nawet biorąc poprawkę na pewną romantyczną przesadę, myślę, że mamy całkiem dokładny opis.

— A więc rzućmy okiem. Jak to się ma do hydraulika Lou? Ten nie miał wąsów.

— Mogły być sztuczne. — Wzięła głęboki oddech i pociągnęła nosem, powstrzymując łzy. Duffy podał jej dużą chusteczkę koloru khaki, pogniecioną, lecz czystą. Roz osuszyła twarz i wytarła nos.

— Budowa i wzrost?



—Szcupły, dość wysoki. — Roz spojrzała na swoje notatki. — Bardzo smukły, nieco poniżej metra osiemdziesiąt. Włosy niemal miedziane, z domieszką złota.

—Hydraulik był w czapce. Prawdopodobnie dlatego, że jego włosy tak rzucają się w oczy.

—Bardzo prosty nos, blada cera, zniewalające oczy — ciągnęła Roz. — Żółtawobrazowe, niemal jak oczy lwa.

—Och, na miłość boską. Na pewno miał też pełne blasku, magnetyzujące spojrzenie. Problem polega na tym, Roz, że nie wiemy, ile z tego odpowiada rzeczywistości, a do jakiego stopnia upiększył ten obraz Greg, uświadomiwszy sobie, kim jest ten człowiek.

—Myślę, że jeśli opuścimy bardziej dramatyczne przymiotniki, to wciąż sporo nam zostanie. W tym szczegółowy opis jego ubrania, nawiasem mówiąc dość drogiego i eleganckiego, co mnie dziwi, chociaż nie potrafię powiedzieć dlaczego.

—A co to takiego? — Duffy wpatrywał się w jej notatki. — Zachwycająco co...?

—Zachwycająco pełny w okolicach krocza.

—Wielkie nieba! Mimo wszystko uważam, że ten punkt warto zapamiętać. — Zrobił pauzę, spoglądając z nadzieją na Roz. — Przepraszam.

—Wiemy teraz niemal dokładnie, jak wygląda osoba, której szukamy.

—Z pewnością będzie to pomocne dla policji, ale jeśli chodzi o nasze poszukiwania... Roz, w mieście są ponad cztery miliony ludzi. Nie wiedzielibyśmy, od czego zacząć.

—Ależ my to wiemy. — Roz chwyciła go za rękę tak mocno, że skrzywił się z bólu. Emanujące z niej napięcie poraziło go niemal jak prąd. — Posłuchaj. Pamiętam to bardzo wyraźnie, ponieważ uderzyła mnie wtedy absolutna niespójność tych faktów. Kiedy Sonia dała mi spróbować tych niesamowicie drogich perfum, rzuciłam uwagę, że jej chłopak jest na pewno jakimś potentatem, coś w tym rodzaju, na co ona odpowiedziała — Duffy miał wrażenie, że dłoń za chwilę pęknie — „Och, nie... prawdę mówiąc, mieszka nad barem z frytkami w Islington”.

Wpatrywali się w siebie przez długą chwilę, po czym Duffy powiedział:

—Połamięz mi kości.

—Och! — Roz uwolniła jego dłoń. — Przepraszam. Możemy już iść?

—Poczekaj chwilę...

—*Nie mogę.* Musimy...

—Po prostu zaplanować swoje działania, to wszystko. Islington to duży obszar. On mógł mieć na myśli King Cross, Angel lub Highbury. Niektórzy uważają, że Balls Pond Road też należy do Islington. Musimy się zabrać do tego systematycznie. Podzielić ten obszar na sekcje, bo w przeciwnym wypadku będziemy wracać w to samo miejsce i się kręcić w kółko.

—Każde z nas weźmie połowę.

—Nie.

—Ale pomyśl, ile czasu w ten sposób zaoszczędzimy. Jeśli będziemy to robić razem, zajmie to nam dwa razy więcej czasu. — Kiedy Duffy nie odpowiedział, dodała już mniej pewnie: — Nie możesz mnie powstrzymać — po czym się zawstydziała. Przecież natychmiast zgodził się jej pomóc, chociaż byłoby całkiem zrozumiałe, gdyby tego nie uczynił. Korci na drogach, łażenie wokół, problemy z parkowaniem, ziąb, nieprzyjemna pogoda. I nagle, uświadomiwszy sobie, dlaczego Duffy nie chce, aby krążyła wokół sama, poczuła wobec niego podwójną wdzięczność. — Pójdę po plan.

—Uważam — powiedział, gdy pochylili się nad nim — że najpierw powinniśmy zająć się obszarem, który wszyscy uznają za Islington, a przesunąć się poza ten obszar dopiero wówczas, gdy to zawiedzie.

Skinęła głową.

— W porządku.

— Masz książkę telefoniczną? Może znajdziemy w niej jakieś punkty sprzedaży frytek.

— Nie mam dla obszaru North One. Duffy przesunął palcem po planie.

—Wiele z tych ulic ma ruch jednokierunkowy, co może być pewnym problemem. Dotarcie tam nie zajmie nam dużo czasu. Pojedziemy wzdłuż Mornington Crescent, skreścimy w prawo w Pancras Road i znajdziemy się przy King Cross. Będiesz musiała rozglądać się jednocześnie na obie strony. Ja będę patrzył tylko, gdy zostanę zmuszony do zmniejszenia prędkości. Za każdym razem, gdy coś zauważymy, zatrzymam się maksymalnie blisko, jak tylko znajdę wolne miejsce. W porządku?

—Bardziej niż w porządku. Dziękuję ci, Duffy. — Spojrzała na niego poważnym wzrokiem. — Jesteś cudownym mężczyzną.

—Nie, wcale nie jestem — uśmiechnął się szeroko. — Po prostu poluję na sensację. Wyobraź sobie, jak Toby zzielenieje z zazdrości. Już samo to warte jest tego całego łażenia.

Gdy wychodzili z domu, Roz powiedziała:

—Mam przecucie, że ona będzie razem z nim. To znaczy Sonia.

—Zobaczmy. — Siedzenie obok kierowcy w jego samochodzie było zawałone rupieciami. Stare egzemplarze „Sporting Times”, parę powieści Dicka Francisa, książka w miękkiej okładce z aforyzmami, torebka po ciasteczkach oraz pół tabliczki owocowo-orzechowej czekolady. Duffy zgarnął to wszystko i wrzucił na tylne siedzenie, na którym leżał brudny koc w kratę oraz jego Uher.

—Elegancja to moje drugie imię.

—Z pewnością nie pierwsze.

Wjechali na Camden High Street i niemal natychmiast zostali zablokowani przez olbrzymią zielono-żółtą ciężarówkę. Dotarcie do Mornington Crescent zajęło im piętnaście minut.

—Nigdy tam nie dojedziemy. — Kiedy rozmawiali w salonie, spoglądając na trasę i planując obecną podróż, Roz miała umysł całkowicie wypełniony, lecz teraz, gdy posuwali się w żółwym tempie, nic nie mogło jej powstrzymać przed snuciem przerażających wizji. Skrzywdzony Madgewick, martwy Madgewick. Wpatrywała się twardo w witrynę Marksa i Spencera, gdzie widniał napis: „Dziewięćdziesiąt siedem procent naszych towarów jest pochodzenia brytyjskiego”. Starła się zapamiętać obrazy wystawianych tam artykułów żywnościowych. Następnie pomyślała o obiedzie zaplanowanym na ten wieczór i zaczęła powoli rozważać jego przyrządzenie, zastanawiając się nad każdym szczegółem. Posypywała właśnie podpieczonymi orzechami zimny suflet cytrynowy, gdy Duffy powiedział:

—W porządku. Zaczynaj się rozglądać.

Mijali akurat wzbijającą się w górę różowo-czerwoną strukturę stacji św. Pankracego. Minutę później Roz wykrzyknęła:

—Tam! Tam!

—Na miłość boską! — Duffy spojrział w kierunku jej ręki, która wystrzeliła tuż przed jego brodą. — Jeśli w ciągu następnych kilku godzin zrobisz coś takiego jeszcze ze dwadzieścia razy, to do czasu podwieczorku stanę się strzępkiem nerwów.

—Przepraszam. Gdzie możesz się zatrzymać?

—Nigdzie. Nad tym barem — spojrział powtórnie przez okno — z frytkami i rybą mieści się kancelaria prawnicza.

—Och! — opadła z powrotem na siedzenie.

—Myślę, że jest ich tutaj sporo. W pewnym sensie to ułatwia sprawę.

W ciągu kolejnej pół godziny przejechali wzdłuż około dziesięciu ulic — wzdłuż jednej z nich przez przypadek dwukrotnie — i znaleźli pięć barów z frytkami i smażonymi rybami. Nad jednym z nich znajdował się salon bilardowy, nad drugim kolejna kancelaria, a nad następnym — lichwiarz, anonsujący się dyskretnie złotymi literami: „Natychmiastowa Pomoc Finansowa”. Pozostałe dwa wchodziły w rachubę. Pierwszy z nich mieścił się przy Donnelly Street, niedaleko Caledonian Road. Zaparkowali w niedozwolonym miejscu, wysiedli i rozejrzeli się za policjantem pilnującym ruchu drogowego. Ani śladu.

— Chodź ze mną — odezwał się Duffy — spędzimy tam najwyżej pięć minut.

W oknach nad barem z frytkami wisały śnieżnobiałe siatkowe firanki, a w jednym z nich stała paprotka w wypolerowanej mosiężnej doniczce. Drzwi obok wejścia do baru były otwarte, a za nimi znajdowały się schody, niepokryte żadną wykładziną. Nie było ani dzwonka, ani wizytówki. Wspięli się do góry, dotarli do kolejnych drzwi i zastukali. Stali tam, jak wydawało się Roz, przez pół godziny. Ze środka dobiegły jakieś odgłosy. Duffy zapukał powtórnie.

— Chwileczkę, chwileczkę. — Szurający odgłos przybliżył się i drzwi otworzył bardzo stary mężczyzna. Widoczny za nim pokój był zdumiewająco schludny i czysty, podobnie jak sam staruszek. — Czego chcecie?

— Ehm... szukamy młodego mężczyzny.

— Nie ma tu młodych mężczyzn. Ani młodych kobiet, czego stanowczo bardziej żałuję. — Wydany przez niego odgłos, będący czymś pomiędzy kaszlem a zduszonym w zarodku charknięciem, oznaczał zapewne śmiech. Staruszek dodał bez związku z tematem, w sposób typowy dla dzieci i osób w podeszłym wieku: — Skończę niedługo osiemdziesiąt cztery lata.

— Wiemy o nim tylko tyle — odezwała się Roz — że mieszka nad barem z frytkami w Islington.

— Ja mieszkam nad barem z frytkami w Islington.

— No cóż, dziękujemy bardzo — Roz odwróciła się w kierunku schodów.

— Sam dbam o siebie. Wszystko wokół łśni. Chcecie wejść i się rozejrzeć? — otworzył drzwi szerzej.

— To bardzo miłe z pana strony — rzekł Duffy — ale obawiam się, że nie możemy zostać. Zaparkowałem w niedozwolonym miejscu.

— Chcą oddać mnie do zakładu, więc muszę utrzymywać porządek. Jak tylko człowiek trochę zapaści swoje mieszkanie, oni od razu się na niego rzucają.

— Wszystko wygląda cudownie — zapewniła go Roz.

— Jesteście z administracji?

— Nie.

— No cóż, jak sobie chcecie — i zamknął drzwi. Gdy wrócili na schody, Roz stwierdziła:

— Biedny, stary człowiek.

— Wcale nie. Mam nadzieję, że w wieku osiemdziesięciu czterech lat ja też będę w takiej formie lub w jakiegokolwiek formie. Szybko!

Policjant był oddalony mniej więcej o cztery samochody. Wsiedli i odjechali w samą porę. Drugie z kolei miejsce, które wydawało się warte sprawdzenia, sprawiało wprawdzie z ulicy wrażenie prywatnego lokum, lecz w rzeczywistości było wykorzystywane przez pobliskiego właściciela sklepu papierniczego jako magazyn. Duffy odhaczył porządnie ołówkiem część planu.

— No dobrze. Teraz sekcja numer dwa. Zaczniemy przy stacji Angel, następnie pojedziemy Essex Road do St Peter Street, w porządku? — Kiedy Roz nie odpowiedziała, dodał: — Daj spokój, kochanie. Dopiero zaczęliśmy.

Roz wpatrywała się w plan.

— Tylko że jest ich tak wiele. Tyle ulic...

— Ruszajmy dalej. Przejrzeliśmy już jedną czwartą, a nie ma jeszcze południa. Spójrz tam. „Codziennie świeża rybka”.

— To sprzedawca ryb. — Ale po chwili dostrzegła napis: „Smażone ryby i pizze” i polowanie zaczęło się od nowa.

O drugiej po południu, czując drżenie w łydkach, stanęli pod tablicą obiecującą „Znakomite ryby i frytki”. Twarze, które w ciągu minionych kilku godzin pojawiły się w różnych drzwiach, zaczęły w pamięci Roz zlewać się ze sobą. Spotkali wprawdzie kilku młodych mężczyzn o różnych kształtach, rozmiarach i kolorach skóry, lecz żadnego z nich nawet własna matka nie nazwałaby atrakcyjnym. Parę starszych pań, jedną schludną, inną tak zaniedbaną, że trudno było uwierzyć, iż kiedykolwiek będzie ją można doprowadzić do ładu. Panią w średnim wieku o imieniu Lana w czarnej ażurowej bluzce i skórzanej minispódniczce, która zaproponowała Duffy'emu (pojawił się przy jej drzwiach pierwszy) lekcje francuskiego, oraz pa-



rę starszych ludzi, którzy stanęli w drzwiach nieruchomo, splecieni ze sobą w celu wzajemnego wsparcia. Kiedy Roz i Duffy odeszli, wciąż stali tam jeszcze jak wmurowani, ze zmarszczonymi brwiami, demonstrując zatroskanie i podejrzliwość.

Zatrzymali się przedtem w strefie parkowania do jednej godziny i Duffy sprawdził teraz czas na swoim zegarku.

—Mamy jeszcze niemal dwadzieścia minut. Jesteś głodna?

—Umieram z głodu.

—Spójrz, po drugiej stronie jest pub i smażalnia ryb.

—Och, wolę rybę z frytkami. Jedzenie w pubie nigdy mi nie smakuje.

Dają tam zwykle spieczone zapiekanki z ludzkiego mięsa.

Pora lunchu już prawie minęła, więc bez kłopotu znaleźli czysty pusty stolik przy oknie. Duffy podszedł do lady i wrócił z dwiema złocistymi rajami, chrupiącymi frytkami, gąbczastym, miękkim białym chlebem, masłem oraz dzbankiem świeżo zaparzonej mocnej herbaty. Roz zjadła wszystko, co miała na talerzu. Dostali nawet malutkie pojemniki sosu tatarskiego z odrywanymi wieczkami ze srebrnej folii. Raja pachniała i smakowała tak, jakby jeszcze pół godziny temu pływała w morzu. Jednak gdy tylko Roz wypijała drugą filiżankę herbaty, jej dobre samopoczucie, które zapewnił posiłek, się ulotniło.

Zwróciła się do Duffy'ego:

—A jeśli Sonia kłamała? O tym, gdzie on mieszka?

—Czemu miałyby więc mówić o North One? Gdyby powiedziała, że mieszka w Belgrave Square, to miałyby jakiś sens.

—Myślę, że masz rację. Z drugiej...

—Hej! Jest piętnaście po! — Roz chwyciła swoją torbę. Wstali, wyszli pospiesznie i ruszyli ulicą, zapinając po drodze płaszcze. Spóźnili się o pięć minut. Pod wycieraczkę wsunięty był mandat.

—Cholera jasna! Nawet minuty nie można się spóźnić.

—Musisz mi pozwolić za to zapłacić, Duffy. W końcu robisz to wszystko dla mnie. W dodatku lunch i to wszystko...

—Lunch jest na koszt firmy. Daj już spokój.

—A więc pół na pół.

—Och, Roz, proszę, nie stawaj się wojującą feministką — w jego głosie pojawiła się irytacja granicząca ze zrzędlivością.

—Nie bądź taki niemiły. Po prostu tak będzie sprawiedliwie.

Duffy wyjął mandat z foliowej osłony, przedał go i wręczył jej kawałek.

— A więc po połowie.

Wzięła go z dość niepewną miną i wsiedli do samochodu. Czując przesywający ją zimny dreszcz, który rozpoznała jako zaczątki rozpaczy, Roz doszła do wniosku, że on również uznał ich poszukiwania za bezowocne. Zaprzeczyły temu jednak jego następne słowa.

— Ale jesteśmy głupi. Powinniśmy udać się najpierw do urzędu miejskiego. Na pewno mają tam rejestr wszystkich firm. Oraz barów i restauracji. Zaoszczędziłoby nam to połowę tego szamotania się tam i z powrotem — w jego głosie wciąż pobrzmiwała irytacja, ale wyczuwało się też coś pozytywnego, jakąś agresję.

— Chcesz to zrobić teraz?

— Jest trochę za późno, jeśli masz być w szkole za piętnaście czwarta. Zakończymy ten zaznaczony kwadrat na planie, żeby wiedzieć, co już mamy za sobą, i jutro rano zaczniemy od nowa.

— Jutro mam program.

— A więc tuż po programie. Czy twoje dzieci nie mogą pójść gdzieś na herbatę, czy coś takiego?

Powiedział to w taki sposób, jakby były wyłącznie irytującą przeszkodą, pomyślała Roz. Teraz ona z kolei się zdenerwowała i rzuciła ostrym tonem:

— Spróbuję. Mam mało czasu.

— Spójrz na tę grecką knajpkę. Serwują tu też kebaby. Prosto z morza, jeśli wierzyć temu neonowi.

Najwidoczniej starał się przywołać z powrotem uczucie bliskości i komitywy, którego doświadczali wcześniej. Roz uśmiechnęła się, odczytując szyld nad sąsiednim sklepem: „Doreece. Wszystko jak nowe”.

— Założę się, że ona sama jest jak nowa — zamruczał Duffy, wysiadając z samochodu. Na zewnątrz budynku zobaczyli metalową klatkę schodową prowadzącą do mieszkania na piętrze, znajdującego się za tandetnymi bordowymi drzwiami. Do ich uszu dochodził stłumiony klekot. Duffy już miał zapukać, lecz zobaczył, że drzwi są uchylone, więc popchnął je do środka. Znaleźli się na niewielkim podeście, naprzeciw kolejnych drzwi. Przypięty był do nich plakat filmowy ukazujący karoserię samochodu oraz hinduską piękność z kwiatami we włosach o obfitym biuście i leniwie wydętych wargach. Duffy zapukał.

Ubrana na czarno krępa kobieta w średnim wieku otworzyła szeroko drzwi, po czym natychmiast je przymknęła, pozostawiając tylko szparę. Roz zdążyła zauważyć trzy lub cztery dziewczynki pochylone nad maszynami do szycia. Mały pokój, w którym pieniały się materiały w oślepiających kolorach, był wyładowany do granic możliwości.

—Czego chcecie? Szyję tylko sukienkę dla przyjaciółki. To nie jest żaden biznes. — Duffy zadał swoje pytanie, lecz ona odrzekła: „Nie wynajmujemy pokoiów”, po czym rzuciła coś w języku gudzarati, kierując część tej przemowy przez ramię do tyłu, gdzie maszyny do szycia znowu zaczęły terkotać. Następnie trzasnęła drzwiami.

—Sporo dzisiaj widzieliśmy — mruknęła Roz, gdy wrócili do peugeot. — Nie miałam dotąd pojęcia, jak wygląda miejsce, gdzie się nielegalnie pracuje.

Duffy jechał prosto przez kilka minut, a następnie skręcił w ostatnią ulicę należącą do zakreślonego kwadratu. Packington Street. Prowadził powoli, często wyglądając przez okno.

— Nic... No cóż, Roz... myślę, że na dzisiaj to wszystko. Przyjadę tu sam jutro rano, jeśli chcesz. Wezmę listę z urzędu.

—Poczekaj! Tam na końcu jest jakiś zakręt.

Duffy skinął w stronę znaku drogowego.

—To zaułek. Mało prawdopodobne, żeby coś tam było.

— Spróbujmy jednak. W ten sposób sprawdzimy wszystkie miejsca mieszczące się w tym kwadracie, który zaznaczyłeś.

Zauważyła, że postanowił zrobić jej przyjemność.

— W porządku, Rosamundo. Jeśli chcesz sprawdzić ślepy zaułek, niech tak się stanie.

Skręcił w prawo i wjechał na mały placyk. Znaleźli się na zamkniętym dziedzińcu wyłożonym kocimi łbami, którego dwie strony obramowane były przez tylne wyjścia dwupiętrowej firmy konfekcyjnej o oknach grubo pokrytych brudem; niektóre z nich były rozbite lub zasłonięte tekturą. W przeciwieństwie do tego cztery niewielkie sklepy po drugiej stronie wyglądały bardzo elegancko. Była tam agencja maszynopisania i kserokopii, pomalowana na czerwono, z dużą szklaną witryną, przez którą widać było działające urządzenia. Witrynę mył właśnie czyściciel okien, przesuwając tam i z powrotem myjkę w kształcie litery „T”. Jego pojazd z drabiną był zaparkowany przy wejściu.

Obok agencji znajdował się sklep Lamb's opatrzony napisem: „Wszystko dla niemowląt i dzieci”. Pomalowany był na zielono i żółto, a w oknie wystawowym widać było mnóstwo szykownych ubrań dziecięcych i plastikowe zabawki. Sąsiadował z nim skromny sklep z przyborami dla artystów, w którym widać było oprawione mapy oraz najróżniejsze farby i pędzle. Ostatni w rzędzie, opatrzony wywieszka przedstawiającą palmy na niebieskim metalicznym tle z rzucającą się srebrną rybą, znajdował się bar rybny Oasis.

Duffy milczał przez chwilę, po czym powiedział:

— Mój Boże! Po raz kolejny kobieca intuicja triumfuje nad męskim brakiem wiary. — Spojrzał w górę. — W dodatku nad wszystkimi tymi sklepami są mieszkania. Gratuluje. — Zaczął otwierać drzwi samochodu. — No, idziemy... o co chodzi?

Roz spoglądała przez przednią szybę w górę, wpatrując się w widoczne ponad barem rybnym podciągnane do góry okno, w którym wisały schludne zasłony. Wyglądało niemal jak okienko z rysunku dziecka przedstawiającego domek dla lalek. Fałdy porządných bocznych zasłon zwisały tak symetrycznie, że równie dobrze mogły zostać namalowane na szybie. Siatkowa firanka — ani biała, ani szara, ani beżowa, lecz będąca niemiłą mieszanką tych trzech kolorów — sięgała dokładnie do połowy okna i również była zupełnie nieruchoma. Wyglądało to jak martwe oko. Martwe oko w ślepym zaułku. Roz nie mogła oderwać od tego wzroku. Słyszała, że Duffy coś jeszcze powiedział, po czym jego dłoń pojawiła się, zniknęła i znowu pojawiła przed jej oczyma. Jej mózg zarejestrował ten ruch, lecz jej oczy widziały tylko to okno. Widziała je nawet poprzez ciało Duffy'ego. Dałaby wszystko, aby cofnąć czas.

Aby powrócić do momentu sprzed pięciu minut, kiedy nie wiedziała jeszcze, że to okno istnieje. Zamknęła oczy. Nic to nie dało. Okno wypchnęło się naprzód i przesłoniło wszelkie inne wyobrażenia. Odwróciła głowę i spojrzała na Duffy'ego.

— Co się dzieje, na miłość boską?!

Nie przychodziło jej do głowy nic sensownego. „Palec mię świerbi...”? Pomyślałby, że zwariowała i że jest melodramatyczna. Nie chciała wysiąść z samochodu. Niezależnie od tego, co się wydarzy, nie miała zamiaru zbliżyć się do tego okna.

— Idź sam, Duffy. Nie czuję się dobrze. Chyba wciąż leży mi w żołądku ta ryba i frytki.

— Bzdury gadasz. Naprawdę, Roz. Widać po tobie wszystko, jak po dziecku. — Cały jego zły humor się ulotnił. Złapał ją za dłoń. — Nie jesteś chora, jesteś przerażona. Dlaczego myślisz, że to jest właśnie to miejsce?

Potrząsnęła głową. Nie była w stanie mówić. Wydawało jej się, że słowa — wyrażając to, co w końcu było tylko niesprecyzowanym lękiem — nadadzą mu jakąś przerażającą autentyczność. Jeśli nic nie powie, być może lęk okaże się bezpodstawny.

— Posłuchaj, kochanie. Spędziliśmy cały dzień, szukając tego miejsca.

— Tak, wiem o tym. Po prostu nie zdawałam sobie sprawy... jak to będzie wyglądało...

— Wolisz tu zostać?

— Tak.

Obserwowała, jak odchodzi przez kocie łby i znika w barze. Usiłowała zwolnić swój oddech. Oddychać równo i spokojnie. Trudno jej było uwierzyć, że za oknem jest tak zimno, bo w samochodzie brakowało jej powietrza. Niemal się dusiła. Odpięła pas bezpieczeństwa, wcisnęła guzik zamykający drzwi po swojej stronie, po czym wyciągnęła rękę i zrobiła to samo po stronie kierowcy. Odczuwanie nawet najmniejszego lęku było czymś niemądrym. Siedziała bezpiecznie zamknięta w samochodzie, który stał na otwartym placu otoczonym budynkami zapełnionymi ciężko pracującymi ludźmi, i żaden z nich nie miał zamiaru wyrządzić jej najmniejszej krzywdy.

Duffy długo nie wracał. Spojrzała na cyfrowy zegar w samochodzie. Zbliżał się czas, aby odebrać dzieci. Zamknęła oczy i skoncentrowała się na oddychaniu. Liczyła oddechy. Jeden... dwa... trzy... Wywierало to zdecy-



dowanie uspokajający efekt. Walenie serca nieco się uspokoiło. Robiła właśnie siódmy wydech, gdy ktoś zastukał w szybę po stronie kierowcy. Oddech uwiązał jej nagle w gardle i zaczęła wpatrywać się szeroko otwartymi oczyma w twarz młodego mężczyzny znajdującą się o kilkanaście centymetrów od niej. Miał na sobie czapkę, więc nie mogła dostrzec koloru jego włosów. Tak jak ten hydraulik. Zupełnie jak ten hydraulik.

Wpatrywała się w niego bez ruchu, a on przybliżył twarz jeszcze bardziej. Przycisnął nos do szyby, przez co ten rozplaszczyl się, przyjmując negroidalny kształt, po czym rozciągnął usta w gumowatym, pantomimicznym uśmiechu. Roz uformowała ustami słowa: „Proszę odejść”, lecz z jej gardła nie wydobył się przy tym żaden dźwięk. Mężczyzna wstrząsnął przesadnie ramionami, po czym odszedł na środek dziedzińca. Tam rozrzucił szeroko ramiona i zwrócił się do otaczających ścian: „Proszę odejść? Ona chce, żebym sobie poszedł”.

Wykorzystała fakt, że odszedł, i szybko otworzywszy drzwi, przebiegła przez dziedziniec. Ścigał ją jego głos.

— Blokujesz cholerny wyjazd, kochanie. Jak, do diabła, mam przeciągnąć swój wózek przez tę cholernie małą szparę?

Dotarła bezpiecznie do baru. Jeśli Duffy zdziwił się na jej widok, gdy wpadła do środka jak strzała, nic nie powiedział. Bar był pusty. Nie panowała w nim atmosfera działającego lokalu, który przed chwilą ktoś opuścił, lecz nastrój całkowitego opuszczenia. Urządzenia były wypucowane i zamknięte, a butelki z gazowanymi napojami ustawione porządnie trójkami. Na ścianie wisiał afisz reklamujący koncert na buzuki. Inny przedstawiał Najeżdźcę z Kosmosu. Za barem wisiała nieruchomo kurtyna z jaskrawych, wielokolorowych, plastikowych pasków.

— Walilem w kontuar, ale bez rezultatu.

— Najwidoczniej jest zamknięte. Zastanawiam się, dlaczego drzwi były otwarte.

Duffy zastukał mocno w kontuar, posługując się kostkami dłoni.

Nad głową usłyszeli cichy odgłos, jakby ktoś coś przeciągał. Rozchwyciła Duffy'ego za rękę.

— To dochodzi z tego pokoju! Tego, który widzieliśmy z placu.

— Niekoniecznie. Dźwięki nie zawsze łatwo zlokalizować. A gdyby nawet tak było? — Nie mogła na to odpowiedzieć. Nie śmiała. — To prawdopodobnie pan... — Duffy zmrużył oczy, odczytując nazwisko z plakietki umieszczonej nad kurtyną — Christoforou.

Christoforou. To nazwisko coś jej przypomniało. Pewien film. Była w kinie — „Everyman Cinema” w Hampstead — a na ekranie widać było wydłużony i przygarbiony kształt, rzucający monstrualny cień; trędowna biała łysa głowa, zmijowate oczy i martwe palce, żyjące własnym życiem jak gniazdo młodych węży, zakończone bardzo długimi, zakrzywionymi szponami gotowymi do rozłupywania i rozdierania. Wampir Nosferatu.

— To miejsce przyprawia mnie o mdłości. Chodźmy stąd. Wiemy, że to tutaj. Możemy tu wrócić jutro.

Ale właśnie w tym momencie plastikowe wstążki rozsunęły się z poślizgowo-klapiącym odgłosem i pojawił się pan Christoforou. Sprawiał wrażenie zaspanego (wciskał koszulę do spodni) i poirytowanego.

—Czego chcecie, do diabła?

—Przepraszam, ale drzwi były otwarte.

—Tó dla mechanika. Przychodzi coś naprawić. Widać przecież, że bar jest zamknięty.

—To bardzo ważne. Szukamy młodego...

Jego słowa przeciął nagle głos Roz, w którym brzmiała pewność siebie, daleko wykraczająca poza wiarę, nosząca znamiona rzetelnej wiedzy.

— Czy zastaliśmy Fenna?

Wyczuła, że jej pytanie zaskoczyło Duffy'ego. Pan Christoforou odrzekł:

— Nie. Nie widziałem go od paru dni.

A więc to było tutaj. Roz i Duffy złapali się mocno za ręce. Czuli się jak pływacy, którzy przez wiele godzin rzucali się i miotali, usiłując utrzymać się na jakimś nieznanym morzu, i w końcu poczuli pod stopami twarde gruntu. Przez chwilę żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. W końcu głos zabrała Roz. Odnaleziona niedawno pewność siebie całkowicie pokonała strach.

— Czy ma pan coś przeciw temu, żebyśmy weszli na górę i sprawdzili?

Pan Christoforou zawahał się, wstrząsnął ramionami, jak- by poruszyła go intensywność jej spojrzenia i powściągane emocje emanujące z nich obydwójga, po czym uniósł ruchomą część lady.

—Marnujecie tylko swój czas. Wyciągnęliście mnie z łóżka bez powodu. — Zniknął za drzwiami na klatkę schodową, wołając przez ramię:

—Na górze, drzwi na prawo!

Wspięli się po schodach i stanęli przed drzwiami. Duffy chciał zastukać, lecz Roz powstrzymała go przed tym.

—Nie. Pozwól, że ja to zrobię. — Odczekała chwilę. Razem ze zniknięciem strachu pojawiło się odczucie zadowolenia graniczące z poczuciem triumfu. Do głowy przychodziły jej absurdalnie dziecinne wyrażenia, była wręcz gotowa zawołać: „Mam cię!”. Pragnienie zemsty sprawiło, że czuła się silniejsza od przeciwnika. Roz zapukała, starając się, aby zabrzmiało to zdecydowanie. Za drzwiami panowała cisza.

—Mamy coraz mniej czasu, kochanie. Jeśli chcesz odebrać dzieci za piętnaście czwarta, to musimy już iść. Znaleźliśmy go. Teraz wystarczy jedynie zawiadomić policję. Lepiej zamieńmy parę słów z Zorba, zanim odejdziemy, bo w przeciwnym wypadku może coś wygadać. Nie chcemy przecież, żeby ten mały skurczybyk wrócił i zwinął żagle, zanim go złapiemy.

Z dziedzińca dobiegł ich krzyk. Roz upierała się:

—Tam w środku ktoś jest. Jestem o tym przekonana.

—No cóż, ale nikt nie odpowiada, kochanie, nie wiem więc, co jeszcze moglibyśmy zrobić. — Spróbował nacisnąć klamkę, lecz drzwi były zamknięte na klucz. — Co, do diabła, się dzieje tam na dole?

—Myślę, że to czyściciel okien. Nie może przesunąć swojego sprzętu z powodu naszego samochodu.

—Chodźmy już. Mamy teraz dwa istotne powody, żeby na tym zakończyć.

Roz zeszła za nim z ociąganiem po schodach, oglądając się wciąż, jakby się obawiała, że drzwi znikną. Jedyne ogniwo łączące ją z jej przeszłością. Nie. Nie musiała już tak myśleć. Teraz to ona go prześladowała. W momencie gdy pojawili się na placu, czyściciel okien rzucił się w ich stronę. Dziwne, że chociaż miał czerwoną twarz i wykrzykiwał coś z gniewem, Roz wcale się go już nie bała. Czyściciel zwrócił się do Duffy'ego:

—Czy to twój zakichany samochód?

—Tak. Przepraszam...

—Mam robotę w trzech miejscach na Packington Street. Jestem już spóźniony piętnaście minut. Może wy nie musicie zarabiać na swoje zakichane życie.

—Niech pan chwilę poczeka. — Roz otworzyła torbę. — Proszę... — Wyjęła portfel. Czyściciel szybko zmienił się niczym przekłuty balon. Można

było niemal usłyszeć, jak powietrze wydobywa się z sykiem z jego uszu i nozdrzy.

—Ale, ale... No dobra... Po prostu niech pani trochę odjedzie. Nie ma się czym denerwować.

Wyciągnęła w jego stronę banknot dziesięciofuntowy.

—Chcę wypożyczyć pańską drabinę, bardzo pana proszę. Na mniej więcej pięć minut.

—A, to co innego. — Wziął banknot. — Jeśli chodzi o interes... — Odszedł i po chwili powrócił z drabiną. — Można ją rozciągnąć. Ale może przytrzasnąć palce, jeśli człowiek nieprzyzwyczajony. — Obrzucił ją spojrzeniem pełnym ciekawości. — Niech mi pani powie, gdzie ją pani chce wykorzystać, a ustawię ją dla pani.

—Na zewnątrz baru. Aż do tego okna na górze.

Usłyszała, że Duffy wzdycha, znów tracąc cierpliwość.

—Nigdy nie dajesz za wygraną, co?

Czyściciel okien rozstawił drabinę, zgrzytając jej końcem po kocich łbach ze strasznym, metalicznym odgłosem, od którego bolały zęby. Do okna agencji maszynopisania i kserokopii podeszły dwie dziewczynki i zaczęły się przyglądać z zainteresowaniem.

— No to o co tu chodzi? Jesteście detektywami i chcecie przyłapać go *in flagranti*? Ej — chwycił Roz za rękę — nie chce chyba pani wdrapywać się w tych obcasach, co? Jak pani sobie skręci kark, to moje ubezpieczenie tego nie pokryje.

— On ma rację. Bądź rozsądna, Roz. — Miała eleganckie zamszowe buty z ośmiocentymetrowymi obcasami. — Pozwól, że ja to zrobię. — Duffy stanął na dolnym szczeblu. — I jak tylko stąd odjedziemy, od razu musimy znaleźć telefon, bo nie ma mowy, żebyśmy dojechali na czas do Primrose Hill. — Zaczął wchodzić do góry.

Roz stanęła u podstawy drabiny i przyglądała się temu.

Duffy stapał powoli i ostrożnie, chwytając się dłońmi w rękawiczkach błyszczącego aluminium. Widziała wytarty tył jego butów, a chwilę później podeszwy, z bardzo głębokimi rowkami. Wbił się w nie żwir, kamienie i trawa. Jego skafander wydał się nagle pod wpływem wiatru. Duffy znalazł się w połowie drabiny.

Roz była całkowicie pewna, że Fenn się tam ukrywa. Wyobrażała sobie, jak chowa się za krzesłem lub wchodzi pod łóżko. Powie-

działa głośno, wyrzucając słowa przez zziębnięte wargi: „Ciekawe, jak ci się to spodoba”. Z pewnym zdziwieniem uświadomiła sobie, że odczuwa przyjemność tak intensywną, iż niemal sadystyczną. A właściwie, dlaczego by nie? Po wszystkim, przez co przeszła z jego powodu, musiałyby być święta, aby nie cieszyć się z tego, że on również czuje coś podobnego. Na pewno słyszał, jak schodzili ze schodów i pomyślał, że zrezygnowali i sobie poszli. No cóż, trochę się zdziwi. Twarz Duffy'ego znalazła się niemal na poziomie parapetu okna. Czekala na jego okrzyk, potwierdzający jej przypuszczenia.

Ale coś było nie w porządku. Nie dobiegł jej żaden okrzyk.

Żaden dźwięk. Ujrzała, jak kasztanowa skóra jego rękawiczek napięła się i załśniła, kiedy jego dłonie gwałtownie uchwyciły się drabiny. I nagle, równie gwałtownie, zwiotczały. Wydawało się, że jego ciało odchyła się od drabiny i jednocześnie na wpół wykręca w powietrzu, tak że jego twarz ukazała się do góry nogami; zamiast ust mały, czarny okrąg wewnątrz większego okręgu, serowatego i zielonkawobiałego, który był substytutem twarzy.

Roz zaczęła krzyczeć. Mężczyzna stojący obok niej zawołał:

— O, Chryste! — a potem: — Trzymaj się, bracie! Zaczął się wspinać na drabinę. Roz chwyciła jej podstawę.

Wpatrując się w przerażony wyraz twarzy Duffy'ego, wiedziała, co musiał zobaczyć. Tylko śmierć mogła doprowadzić człowieka do czegoś podobnego, i to śmierć straszliwa, zadana w brutalny sposób. Jej serce zaczęło wyśpiewywać pieśń dziękczynną za zlikwidowanie wroga.

— On nie żyje — brzmiały słowa tej pieśni. — ***On nie żyje!***



## Rozdział ósmy

Roz wyciągnęła rękę, aby pomóc czyścicielowi szyb, który podtrzymywał plecy Duffy'ego, usiłując dopchnąć go do drabiny i zapewnić mu oparcie. Przez parę sekund cała trójka pozostawała nieruchomo w tej pozycji, jak trio niekompetentnych akrobatów. Duffy wymruczał jak starzec: „Nic mi nie jest... Czuję się dobrze”. Po chwili znalazł się na ziemi. Roz trzymała go mocno za ramię. Spojrzał w jej promieniejącą twarz i poczuł kryjącą się w jej ciele nienaturalną siłę. Roztaczała wokół siebie aureę gladiatora.

—Och, Roz... — potrząsnął głową, nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa więcej.

—Nie wyglądasz najlepiej, bracie. Idź do baru i klapnij sobie na chwilę. Jak nie masz głowy do wysokości, to lepiej trzymaj się z daleka od drabiny.

—Widziałem tam, na klatce schodowej automat telefoniczny. Czy ktoś z was ma jakieś drobne? — głos Duffy'ego brzmiał tak, jakby dopiero uczył się mówić. Każde słowo wydobywało się z trudem, po namyśle, i wypowiedane było z takim samym naciskiem jak pozostałe.

—Ja mam trochę drobnych. Czy nic ci nie będzie? — spytała Roz, ruszając w stronę wejścia.

—Zostanę z nim. — Banknot dziesięciofuntowy najwidoczniej uspokoił czyściciela szyb, działając jak oliwa wlana do studni wypełnionej wzburzoną wodą. — Nie ma sprawy.

— Jak zadzwonisz do szkoły, zadzwoń potem na policję.

— Policję? Nie powinnam wezwać raczej karetki? Jeśli popełnił samobójstwo?

—On nie popełnił samobójstwa.

—Ale...

—Proszę. Nie mogę... — Potrząsnął głową, lecz odwrócił od niej wzrok, jakby się bał, że go uderzy... — Po prostu zrób to, Roz.

Pod życzliwym spojrzeniem karaibskiej damy Roz wybrała numer 999 i poprosiła o połączenie z policją. Zanim ktoś się odezwał, w ciągu kilku

sekund uświadomiła sobie, że jeśli poproszą ją o podanie szczegółów, nie będzie miała pojęcia, co odpowiedzieć. To Duffy powinien zadzwonić. Przez wciąż poruszające się paski plastiku widziała go, siedzącego przy otwartych drzwiach z łokciami na stole i głową w dłoniach.

Czyściciel okien zachowywał się jak pomniejszy bohater kiepskiego serialu telewizyjnego — co chwilę stawał w drzwiach, aby pokazać wszystkim, że odgrywa rolę w tym dramacie, i od czasu do czasu chwycił skafander na ramionach Duffy'ego, demonstrując, jaki jest dzielny i troskliwy.

Kiedy ktoś odebrał telefon, Roz powiedziała:

—Wydarzył się wypadek, w którym ktoś zginął. — Nie pytano jej o szczegóły, lecz wyłącznie o adres, podała go więc, dodając, że jest to zaułek odchodzący od Packington Street. Następnie znalazła dwie dwupensówki i zadzwoniła do szkoły. Od zakończenia ostatniej lekcji minęło już dziesięć minut. Roz zamieniła parę słów z nauczycielką Kathy. Okazało się, że Guy jeszcze się nie pojawił. Nauczycielka okazała jej współczucie i zgodziła się zabrać ze sobą dzieci do domu w Fortune Green. Roz podziękowała jej i właśnie mówiła „do widzenia”, gdy na korytarzu pojawił się pan Christoforou. Włożył teraz na koszulę i spodnie poplamiony, biały nylonowy żakiet, i widać było, że postarał się dobudzić, wsadzając głowę do umywalki z wodą. Jego pulchna, brązowa twarz wciąż była wilgotna, a grube wąsy i ciemne kręcone włosy błyszcząły.

—Co, do diabła, pani z moim telefonem robi? Niech pani stąd wynosi się — jego angielski był wprawdzie nieco dziwaczny, ale przeszywający ją wzrok nie pozostawiał absolutnie żadnych wątpliwości. Najwidoczniej legendarna grecka uprzejmość nie przenosiła się do innych krajów. Roz miała zamiar wszystko mu wyjaśnić, gdy na dziedziniec wjechał radiowóz policyjny i zatrzymał się tuż przed barem Oasis. Wsiadło z niego dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, po czym weszli do środka. Jeden z nich, sierżant, zbliżał się prawdopodobnie do czterdziestki, natomiast drugi wyglądał jak chłopiec z szóstej klasy. Roz przeszła przez plastikową zasłonę, a pan Christoforou podążył za nią. Starszy policjant spojrzał na nich przelotnie i zwrócił się do Duffy'ego.

—Słyszałem, że wydarzył się wypadek.

—W pokoju po prawej na górze schodów.

—Nie dotykał pan niczego?

—Pokój jest zamknięty na klucz. Widziałem wszystko przez okno.

Sierżant zwrócił się do pana Christoforou:

—Czy pan jest właścicielem tego miejsca? — Gdy ten skinął głową, sierżant spytał: — Ma pan klucz?

—Nie. Ten skurczybyk zgubił swój, więc pożyczyłem mu ten, który miałem, żeby dał zrobić nowy. Ale nie zawracał sobie tym głowy.

Sierżant zamknął drzwi baru i zaryglował je.

— Muszę państwa poprosić o pozostanie tu przez chwilę. — Przeszedł przez lokal, manewrując zgrabnie między stołami, po czym wbiegł po schodach zdumiewająco lekkim krokiem, jak na tak potężną posturę. Młody konstabl podążył za nim. Zgromadzeni na dole usłyszeli odgłos przekręcania gałki w drzwiach, po czym nastąpiła długa pauza, a w końcu bardzo głośny trzask.

Pan Christoforou wybiegł z baru, jakby go ktoś wystrzelił, i wbiegł po schodach. Zaczął wykrzykiwać coś w stronę policjantów histerycznie wysokim tonem. Jego wrzask podkreślało głębokie, uspokajające dudnienie sierżanta, a duet ten przerywały jeszcze silniejsze odgłosy walenia ramieniem w drewno. W pewnej chwili zamek się poddał i jednocześnie głosy zamilkły.

Wracając później do tego myślni, Roz pamiętała, że te dwie cisze — cisza słuchaczy: pełna lęku i ciekawości, oraz cisza obserwatorów: gęsta od dokonanego odkrycia — spotkały się błyskawicznie i wymieszały ze sobą, tak jakby zastany horror stoczył się po schodach do baru, a oni wdychali go jak dym. Cisza trwała zaledwie kilka sekund, po czym usłyszeli, że ktoś wymiotuje.

Rozległy się kroki na schodach. Przez kurtynę przeszedł pan Christoforou i opadł na najbliższe krzesło. Na górze odgłosy wymiotowania długo nie ustawały. W końcu dobiegł odgłos spuszczenia wody, prawdopodobnie — domyśliła się Roz — przez młodego konstabla. Nigdy przedtem nie widziała, aby ktoś o brązowej skórze zrobił się blady. Twarz Greka miała teraz kolor kredy.

— Ten człowiek jest szaleńcem... Matko Boska... ten człowiek to całkowity pomylenie...

Roz poczuła się zaniepokojona, słysząc czas terażniejszy. Pochyliła się i dotknęła ramienia Duffy'ego. Ten ustawiał w równej linii pojemnik na przyprawę, buteleczkę z octem i czerwony plastikowy pomidor. Niezależnie od tego, jak bardzo się starał, nie udawało mu się ustawić ich zupełnie prosto. Wybrzuszenie pomidora zawsze wystawało poza wygięcie bute-

lecarki z octem, a kiedy wyrównywał je z przodu, zaburzał linię od tyłu. Przesunął buteleczkę o kilka milimetrów, zmarszczył brwi i delikatnie odsunął rękę Roz, nie patrząc na nią. Ktoś wszedł na klatkę schodową i dobiegł do nich odgłos podnoszonej słuchawki. Sierżant powiedział parę słów, po czym odłożył telefon i wszedł do baru.

—Mój przełożony pojawi się tu lada chwila i będzie chciał zamienić parę słów z każdym z państwa. — Zwrócił się do pana Christoforou: — Czy ma pan jakiś pokój, z którego mógłby skorzystać?

—To nie ma nic wspólnego ze mną, bracie — wtrącił się czyściciel szyb — pożyczylem tylko swoją zakichaną drabinę. Mam jeszcze robotę w trzech miejscach na Packington Street. Przez cały czas, gdy siedzę tutaj, tracę pieniądze. — Oburzenie w jego głosie było jednak pozorne. Wyraz oczu zdradzał, że nie zrezygnowałby z tego za żadne skarby świata.

—Jest tylko salon. Bardzo czysty.

—Czy ma tylko jedne drzwi?

—Zgadza się. Jest bardzo prywatny.

—Chodźmy zobaczyć.

Obaj ruszyli w stronę salonu. Roz pomyślała o policjancie, który został na górze, aby pilnować ciała. Prawdopodobnie jest zaledwie pięć-sześć lat starszy od Guya. Biedaczysko. Ale przecież może nie patrzeć. Może zamknąć drzwi i zająć miejsce na podeście. Zwłoki nie są w stanie uciec. Jakże chciała, aby Duffy powiedział cokolwiek. Nie wiedziała, co mu się stało. Przyszło jej do głowy, że poczuł się zakłopotany z powodu jej jawnego rozradowania. Być może nawet nieco zażenowany. W każdym razie, skoro miała rozmawiać z policją, rozsądnie było stłumić nieco to uczucie. Nie miała wprawdzie nic wspólnego z tą śmiercią, ale jednak...

Siedzieli wokół jak aktorzy czekający na swoją kwestię.

Zdawali sobie sprawę z fizycznej obecności pozostałych, lecz całkowicie zanurzyli się w swoim wewnętrznym świecie, oczekując sceny, która ma nadejść. Roz była ciekawa, czy prowadzący tę sprawę policjanci porozumieją się z Camden Town, gdzie najpierw zgłosiła telefoniczne groźby. Prawdopodobnie komputer już ich do tego doprowadził. Pozwoliła sobie na luksus poczucia bezpieczeństwa. Przez całe życie uznawała to za coś oczywistego, lecz nigdy już tak nie będzie. Uczucie to było tak dojmujące, że wprawiało ją w upojenie. Pograżyła się niemal w stanie oszołomienia. Na

zewnątrz zatrzymały się kolejne dwa samochody, z których tylko jeden miał napis POLICJA.

Wysiadło z nich kilku mężczyzn oraz jedna policjantka. Jedynie dwaj mężczyźni byli w mundurach. Ci zostali razem z policjantką na zewnątrz. Reszta zbliżyła się do baru. Z tylnego pokoju szybko nadbiegł sierżant i otworzył zasuwę.

— Dzień dobry panu.

Z niewielkiej grupy wystąpił wysoki, siwy mężczyzna z podłużną twarzą i szerokimi ustami o wąskich wargach. Miał na sobie czarno-biały tweedowy płaszcz i miękki, ciemny kapelusz, który teraz zdjął.

— Sierżancie. Co tu mamy?

Podążyli za sierżantem na drugą stronę kurtyny. Zanim wspięli się po schodach, Roz usłyszała tylko jego odpowiedź:

„Artystę nożownika, proszę pana”.

Konstabl Farley usłyszał grupę wchodzących — ciężkie, pewne kroki. Wyprostował się i przesunął na środek drzwi, demonstrując swoją postawę, że stoi na straży. Miał nadzieję, że nie ma twarzy oblanej potem. Osuszył ją zaledwie przed chwilą, ale za każdym razem, gdy przypominał sobie zastaną w pokoju scenę (a nie mógł myśleć o niczym innym), pot oblewał go od nowa. Może polecą mu, aby został przy drzwiach. Modlił się, żeby nie musiał wracać do środka. Jeśli zajdzie taka potrzeba, to nie będzie patrzył w stronę łóżka. Nie musi przecież zajmować się ciałem ani go dotykać. O ile nie będzie zmuszony pomóc w jego wynoszeniu. Na tę myśl gardło zaciśnęło mu się gwałtownie i z trudem zachował panowanie nad sobą. W czasie szkolenia widywał różne fotografie. Odbywał ćwiczenia z manekinami. Wiedział, na czym polega praca w policji. Nie spodziewał się wcale, że spędzi życie, pomagając starszym damom przechodzić przez ulicę. Ale rzeczywistość różniła się od fotografii. To, co zobaczył, miało przerażający kolor i zapach. Nie poddawało się nieruchomo badaniom, lecz wyrywało ze swego otoczenia i wczepiało w gałki oczne, wświdrowywało w mózg.

Sierżant, który wszedł tam jako pierwszy, powiedział:

„Krwawa jatka”. Trudno było wyrazić to dobitniej.

Nadinspektor Pharaoh obserwował, jak młody policjant unosi rozłupane drzwi i odsuwa je na bok. Zauważył zielonkawy odcień jego skóry oraz wbite nieruchomo w podłogę oczy i ciekaw był, czy sam tak wyglądał trzydzieści pięć lat temu. Wszedł do pokoju. W porównaniu z nim rzeźnia wydawałaby się całkiem miłym miejscem. Patolog przepchnął się do przodu i



podszedł do łóżka. Zajął się dziewczyną tak delikatnie, jakby wciąż miało to dla niej znaczenie.

Pharaoh obszedł pokój. Mówiąc łagodnie, pokój ten sprawiał wrażenie surowego. Nie wyglądało to, jakby jego mieszkaniec świadomie pozbył się dekoracji i pociągających artefaktów z powodów estetycznych lub emocjonalnych. Był to pokój surowy w sposób odpychający, urządzony przez skąpego właściciela tylko do połowy. Obok drzwi znajdowała się półka z niewypowiedzianie plugawymi książkami. Wokół panował porządek, jedynie łóżko było w stanie całkowitego nieładu, jakby przeszła przez nie burza. Jedną ze ścian pokrywały fotografie. Wiele z nich zdobiły plamy w kolorze rdzy, tak jakby figurujące na nich osoby uległy w tajemniczy sposób jakiejś strasznej zarazie. Ściana za łóżkiem również była pokryta czerwonymi plamami, i to tak intensywnie, że w niektórych miejscach w ogóle nie było widać oryginalnej tapety.

Pharaoh spojrzął na zegarek. Wkrótce powinni się pojawić technicy kryminalistyczni. Przez okno widać było, jak jego ludzie otaczają taśmą wejście do baru i chodnik. Z fabryki naprzeciwko zaczęli już się wysypywać ludzie gapiący się na to, co się dzieje. Pharaoh przeniósł uwagę na łóżko.

Trudno było powiedzieć, ile dziewczyna miała lat i czy była ładna. Górna część jej nosa była starannie odcięta i przyciśnięta z powrotem, ukazując sprężystą chrząstkę i żywe mięso. Ofiara leżała naga na plecach, z nieco rozsuniętymi nogami. Pościel była zmierzwiona i splątana, poplamiona doszczętnie krwią. Dziewczyna wyglądała jak męczennica z włoskiego szesnastowiecznego obrazu religijnego, która potulnie poniosła śmierć od tysiąca razy. Patolog poruszył jedno z jej ud i wskazał Pharaohowi zwisający z niego skrawek delikatnej tkanki.

—Spójrz na to, Alan. Najbardziej rzuca się w oczy, że sprawiało mu to przyjemność. Lepiej zajmij się tym jak najszybciej.

—Nie wygląda to miło — jeśli nadinspektor Pharaoh obruszył się na tę próbę poganiania go, nie dał tego po sobie poznać.

—Jak długo nie żyje?

—Trudno powiedzieć dokładnie. Autopsja pomoże bliżej określić porę śmierci. W pokoju jest teraz zimno i nie widzę żadnego kominka. Ale na dole jest bar, a kiedy ten jest otwarty, bijące z niego ciepło z pewnością wpływa na panującą tu temperaturę. Powiedziałbym, że mniej więcej czterdzieści osiem godzin.

Pharaoh skinął głową. Przybyli technicy kryminalistyczni, włożyli rękawiczki i przystąpili do pracy. Brali próbki, przyklepiali etykiety i za pomocą precyzyjnych narzędzi gromadzili materiały, sporządzając w ten sposób dokładną dokumentację pomieszczenia. Kiedy nadinspektor wychodził, odcinali właśnie paski poplamionej tapety.

Na dole podszedł do niego sierżant.

—Pan Christoforou zaoferował nam swój salon, proszę pana.

—To właściciel?

—Zgadza się, proszę pana.

—Z nim chcę porozmawiać najpierw. I proszę poprosić konstabla Bazely, żeby tu przyszedł, dobrze? — Wchodząc do salonu pana Christoforou, skrzywił się nieco na widok kontrastu między jego przeładowanym przepychem a surowością kostnicy na piętrze. Przyciągnął naprzeciw sofy fotel ze złotymi, trzęsącymi się frędzlami, i postawił między tymi dwoma meblami niski onyksowy stolik. Gdy wszedł konstabl Bazely, wskazał mu koktajl-bar, przy którym stał wysoki stółek. Konstabl usiadł i położył notes na blacie barku. Nadinspektor skinął w stronę sierżanta, stojącego w drzwiach w wyczekującej pozycji. Ten opuścił pokój i powrócił z panem Christoforou, który wszedł do własnego salonu tak niepewnym krokiem, jakby to było pole minowe. Przycupnął na krawędzi sofy, a nadinspektor Pharaoh zajął miejsce w fotelu. Po kilku podstawowych, wstępnych pytaniach potwierdzających dane osobowe pana Christoforou oraz jego pozycję jako właściciela tego miejsca, zwrócił się do niego:

—Jak długo wynajmuje pan ten pokój na górze?

—Jakieś trzy lata. — I natychmiast dodał, jakby się tłumacząc: — Ozdabianie go nie zdaje się na nic. Ludzie to świnię. Wie pan o tym?

—A ostatni lokator?

—On tu jest... jakieś trzy miesiące.

—Czy pracuje?

—Nie mam pojęcia. Płaci za wynajem. To wszystko, co mnie obchodzi.

—Kiedy widział go pan po raz ostatni?

—Dwa dni temu. Późnym wieczorem. Zazwyczaj nie widzę, jak wychodzi i przychodzi. Tam jest wyjście przeciwpożarowe. Drzwi na podście, żelazne schodki na tyłach budynku, i kolejne drzwi z podwórka na alejkę. Ale czasem wychodzę na klatkę po kolejną porcję frytek.

To był uśmiech losu. Pharaoh zauważył przedtem duże, niebieskie, plastikowe torby pełne frytek, zgromadzone pod ścianą obok automatu telefonicznego.

— O której to było godzinie?

Grek wzruszył ramionami.

— Mieliśmy otwarte może z godzinę. Około ósmej... Wpół do dziewiątej... Powinniśmy wkrótce otworzyć. Jak moi klienci mają przechodzić przez tę waszą taśmę?

— Obawiam się, że dzisiaj nie będzie pan mógł otworzyć.

— Nie otworzyć! To nie moja wina, że na górze jest zabita dziewczyna. Co się stanie z moim biznesem? Policja zapłaci?

— Prawdopodobnie gdy to się znajdzie w prasie, interes rozkwitnie stukrotnie. Taka już jest ludzka natura.

Pan Christoforou się uspokoił.

— Stukrotnie, mówi pan? — Policjant skinął głową. — Może jak im pokażemy ten pokój, to podniesiemy ceny?

Pharaoh spytał:

— Czy widział pan, jak przyszła ta zamordowana dziewczyna?

— Tak. Najpierw zadzwoniła. Powiedziała, że chce mu zrobić niespodziankę. Potem przyszła...

— Proszę poczekać. Niech mi pan powie wszystko, co pamięta z tej rozmowy telefonicznej. — Wysłuchawszy tego, spytał: — A więc nie miała jego adresu?

— Powiedziała, że nie ma swojego notatnika z adresami.

— A nie mówiła, skąd będzie jechać?

— Nie.

— Czy to pan ją wpuścił do środka?

— Tak. Przyszła do baru. Właśnie otworzyliśmy. Ludzie nie znają drogi na tyły, jak im się nie wyjaśni.

— I wiedział pan, że pana lokator...?

— Fenn.

— ...był wówczas u siebie?

— Jasne. Słyszałem, jak otwiera drzwi na podest...

— Pokój znajduje się bezpośrednio nad barem. Czy nic pan nie słyszał? Żadnych odgłosów szamotaniny?

— Prawdę mówiąc, nie. Ludzie w barze gadają. Paplają bardzo głośno. Radio włączone. Jest dużo hałasu. Może i słyszałem jakieś walenie... —

mrugnął porozumiewawczo ze sprośnym uśmiechem i dotknął palcem wskazującym nosa — wie pan, co mam na myśli?

No cóż, autopsja wykaże, czy najpierw miał z nią stosunek. Cała sprawa zaczynała wyglądać wyjątkowo paskudnie.

— Proszę opisać go teraz tak dobrze, jak pan potrafi. Kiedy pan Christoforou skończył, Pharaoh go odprawił.

Natychmiast w drzwiach pojawił się sierżant. Nadinspektor poprosił, aby przyprowadził teraz mężczyznę, który odkrył zwłoki.

Duffy był blady i zszokowany. Podał swoje nazwisko, adres i zawód, a następnie opisał wydarzenia, które doprowadziły do strasznego odkrycia.

— I myśli pan, że ta dziewczyna to sekretarka pani Gilmour?

— To najbardziej prawdopodobne. Gdy uświadomiła sobie, czym się zajmował... To się wydaje nieco szalone... To znaczy najgorsze, o co można go było wówczas oskarżyć, to rzucanie gróźb... ale może on taki jest. Szalony, chciałem powiedzieć. — Pharaoh skinął głową. — Musi pan chronić panią Gilmour — dodał gwałtownie Duffy. — Wszyscy myśleliśmy, że to jakiś nieszkodliwy wariat, który rzuca nieprzyjemne groźby bez pokrycia. Ale to... — jego głos zaczął zanikać.

— Czy byłby pan gotowy zidentyfikować ciało, panie Duffield?

Duffy sprawiał wrażenie chorego i przerażonego. Wiedział, że to, co ujrzał przez okno sypialni, pozostanie z nim przez resztę życia. Na myśl o tym, aby naprawdę wejść do pokoju i przyjrzeć się temu z bliska, poczuł mdłości.

— Oczywiście nie możemy pana do tego zmusić. Jej rodzice...

— Chryste, niech pan nie prosi o to jej rodziców! — Nie mógł znieść myśli o starszej parze, podtrzymującej się wzajemnie i spoglądającej na to, co pozostało z ich córki. — W porządku — rzekł, podnosząc się z siedzenia. — Czy ona... czy to... wciąż się tu znajduje?

— Tak. — Pharaoh poprowadził go po schodach. Młody konstabl stał we framudze, a drzwi oparte były o ścianę korytarza. Pokój wypełniony był ludźmi zajmującymi się swoimi czynnościami ze zrećnością, spokojem i zdecydowaniem. Mimo zimnego dnia, było tu ciepło, a w powietrzu unosił się intensywny, metaliczny zapach, który żołądek Duffy'ego zidentyfikował jako zapach krwi. Patolog spojrział na nich i stwierdził:

— Jesteśmy prawie gotowi. — Odszedł od łóżka, a Alan Pharaoh odsunął się na bok.

Duffy przeszedł przez pokój, po czym przekręcił z trudem głowę, jakby ktoś ją popychał wbrew jego woli, aby spojrzeć na to, co tam leżało. Pharaoh widział, jak na jego woskowobiałej twarzy pojawia się wyraz niedowierzania i zgrozy. Kiedy w końcu zdecydował się spojrzeć, miał wrażenie, że nie jest w stanie oderwać od tego wzroku. Wpatrywał się bez końca, a po twarzy spływały mu strumienie potu.

— Nie wiem... — wyszeptał. — Trudno powiedzieć... Tak... tak mi się wydaje... O, Boże... — Odwrócił się i wybiegł, odpychając gwałtownie konstabla na bok. Na dole, w salonie, potwierdził, że ciało, które widział, należy do Soni Marshall.

Następnie nadinspektor Pharaoh przepytął czyściciela szyb. Branie udziału w śledztwie dotyczącym morderstwa utraciło stopniowo cechę sensacji i czyściciel znowu zaczął narzekać. Potwierdziwszy przypadkowy charakter swojego udziału w sprawie, podpisał zeznanie, po czym pozwolono mu odejść.

Do salonu wszedł sierżant.

— Pan Christoforou robi kawę, proszę pana.

— Dobrze. Chętnie się napiję. Teraz chciałbym porozmawiać z panią Gilmour.

— Sześćdziesiąt pensów czarna lub osiemdziesiąt z mlekiem i cukrem.

— Co takiego? Och, czarna.

Gdy przyniesiono kawę, przypominała błoto. W zgromadzonych na dnie fusach można było postawić łyżeczkę. Sierżant zauważył:

— Myślę, że to zagraniczna, proszę pana.

Nadinspektor spojrział na panią Gilmour i po raz pierwszy poczuł się zaskoczony. Choć najwidoczniej starała się panować nad swoim wyrazem twarzy, miał nieodparte wrażenie, że oładnęła ją ogromna radość, niemal uniesienie. Jeśli to, co powiedział mu Duffield, było prawdą, to nie tylko nie było ku temu powodu, lecz można by się spodziewać czegoś wręcz odwrotnego. Mężczyzna, który groził, że odbierze jej życie, zamordował kogoś, zniknął bez śladu i pozostawał na wolności, prawdopodobnie gdzieś w Londynie. Pharaoh zakładał, że jego rozmówczyni zdaje sobie sprawę z obecnej sytuacji, lecz aby całkiem wyjaśnić sprawę, stwierdził bez wstępu:

— Pan Duffield zidentyfikował martwą dziewczynę jako pani sekretarkę, Sonię Marshall.

Nastąpiła długa pauza.



— Dziewczyne...? — przypominało to żabi skrzek. Nadinspektor uważnie obserwował jej twarz. Widział, jak się zmienia. Nie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak naprawdę wygląda sytuacja. — Nie rozumiem.

—Zorientowała się pani z pewnością, że miało tu miejsce morderstwo?

—Oczywiście... nie... To znaczy... wiedziałam, że tam na górze jest martwa osoba. Myślałam, że on popełnił samobójstwo.

—Niestety nie. Nie mielibyśmy tego wszystkiego — objął szerokim gestem konstabla z notesem, sierżanta i pokój na piętrze — w wypadku zwykłego samobójstwa.

—Oczywiście, że nie. Przepraszam. Na pewno uważa pan, że jestem bardzo głupia.

—Absolutnie nie. Wszyscy chwytamy się szansy, aby wierzyć w to, w co bardzo chcemy uwierzyć. Bez wątpienia pan Duffield uznał, że pozabawienie pani złudzeń jest dla niego zbyt trudnym zadaniem.

— Ale powinien był to zrobić.

— Rzeczywiście, powinien. — Wydawała się całkiem załamana. Pharaoh czuł się, jakby rozdeptał motyla. — Chciałbym, żeby mi pani powiedziała, jeśli to możliwe, co pani wie o tym mężczyźnie, poczynając od chwili, gdy się z panią pierwszy raz skontaktował. — Wpatrywała się w niego. — Proszę się nie spieszyć.

W końcu odezwała się, niewyraźnie wypowiadając słowa, jakby była wyczerpana:

— Ale ja już przeszłam przez to wszystko. W Camden Town.

— Wiem o tym. Otrzymam stamtąd wszystkie protokoły i zeznania, jak również wszelkie materiały z Southampton Row, ale chciałbym, aby mi pani opowiedziała o tym od początku.

A więc opowiedziała mu o tym od początku. W jaki sposób wydedukowali, że Fenn ma powiązanie z Sonią. Jak go wytropili. Wydawało jej się, że mówi wiele godzin. Pojawiło się więcej kawy — o ile to możliwe, jeszcze bardziej błotnistej i paskudnej niż poprzednia — razem z rachunkiem na talerzyku. Wydawało się, że wokół nie słyhać nic poza brzmieniem jej głosu oraz cichym szmerem kartek przierzucanych przez robiącego notatki policjanta. W końcu Roz zakończyła swoje opowiadanie.

Nadinspektor zwrócił się do niej:

—Muszę poprosić panią i pana Duffielda, abyście państwo przyszli na posterunek, przeczytali swoje zeznania i podpisali je.

—Jestem zmęczona.

—Przykro mi. — Wcale nie sprawia! wrażenia, że mu przykro. — To nie zabierze dużo czasu. Ktoś odwiezie panią do domu. Czy będzie tam pani mąż?

—Tak mi się wydaje. — Od chwili, gdy dotarli do Oasis, nie pomyślała o nim ani razu. Spojrzała na zegarek. Minęła już siódma. A więc wrócił do pustego domu. Ani dzieci, ani żadnej wiadomości. Na pewno zadzwonił w takiej sytuacji do nauczycielki Kathy, aby sprawdzić, czy odebrała dzieci. Zastanawiała się, czy pamiętał, że od czasu, gdy pani Holland przejęła funkcję przewodniczącej rady rodziców i nauczycieli, jej numer domowy znajdował się w ich wspólnej książce adresowej.

—O której rano pani mąż wychodzi?

—O ósmej trzydzieści... za kwadrans dziewięć...

—Do tej pory przyślemy do pani domu uzbrojonego człowieka. I policjantkę.

—Och... jeśli uważa pan, że to konieczne. — Wpatrywała się weń niewidzącym wzrokiem, sprawiając wrażenie niemal zdziwionej. Przez chwilę nadinspektor miał ochotę zaciągnąć ją bez pardonu na górę i zmusić do spojrzenia na zwłoki. Potem uświadomił sobie, że jej pozorna obojętność to w rzeczywistości niemożność pogodzenia się z tym wszystkim. I któż mógł ją za to winić?

—Pani Gilmour, do czasu złapania tego mężczyzny nie powinna pani być sama. Ani w domu, ani w drodze do pracy i z pracy. — Dodał nieco łagodniej: — Sądzę, że nie uświadamia sobie pani w pełni, jak niebezpieczna jest teraz pani sytuacja. Wątpię, czy ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach. Z pewnością ma obsesję na pani punkcie. I nie ma zamiaru dać za wygraną.

—Tak. Zawsze to wiedziałam, naprawdę. Od samego początku, kiedy wszyscy inni twierdzili, że to nieszkodliwy wariat. Nigdy nie byłam w stanie w to uwierzyć.

Podniosła się sztywno. Nadinspektor odprowadził ją do drzwi. Podszedł do nich sierżant ze słowami:

— Pani mąż jest tutaj, pani Gilmour.

Zatrzymała się w drzwiach. Przy jednym ze stołów siedział Duffy, pogrążony w rozmowie z o wiele starszym mężczyzną o śmiertelnie szarej twarzy i zgarbionych plecach. Na jej widok mężczyzna podniósł się ciężko.

— Leo? — Rzuciła się w stronę stołu. Objął ją i przycisnął gwałtownie do piersi. Spojrzył w dół na jej twarz, dotykając jej włosów. Stali tak sple-

ceni przez długą chwilę. Coś się za nimi poruszyło i Roz bardziej wyczuła, niż zobaczyła, że Duffy wstaje i odchodzi. Nie oglądając się, zamienił parę słów ze stojącym przy drzwiach sierżantem, po czym wyszedł z baru i wsiadł do jednego z samochodów policyjnych, który odjechał natychmiast, pograżając się w ciemności.

—Musisz stąd wyjść... kochanie, musisz stąd wyjść. Zabiorę cię do matki. Pojedziemy tam dziś wieczorem... teraz.

—Leo, poczekaj. Czy z dziećmi wszystko w porządku?

—Co takiego? — wydawał się niezmiernie zdziwiony, jak gdyby przemawiała do niego obcym językiem.

—Dzieci.

—Och... tak... Pani Holland zatrzyma je u siebie do jutra. Powiedziała mi, gdzie jesteś. — Po raz trzeci powtórzył: — Musisz stąd wyjść.

Ponad jego ramieniem, w świetle lampy na dziedzińcu, widziała samochody zaparkowane poza obszarem ograniczonym taśmą. Zgromadzeni za nią ludzie wpatrywali się w jasno oświetlone pomieszczenie baru. Roz czuła się tak, jakby znajdowała się na planie filmowym. Podszedł do nich nadinspektor Pharaoh.

—Pan Gilmour? — Kiedy Leo skinął głową, ciągnął: — Pańska żona musi udać się na posterunek, żeby podpisać zeznanie. W drodze do domu będą państwo mieli eskortę. Zanim państwo wejdą do środka, ktoś dokładnie sprawdzi cały dom. Czy jest dobrze zabezpieczony?

—Tak mi się wydaje. Wszystkie okna mają zamki. Mamy zapadkę i łańcuch na frontowych drzwiach. Na tylnych dwie zasuwki.

Słuchając męża, Roz myślała, że mówi zupełnie jak somnambulik.

— Czy posiada pan jakąś broń?

Leo spojrział na policjanta zaskoczony.

— Oczywiście, że nie.

Nadinspektor ciągnął z ożywieniem:

—Jutro rano pojawi się u państwa funkcjonariusz w towarzystwie policjantki. Będzie uzbrojony. Proszę nie opuszczać domu, dopóki się nie zgłoszą..

—Niech sobie pan nie zawraca tym głowy. Zabieram stąd żonę. I dzieci. Żadne z nich nie wróci do domu, dopóki nie złapiecie tego szaleńca.

W głosie Leo pojawiła się pewna zawziętość. Rozluźnił swój uścisk i Roz wykręciła się w jego ramionach. Mimo agresywnego tonu, jakim przemawiał Leo, i siły, z jaką ją trzymał, wyczuwała strach, ogarniający go

jak pożar lasu. Wyzwoliło to w jej własnym sercu wielką czułość i opiekuńczość. Ona, osoba zagrożona, stała się pocieszycielką. Kiedy przyglądała się jego zmęczonej twarzy, czuła, że wzbiera w niej siła.

—Rozumiem — głos nadinspektora nie był pozbawiony współczucia. — Rozumiem dobrze, że taka jest pańska spontaniczna reakcja, ale mam nadzieję, że po przedyskutowaniu tego z żoną zmieni pan zdanie.

—Nie zostanie tutaj jako przynęta tylko po to, żebyśmy mogli się przekonać, czy pańscy ludzie zdążą go złapać na gorącym uczynku.

Głos Leo przeszedł w krzyk i poza czułością Roz zaczęła odczuwać narastający gniew. Uznała, że musi coś zrobić lub powiedzieć, bo w przeciwnym wypadku jej samoświadomość, która w ciągu ubiegłych dwóch tygodni zaczęła stopniowo się chwiać, ulegnie całkowitemu unicestwieniu.

Wiedziała, że Leo kieruje się szlachetnymi przesłankami: miłością i troską o jej dobro. Wydawało jej się, że powinna być z tego zadowolona. W końcu, jak wielu było na świecie ludzi, o których nikt się nie martwił, czy żyją, czy umarli. Powinna odczuwać wdzięczność, że jest kochana. Dlaczego jednak ma to dawać tej drugiej osobie prawo do dominowania? Prawo do traktowania jej, jakby nie była w stanie zadbać o samą siebie? Powiedziała zdecydowanym głosem:

— Nie chcę tu o tym rozmawiać. Czuję się jak w akwarium. — Poszła z powrotem do salonu, nie pytając nadinspektora o pozwolenie. Gdy obydwaj mężczyźni podążyli za nią, zwróciła się do Pharaoha: — Nie mamy pojęcia, gdzie ten człowiek się znajduje, prawda? Po prostu gdzieś tam poza domem.

—To prawda. Ale otrzymaliśmy od pana Christoforou bardzo szczegółowy opis i mamy zamiar sporządzić portret pamięciowy. Pokażemy mu go dla sprawdzenia, a potem roześlemy, gdzie trzeba. Ten człowiek jest podejrzany o popełnienie morderstwa, więc policja będzie go szukać wszędzie.

—Do tej pory mógł się znaleźć daleko — zauważył Leo.

—Nie wydaje mi się — odparł Pharaoh. Spojrzał na Roz, zawahał się, po czym wyjaśnił: — Musimy uświadomić sobie niemiły fakt, że gdziekolwiek znajdzie się pańska żona, on będzie w pobliżu.

—Myli się pan co do tego. Nie mam nawet zamiaru powiedzieć panu, dokąd ją zabieram.

Robili to znowu: mężczyźni zmawiający się ze sobą. Nawet gdy się ze sobą kłócili, była to zmowa.

—Nie mam zamiaru nigdzie jechać — powiedziała.

—Zrobisz to, co... — Leo przerwał. Inni przyglądali mu się, zdając sobie sprawę, że w myśli dokończył to zdanie. Stał teraz bezradnie, patrząc na Roz. Jak mógł inteligentnej, bystrej kobiecie, z którą żył piętnaście lat, która bez porozumiewania się z nim, ponieważ taki był charakter ich związku, podejmowała decyzje dotyczące jego życia i życia jego dzieci, powiedzieć nagle, aby zachowała się tak, jak jej kazał? Kolejnych słów nie podyktował mu ani instynkt, ani nawet przebiegłość. Przemówił z głębi serca, jakby poza jego żoną nie było tam nikogo: — Roz, gdyby coś ci się stało, nie zniósłbym tego.

Natychmiast podeszła do niego i chwyciła go za rękę:

— Posłuchaj, Leo. Jeśli teraz ucieknę, to nigdy nie będzie- my mieć spokoju. Zgadzam się, że powinieneś zabrać stąd dzieci. Posługując się nimi, on może mnie ugodzić silniej niż w jakikolwiek inny sposób. Niewykluczone, że nigdy mu to nie przyjdzie do głowy, lecz nie wolno nam podjąć takiego ryzyka. Ale ja zostanę tutaj. — Leo zaczął coś mówić, ale ona ciągnęła dalej: — Przecież nie mogę ukrywać się do końca życia. A jeśli nie zostanie złapany w ciągu miesiąca? W ciągu sześciu miesięcy? Przez cały rok? Niektórych morderców nigdy nie udaje się złapać. Mamy żyć oddzielnie przez resztę życia? Mam się ukrywać jak zwierzę w norze? Myślisz, że on nie będzie w stanie obserwować domu i pojechać za tobą, gdy wybierzesz się kiedyś do mnie? Kochanie, wiem, jak to jest. Gdyby sytuacja była odwrotna, myślałabym tak samo.

Rozluźniła swój uścisk, obejmując go delikatniej. Uświadomiła sobie, że po prostu powiedziała prawdę. Widok jego rozpaczony, jego ściągniętej, postarzałej twarzy naznaczonej miłością i strachem, wstrząsnął nią, budząc z powrotem do życia jej własną miłość. Czuła, że ta miłość — do niego, do dzieci, do ich wspólnego życia — dodaje jej teraz siły. Jakże cenne były te wszystkie aspekty miłości! Teraz wydawało jej się, że wplątanie się w przygodę z Duffym było czymś trywialnym, że był to zaledwie przesadnie romantyczny, nieco nierealny przerywnik.

—Nie proszę cię, żebyś przyjął to spokojnie — ciągnęła — byłoby to niedorzeczne, ale policja obiecała mi ochronę i jeśli tylko on czegoś spróbuje — ich dłonie połączyły się instynktownie — to go złapią.

—O Boże, nie możesz być tego pewna, Roz. — Leo zwrócił się do nadinspektora; — Czy może pan to zagwarantować?



—Możemy zagwarantować, że pańska żona będzie miała ochronę, panie Gilmour. To oczywiste, że nie możemy jej zagwarantować całkowitego bezpieczeństwa.

—No widzisz! — Leo odwrócił się z powrotem do Roz. — Nic dla nich nie znaczysz. Będiesz po prostu kolejnym przypadkiem tragicznej śmierci. Możemy sprzedać dom. Wyprowadzić się...

—Leo, Zastanów się nad tym, co mówisz. Złamałbyś życie dzieci, ode-rwał je od przyjaciół, zaburzył ich naukę. Ucierpiałaby na tym twoja praca. Pomyśl o badaniach, które prowadzisz. Jesteś częścią zespołu szpitalnego. Publikujesz swoje artykuły. Nie możesz zaczynać gdzie indziej od począt-ku. Nie pozwolę, żeby życie naszej rodziny zostało zrujnowane z powodu jakiegoś szaleńca, którego nigdy nawet nie spotkałam. **Nie pozwolę na to, Leo.** — Roz wstała, czując przyspieszone bicie serca, i uświadomiła sobie, że ten nagły wybuch energii podsycany był strasznymi wizjami unicestwie-nia Fenna. Jakim cudem takie obrazy wtargnęły do umysłu kobiety prowa-dzącej spokojne, wypełnione miłością, pozbawione przemocy życie? Wszy-scy jesteśmy do tego zdolni, pomyślała, ja też jestem zdolna do zabicia ko-goś. Czowała, że wiedza ta zmieniła ją w jakiś subtelny sposób, którego nie potrafiła zdefiniować. Ciągnęła już spokojniej: — Chcę go zobaczyć. Chcę zobaczyć, jak wygląda. Pragnę nadać kształt i obdarzyć twarzą całą tę plu-gawość, która ściekła do mojego życia, niszcząc nasze szczęście, krzyw-dząc moje dzieci. — Odwróciła się do Pharaoha. — Pojadę teraz z panem, żeby podpisać swoje zeznanie. Kiedy opuścili salon, Leo powiedział:

— Na pewno do jutra znajdzie się to w prasie. Gdy ludzie dowiedzą się, jak on wygląda...

Nadinspektor przerwał mu:

—Wręcz przeciwnie. Poproszę media o niepodawanie tego w wiado-mościach. Gdyby usłyszał, że odkryto zwłoki, mógłby się zapaść pod zie-mię nawet na wiele miesięcy i nigdy nie udałoby się nam do niego dotrzeć.

—Z pewnością racjonalnie myślący człowiek tak by się zachował, ale ktoś ogarnięty obsesją...

—Musi pan pozwolić mi działać w tej sprawie tak, jak uważam za słuszne, panie Gilmour.

Roz czuła, że wzrasta między nimi napięcie. Jeszcze chwila i zaczną doskakiwać do siebie jak dwa teriery. Bar był niemal pusty. Na zewnątrz policja próbowała usuwać gapiów, którzy nie chcieli się ruszyć z miejsca.

Gdy Roz i Leo pojawili się we fluorescencyjnym świetle, podniósł się szmer głosów i ludzie zaczęli się cisnąć do przodu.

— Czy nie ma tu jakiegoś tylnego wyjścia? — spytał Leo.

Pan Christoforou wzruszył ramionami. Darł właśnie na kawałki małą kupkę niezapłaconych rachunków. Rzucił je w powietrze.

— Jasne, że jest. Możecie sobie nim wyjść, nie płacąc tak jak inni.

Cofnęli się na klatkę schodową i znaleźli tylne drzwi, które wychodziły na zapuszczone tylne podwórko śmierdzące zastałym olejem do smażenia i rybami. Była tam góra drewnianych skrzynek, beczka oleju i przybudówka, która śmierdziała jeszcze gorzej niż ryby. Staromodna żółta latarnia rozsiewała na całą scenę siarkowy blask podobny do jupiterów. Zaczęli posuwać się do przodu. Po obu ich stronach stały kontenery wypełnione śmieciami. Na wierzchu jednego z nich coś się poruszyło. Roz zatrzymała się w miejscu.

— Leo... — Podeszła bliżej. To, co ujrzała, zupełnie zbiło ją z nóg. Cały jej gniew się ulotnił. Siła uleciała. Po policzkach zaczęły się toczyć łzy ulgi, słabości, nie wiadomo czego jeszcze. — Och, Leo... spójrz...

Na stercie psujących się rybich głów i wnętrzności, z błyszczącymi ośmi sterczącymi po obu stronach pyszczka, przycupnął duży kot dziwnego kształtu i jeszcze dziwniejszej barwy.

Fenn siedział na brzegu łóżka, słuchając, jak mężczyzna po lewej za przepierzeniem ze sklejki kaszle i pluje. Bóg jeden wiedział, do czego spluwa, bowiem w żadnym z boksów nie było umywalki ani nocnika. Adres tej rozpadającej się nory dla szczurów znalazł na ulotce przyklejonej do drzwi toalety męskiej na stacji Dalston Junction. Zwracano się tam z apelem do młodych osób przybywających do Londynu, aby skontaktowały się z organizacją prowadzącą schronisko, jeśli nie mają dokąd się udać, prawdopodobnie po to, by uchronić je przed niewłaściwym towarzystwem. Można się było z tego uśmieć.

Od kiedy opuścił Oasis, co chwilę wybuchał śmiechem. W pewnym momencie, wyobrażając sobie twarz Soni w chwili, gdy uświadomiła sobie, że zabiera się do zoperowania jej nosa, niemal dostał konwulsji ze śmiechu i musiał przysiąść na krawężniku do czasu, gdy udało mu się opanować trzęsące się konwulsyjnie ciało. Na szczęście to był Londyn i kolejna osoba zachowująca się nieco dziwnie nie wzbudzała w innych zainteresowania. Musiał jednak zachować ostrożność. Musiał wypełnić do końca swoją misję. Kiedy to uczyni, będzie mógł się śmiać, ile mu się podoba. Tak długo i

tak głośno, jak mu się podoba. Wówczas naprawdę będzie miał co świętować.

Zza przepierzenia po prawej dobiegło go głośne gulgoczące chrapanie — regularne, lecz niezgodne z rytmem kaszlu i plucia. Żaden z tych odgłosów mu nie przeszkadzał. Był już niemal ranek. Nie spał ani trochę. Przypominał fajerwerk o długim, wolno palącym się lonicie. Czuł, jak w jego żyłach wzbiera nienawiść. Nienawiść zredukowana w tyglu jego ambicji do niezwyklej siły. Jego umysł nie był zanieczyszczony pojęciami dobra i zła. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy te słowa miały dla niego jakąkolwiek wartość. Pulsująca w jego ciele energia zmusiła go do wstania, lecz w boksie ze sklejki nie miał się dokąd udać. Usiadł znowu. Nie przeszkadzało mu to, że wcale nie spał; przyszedł tu, aby nie być skazanym na włóczenie się po ulicach, a nie żeby odpocząć. Dopóki to wszystko się nie skończy, nie będzie dla niego odpoczynku. Sięgnął pod żelazne łóżko i pomacał swój mundur w plastikowej torbie. Wiedział, że tam się znajduje, lecz musiał to wciąż sprawdzać. Soni jeszcze nie znaleziono, bo w przeciwnym wypadku znalazłoby się to we wszystkich gazetach, prawdopodobnie nawet w radiu i telewizji. To, co jej zrobił, było wystarczająco spektakularne.

Gdy otworzył jej drzwi, od razu wiedział, po co przyszła. Przez jedną sekundę ich zwykłe role się odwróciły. Spojrzeli na siebie — ona z bagażem wiedzy, zadowolona, afiszująca się swoim triumfem jak proporcem bitewnym, a on wytracony z równowagi i zaniepokojony. Po chwili jednak uśmiechnął się, otworzył szeroko drzwi i w chwili, gdy zamknęły się za nią, był już zupełnie spokojny. Nie pokazał jej tego jednak. Usłyszawszy jej kwieciste oskarżenia okraszone wieloma pobożnymi zwrotami, odegrał perfekcyjnie rolę przejętego kochanka. Nie- co zawstydzony (naprawdę nie miałem zamiaru, żeby sprawy zaszły tak daleko), tłumaczący się miłością (nie mogłem znieść sposobu, w jaki cię traktowała) i w końcu ogarnięty żądzą.

— Zastanawiam się, kochanie, czy kiedykolwiek będę w stanie cię ujrzeć — zrećźnie zdejmował jej bluzkę — i nie chcieć natychmiast wziąć w ramiona — to samo ze spódnicą — aby obsypać pocałunkami.

Nie próbowała nawet być subtelna:

— To po prostu oznacza, że musimy się pobrać nieco wcześniej, niż myśleliśmy. Żona nie może zeznawać, wiesz o tym... — Spojrzawszy na niego łobuzersko, przypieczętowała swój los.

—Nie masz pojęcia, jak często wyobrażałem sobie ciebie tutaj... — rozsunął jej członki i delikatnie zmienił ich położenie — w ten sposób.

—Głuptasie... — Jakże słodkie były jego pocałunki. Nigdy przedtem tak jej nie całował. — Wystarczyło przecież, żebyś mnie zaprosił.

— Nie mogłem, aniele. To takie okropne miejsce. Chciałem, żebyś myślała, że jestem... — pozwolił swoim marzeniom zawisnąć tęsknie w powietrzu ponad jej głową.

Sonia poczuła, że jej serce staje się gorące i rozkwita. Przed chwilą czule ją obejmował, a teraz całkiem się odsłonił.

— Tak jakby mnie to obchodziło. To ciebie kocham.

Długa, pełna szczęścia pauza. Fenn usiłował myśleć zimno.

Próba zadowolenia drugiej osoby była dla niego czymś zupełnie nowym. Dla Soni również. Zachwycił go pomysł zderzenia dwóch uczuć. W końcu, im większa będzie jej przyjemność, tym większy przeżyje strach, gdy uświadomi sobie nagle, co się dzieje.

No cóż, tak właśnie chciał to zrealizować. I całkiem dobrze sobie radził. Coraz głębiej, we właściwym tempie, przyspieszając co chwilę odrobinę. Zastanawiał się przy tym nad ostatnim ciosem prosto w serce. Myśl o wprowadzeniu tego w czyn, o sile, której będzie do tego potrzebował, była niesłychanie stymulująca. Postanowił, że uczyni to w momencie jej orgazmu.

Potem, gdy wszystko poszło nie tak jak trzeba, przyszło mu do głowy wyrażenie „nie wiem, co się ze mną stało”, które tak często spotykał w prasie. Uważał je za zwyczajny wykręt lub oznakę odrażającej słabości. On zawsze doskonale wiedział, co robi, i nie mógł sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej. Gardził ludźmi, którzy nie panowali nad sobą w stu procentach. I wówczas przytrafiło się to jemu samemu.

Umieścił nóż na tandetnej bambusowej szafce obok łóżka, aby mieć go pod ręką. Wyciągnął go z paska dżinsów, gdy Sonia zdejmowała rajstopy, odwrócona do niego plecami. Oznaczało to, że nóż znajduje się w polu jego widzenia. Przyciągał jego uwagę za każdym razem, gdy się wycofywał, i w wyobraźni wchodził znów w ciało Soni razem z nim. Jakby kochał się razem z nim. Kiedy doszedł niemal do szczytu, prawie bezwolnie przerzucił całą swą energię do prawej ręki, chwycił nóż i jednym cięciem otworzył jej nos. Choć odbyło się to tak szybko, szok i skrajne przerażenie Soni zapewniły mu chwilę ogromnej przyjemności. Wcisnął jej pięść w usta i szybko zakończył swoją robotę.

Nie lubił myśleć o tym, co stało się później. O tym wszystkim, czego dokonał jego nóż. To było głupie, opóźniało jego ucieczkę. Gdyby wtedy po prostu się przebrał i od razu wyszedł, nie zobaczyłby go na dole ten tłusty Grek. Chociaż ten nie podejrzewał niczego, a dziewczyny jeszcze nie znaleziono. Uczynił wielki wysiłek, aby zmienić bieg myśli. Nie miało sensu rozpamiętywanie czegoś, co zostało definitywnie zakończone.

Słyszał, jak na zewnątrz budynku klekoczą skrzynki z mlekiem. Wciąż było ciemno, lecz domyślał się, że jest koło siódmej. Mógł dostać miskę szarego, brejowatego świństwa, które tu na dole nazywano owsianką. Miał nadzieję, że nie ma teraz nikogo poza obsługą kuchni. Nie miał ochoty na kolejną porcję tego, co ludzie prowadzący to miejsce nazywali „doradztwem”. Tego wieczoru, gdy przybył, jakiś dziwoląg z brodą o błogim uśmiechu i męskim uścisku dłoni usiłował dowiedzieć się czegoś o życiu Fenna. Czy opuścił dom z powodu jakiejś kłótni, czyjego rodzice będą się martwić, czy ma w Londynie przyjaciół? Jakby nie miał wystarczająco wiele na głowie bez konieczności radzenia sobie z osobami uszczęśliwiającymi innych.

Dopisało mu jednak szczęście. W kuchni była tylko jakaś młoda Hinduska wlewająca breję do fajansowych misek. Wziął jedną z nich i usiadł w najdalszym kącie, gdzie mimo podjętego postanowienia, wrócił myślami do pokoju przy Lucy Place. Gdy Sonia zostanie znaleziona, nawet niedorozwinięte gliny będą w stanie dodać dwa do dwóch. Oczywiście, zidentyfikowanie jej może trochę potrwać (jej torebkę zostawił w metrze), lecz w nieunikniony sposób każda minuta przybliżała ten moment. Powinien natychmiast zabrać się do dzieła.

Zostawił swoją owsiankę i udał się do pomieszczenia, które nazywano salonem. Pomalowano je na obrzydliwy zielony kolor, a ściany ozdobiono głupimi rysunkami i listami, pochodzącymi od wdzięcznych osób, które znalazły tu dach nad głową. Do stołu przyczepione było łańcuchem radio tranzystorowe. Tu kończyło się wzajemne zaufanie, o którym paplał brodaty głupek. Fenn nastawił stację Capital i czekał na wiadomości, które powinny wkrótce się pojawić. Niczego na temat Soni. Postanowił wyjść i kupić gazetę, aby podwójnie się zabezpieczyć. Z torbą w ręku opuścił budynek.

Najbliższy kiosk znajdował się przy stacji King's Cross. Kupił „The Sun” i udał się do bufetu dworcowego, żeby się trochę ogrzać. Mi-



ło było znaleźć się z powrotem w świecie żywych, daleko od wyrzutków społeczeństwa. Kupił kubek herbaty i słodką bułeczkę. To powinno usunąć smak cementu. Z kotła z herbatą dochodził wesoły syk, a pierwsi podróżni zaczęli zapełniać krzesła. Zaczął od pierwszej strony gazety, po czym starannie przejrzał wszystkie następne. Absolutnie nic.

A więc wciąż miał przewagę i mógł działać przez zaskoczenie. Roz nadal nie wiedziała, czy jego groźby były poważne. Nie będzie bardziej ostrożna niż zwykle. Prawdopodobnie zachowa nawet mniejszą ostrożność, ponieważ nie kontaktował się z nią od jakiegoś czasu. W dodatku dzisiaj nie emitowano jej programu. Dzisiaj Roz będzie w domu. Obserwując go wcześniej, zauważył, że jej mąż (przyszły wdowiec) i jej cholerne bachory wychodzą około wpół do dziewiątej, a gosposia przychodzi dopiero godzinę później.

Miał zamiar włożyć mundur w ostatniej chwili. Bez narażania się na niepotrzebne ryzyko. Mógł to zrobić w toalecie na stacji Camden Town. Powinien tylko poczekać, aż ten, kto będzie się tam znajdował w momencie, gdy on wejdzie, na pewno opuści pomieszczenie. Wówczas wszystko będzie w porządku. Nikt nie zwróci uwagi na gliniarza wychodzącego z toalety publicznej. Nawet gliny muszą czasem korzystać z tego przybytku. Torbę miał zamiar zostawić.

Nie wybiegał myślami poza samo odebranie życia. Nie miał żadnych planów. Wyobrażał sobie wprawdzie jej ostatnie męki na sto sposobów, lecz nie był w stanie wyczarować wizji czegokolwiek, co mógłby zrobić potem. Tak mocno była wpleciona w jego egzystencję, że wydawało mu się niemal, iż razem z jej życiem zakończy się również jego.

Spojrzał na zegar. Siódma trzydzieści. Jeszcze dziesięć minut i wyruszy. Stacja Camden Town znajduje się na linii północnej. Nie musi nawet zmieniać linii metra.

Roz nie spała przez całą noc, ale nie czuła się wcale zmęczona. Leżała cały czas przytulona do pleców męża w dziwnym stanie zawieszenia między jawą a snem. Nie czuła ani strachu, ani gniewu, chwilami wydawało jej się, że kolejny dzień nigdy nie nadejdzie. Leo obudził się koło trzeciej i usiłował przekonać ją, aby wzięła tabletkę nasenną, ale odmówiła. Siedzieli teraz, pijąc kawę i przeglądając „Timesa” i „Guardiana”.

—Wygląda na to, że prasa dostosowała się do prośby policji. W żadnej z tych gazet nie ma ani słowa na ten temat.

—W wiadomościach o ósmej też niczego nie było. — Roz pogłaskała Madgewicka, który rozciągając się na wszystkie strony, wysunął łapy poza jej kolana, po czym wciągnął je z powrotem i wsunął pod swój brzuch. Poprzedniego wieczoru przyjął okrzyki radości i uściski z niezwykłą ufnością, lecz okazał złość, kiedy Roz przed zanieśieniem go do samochodu próbowała usunąć mu ze szczęk dużą rybią głowę. Tego ranka dąsał się i nie chciał mruczeć, chociaż trudno było powiedzieć, czy powód stanowiło nagłe wyrwanie go z cudownego rogu obfitości, czy też ich niedbałość, wskutek której go ukradziono.

—Dzieci bardzo się ucieszą, że wrócił. Powiedziałaś pani Holland, o której je odbierzemy?

—Powiedziałem, że policja będzie tu przed dziewiątą. Ona zabierze obydwójce do szkoły, a ja je stamtąd odbiorę. Pani Holland porozumiała się z dyrektorem szkoły św. Krzysztofa, więc wiedzą tam, dlaczego Guy jest nieobecny.

—Zostaniesz na lunchu u mojej mamy, dobrze Leo? Kent jest zbyt daleko, żeby jechać tam i z powrotem bez odpoczynku.

—Nie bądź niemądra, Roz. Oczywiście, że nie zostanę. Chcę wrócić tutaj, do ciebie. Wciąż uważam, że nic by się im nie stało w pociągu. Mogłyby podróżować pod czyjąś opieką. W końcu Guy ma niemal trzynaście lat. A twoja mama może wyjść po nie w Deal.

—Nie. Rozmawialiśmy już o tym wczoraj wieczorem. Nie chcę, żebyś spuszczał je z oczu, dopóki nie zostawisz ich bezpiecznie z moją mamą. Po tym, jak ostatnią noc musiały spędzić poza domem, są na pewno bardzo wystraszone, więc nie możemy zamykać ich jeszcze w wagonie z kimś nieznanym.

Leo wiedział, że Roz ma rację. Nie chodziło o to, że nie kochał swoich dzieci. Uświadomił sobie po prostu, prawdopodobnie po raz pierwszy, że kocha swoją żonę bardziej niż cokolwiek na świecie. Nigdy dotąd nie próbował rozkładać na czynniki pierwsze swojej miłości do rodziny. Nie było takiej potrzeby. Te trzy osoby były dla niego niemal jednością. Na tej podstawie spoczywało wszystko inne. Nigdy nie trapiły go lęki ani nie torturował się wizjami swojego życia, gdyby coś im się stało, lecz teraz, od odkrycia zwłok Soni i przerażającej rozmowy z Duffieldem, musiał stanąć twarzą w twarz z podobną możliwością.

Zgadzał się, że wszystko, co mówiła Roz, miało sens. Dopiero kiedy ten człowiek zostanie schwytyany, obydwójce poczują się bezpieczni, i jeśli

zachowując się normalnie, mogła w tym pomóc, na pewno powinna to zrobić. Ale strach nie kieruje się logiką. Przez cały czas Leo usiłował zwalczyć najstraszniejsze przeczucia. Pragnął zachować się jak baśniowy bohater. Porwać ją i wywieźć daleko, gdzie nikt ich nie znajdzie. Czuł przemożną potrzebę posiadania jakiejś broni, aby móc stanąć pomiędzy żoną a niebezpieczeństwem. Był nieco zszokowany, odkrywszy, jak blisko powierzchni drzemały te uczucia, gromadząc się tuż pod naskórkiem jego codziennego życia w czasie, gdy czytał „Timesa”, jadł cywilizowany lunch z kolegami i odpoczywał z Roz pod koniec dnia.

Wiedział, że policja będzie w pobliżu. Nie mogła być widoczna, bo wówczas zniknąłby sens organizowania tego wszystkiego, dlatego musiała trzymać się w pewnej odległości. Jeśli ten szalenciec będzie działał bardzo szybko, może uśmiercić Roz, zanim do niego dotrą. A fakt, że nie brałby pod uwagę ryzyka, iż zostanie złapany (ludzie działający pod wpływem obsesji rzadko to robią), przemawiał na jego korzyść. Nie było też wiadomo, jaką bronią chce się posłużyć. Tym razem mógł nie użyć noża. Może posiadać karabin snajperski i ukryć się gdzieś, czekając na odpowiednią okazję. Może ukrywać się przez wiele miesięcy i kiedy prawie o nim zapomną, podłożyć coś w jej samochodzie. Może... Rozległ się dzwonek do drzwi.

— Ja pójdę. — Leo podniósł się, osuszając usta serwetką. — To na pewno policja.

Roz patrzyła, jak wstaje i wychodzi, po czym zrzuciła Madgewicka z kolan i starała się nieco uprzątnąć stół. Ktokolwiek to był, może miał ochotę napić się kawy. Czy też picie podczas służby jest wbrew przepisom? Z pewnością dotyczy to wyłącznie alkoholu. Słyszała, jak Leo otwiera frontowe drzwi, i wyjęła croissanta z pojemnika z pieczywem. Chwilę później Leo pojawił się w drzwiach w płaszczu. Stał w wyczekującej pozie, bo chociaż zdawał sobie sprawę z tego, jak się umówili, nie miał ochoty wychodzić.

—Zostawiam cię bardzo niechętnie.

—Kochanie, poczuję się o wiele lepiej, gdy będę wiedziała, że odebrałeś dzieci i jesteś w drodze do mojej mamy. A teraz chroni mnie kwiat policji.

—Bardziej pączek niż kwiat. Cóż to oznacza, gdy policjanci stają się coraz młodszy?

—Że my się robimy coraz starsi. Spójrz na siebie. — Podeszła do niego i kiedy wziął ją w ramiona, dotknęła delikatnie jego skroni. — Szare jak u borsuka.

Stali przez chwilę objęci. Mimo fizycznej bliskości ich uścisk był dziwnie pozbawiony erotyzmu. Leo czuł się niemal tak, jakby trzymał w ramionach odchodzące z domu dziecko, nie potrafił jednak stwierdzić, czy pocieszał to dziecko, czy też siebie.

W końcu oderwali się od siebie, wciąż trzymając się za ręce.

—Zrobiłam kawę. Może będą chcieli się napić.

—To tylko jeden człowiek.

—Och! Wydawało mi się, że ma przyjść również policjantka.

—Spodziewam się, że się pojawi. No cóż... — nie poruszył się.

—Posłuchaj. Mam zamiar podejść do narożnej szafki po czystą filiżankę i spodeczek, a kiedy się odwrócę, nie chcę cię już tu widzieć. W porządku?

Odszedł od niej, nie zdając sobie w pełni sprawy, jak to się stało, po czym opuścił kuchnię, przeszedł przez hol i wyszedł na ulicę.

Roz usłyszała trzaśnięcie drzwi i natychmiast ogarnęły ją pierwsze wątpliwości. Czy rzeczywiście Leo musiał zawieźć dzieci do Kentu? Czy nie mogły zostać po prostu z przyjaciółmi gdzieś w pobliżu? Nawet jeśli Leo nie zostanie na lunchu, to prawdopodobnie nie wróci do domu przed czwartą. Wydawało się to wiecznością. Dlaczego tak się przy tym upierała? Uznała to teraz za szczyt głupoty. Co znaczył jeden policjant w porównaniu z prawdziwie zdeterminowanym zabójcą? Ale na zewnątrz na pewno było więcej ludzi. Strzelcy wyborowi ukryci na ulicy. Miała nadzieję, że przyślą policjantkę. Towarzystwo kobiety byłoby miłe.

Czuła wyraźnie narastające napięcie, jakby jej maszyna nerwowa pozostawała w nocy w stanie spoczynku i teraz zaczynała powoli włączać obroty. Tak. Zdecydowanie jakieś towarzystwo będzie mile widziane. Zawołała w górę schodów:

— Halo!

Nie było odpowiedzi. Weszła na parę stopni.

— Czy chciałby pan napić się kawy?

Wciąż cisza. Maszyna działała coraz szybciej, wzrosła również jej moc. Roz czuła się tak, jakby w gardle miała ptaszka, który dziko macha skrzydłami. To głupie, tak się obawiać. Wzięła głęboki oddech, przełknęła ptaszka, pokonała resztę schodów i weszła do holu.

Leo oddalał się od domu bardzo powoli. Oglądał się wciąż na wysokie, eleganckie okna, mając nadzieję, że może Roz po- biegnie po jego wyjściu do salonu, aby mu pomachać. Ale oczywiście, ich dzisiejsze pożegnanie było inne. Skłonienie go do wyjścia z domu było tak trudne, że nie zrobiła- by niczego, co mogłoby z powrotem przyciągnąć jego uwagę. Przeszedł przez ulicę, aby mieć dom na oku jeszcze przez parę chwil. Czuł się nie- swojo i nieszczęśliwie. Czy to młody wiek policjanta tak go zaniepokoił? Teraz, gdy o tym myślał, uświadomił sobie, że nie zauważył, aby był uzbrojony. Przypomnił sobie, jak Roz powiedziała: „Wydawało mi się, że ma przyjść również policjantka”. Z pewnością to dość dziwne, że nie przy- byli razem.

Zwolnił kroku. Gdy dotarł do rogu Gloucester Crescent i Inverness Street, zatrzymał się. Stał na krawędzi chodnika obok furgonetki kwia- ciarza z emblematem Interflory. Po stronie kierowcy siedziała ładna dziew- czyna w nylonowym fartuchu, a obok niej wysoki, krzepki mężczyzna, któ- ry mówił coś z ożywieniem. Ona kiwała głową i słuchała, wpatrzona w je- go twarz.

Nie powinienem tego robić, pomyślał Leo. Nie mogę po prostu sobie pójść. Coś ciągnęło go z powrotem do domu, tak mocno, że nie mógł się temu oprzeć. Zabierze Roz ze sobą do Kentu, przywiezie ją z powrotem do domu i zostanie z nią niezależnie od tego, co mówi policja. A gdyby miał szansę, najmniejszą, najslabszą szansę dostania w swoje ręce tego choler- nego mordercy...

— Panie Gilmour!

Potęźny mężczyzna gramolił się z furgonetki, wpatrując się w niego. Leo zmarszczył brwi. Widział go już gdzieś, i to ostatnio. Nagle sobie przypomniał. To sierżant, który towarzyszył wczoraj nadinspektorowi Pha- raoh. Wtedy był oczywiście w mundurze, dlatego rozpoznał go dopiero po chwili. Ładna dziewczyna była bez wątpienia policjantką. Ujrzawszy posił- ki, poczuł się lepiej. Ale coś było nie tak. Sierżant chwycił go mocno za rę- kę.

— Co pan robi poza domem, panie Gilmour? Zgodził się pan przecież, żeby nie zostawiać żony samej.

— Nie jest sama. Jeden z pańskich ludzi...

Leo uświadomił sobie nagle, co się stało, i niemal jednocześnie rzucił się w kierunku domu, lecz mimo to sierżantowi udało się go złapać. Wcze- pił się jak wielki niedźwiedź w jego plecy i ramiona. Dziewczyna szybko



uderzyła w panel za swoim siedzeniem, po czym coś powiedziała. Tyłne drzwi furgonetki otworzyły się gwałtownie. Jednym susem wypadł z niej mężczyzna w ciemnym golfie, wełnianej czapce i dwurzędowej kurtce, który wypełniał przedtem niemal całą długość pojazdu. Razem z sierżantem usiłowali powstrzymać Leo. Przez długą chwilę chwiał się tam i z powrotem, w górę i w dół, aż się zatrzymał, przypominając konia bliskiego padnięcia, który ciężko dyszy, opuściwszy głowę i wbijając oczy w chodnik. Sierżant wprawdzie go puścił, ale drugi mężczyzna trzymał mocno. Wokół gromadzili się ludzie, a kilka osób stanęło na jezdni, blokując ruch drogowy.

—Proszę posłuchać, panie Gilmour. Gdybyśmy pozwolili panu pójść, pańska żona nie miałaby żadnej szansy. Najmniejszy dźwięk sprowokowałby go do działania. W tej sytuacji...

—On ją zamordował, on ją zamordował — Leo sflaczał w ramionach policjanta jak marionetka bruchomowcy.

—Nie, nie zrobił tego. Znam tych drani. Widziałem tę dziewczynę wczoraj wieczorem. Oni lubią grać. Bawić się w kotka i myszkę. — Leo jęknął. — Jeśli myśli, że jest bezpieczny, będzie swoją przyjemność maksymalnie rozciągał w czasie.

—Chryste! — Leo zapłakał, po czym zaczął jęczeć: — Roz... och, Roz...

—Proszę wejść i usiąść tutaj. — Usadowili go w furgonetce obok policjantki. Za nimi zaparkowały dwa rovery, z których wysiadło kilku mężczyzn. Leo widział w tylnym lusterku, jak podchodzą do sierżanta. Stali i naradzali się, sprawiając wrażenie, że wcale się nie spieszą. Przez okienko obok siedzenia Leo wsunął głowę strzelec wyborowy. Był nieogolony, a jego zgorzkniałą twarz pokrywały blizny po ospie. Miał oddech przesiąknięty odorem starego piwa i papierosów. Leo spojrzał na niego: oto człowiek, którego nie widział nigdy w życiu, a od którego umiejętności zależy szczęście zarówno jego, jak i jego dzieci. Czuł, że powinien coś powiedzieć, błagać go o coś. Zaoferować mu wszystko, co posiada, swoje życie...

—Jakie jest dojście do pańskiego domu od tyłu?

—Beznadziejne. Otwarte podwórko, nie ma żadnego schronienia i trzeba by się wdrapać przez płot z ogrodu na tyłach.

Dlaczego nie było ciemno? Strzelec mógłby wówczas z łatwością dojść do samego domu. Och, czemu w ogóle ją opuścił?!

—Czy są jakieś otwarte okna?

—Nie wydaje mi się. — Widział Roz przyciśniętą plecami do ściany, z ostrzem przyłożonym do gardła. — Na co czekacie?

—Teraz już na nic. Zablokowaliśmy drogę po obu stronach. Musimy trzymać ludzi z daleka od domu. Gdyby zobaczył tłum zgromadzony na zewnątrz, od razu wszystkiego by się domyślił. Czy może mi pan dać swoje klucze, panie Gilmour?

—To ja go wpuściłem, wie pan o tym? — powiedział Leo, wręczając mu klucze. — Otworzyłem drzwi i zaprosiłem go do środka. Miałem go tak blisko, jak teraz pana. Zostawiłem go z nią samego. Zostawiłem swoją żonę sam na sam z przeklętym szaleńcem-nożownikiem. Czy wiedział pan o tym? — Strzelec wyborowy odszedł. Leo zwrócił się do policjantki, chwytając ją za rękę. — Czy pani o tym wiedziała?! — Jego twarz była maską udreki i wyrażała błaganie o dodanie otuchy, o to, aby go nie osądzać.

—Barrett jest jednym z naszych najlepszych ludzi, panie Gilmour. Ten człowiek nie ucieknie.

—Jestem pewny, że nie ucieknie. — Leo odchylił się i zamknął oczy. Widział przed sobą jedynie rzekę krwi.

Gdy Roz weszła do holu, stał do niej plecami, lecz odwrócił się na odgłos kroków, zdjął czapkę i ruszył w jej stronę.

—Zastanawiałam się, czy chciałby pan... — słowa zamarły jej na ustach. Zimowe światło wpadało do środka przez kolorowe szyby, ozdabiając jego twarz żywymi plamami szkarłatu i indygo i muskając ogniem spiżową aureolę jego włosów, tak że wyglądał jak jakiś przerażający średnio-wieczny symbol zarazy, pomoru i śmierci.

—Cześć, Roz. — Biło z niego bezbrzeżne poczucie triumfu. Niemal czuła jego zapach. — No widzisz, jestem tutaj. Tak jak obiecałem.

Stali naprzeciw siebie w odległości około sześciu stóp. Na początku nie była w stanie mówić, lecz po prostu stała, wpatrując się w niego. Przed jej oczyma pojawiły się wszystkie nocne wyobrażenia jego postaci oraz spotkania z nim. Wbrew opisowi Grega, zawsze wyobrażała go sobie jako nieco zaniedbanego, w czarnym skórzanym ubraniu i z ziemistą, nikczemną, małą twarzą — twarzą pośledniego gatunku, którą podsycza niebezpieczna, wysokooktanowa mieszanka zawiści, nienawiści i głupoty. On jednak był wysoki i szczupły, a pod policyjnym mundurem kryły się szerokie ramiona. Prześladował ją długo i teraz, gdy zapędził ją w pułapkę, czekał, pewien swojej nagrody. Jego milczenie było znamienne. Wydawało się, że ma do dyspozycji nieograniczenie wiele czasu.

Autorytet, który z niego emanował, był tak potężny, że zaczęła niemal wierzyć w słuszność jego żądania. Zamiast przerażenia i złości czuła, że ogarnia ją zdradziecka ospałość granicząca z rozpaczą. Postawa Roz wyrażała absolutne poddanie się. Jego bliskość działała jak nowokaina, stępując w niej jakikolwiek opór. Odczuwała niemal ulgę, że to się niedługo skończy. Pomyślała: „Kim w końcu jestem, żeby robić o to tyle hałasu?”. Krótkotrwałym zlepkiem atomów. Kobieta prowadzącą trywialny program radiowy, która miała zamiar napisać książkę, ale nigdy jej nie skończyła. Wydawało jej się teraz, że jej śmierć przejdzie całkiem bez echa. Dzieci będą przez jakiś czas smutne, lecz wygrzebią się z tego. Mają ojca, dziadków i przyjaciół. Leo ożeni się po raz drugi. Z kimś młodym. Może pojawią się kolejne dzieci. Ona wyniesie się ze świata, a świat zamknie się za nią i w niedługim czasie będzie tak, jakby nigdy nie istniała. Usiłowała wymyślić powód, dla którego nie powinna się poddawać, lecz żaden nie przychodził jej do głowy.

To była trudna chwila, kiedy jej mąż otworzył drzwi. Był przekonany, że zabrał już swoje alfonsovate dzieciaczki w swoim alfonsovatym zagranicznym samochodzie i odjechał. On jednak powiedział wówczas jedynie: „Ach, to pan. Proszę wejść do środka”, po czym się wyniósł i zostawił Fenna sam na sam z nią. Jakie to zabawne. Pomyśleć, co będzie przeżywał potem. Równie dobrze mógł wepchnąć jej w usta jabłko i związać. W ciągu paru minut, gdy był na dole, żegnając się z żoną, Fenn miał czas, aby delektować się ironią sytuacji. Dziwiło go nieco, że w tak oczywisty sposób spodziewali się policji, ale doszedł do wniosku, że po wszystkich tych jego wesołych taśmach i telefonach nie było to wcale takie zaskakujące. Prawdopodobnie złożyła jakieś zeznanie. A może nawet poprosiła policję o ochronę. Myśląc o tym, o mało nie pękł ze śmiechu. Nigdzie nie było śladu dzieci.

Uderzyła go dziwna, osobliwa myśl, że jest jej wdzięczny. Bez niej nie dowiedziałby się nigdy, do czego może doprowadzić jego inteligencja. Rozumiał teraz, że zanim ją poznał, był nikim. Chaotyczną gmatwaniną nieukierunkowanych żądz i zawiści. Kiedy jednak w końcu cel jego poszukiwania został przed nim odsłonięty, pojawiła się jasność. Zapanał porządek i zrozumienie. Teraz byli sobie równi. Bogactwo i sława — słowa, które niegdyś wywoływały w jego ustach smak żółci — teraz ujawniły swoje prawdziwe znaczenie. Ona była bogata i sławna, i nie dało jej to niczego. Teraz nie była nawet jemu równa, teraz była jego ofiarą.

Wyglądała bardzo pięknie: jej rozpuszczone włosy spadały na pochylone ramiona. Miała na sobie sukienkę z delikatnej morelowej tkaniny, która opinała jej uroczą figurę. Najpierw ją posiadzie i, o Chryste, będzie to ekscytujące, nie tak jak z Sonią, która była posłuszna i głupia i która go pragnęła. Ale postara się, żeby ta też go pragnęła, a jeśli mu się to nie uda... no cóż, czuł, że nie może się tego doczekać... może tak nawet będzie lepiej. Zaczął mówić. Jego ton był dość łagodny, lecz słowa nie miały w sobie ani śladu łagodności. Opisał dokładnie to, co się teraz dzieje z jego ciałem, a następnie zaczął opisywać, co ona będzie przeżywać. Zaprezentował jej swoje marzenia snute wcześniej we własnym pokoju, swoje obecne wyobrażenia, a potem opowiedział, jak ma się zamiar zachować. W pewnym ekscytującym punkcie swojego opowiadania (opisywał właśnie jedną ze swoich bardziej skomplikowanych małych sztuczek) Roz wyprostowała się i przycisnęła dłonie do uszu, wskutek czego jej biust się uwypuklił, napinając tkaninę sukienki. Ten świadomy zamysł, aby go podniecić, rozczarował nieco Fenna. A więc kiedy dochodziło do pchnięcia (co za właściwe sformułowanie), okazywała się taka sama jak wszystkie i sama tego pragnęła.

Wówczas wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, Fenn zrobił krok do przodu, co było błędem. Od razu zauważył, że ta czynność przełamała hipnotyczną władzę, jaką nad nią posiadał. Po drugie, za jego plecami poruszyła się klapka od skrzynki na listy.

Roz zauważyła to, spoglądając ponad jego ramieniem, i nie była w stanie zapanować nad sobą. Jej reakcja odmalowała się na twarzy — podniecenie, nadzieja, a następnie złość na siebie za własną głupotę. Nie potrafiąc ukryć swoich uczuć, zdradziła jedyną przewagę, jaką posiadał ktoś, kto tam się znajdował. Przewagę biorącą się z zaskoczenia. Nie wzięła jednak pod uwagę nieprawdopodobnej pychy Fenna.

— Bierzesz mnie za głupca, Roz? To bardzo stara sztuczka. Spoglądasz ponad moim ramieniem, okazujesz zdziwienie, ja się odwracam, a ty rzucasz się do ucieczki albo skaczesz na mnie. Myślisz, że nie chodzę do kina? — Czuł, że ta przemowa pomogła mu w pewnym stopniu od nowa udowodnić, kto tu jest lepszy. Nikt nie będzie z niego robił idioty.

Roz stała nieruchomo, teraz równie czujna, jak przed kilkoma sekundami otępiała. Świadomość, że pomoc znajduje się niemal na wyciągnięcie ręki, wystarczyła, aby reaktywować żarliwe pragnienie przeżycia. A razem z tą świadomością pojawił się strach. Miała tak wiele do stracenia. Teraz, gdy wyszedł z kolorowego światła, stracił swoje nadzwyczajne cechy, na-

dane mu uprzednio przez żywe kolory. Chociaż jednak wyglądał bardziej zwyczajnie, stwarzał również wrażenie bardziej niebezpiecznego. Spojrzała mu w oczy — żółte, kozie, szalone — i jej strach wzmógł się gwałtownie, wzrastając w przyspieszonym tempie.

Wtedy Fenn nagle krzyknął: „Hopla!” i uniósł dłoń w patetycznym geście. Poszła wzrokiem za tym ruchem, dostrzegając błysk światła, srebrne lśnienie. Znowu spojrzała za niego. Teraz w środku szpary na listy widniało okrągłe, metalowe „o” — lufa jakiejś broni. Fenn oblizał wargi, a ślina błysnęła jak śluz węża.

—Co myślisz o nim? — wyciągnął nóż w stronę Roz, prezentując go tak, aby mogła go podziwiać. — Wchodzi jak w masło. Naprawdę — ostatnie słowo powiedział tak, jakby mu przedtem zaprzeczyła. Jakby on był akwizytorem sprzedającym kuchenny gadżet, a ona okazała pewien brak zaufania.

—Czy to nim zamordowałeś Sonię? — wypowiedziała te słowa, zanim zdołała się powstrzymać. Poczowała, że atmosfera zmieniała się i stała intensywniejsza. Fenn zmarszczył brwi, po czym przybrał przebiegły wyraz twarzy. Zniknął z niej jakikolwiek ślad piękna. Ślina cieknąca mu z ust zaczęła przypominać pianę.

—Nic nie wiesz na temat Soni.

—Nie. To prawda. — Cofnęła się o krok. Jakby to był sygnał, na który czekał, Fenn skoczył. Roz krzyknęła raz za razem. Czowała na twarzy jego oddech jak żar z pieca. Przycisnął swoje usta do jej ust, co nie było pocałunkiem, lecz formą napaści, roztrzaskiwania kości o kość. Zaczęli szamotać się ze sobą, a wydawane przez nich odgłosy przypominały jakiś potworny, ponury rytuał parzenia. Słysząc było przyspieszone oddechy, jęki i krzyki. Roz wiedziała, że nie ma nadziei, o ile nie uda jej się znaleźć w pewnej odległości od niego. Nie wiedziała nic na temat broni, ale czowała, że na pewno bliskość atakującego powstrzymuje snajpera przed strzałem. Z pewnością istniała szansa, że kula przejdzie przez niego i ugodzi także ją.

Znajdowali się bezpośrednio naprzeciw szpary na listy. Gdyby tylko udało jej się go skłonić, aby pozostał w tym miejscu, a samej odejść od niego.

Obmierzły nacisk jego ciała uświadomił jej, że jej pożąda, a po chwili ze skrajnym przerażeniem poczuła, że nóż dotyka jej gardła. Przesunął go powoli po morelowej wełnie, która rozdzieliła się na dwie strony jak bibułka. Roz poczuła, że czubek noża delikatnie kłuje ją w pępek. Przestała się



szamotać i stanęła nieruchomo. Przy najmniejszym ruchu ostrze mogło wbić się w jej ciało. Fenn spojrział w dół na to, co się odsłoniło po rozcięciu sukienki.

— Bardzo ładne.

— Proszę — musi coś wymyślić, musi istnieć jakaś możliwość. — Jesteś tak blisko...

— Nie tak blisko, jak mam zamiar.

— Mam na myśli, że... nie widzę cię dobrze. Jesteś... — dławiła się własnymi słowami. — Jesteś taki przystojny. Jeśli cofniesz się nieco... tylko na chwilę... będę mogła lepiej cię zobaczyć.

To nie działało. Zrobiła mu przyjemność, wywołała niemal uśmiezek na jego twarzy, ale na tym się skończyło.

— Rozebrałem cię, kochanie... — Nóż delikatnie naciskał jej miękkie ciało. — Jesteś gotowa zrobić to samo dla mnie?

Przerażenie przyprawiło ją o mdłości, bała się, że zemdleje. O Boże, zaczęła się modlić, proszę, nie pozwól mi zemdleć. Znowu poczuła nacisk noża. Uniosła drżące palce do guzików jego marynarki.

— Wystarczy suwak, kochanie... wystarczy suwak... Dotknęła go, starając się za wszelką cenę powstrzymać podchodzące do Gardła wymioty, i powiedziała:

— Nigdy nie myślałam, że usatysfakcjonuje cię tak łatwe zwycięstwo. Zawsze podziwiałam twoją inteligencję... sposób, w jaki dostałeś się do domu... jak dostarczyłeś wszystkie swoje wiadomości. — Na granicy wytrzymałości udało jej się znaleźć metodę dotarcia do niego. Widoczna w jego oczach żądza wymieszała się z odczuciem niezadowolenia.

— Co masz na myśli, mówiąc o łatwym zwycięstwie?

— No cóż... nie zaoferowałeś mi nawet możliwości ucieczki. W końcu, dokąd mogę pójść? Na pewno nie uda mi się dotrzeć do drzwi... ani do telefonu. Nawet lisowi daje się jakaś szansa. Tak czy owak... czy nie miałbyś na to ochoty, Fenn? Przyznaj uczciwie... polowanie... po schodach do góry... na dół...?

— I do komnaty mojej damy? Tak... Podoba mi się to. Komnata mojej damy. Może tam właśnie cię dogonię? Mógłbym to zrobić na twoim łóżku...

Wypuścił ją. Gdy opadła z niej sukienka, z trudem powstrzymała się przed jakimkolwiek ruchem. Fenn studiował ją wzrokiem.

— Dasz mi chwilę przewagi?

— Sam nie wiem. — Obdarzył ją spojrzeniem, które było potworną parodią spojrzenia przekomarzającego się kochanka. — Niezbyt wielką. Nie chcemy, abyś otworzyła okno i wyskoczyła, prawda? Aby moje kochanie oszukiwało. — Przyłożył nóż do jej ust.

— Czy... czy policzysz do dziesięciu?

— Do pięciu, kochanie... Policzę do pięciu...

Wyczuła za sobą pięta dolny stopień i wstąpiła nań tyłem.

— Raz.

Nie wolno jej było spuszczać z niego wzroku. Cokolwiek się stanie, on nie może rozglądać się wokół. Miała ochotę odwrócić się i ruszyć biegiem, ale nie śmiała.

— Dwa.

Nie mógł się powstrzymać przed gapieniem się na nią. Nigdy, w żadnej ze swoich książek i magazynów ani w najśmielszych fantazjach, nie widział tak boskiego biustu. Był tak pełny i dojrzały, i złocisty. Jej skóra miała równie ciepły kolor jak jej sukienka. Żałował teraz, że nie rozciął jej trochę niżej. Miał jednak mnóstwo czasu. Nigdy do tej pory nie posiadał kobiety podobnej do niej. Oczywiście, ona też nie знаła nikogo takiego jak on. Nie miała pojęcia, jak naprawdę może być. Kto wie, jeśli się o tym przekona, może stanie się równie wyuzdana jak Sonia. Nie będzie zdolna go zostawić. Ale oczywiście skończy się na tym jednym razie. A może nie? Poczł się skonsternowany.

— Trzy. Nigdzie nie uda ci się uciec, lisku. Dopadnę cię już za chwilę...

Roz czuła każdy rowek wykładziny na schodach wbijający się jej w stopy, widziała swoje odciski palców na wypolerowanej balustradzie. Cały świat skurczył się do tych doznań. Zdawała sobie sprawę, że czuje się niesamowicie żywa, była świadoma bicia serca i pulsu, pracy mózgu i krążącej w żyłach ciepłej krwi. Jeśli zrobi teraz krok do tyłu na ukos, przestanie być na linii strzału.

— Cztery.

Odgłos wystrzału wypełnił cały hol. Hałas był przerażający. Jak wybuch bomby. Dźwięk krążył wokół ścian, odbijając się od nich echem, aż Roz zaczęła się obawiać, że pęknie jej głowa. Rozległ się miążdżący, rozłupujący odgłos i szkło z drzwi prowadzących do holu wpadło do środka.

Fenn wspinał się za nią na schody, a na jego klatce piersiowej wykwiła czerwona róża. Wykrzykiwał plugawe, straszliwe rzeczy. Roz cofnęła

się przed nim. Choć jego twarz i oczy były martwe, ciągle parł do przodu. Rozległ się kolejny strzał i poniżej pierwszej róży wykwitła kolejna, a jej płatki otwały się zmysłowo, powoli, aż obie róże połączyły się ze sobą. Wypuścił z ręki nóż i otworzył szeroko ramiona.

Wyszeptał: „Pięć”, lecz jego oddech był zimny, zawierał za-  
ledwie wspomnienie życia. Wtedy z wdziękiem, nie przejmując się tym, spadł ze schodów do holu poniżej.

TLR